

## Prolog

*Londyn, 1815*

**N**a ulicze panował spokój - z pozoru. Nicholas Ramsey, wicehrabia Richmond, stał przed zakurzonym oknem i spoglądał w dół na ulicę, gdzie pierwsze opary mgły zaczynały oplatać słupy latarni. W ciszy i ciemności, przy głuchym odgłosie kopyt po bruku przeturlała się odrapana dorożka, ciągniona niespiesznym kłusem przez dwa wynędzniałe konie. W tym samym czasie gdzieś w głębinach miasta, przedzierając się przez labirynt ulic, spieszył posłaniec z wiadomością dla księcia. O wspaniałym klejnocie, który bezpiecznie dotarł na miejsce. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, to już jutro Nicholas będzie wznosił toasty. A jeśli nie... jeśli nie...

Na myśl o porażce zeszywniały mu mięśnie. Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Nicholasie, ty zwierzaku - przywołała go kobieta głosem rozleniwionym po wyczerpujących miłosnych igraszkach. - Wracaj do łóżka.

Dlaczego ona jeszcze nie śpi? Doszedł go ciężki zapach kameliowych perfum, tak słodkich, że aż mdłych. Przesiąknęły mu skórę i ubranie. Marzył o kąpieli, by je z siebie zmyć. Marzył o własnym łóżku, marzył o opuszczeniu zajazdu i tego niechlujnego pokoju, w którym w innych okolicznościach nie pozostawiłby nawet swojego konia. Ale nie mógł wyjść, jeszcze nie teraz.

- Jeszcze chwila, kochanie - odparł uprzejmie jak zawsze. Przez moment nie mógł przypomnieć sobie jej imienia. Mary? Nie, Marion. Tak, to prawda, jest ładna, ale też ordynarna i raczej bezbarwna. No i niezbyt bystra; pierwsze akceptował, drugim był znudzony. Ignorowana przez męża, zaczęła go jakiś czas temu, poszukując niezobowiązującego romansu. Zgodził się.

Ale już jutro w jego życiu pojawi się następna kobieta, a o tej zapomni, choć postara się, żeby ona o nim nie zapomniała. Zależało mu, by jego kochanki dobrze go wspominały. Zresztą nie było ich tak wiele, jak się plotkuje w towarzystwie, tym bardziej że czasami, tak jak teraz, flirt służył tylko za przykrywkę.

Ponownie opuścił wzrok na wyludnioną uliczkę. Zabezpieczyliśmy się na każdy wypadek, myślał. Musi się udać...

Jak na ironię w kręgach śmietanki towarzyskiej Nicholas uchodził - całkiem zasłużenie - za samolubnego, zmanierowanego hulakę, niedbającego o opinię i ze szczątkowym poczuciem przyzwoitości. Z tego też względu nikt z pewnością nie łączyłby jego nazwiska z tajną misją państwową. Ale książe regent poprosił, a księciu się nie odmawia, nawet takiemu jak obecny, jeszcze większemu lekkoduchowi niż sam Nicholas. Zadanie, jakiego się podjął, było bardzo ryzykowne...

- Kochanie! - Tym razem w głosie Marion zabrzmiało zniecierpliwienie. Nicholas zdusił przekleństwo. Dlaczego ta kobieta po prostu nie zaśnie?

- Myślałem, że przysnęłaś, moja droga - skłamał. Usłyszał szelest prześcieradeł, a potem cichy odgłos bosych stóp na drewnianej podłodze. Lecz najpierw poczuł silny zapach perfum. Nie był zaskoczony, gdy dotknęła jego ramion, a następnie zaczęła gładzić go po karku.

- Nie zamierzam marnować czasu na sen, kiedy wreszcie mam cię w moim łóżu. ~ Rysując ostrymi paznokciami wzór najego plecach, przysunęła się bliżej i owiała mu szyję ciepłym oddechem. - Wcale niejestem senna. Przeciwnie, czuję się... bardzo rześko.

Co to...? Popatrzył uważnie w mglistą noc. Ale nie, to tylko prostytutka ustawia się w drzwiach, by zwabić następnego klienta.

- Nicholasie, spójrz na mnie!

Odwrocił się niechętnie, zmuszając się do uśmiechu, potem pochylił głowę i złożył pocałunek na krągłym ramieniu. Nie usłyszał jego uwagi irytacja czająca się w piwnych oczach kobiety ani jej wydęte usta.

- W takim razie, Marion - rzekł - pozwól, że cię zmęczone.

Zachichotała, a on wziął ją w ramiona. Poddając się subtelnym pieścizotom, zerknęła w dół na pogrążającą się w zapadającym zmroku ulicę. Dostrzegła niewyraźny zarys człowieka, który szedł spieszonym krokiem, opędzając się od ladacznicy stojącej w drzwiach. Wydawał się unikać świateł latarni, co nie było trudne we mgle, która ciężkimi, ciemnymi oparami opadała na ziemię.

Skupiona na pieścizotach tylko kątem oka widziała, że mężczyzna ogląda się przez ramię i przyspiesza. W pewnej chwili, akurat gdy mgła się przeredziła, podniósł wzrok i Marion zobaczyła zarys bladej twarzy pod rąbkiem ciemnego kapelusza.

Przez chwilę zapomniała o zręcznych dłoniach Nicholasa przesuwających się po jej ciele. Mężczyzna na ulicy zatrzymał się, by przetrzeć twarz chusteczką; wydawał się spocony mimo chłodnego, wilgotnego powietrza i kłębiącej się wokół mgły, zamazującej kontury domów. Wbijał wzrok w zamgloną przestrzeń, jakby kogoś wypatrywał lub obawiał się, że jest śledzony.

Lecz chodnik i ulica były puste. Odetchnął i wyprostował skulone ramiona. Znowu ruszył przed siebie. Nie widział tego, co dostrzegła z okna Marion...

Dłonie Nicholasa zsuwały się wolno po jej krągłych biodrach. Prześcieradło, którym była owinięta, upadło na podłogę.

Uśmiechając się, oderwała oczy od ulicy i całą uwagę poświęciła zmysłowym pieścizotom. Nawet jeśli kątem oka mogła dostrzec, że na ulicy pojawił się następny mężczyzna, to nie zdążyła nawet o tym pomyśleć, bo nagle Nicholas wziął ją na ręce i podniósł. Z lubieżnym westchnieniem oplótła nogi wokół muskularnego ciała kochanka i pozwoliła się zanieść do łóżka.

Tajemniczy mężczyzna szybko przeszedł ulicę i zniknął najej końcu. Teraz nie było tam już nikogo, kto mógłby zobaczyć podążającą za

nim wolno czarną nieoznaczoną dorożkę ciągnioną przez parę czarnych koni, których kopyta, owinięte szmatami, nie wydawały żadnych odgłosów.

# 1

*Cierpieć w milczeniu to nie przejaw świętości, lecz głupoty.*

Margery, hrabina Sealey

*Londyn, 1816*

**T**o, czego ci trzeba, droga Lucy - zaczęła hrabina Sealey, upijając łyk herbaty - to kochanek.

Lucy Contrain wzdrygnęła się, omal nie wypuszczając filiżanki. Przestraszona, że zalała suknię, spojrzała w dół, wypatrując wilgotnych plam. Odetchnęła z ogromną ulgą - suknia była sucha. Następnie podniosła wzrok na hrabinę, zastanawiając się, czy się nie przesłyszała.

Ta wybuchnęła swoim słynnym głośnym śmiechem i wyjęła popielatą filiżankę z drżących dłoni Lucy.

- Ostrożnie, bo się poplamisz. - Popatrzyła na skromną, czarną suknię rozmówczyni i oddała jej filiżankę. - Albo wylej wszystko. Oblałabym cię zawartością całego dzbanka, gdybyś dzięki temu poszła do krawcowej i zamówiła garderobę w żywszych kolorach.

Przeniosła wzrok na twarz Lucy.

- Zamknij usta, kochanie - dodała zyczliwie.

Lucy szybko spełniła polecenie. Wielki Boże, siedzi tu z rozdzieloną buzią niczym małe dziecko. No ale przecież wytworne damy

nie rozprawiają o wzięciu kochanka tak lekko, jakby mówiły o zamiarze wybrania się na spacer.

- Ależ lady Sealey, dopiero co zakończyłam żałobę.

- „Zakończyłam” jest w tym zdaniu najistotniejszym słowem, Lucy. I oczywiście, nie mam na myśli byle jakiego kochanka. - Hrabina się zamyśliła. - Potrzebujesz kogoś, kto cię rozweseli.

To szaleństwo, pomyślała Lucy. Nabrała powietrza, ale nim zdążyła się odezwać, hrabina odwróciła się do siedzącej w pobliżu kobiety.

- Masz jakiś pomysł, Angelo?

- Pan Bertram - zaproponowała niewysoka kobieta. - Jest uroczy.

- A także bez grosza przy duszy i straszliwie łysieje - zaproponowała hrabina. - Musimy znaleźć Lucy kogoś lepszego. Roberto?

Zwracała się teraz do kobiety o ognistych włosach i pełnych kształtach. Na jej zamysłonej twarzy gościł błogi uśmiech; najwyraźniej przypominała sobie coś ogromnie przyjemnego.

- Wicehrabia Richmond, bez dwóch zdań. Ma dobre podejście do wdów.

- Ma dobre podejście do kobiet- poprawiła hrabina z dwuznacznym uśmiechem. -Wdowy, panny, mężatki: żadna mu się nie oprze.

Pozostałe kobiety westchnęły; Lucy nie wiedziała, czy z powodu przyjemnych wspomnień, czy żalu. Jedna z nich zasłoniła usta wachlarzem i z miną wyrażającą dezaprobatę zaczęła coś szeptać do sąsiadki. Do Lucy docierały tylko urywki zdań: ...oburzający lekko- duch... i coś na temat skandalicznego zachowania... Wielkie nieba, czyżby chciano ją pchnąć w ramiona jakiegoś podstarzałego satyra? Najwyraźniej ten osobnik zawrócił w głowie wszystkim damom z towarzystwa. Do tej chwili Lucy miała hrabinę za bardzo miłą kobietę. No może trochę zbyt wyemancypowaną, ale jednak miłą. To tylko dowodzi, jak mylne może być pierwsze wrażenie.

- Ja... ja naprawdę nie mogłabym... - zająknęła się.

Hrabina ściszyła głos.

- Moja droga, pozostawałaś w żałobie przez więcej niż rok, i to po mężczyźnie, który prawdopodobnie wcale na to nie zasługiwał.

Lucy spojrzała na hrabinę i zdumiała się, widząc w piwnych oczach chytry błysk. Chodziły słuchy, że w swoim czasie lady Sealey nie narzekała na brak adoratorów ani też się przed nimi nie wzbriała. Nawet teraz, mimo srebra we włosach, nadał jest piękna. Niemniej...

- Wątpię, czy może pani to osądzić- odparła spokojnie, choć stanowczo.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się hrabina. - Zgaduję tylko, to wszystko. Gdybym wiedziała, że bardzo kochałaś męża, mimo że zostawił swoje sprawy w wielkim nieporządku, ciebie bez środków do życia, a jego reputację psują nieprzychylnie opinie, nigdy bym czegoś takiego nie sugerowała.

Zamilkła, a Lucy przekonała się, że nie potrafi znaleźć słów na wypełnienie powstałej ciszy. Teraz żałowała, że wcześniej rozmawiała z hrabiną na temat osobistych spraw.

To prawda, że nie darzyła Stanleya wielkim uczuciem. Pobrali się ze względu na obopólną korzyść i przez jakiś czas ich małżeństwo wydawało się funkcjonować zupełnie dobrze. Mąż był wobec niej uprzejmy, a nawet darzył ją szacunkiem, co stanowiło pożądaną odmianę po doświadczeniach z innymi mężczyznami, którzy, gdy była jeszcze biedna i pozbawiona opieki, traktowali ją o wiele mniej stosownie. Zapewnił jej dom, a ona z całych sił starała się go pokochać, chociaż... Odsunęła od siebie gorzkie wspomnienia. Teraz, w rok po jego nagłej śmierci, okazuje się, że znalazła się w jeszcze gorszej, jeśli to w ogóle możliwe, sytuacji niż wtedy, gdy była panną bez grosza, za to z chorującą, owdowiałą matką na utrzymaniu.

Nadal jest bez grosza, a na dodatek ciąży na niej długi mąż. I została z tym zupełnie sama.

W zamyśleniu potarła dłonią cienką materię ciemnej sukni. Kiedyś była jasnoniebieska, ale po śmierci męża, ze względu na żałobę, przefarbowała ją na czarno. Nie miała wyjścia, skoro krawcowa odmówiła jej dalszego kredytowania.

Teraz chciałaby wrócić do jasnych kolorów, ale to niemożliwe; łatwo jest otrzymać czerń z niebieskiego, jeśli tylko robi się to na tyle umiejętnie, by w trakcie farbowania nie nadwyrężyć delikatnej tkaniny. Jednak czerni nie da się pokryć jaśniejszymi kolorami. Tak więc pozostały jej tylko czarne suknie, i rujnujące ją długi Stanleya. A kiedy wyda już ostatni grosz...

Wzięła głęboki oddech. Nie podda się melancholii ani panice. Ma przecież myśleć tylko o dniu dzisiejszym, upomniała się w duchu. Tak właśnie czyniła przez ostatnie miesiące. Czasami nawet była to tylko jedna godzina - można znieść myśl o godzinie kłopotów, ale nie o całej reszcie życia toczącej się tak samo ponuro i beznadziejnie jak teraz, kiedy ścigają ją dłużnicy i ma w perspektywie zniknięcie z życia towarzyskiego Londynu. I nikt nawet nie zauważy jej nieobecności...

Za dużo tych trosk, nawet jak na nią. A Bóg jej świadkiem, że już nieraz była poddawana próbie. Poczowała, że łzy napływają jej do oczu. Na szczęście hrabina nie patrzyła na nią, tylko wskazywała dłonią jedną ze złoconych pater stojących na stoliku przed nimi.

- Lucy, kochanie, częstuj się. Spróbuj babeczki. To specjalność mojej kucharki.

Lucy sięgnęła po babeczkę i ugryzła kęs; ciastko było tak delikatne i smaczne, że zapragnęła połknąć je w całości. Od rana miała w ustach tylko owsiankę. Pohamowała się jednak i powoli delektowała. Temat rozmowy zmienił się i teraz panie omawiały ostatnie ploteczki oraz najnowsze trendy w modzie. Lucy mogła spokojnie zjeść następne ciastko, a potem jeszcze kanapkę z ogórkiem, którą lokaj podał jej na srebrnej tacy.

Czuła się jak w raj. Choć na chwilę mogła się rozluźnić i zapomnieć o swojej przynębiającej sytuacji. Przerazenie prawie jej nie opuszczało, nawet we śnie. Budziło ją wielokrotnie nocą, strasząc wizjami nadchodzącej klęski. Poczucie bezpieczeństwa, które dawało jej małżeństwo, okazało się iluzją, podobnie jak jej nadzieja na miłość między nią a mężem. I to poczucie winy, które się pojawiało, gdy myślała o śmierci Stanleya...

Nie, nie będzie teraz tego roztrząsała. Należy jej się przecież choć chwila wytchnienia od trosk.

- Widziałaś najmodniejsze wzory półbucików? - zapytała kobieta siedząca po jej lewej stronie. - Jest taki sklep na Bond Street...

- A potem ona powiedziała: „Gdybyś był połowę młodszy, mój drogi”. Wyobrażasz sobie taką bezczelność! - dobiegł z przeciwnej strony głos innej kobiety.

- Ona twierdzi, że zaręczyła się z markizem, ale... wiesz... nikt nie słyszał ani o nim, ani o jego tytule, a ja myślę...

- Tak, gąbka zamoczona w czerwonym winie. Powiedziano mi, że to jest francuski sposób na niechcianą... - Głos przeszedł w szept.

Pierwsza dama, ta zainteresowana półbucikami, ciągnęła:

- Wyśmienita koźleca skórka i odcień doskonale pasujący do mojego nowego kostiumu. Byłam tak znużona czernią!

Głosy opływały Lucy. Kiwała głową, uśmiechała się, starając się udawać zainteresowanie, i czekała. Po godzinie panie zaczęły się rozchodzić, jednak Lucy nie ruszała się z miejsca. Pragnęła porozmawiać z hrabiną, ale zależało jej na prywatności. I tak już wystarczająco plotkowano na temat długów jej męża; nie chciała podsycać ognia.

Wreszcie, gdy pokój prawie opustoszał, Lucy także wstała, zamierzając się pożegnać, jednakże po wypowiedzeniu podziękowań za zaproszenie, zawahała się.

- Tak, moja droga? - Hrabina uniosła starannie wypielegnowaną brew i uśmiechnęła się życzliwie.

- Słyszałam, hrabino, że posiada pani rozległe znajomości i pomyślałam ... pomyślałam...

- Że zapoznam cię z jakimś miłym młodym mężczyzną - podsunęła hrabina.

Lucy się skrzywiła.

- Nie, nie, nie o to mi chodzi... Ja... zastanawiałam się... czy może, gdyby pani słyszała o jakiejś szacownej damie potrzebującej towarzyszkę...

Zamilkła, a hrabina obrzuciła ją uważniejszym spojrzeniem.

- Aż tak źle?

Lucy zmusiła się, by patrzeć starszej damie prosto w oczy, choć najchętniej zajęłaby się śledzeniem wzoru na dywanie.

Hrabina poklepała ją po dłoni.

- Będę to miała na względzie, moja droga. A na razie może potrzebujesz...

Lucy zaczerwieniła się i pokręciła głową. Nie zgodzi się na przyjęcie jałmużny od prawie obcej osoby. Mimo rozpaczliwej sytuacji nie upadła jeszcze tak nisko, by zapomnieć o godności.

- Dobrze więc. Nie zapomnij o mojej radzie, kochanie - dodała starsza pani. - Kochanek świetnie poprawiłby ci nastrój. Poza tym kochankowie są o wiele wygodniejsi... mniej kłopotliwi od mężów i łatwiej się ich pozbyć, kiedy ich wdzięki zbledną.

Lucy była tak zdumiona, że nie pohamowała się i wybuchnęła śmiechem.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek jeszcze miała wychodzić za mąż - odparła z przekonaniem.

Hrabina skinęła głową.

- W takim razie kochanek będzie jak znalazł - powtórzyła.

Lucy podziękowała jej, ukłoniła się i wyszła z salonu. W holu odebrała od pokojówki wytarty płaszcz, a lokaj w liberii otworzył przed nią drzwi wyjściowe. Patrzył przed siebie beznamiętnym wzrokiem; może pogardzał jej ubogim odzieniem, ale będąc dobrze przeszkolony, jak cała służba hrabiny, nie pozwolił, by prawdziwe uczucia ujawniły się na jego twarzy.

Inaczej rzecz się miała z niektórymi osobami z towarzystwa; one nie zaprzętały sobie głowy podobnymi subtelnościami. Lucy nieraz spotykała się z ich pogardliwymi spojrzeniami i fałszywie brzmiącym współczuciem, gdy składali jej nieszczerze kondolencje. Nic dziwnego, że tak łatwo przyszło jej porzucić myśl o ponownym zamążpójściu. Kto ożeniłby się z kobietą o bardzo niewielu atutach, za to poważnie zadłużoną, bez żadnej społecznej pozycji, pozbawioną zamożnej rodziny, która mogłaby udzielić jej pomocy i wsparcia?

Zaczęło w niej wzbierać uczucie rozżalenia, jednak postanowiła je zdusić. Nie, nie stanie się ofiarą ponurych myśli. Przyszłość przy-

niesie ze sobą zmianę na lepsze, coś się wydarzy; może hrabina przypomni sobie o jakiejś uroczej starszej pani, potrzebującej towarzyszkę i opiekunki. I wtedy Lucy resztę życia spędzi u jej boku w jakimś cichym kurorcie w roli pielęgniarki, postarzała przed czasem...

Och, znowu ta wstrętna melancholia! Przyspieszyła kroku; powietrze było chłodne, jej płaszcz cienki, więc szybki marsz zarówno ją rozgrzał, jak i pomógł oderwać się od przykrych myśli. Kiedy wreszcie dotarła do skromnego domu, który dzieliła z mężem, ze zdumieniem stwierdziła, że pod drzwiami leży zwinięty kawałek papieru.

Co znowu?

Podniosła go i otwierając drzwi, prześlizgiwała się wzrokiem po oficjalnie wyglądających nagłówkach.

Dobry Boże, chcą jej zabrać dom! Chyba że... nie, ma trzydzieści dni na uregulowanie długu w wysokości... tysiąca funtów!

Serce mocniej jej zabiło, a po chwili cała już dygotała ze zdenerwowania. Umysł jak sparaliżowany uczepił się słów: tysiąc funtów, tysiąc funtów!

Kim jest ten Thomas Brooks, który twierdzi, że należy mu się tak monstrualna kwota? Z pewnością nie jednym z handlarzy, którzy zjawiają się pod jej drzwiami dniem i nocą, domagając się zaległych pieniędzy.

I jakimż to sposobem zdoła spłacić ten zawrotny dług, gdy nie jest nawet w stanie zebrać pieniędzy dla dostawcy węgla czy krawca męża? Ale tu chodzi o jej dom. Już raz, w dzieciństwie, straciła ukochany dom. Ten jest wprawdzie niewielki i położony w nieciekawej okolicy, ale stanowi jej schronienie i daje poczucie bezpieczeństwa... Czowała się tak, jakby resztką życia legła w gruzach u jej stóp.

Nogi się pod nią ugięły, więc szybko weszła do środka i oparła się o drzwi. To już koniec. Nie ma wyboru... ciemność zdawała się zamykać wokół niej. Zaczęła ciężko oddychać.

W końcu, gdy mgła rozpaczy nieco opadła, wyprostowała się i wepchnęła zmięty dokument do torebki. Nie chciała... nie mogłaby rozmawiać teraz na ten temat... jeszcze nie teraz. Ruszyła w stronę kuchni.

- Wróciłam, Violet. - Jej głos drżał.

Wąski przedpokój odpowiedział jej głuchym echem; to przez brak mebli. Kiedyś na środku ściany wisiało piękne lustro, ale już dawno je sprzedała, bo potrzebowała pieniędzy na domowe potrzeby. Zresztą sprzedawała wszystko, co się dało, oprócz najbardziej wartościowych przedmiotów, które zabrali wierzyciele. Nic prawie jej nie zostało. Salon wiał pustką, nie było nawet dywanu. Lucy przeszła do kuchni, w której przed paleniskiem na stołku o trzech nogach siedziała szczupła dziewczyna w sfatygowanym uniformie pokojówki.

Dziewczyna podskoczyła.

- Och, psze pani, nie słyszałam, że pani przyszła.

- Nic nie szkodzi. - Lucy przyciągnęła do paleniska drugi stołek i skinieniem dłoni kazała Violet, jedynej służącej, która jej jeszcze pozostała, usiąść. Nie stać jej było na utrzymywanie personelu, więc już dawno pożegnała się z resztą pracowników, którzy odeszli we łzach, zaopatrzeni w jej pochwalne rekomendacje i ostatnie szylingi. Violet nie dbała o wynagrodzenie i nie chciała opuścić swojej pani.

Teraz tylko we dwie zamieszkiwały ten dom, do czasu aż i on zostanie im odebrany.

- Przyniosłam ci babeczkę. - Lucy wyciągnęła z torebki białą chusteczkę, w którą zawięła ciastko.

Violet sięgnęła po nie z ochotą.

- Nie chce pani połowy, psze pani?

- O nie, najadłam się w czasie podwieczorku - zapewniła, - jedz. Na kolację mamy tylko zupę warzywną.

Cienką i wodnistą. Lucy doskonale wiedziała, jakie pustki panują w ich spiżarni. Było tam tylko kilka ziemniaków leżących w koszu i samotny sznurek cebul zwisający z półki. A ponadto...

Zadrżała i wyciągnęła dłonie do słabego ognia. Węgiel też się już kończył. Czy zdobędzie się na to, by zwrócić się o pomoc do kuzynki Wilhelminy?

Może wcześniej hrabina znajdzie jakąś damę potrzebującą kogoś do towarzystwa...

Z zamyślenia wyrwał ją huk.

Violet krzyknęła i zasłoniła usta dłonią.

- Co to było?

Lucy już stała na nogach. Chwyciła za szczotkę i pobiegła na front domu. Drzwi wejściowe stały otworem - widocznie wchodząc, zapomniała je zaryglować.

Zganiła się w myślach za brak ostrożności. Zajrzała do salonu - pusto. Potem do jadalni. Dwóch krzepkich, pospolicie wyglądających mężczyzn taszczyło przed sobą krzesła w stylu królowej Anny należące do jej matki.

- Zostawcie je! - krzyknęła.

Mężczyzna bliżej niej zmarszczył czoło, ale nie wyglądało na to, żeby zamierzał się jej posłuchać.

- Violet, wołaj pomoc! - wrzasnęła. Uniosła szczotkę i zaczęła nią okładać rabusia po ramionach i łysiejacej głowie.

Mężczyzna parsknął wściekle, ale parł przed siebie, nie zważając na uderzenia. Miękka szczotka nie mogła wyrządzić mu znaczącej krzywdy. Nie zatrzymał się, ale ponieważ miał zajęte obydwie ręce, nie mógł powstrzymać Lucy. A ta obdzielała go razami, aż pękł trzonek.

Dlaczego w moim życiu nic nie jest tak solidne, jak być powinno, przemknęło jej przez myśl. Takie samo pytanie zadał jej sprzedawca węgla, kiedy mu oświadczyła, że nie jest w stanie uregulować jego rachunku. Rzuciła w złodzieja resztkami szczotki.

- Tam do diabła - zaklął, lecz nadal zmierzał do wyjścia.

Jak tak dalej pójdzie, na zawsze pożegna się z kompletem stołowym matki z wiśniowego drewna. A tak bardzo pragnęła go zachować, mimo coraz większej pustki w kieszeni.

Rozejrzała się za inną bronią. Jest - obrzydliwy pozłacany wazon, który kuzynka Wilhelmina przysłała jej w prezencie ślubnym. Ostał się wcale nie przez sentyment; był tak brzydki, że nawet pośledniejsi kupcy wyceniali go tylko na kilka pensów.

Porwała wazon i spuściła go na łysą czaszkę rabusia. Rozległ się trzask. Wazon rozpadł się na kilka kawałków, a mężczyzna, wyjąc z bólu i wściekłości, puścił krzesła.

Lucy wypchnęła go na korytarz. Przez chwilę był zbyt otumaniony, żeby się opierać.

Jednak drugi z rabusiów rzucił się mu na pomoc. Był nieco niższy, za to bardziej zwalisty. Odstawił krzesła i pochwycił Lucy w pół, chcąc odciągnąć ją od kumpla.

- Puszczaj mnie! - krzyknęła. - I wynocha z mojego domu!

Trzymając ją mężczyzna - miał owłosione, poznaczone żyłami ręce i zalaatywało od niego potem oraz tanim dżinem - odburknął coś, po czym pchnął ją w róg pokoju i rzucił na podłogę.

Uderzyła w nią tak mocno, aż zaparłój jej dech. Zaraz jednak oprzytomniała i stwierdziła, że rabusie, ponownie pochwyciwszy krzesła, idą z nimi do wyjścia. Usiadła i zdesperowana rozglądała się za czymś, czym mogłaby ich zatrzymać. Stało się tak, choć bez jej udziału. Zdumiona zobaczyła, że do pokoju wchodzi trzeci mężczyzna.

Jeszcze jeden złodziej? Przyszedł pomóc wynieść stół?

Potem uświadomiła sobie, że przybysz jest ubrany jak dżentelmen, w dopasowany niebieski surdut, spod którego widać było śnieżnobiałą koszulę. Przyglądał się zastanej scenie ze zmarszczonym czołem.

Nie był znajomym Lucy, co więcej, sądząc po postawie oraz odzieży, nie należał do osób, które często odwiedzają tak mało wytworne okolice Londynu jak Cheapside. Czy to on wynajął rabusiów i kazał im wykraść ostatnie sztuki jej umeblowania?

- Powinien się pan wstydzić - wyrzuciła z siebie piskliwym głosem, z trudem łapiąc oddech. Mimo to jej głos nie stracił na buńczuczności. - Równie dobrze mógłby pan kraść mleko niemowlęciu!

Mężczyzna - był wysoki i gdyby nie szerokie ramiona, można by uznać go za nieco zbyt wiotkiego - spojrzał groźnie na rabusiów, a ci na niego z wyraźnym niepokojem.

- Jest pani w błędzie, madame - rzekł. Potem utkwiał wzrok w pierwszym z mężczyzn i nieznośnie sprzeciwu tonem zapytał: - Dlaczego wynosicie dobra tej pani z jej domu?

Ten z łysiną zaszurał stopami. Cały czas trzymał w rękach krzesła, a po czole ciekła mu strużka krwi.

- Bo jest winna pieniądze. Słowo daję.

Lucy oddychała głęboko, starając się opanować.

- Jeśli chodzi o rzeźnika, to właśnie wypłaciłam mu dziesięć funtów, a jeśli to węglarz...

Mężczyzna z łysiną pokręcił głową.

- Żaden z nich. To szewc z Timmons Street od Convey i Syn.

Lucy zagryzła usta. Jeszcze jeden dług, który trzeba dodać do pozostałych?

Zdumiała się, słysząc pytanie elegancko odzianego przybysza:

- Ile?

Spojrzenia wszystkich obecnych w pokoju osób powędrowały do niego.

- Coś koło czterdziestu szylingów - odpowiedział łysiejący mężczyzna, przyglądając się pytającemu podejrzliwie.

Dżentelmen sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść monet.

- Natychmiast odstawcie krzesła - rozkazał. - Przekażcie to pracodawcy i już więcej nie naprzykrzajcie się tej damie. Czy jasno się wyrażam?

Mężczyźni przez chwilę przyglądali mu się niepewnie, ale zaraz odstawili krzesła i ten z łysiną zabrał pieniądze.

- Tylko żeby wszystko dotarło do chlebodawcy - surowo upomniał ich dżentelmen. - Bo inaczej was odnajdę i dobiorę się wam do skóry. - Zrobił kilka kroków przed siebie.

- Tak, sir - zapewnił łysiejący rabuś, cofając się. - Nie tkniemy tych pieniędzy.

- Lepiej, żeby tak było. A teraz wynoście się! - rozkazał.

Rabusie obesзли go łukiem i już po chwili rozległ się trzask zamykających się za nimi drzwi. Lucy zanotowała w myśli, że musi je później czymś zaprzec, ale na razie... Spojrzała na mężczyznę i nagle uświadomiła sobie, że nadal siedzi na gołej podłodze, na dodatek w mało eleganckiej pozycji.

Zarumieniła się i obciągnęła suknię, by zakryć kostki, którym nieznajomy przyglądał się z jawnym uznaniem. Chciała właśnie wstać, gdy mężczyzna wyciągnął do niej dłoń.



Patrzyła na nią przez chwilę i w końcu przyjęła pomoc - miał mocny uścisk.

- Kim pan jest? - zapytała trochę mało taktownie. Potem, po fakcie, dodała: - To znaczy, jestem wdzięczna za pomoc, jednakże...

- Proszę wybaczyć moje najście, i to bez zapowiedzi - rzekł. - Ponieważ jednak drzwi były otwarte i usłyszałem odgłosy bijatyki, pozwoliłem sobie wejść. Nicholas Ramsey, wicehrabia Richmond do usług. Nie sądzę, byśmy się spotkali, ale wiem, że mamy wspólnych znajomych.

Lucy zrobiła wielkie oczy.

- A tak - rzuciła. - Słyszałam o panu od hrabiny Sealey.

To jest ten sławny bawidamek? Ale dłaczego... Przyjrzała się surowej minie, kształtnej linii szczęk i stalowoszarym oczom. Rzeczywiście jest dość przystojny, w surowym stylu, ale żeby od razu miał czarować swoim wyglądem...

Wtedy się uśmiechnął.

Lucy zamrugnęła. Nagle ulotniły się wszelkie wątpliwości i już wiedziała, co miały na myśli kobiety obecne na podwieczorku.

Oczy mężczyzny zamigotały zawadiacko, a usta, które wcześniej wyglądały tak srogo, teraz rozchyliły się zmysłowo i twarz wicehrabiego nabrała prawie chłopięcego wyglądu. Lucy poczuła nagle w głowie zamęt, jakby znalazła się w środku śnieżnej zawieruchy, tracąc na moment zdolność myślenia. Mężczyzna, który przed nią stał, był wspaniały. Patrzyła na niego i czuła coraz szybsze bicie serca. Waliło tak mocno, że dopiero po chwili usłyszała, iż wicehrabia o coś ją pyta. Potrząsnęła głową, próbując zrozumieć sens słów.

- A tak, Margery - mruknął. - W takim razie może zna pani...

Lucy przypomniała sobie westchnienia i uniesione brwi kobiet. W jej myślach zaczęły przewijać się sceny, od których jej policzki zapłonęły czerwienią.

- Tak, lordzie? - zapytała słabo.

- Pani Contrain - rzucił ze wzburzeniem mający złą sławę arystokrata - rozpaczliwie pani potrzebuję.

## 2

*Kobieta potrzebuje tyle samo przyjemności, co mężczyzna  
- wdowa dwa razy więcej.*

Margery, hrabina Sealey

**P**an oszalał! - wykrzyknęła Lucy.

Co też on wygaduje, chyba źle dosłyszała? Przecież nawet jej nie zna. A już na pewno nie padł nagle ofiarą jej przeciętnego uroku. Nie, nie.

- Pan potrzebuje...

- Pani pomocy - dokończył. - I to rozpaczliwie.

Pokręciła głową, nadal zdezorientowana.

- Mojej pomocy?

Wpatrywała się ze zdumieniem w tego najmniej spodziewanego gościa. Ubrany był szykownie, choć bez przesady; dobrze skrojony niebieski surdut, lśniące pantalone na muskularnych nogach, prosty, ale elegancko przewiązany fular, nieskazitelnie czysta koszula. Buty warte tyle, ile jej półroczny zapas węgla.

Jednak na emanującą od mężczyzny nonszalancję składało się coś więcej niż tylko bogaty strój. Z ciemnych oczu wycierała inteligencja, a gdy rozchyłał w uśmiechu szerokie usta, z jego twarzy zniknął cyniczny wyraz i nagle pod maską światowca można było dostrzec wrażliwego człowieka. Spoglądał na nią teraz pewnie, jak ktoś, kto zawsze znajduje posłuch.

Czegóż taki mężczyzna może chcieć od niej?

Lucy opuściła wzrok na swoją starą suknię, potem rozejrzała się po pustym, nie licząc stołu i krzeseł, pokoju. Różnica między nią a jej gościem była oczywista. Być może powinna czuć się niezręcznie, ale przecież to nie ona wdarła się do cudzego domu. Poza tym wicehrabia Richmond przyszedł jej z pomocą.

- Dziękuję panu za to, że powstrzymał pan tych... mężczyzn przed zabraniem moich mebli- powiedziała. - Niemniej, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak mogłabym być panu pomocna.

Zobaczyła błysk w jego ciemnych oczach i uśmiech wypływający na usta.

Zamrugnęła, czując, że traci oddech. Spokojnie, upomniała się w duchu.

Lord Richmond wyciągnął dłoń, a ona, nim zdążyła pomyśleć, podała mu swoją.

Uniósł ją do ust, muskając delikatnie, a Lucy przez głowę przemknęło pytanie, co to by było za uczucie, gdyby te miękkie usta znalazły się na jej szyi, na...

Mąż nigdy nie budził w niej podobnych emocji. Może dlatego, że nie był doświadczonym uwodzicielem, jak ten stojący przed nią ciemnooki mężczyzna, o którym panie na herbatce u lady Sealey mówiły, że to znany rozpustnik i hulaka, ledwo tolerowany na salonach. Jako szanowana dama nie powinna się nawet nad takimi rzeczami zastanawiać. Jakże dziwnie działała na nią lord Richmond!

Ale chyba nie jest jego zamiarem narażanie na szwank jej reputacji? Przecież nie ma żadnych podstaw przypuszczać, że ona mogłaby... że jest...

Ze zdenerwowaniem uświadomiła sobie, że wicehrabia coś do niej mówi, więc, choć z wielkim trudem, powróciła do rzeczywistości.

- Przepraszam, proszę powtórzyć.

- Powiedziałem, że muszę przejrzeć rzeczy pani męża.

Zapominając o całym uczuciowym zamęcie, Lucy natychmiast cofnęła dłoń. Prośba wydała jej się tak zdumiewająca, że aż prawie niegrzeczna.

- Mój mąż nie żyje - oświadczyła, z trudem zachowując spokojny ton. - Czy to jakiś makabryczny żart?

Wzrok mężczyzny spoczął na jej ciemnej sukni. Zdała sobie sprawę, że pytanie było bezsensowne. Bez wątplenia hrabia wie, że ma do czynienia z wdową.

- Nie zamierzałem pani obrazić - zapewnił spokojnie. - Nie nachodziłbym pani, gdyby sprawa nie była bardzo poważna.

O dziwo prawie mu uwierzyła.

- Ale po co? - spytała.

- Przypuszczam, że pani mąż wszedł w posiadanie bardzo cennego przedmiotu, który został oddany mi pod opiekę - wyjaśnił.

Jak on śmie przychodzić do jej domu, niepokoić ją na tyle sposobów i na dodatek przez cały czas mówić tak zagadkowo? Czuła, że jej zdumienie w szybkim tempie zamienia się w gniew.

- Czy oskarża pan mojego męża o kradzież? - zapytała surowo.

- To długa i skomplikowana historia - odparł. - I większa jej część nie nadaje się dla uszu damy.

Może nie dla uszu tych rozpieszczonych i wydelikacowanych kobiet, wśród których obraca się wicehrabia. Jeśli o nią chodzi, to od śmierci męża wiele się dowiedziała o świecie, więc niech jej gość nie sądzi, że łatwo ją czymś zaskoczyć.

- Jeśli moje uszy są na to za delikatne, to zapewniam pana, że i reszta mnie jest zbyt delikatna, by pozwolić obcemu człowiekowi szperać w rzeczach męża - odparowała. Jej odpowiedź spotkała się z następnym olśniewającym uśmiechem. - Mimo całej mojej wdzięczności, jestem zmuszona prosić pana, by, ze względu na pańską wielce niestosowną propozycję, opuścił pan mój dom.

Wicehrabia pokręcił głową.

- Źle to pani przedstawiłem... - zaczął.

Przerwała mu.

- Zgadzam się - burknęła. - A teraz proszę natychmiast wyjść.

Lord Richmond przyjął odmowę z godnością, posyłając Lucy pełne powagi spojrzenie.

- Dobrze więc, skoro takie jest pani życzenie, wyjdę - stwierdził. - Niech pani zarygluje drzwi i uważa, kogo wpuszcza do domu, pani Contrain. Do zobaczenia.

Nim zdążyła zapytać, skąd u niego taka troska o zupełnie mu obcą kobietę, oraz zganić go za rozkazujący ton - bo tak właśnie brzmiał jego głos, jakby wydawał królewski edykt - wicehrabia ukłonił się i opuścił pokój.

Co miał na myśli? I dlaczego tak się o nią troszczy? Lucy westchnęła. Jak to u niej, gniew szybko ją opuścił i teraz czuła tylko znużenie i zniechęcenie. Rozejrzała się; przez nieosłonięte niczym okna do pokoju wpadał zmrok. Nagle odniosła wrażenie, że jest na widoku, odsłonięta i bezbronna, że szpiegują ją wrogie siły.

Nonsens. Jedyne, czego może się obawiać, to armii wierzących czekających na spłatę długów. I to samo jest już wystarczającym zmartwieniem. Nagle nowa myśl przemknęła jej przez głowę i sprawiła, że z przerażeniem wyrzuciła ręce w górę.

Przecież znowu się zadłużyła, tym razem u tego oburzającego wicehrabiego. Winna mu jest czterdzieści szylingów. Jak, na Boga, zdoła mu je oddać? Już prawie nic nie zostało jej do sprzedania. Zalała ją fala paniki, ale zaraz się z niej otrząsnęła. Ten nowy dług jest niczym szklanka wody dolana do oceanu. Czterdzieści szylingów mniej lub więcej nie stanowi żadnej różnicy. Odetchnęła kilka razy głęboko i wysoko uniosła głowę. Zajmie się wszystkim, ale po kolei, nie naraz.

Najpierw zarygluje drzwi i sprawdzi zamki w oknach.

W tym momencie w pokoju pojawiła się Violet.

- Chłopak od rzeźnika już leci, psze pani - wydyszała zmęczona biegiem.

- Już dobrze, poszli sobie - powiadomiła ją Lucy. - Zaraz ci wszystko opowiem, ale najpierw zarygluj kuchenne drzwi.



Następnego ranka Lucy obudziła się wraz z pierwszymi promieniami słońca, które dopiero co zdążyły otrzeć się o ciemne dachy sąsiednich domów. Spała źle, co chwila budzona przez strach i natrętne myśli o długi, który z pewnością pochłonie resztę jej własności. Tyśiąc funtów!

Co zrobi? Dokąd pójdzie? Nie miała żadnej bliskiej rodziny; wszyscy krewni już nie żyli, jedyne co jej pozostało, to zdać się na łaskę kuzynki Wilhelminy... Przykra perspektywa.

Oprócz lęków o pieniądze tej nocy znowu nawiedziły ją koszmarnie sny związane z mężem. Z całych sił starała się od nich uwolnić, by nie przeżywać powtórnie wstrząsu, którego doznała, gdy jakiś obcy człowiek zawiadomił ją o śmierci Stanleya. Jej umysł odgrywał tę scenę na okrągło, niczym złą sztukę...

Nic dziwnego, że czuła się prawie tak samo wyczerpana, jak gdy kładła się do snu. Powieki jej ciążyły, a żołądek zaciskał z głodu. Ze-szłego wieczoru prawie całą zupę oddała Violet, co nie znaczy, że służąca się nią najadła.

Westchnęła. Nie chciała się poddać, choć z każdym dniem coraz trudniej przychodziło mierzyć się ze światem.

No tak, ale leżenie i rozczulanie się w niczym nie pomogą. Usiadła i odsunęła kołdrę. Na koszulę zarzuciła szal, umyła twarz i ręce, po czym szybko przebrała się w znieawidzoną czarną suknię. Mdlilo ją już od tej czerni, ale nie miała wyboru, chyba że zacznie paradować nago. Jej garderoba zawsze była skromna, a po śmierci Stanleya, pod wpływem wstrząsu i z potrzeby, wszystkie suknie przebarbowała na czarno, nie zastanawiając się nad tym, że nie zostawia sobie na przyszłość niczego kolorowego.

Weszła Violet, akurat na czas, by zapiąć guziki z tyłu sukni i doprowadzić długie jasne włosy swojej pani do jako takiego porządku. Kiedy już była gotowa, Lucy rozsunęła cienkie bawełniane zasłony, które zawiesiła na oknach sypialni dla przyzwoitości. Cięższe kotary, wiszące tu wcześniej, sprzedała wiele miesięcy temu. Pokój oblało blade wiosenne światło. Tak sarno blade jak jej nadzieje na przyszłość; nadciągały burzowe chmury, zwiastujące deszcz.

- Grzeję owsiankę, psze pani - powiedziała Violet. - Zejdę na dół i przypilnuję, żeby się nie przypaliła.

- Proszę pani - poprawiła służącą Lucy. Pracowała nad jej wymową. - Idź - zgodziła się i Violet wybiegła. Co poczęłaby bez tej wiernej dziewczyny? Miała siedemnaście lat, ale z powodu delikatnej budowy wydawała się młodsza. Lucy nie była wiele starsza, kiedy wychodziła za Stanleya.

Myśl o mężu przywołała wspomnienie dziwnej prośby wicehrabiego. Dlaczego obcy człowiek chce przeglądać rzeczy należące do jej

męża? A może wcale nie jest obcy? Czy wicehrabia znał Stanleya? Ona nie poznała prawie nikogo z jego znajomych. Bywało, że wychodził do klubu i wracał dopiero następnego dnia późnym wieczorem, często tak zamroczony alkoholem, że padał na łóżko, nawet się nie rozbierając.

Wiedziała, że ma przed nią tajemnice, ale gdy go o nie pytała, odmawiał odpowiedzi. Na podstawie swojego niewielkiego doświadczenia sądziła, że wszyscy mężowie zachowują się podobnie jak Stanley i żonom nie pozostaje nic innego, jak to zaakceptować. Zazwyczaj traktowała ją z szacunkiem, ale bywało, że stawał się opryskliwy i zamknięty w sobie, a ona po próbach dotarcia do niego w końcu uznawała, że nie ma sensu dalej naciskać.

Czy lord Richmond też jest taki?

Z jakiegoś powodu miała nadzieję, że nie.

Zresztą, po co rozmyślać o tym aroganckim, choć przystojnym mężczyźnie, skoro zapewne nigdy więcej go nie zobaczy. To śmieszne marzyć o spotkaniu go w innych okolicznościach tylko dlatego, że pamięć nieustannie podsuwającej obraz jego mocnej szczęki, rzymskiego nosa, uroczego uśmiechu oraz ciemnych oczu... Dlaczego miałyby się zainteresować wdową, która w dodatku znalazła się na granicy bankructwa? Lucy przemierzyła krótkie schody i skierowała się do kuchni.

Po posiłku pomoże Violet w sprzątanii, a potem...

— Jakiś chłopak to przyniósł, psze pani - powiadomiła służąca, wyciągając przed siebie małą kartkę.

Lucy zajrzała do środka.

*Jestem w mieście. Zatrzymałam się w Royal Arms w pobliżu Hyde Parku. Oczekuję cię o jedenastej. Wilhelmina.*

Z jakiego powodu Wilhelmina znalazła się w mieście? Lucy próbowała zebrać myśli. Kuzynka, osoba w podeszłym wieku, z pewnością nie jest zainteresowana sezonem. Czy to możliwe, że dowiedziała się o jej trudnej sytuacji i przyjechała zaproponować pomoc?

Mało prawdopodobne.

Zazwyczaj Lucy unikała nawet rozważania pomysłu, by szukać wsparcia u swojej kuzynki. Teraz jednak, gdy ta zjawiła się w mieście, trzeba będzie sprawę poruszyć.

Westchnęła ciężko. Czekał ją długi spacer.

- Muszę wyjść - powiadomiła Violet.

Po marnym śniadaniu służąca poszła po wysłużony płaszcz swojej pani, sama zaś owinęła się starym szalem.

Lucy starannie zamknęła frontowe drzwi, dwukrotnie sprawdzając, czy są zabezpieczone, i ruszyła. Na wąskich uliczkach Cheapside panował duży ruch; mijały je furmanki i wozy handlarzy rozwożących poranne dostawy i nieco rzadziej dorożki oraz wytworne powozy. Zamachał do nich piekarz, ale Lucy pokręciła przecząco głową, chociaż zapach świeżego pieczywa powodował skurcz żołądka. Poranna rzadka owsianka wcale nie zaspokoiła jej głodu, ale bez grosza przy duszy nie miała po co zaglądać do piekarni. Trzeba będzie coś sprzedać. Tylko czy zdobędzie się na rozstanie ze stołowym kompletem od matki?

Westchnęła i zatrzymała się, żeby przepuścić mijającą ich spieszonym krokiem postawną pokojówkę z torbą zakupów przewieszoną przez ramię. Dzień był dość pogodny mimo szarego dymu, który zawsze wydobywał się z kominów i zawisał nad domami, zakrywając błękit nieba. Lucy tęsknie pomyślała o spokojnym wiejskim domku, w którym mieszkała krótko w dzieciństwie.

- Uwaga na wóz z węglem, psze pani - ostrzegła Violet.

Lucy cofnęła się o krok. Wóz przetoczył się przez skrzyżowanie, pozostawiając za sobą ciemną chmurę węglowego pyłu. Kaszląc, ruszyły dalej.

Kiedy dotarły do zajazdu, obie były zakurzone i zmęczone. Lucy zatrzymała się przy wejściu i poprawiła jasne włosy, upychając je pod kapeluszem, po czym podeszła do przysadzistego mężczyzny wyglądającego na właściciela zajazdu i zapytała o kuzynkę.

Skierował ją na drugie piętro do jednego z mniejszych pokoi. W odpowiedzi na pukanie rozległ się znajomy głos:

- Proszę wejść.

Poczuła ucisk w żołądku. Wzięła kilka głębokich oddechów, próbując ukryć przerażenie pod wymuszonym uśmiechem.

- Zaczekaj tutaj - powiedziała do Violet. Otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

Kuzynka siedziała na jego końcu ze stopami wygodnie opartymi na podnóżku. Mimo rozpalonego kominka była owinięta szalem.

Lucy zbliżyła się do niej.

- Dobrze wyglądasz, kuzynko.

Starsza kobieta gestem dłoni wskazała na proste krzesło.

- Czego nie mogę powiedzieć o tobie, Lucindo. Nie do twarzy ci w czerni, choć jak sądzę, nie masz w tej kwestii wyboru.

Lucy zirytowała nietaktowna uwaga, ale ją przemilczała.

- Co cię sprowadza do miasta? - zapytała uprzejmie.

- Pewien młynarz z North Country, który niedawno dorobił się majątku, zaoferował mi niezłą sumkę za wynajęcie domu na lato - wyjaśniła starsza pani. - Dobrze się złożyło, bo i tak straciłam gospodynię. Och, nalej sobie herbaty, jeśli masz ochotę.

Lucy podeszła do małego stoliczka. Napoju starczyło na pół filiżanki, a dzbanek z mlekiem był pusty. Nie wspomniała jednak o tym ani słowem i zaspokoiła pragnienie tym, co było, zwłaszcza że po długim spacerze wyschło jej w gardle. Z westchnieniem pomyślała o Violet, ale nie mogła teraz o nią zadbać.

- Biedna pani Jasper - powiedziała. - Nagła choroba?

- Nagła propozycja wyższej pensji - burknęła Wilhelmina. - Zona dziedzica była na tyle bezczelna, że wykradła mi gospodynię sprzed nosa. I to po dziesięciu latach służby!

Brawo, pani Jasper! - zakrzyknęła w myślach Lucy, skrywając uśmiech.

- Więc na lato przyjechałam do miasta. Do mojego powrotu we wrześniu znajdę kogoś na jej miejsce - kontynuowała kuzynka. - Pomyślałam o tobie. Stanley zostawił cię w złej sytuacji, prawda?

W jej głosie słychać było więcej zaciekawienia niż współczucia. Lucy spuściła wzrok, aby ukryć gniew.

- Tak, Stanley miał długi - potwierdziła.

Wilhelmina pokręciła głową.

- Mam nadzieję, iż się nie spodziewasz, że je spłacę?

- Ależ skąd. - Lucy wypita herbatę do końca; była jeszcze bardziej gorzka niż wcześniej. - Nawet o tym nie marzyłam.

- To dobrze - mruknęła starsza pani. - Jednakże, ponieważ znalazłaś się w trudnym położeniu, a ja będę wkrótce potrzebowała gospodyni. .. Mogłabyś opuścić swoje gospodarstwo do końca lata i...

Sytuacja była niezręczna, nawet dla Wilhelminy.

- Chcesz mnie wynająć na swoją gospodynię? - dokończyła za nią Lucy.

- To nie wypada, ale możemy sobie nawzajem pomóc, bez formalności - zaproponowała Wilhelmina. - Przypominam sobie, że kiedy u mnie mieszkałaś, zupełnie nieźle radziłaś sobie ze sprawami związanymi z zarządzaniem domem.

Jakby miała inne wyjście. I oczywiście Wilhelmina nigdy jej nie zatrudni - to by oznaczało roczną pensję. Chce mieć służącą, ale bez ustalania zapłaty. A wtedy Lucy byłaby od niej zależna i musiałaby prosić o każdy grosz na własne potrzeby.

- Podobnie jak moja matka - zauważyła cicho.

Wilhelmina podniosła wzrok i wyprostowała plecy, a jej zbyt obcisła suknia naprężyła się na ramionach. Z trzaskiem odstawiła filiżankę.

- Kiedy mieszkaliście u mnie z matką, miałam gospodynię. Chociaż to prawda, że Rowena czasami mi pomagała.

Czasami. Lucy pomyślała o swojej cichej, potulnej matce, zmuszonej do ulegania kaprysom kuzynki Wilhelminy. Jakże była szczęśliwa, gdy po wyjściu za Stanleya mogła wreszcie zabrać matkę spod despotycznych rządów kuzynki. Na zawsze pozostanie za to mężowi wdzięczna... bez względu na wszelkie jego wady. Dzięki niemu jej matka mogła ostatni rok swojego życia spędzić z Lucy w spokoju i względnym dobrobycie, bo choć nie opływały w bogactwo, to na niczym im nie zbywało, a Lucy mogła sobie pozwolić na rozpieszczanie matki, przynajmniej jeśli chodziło o drobiazgi.

Zamrugnęła, nie chcąc rozpłakać się na oczach Wilhelminy, chociaż poczuła nagle ogromną tęsknotę za matką, a także strach, że kuzynka namawiają do złamania własnego przyrzeczenia, że już nigdy nie wróci pod jej dach.

- Wezmę ze sobą służącą - powiedziała spokojnie.

- Nie. W żadnym wypadku. Nie chcę żywić dodatkowej osoby, a nie zatrudnię jej, bo nie stać mnie na pensję - zaperzyła się Wilhelmina. - Mam wystarczającą liczbę pokojówek, a tobie też z pewnością nie jest ona potrzebna. Wiesz przecież, że wiodę spokojny tryb życia.

- Każda dama ma pokojówkę - upierała się Lucy. - Ale nie o to chodzi. Violet została ze mną, kiedy wszyscy inni mnie opuścili...

- I co z tego, nie będziesz jej już dłużej potrzebowała - zauważyła Wilhelmina. - A ja nie chcę marnotrawić pieniędzy.

- Nie mogę odprawić Violet - nie poddawała się Lucy. - Trudno jej będzie znaleźć nową posadę.

- Bez dyskusji, Lucindo - oświadczyła Wilhelmina. - Skontaktuję się z tobą, kiedy będę gotowa do powrotu do Surrey. I proszę, nie zabieraj żadnego niepotrzebnego bagażu. Musiałam przywieźć ze sobą trzy kufry, więc w powozie będzie mało miejsca.

- Nie - rzuciła Lucy, nie potrafiąc dłużej hamować gniewu. Zamrugała szybko powiekami, lecz tym razem nie po to, żeby powstrzymać łzy. Oczy przysłoniła jej szkarłatna mgła wściekłości.

- Przecież nie potrzebujesz dużo garderoby. Wiesz, że ja rzadko gdzie wychodzę. A i ty z pewnością nie będziesz...

- Nie, nie pojedę z tobą. Nie będę ci usługiwała, i to za darmo. Tak jak to czyniła moja matka przez wiele lat po śmierci mojego ojca. Jej życie u ciebie to była żałobna egzystencja.

Lucy uświadomiła sobie, że stoi i piorunuje kuzynkę wzrokiem, a ta wydaje się prawdziwie zdumiona nagłym i niespodziewanym atakiem.

- Znosiła twoją małostkowość i nieuprzejmość miesiąc za miesiącem, rok za rokiem! Przysięgam sobie, że nigdy do ciebie nie wrócę; śmiać mi się chce, kiedy pomyślę, że przyszedłam tu z nadzieją, iż mile mnie przyjmiesz. Nigdy tam nie wrócę. Wolę głodować w rynsztoku, jak mi Bóg miły!

I podczas gdy kuzynka wielkimi haustami łąpała powietrze, przypominając rybę wyrzuconą na brzeg, a jej twarz stawała się purpurowa z oburzenia, Lucy obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

Violet popatrzyła na nią przerażona.

- Psze pani, co się stało?

Po drugiej stronie drzwi rozległ się huk, jakby ktoś rzucił w nie jakimś naczyniem. Lucy się wzdygnęła. Miała nadzieję, że właściciel zajazdu policzy sobie dodatkowo za szkody wyrządzone przez krewką kuzynkę.

- Wszystko w porządku - zapewniła. - Wracajmy do domu.

W drodze powrotnej czuła się tak lekko jak nigdy. Oddychała głęboko rozluźniona i spokojna. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od choroby matki, jej śmierci i wypadku Stanleya czuje się pewna siebie. Nie pójdzie w ślady matki; nie będzie taka jak ona: zawsze miła, przerażona na myśl o jakimkolwiek konflikcie z kimkolwiek. Zresztą przypuszczała, że matka wcale nie chciałaby, aby Lucy wróciła do domu kuzynki i była tam nieszczęśliwa.

Jednakże nie chciałaby też widzieć córki głodującej. Lucy nie wiedziała, jak sobie poradzi, ale mimo strachu wywoływanego wizją ziejącej przed nią pustki, przysięgła sobie, że się nie podda i nie zaprzestanie walki o przetrwanie.

Szły wolno, omijając kopczyki parujących końskich odchodów, nie mając czym zapłacić obszarpanym zamiataczom, którzy uprzążają skrzyżowania dla dam podróżujących pieszo. Kiedy wreszcie dotarły na swoją ulicę, Lucy ze zdumieniem stwierdziła, że przed drzwiami jej domu stoi lokaj odziany w fioletową liberię.

Ten z pewnością nie zjawił się po to, by w zamian za długi zabrać ostatnie sztuki moich mebli, pomyślała. Podeszła do lokaja, a on podał jej kopertę.

— Dzień dobry pani. Proszę to przekazać pani Contrain.

Nie zaprzętała sobie głowy wyjaśnianiem, że to ona jest panią Contrain; najwyraźniej nie wygląda na właścicielkę domu. Podziękowała posłańcowi i weszły do środka, starannie ryglując za sobą drzwi. Co to za list i od kogo? Lokaje w liberii raczej nie przynoszą upomnień o spłatę długów. Złamała pieczęć i otworzyła list. Przebiegła po nim wzrokiem i aż wstrzymała oddech.

- Co to jest, psze pani? Jakies złe wieści? - Violet stała na palcach, pomagając jej zdjąć płaszcz.

- Nie - zaprzeczyła głosem, w którym brzmiało zdziwienie. - To... to jest zaproszenie na kolację. Na dzisiaj wieczór do pani Morris.

Violet zdjęła szal, a na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Och, to pani znajoma, tak?

- Nie, właśnie w tym problem... Choć zdaje się, że była wczoraj na herbatce u hrabiny Sealey. Bardzo miło z jej strony, że mnie zaprasza ~ zauważyła, po czym spuściła wzrok na swoją zniszczoną suknię i westchnęła. - Ale chyba nie pójdę. Nie mam w czym.

- Och, ale psze pani, to będzie prawdziwa kolacja - przypomniawszy jej służąca tęsknym głosem. - Niech pani pomyśli o wspaniałym jedzeniu.

Czy zdobędzie się na odwagę i pojawi się na eleganckim przyjęciu w znoszonej sukni? A na dodatek prawie nie zna gospodyni. Mimo że uważała zaproszenie za bardzo uprzejmy gest, doszła ostatecznie do wniosku, że nie może go przyjąć.

- Będę musiała posłać pani Morris wiadomość o odmowie - zdecydowała. - Zostało mi jeszcze trochę dobrego papieru listowego.

Biurko do pisania już dawno sprzedała, ale miała jeszcze podręczny stoliczek, pozostałość po matce. Poszła więc na górę do swojego pokoju, usiadła w rogu na niskim krześle i zabrała się do pisania grzecznej odmowy wraz z wyrazami żalu. Ale właśnie w chwili, gdy zanurzała pióro w kałamarzu, doszedł ją z dołu przytłumiony odgłos pukania do drzwi.

Co znowu? Odłożyła papier i pióro i podeszła do okna. Przy wejściu znowu stał lokaj.

Może lady Morris chce wycofać swe nieprzemyślane zaproszenie, pomyślała, ale zaraz pokręciła przecząco głową. Nie, to niedorzeczność, a poza tym liberia tego lokaja nie jest fioletowa jak poprzedniego, lecz szkarłatna.

Słyszała, że Violet odsuwa rygiel, a potem doszedł ją szmer rozmowy i trzask zamykanych drzwi. Nie mogąc oprzeć się ciekawości, poszła na szczyt wąskich schodów. Służąca właśnie się po nich wspinała, taszcząc przed sobą wielkie pudło.

- Przesyłka dla pani, psze pani - powiedziała podekscytowana.

Lucy zawróciła do sypialni i kazała położyć pudło na starannie zaściętym łóżku. Kiedy pociągnęła za sznurek i podniosła wieko, obie ze służącą głośno sapnęły.

- Och! - zakrzyknęła Violet. - Psze pani, jakie to piękne.

Lucy wyciągnęła rękę, żeby dotknąć wylewającego się z pudła miękkiego, połyskującego jedwabiu.

- Och! - jęknęła cicho. - Ale kto...?

Uniosła mieniącą się niebieską suknię, pod którą leżała następna, jeszcze bardziej wytworna: blad różowa, wykończona koronkami. Pod nią była trzecia: przeznaczona na przedpołudnie, w kolorze delikatnej żółci.

Ze zdumieniem, które odebrało jej mowę, Lucy wpatrywała się w leżące przed nią suknie, podziwiając ich wspaniały krój. Ale kto je przysłał? Czy to jakaś pomyłka? Może posłaniec pomylił adresy?

W końcu dostrzegła liścik, który przy rozpakowywaniu zsunął się na bok. Podniosła go i odczytała na głos:

- „Moja droga, te suknie, wyznają ze smutkiem, stały się dla mnie za ciasne. Obawiam się, że wiek oraz nadmiar słodczy spowodowały, że mam teraz pełniejszą figurę. Pomyślałam, że zrobisz mi tę uprzejmość i je wykorzystasz”. I podpis: „Margery Sealey”.

- Och, psze pani - zapięła Violet. - To jak prezenty na Boże Narodzenie.

Lepiej, pomyślała Lucy. Ostatnie święta były smutne i biedne. A takiego prezentu jak ta przesyłka od hrabiny Lucy nie dostała na żadną Gwiazdkę, nawet w czasach spokojnego, lecz ubogiego dzieciństwa.

To ogromna uprzejmość ze strony hrabiny, że zechciała ją tak wspomóc. Czy zaproszenie na kolację to także jej pomysł? Lucy poczuła, że ma oczy pełne łez. Musiała kilkakrotnie zamrużyć powiekami, żeby je powstrzymać. Tak długo zmagająca się z kłopotami i tylu rzeczy musiała się wyrzec, że ta niespodziewana uprzejmość bardzo ją wzruszyła. Z jej oczu popłynęły łzy. I to znacznie szybciej, niż mogły to spowodować czyjeś ostre słowo lub groźba kogoś z wierzylieli.

- Niechje pani przymierzy - ponaglała Violet.

Lucy sięgnęła po różową wieczorową kreację, zachwycona jej powiewnością i miękkością materiału. Był w najlepszym gatunku, podobnie jak wyglądające na drogie misterne koronki; falbanki na rąbku były przyozdobione jedwabnymi różyczkami. Przyłożyła suknię do siebie, a Violet rozprostowała ją strzepnięciem i fachowym okiem sprawdziła, jak się układa na figurze pani.

- Kilka poprawek tu i tam i będzie w sam raz, psze pani.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Violet - rzuciła radośnie Lucy. Na myśl, że przytrafia jej się taka gratka, ogarnęło ją nagłe podniecenie. Móc po tak długim czasie ubrać się w coś innego niż jej ponure suknie. W ogóle mieć coś do ubrania!

- Chyba jednak pójdę na to przyjęcie — oświadczyła.

Reszta dnia minęła im na radosnych przygotowaniach. Wspólnie z Violet przeszywały, poprawiały, dopasowywały suknie do figury Lucy. Na dnie szary znalazła odpowiednie do okazji pantofle, z nieco zdartymi podeszwami, ale przecież nikt tego nie zauważy, no i miała skromne perłowe kolczyki od matki oraz babciny delikatny złoty wisiołek do upiękшення dekolty; jej ostatnie sztuki biżuterii. Miała tylko jeden płaszcz, stary i wytarty, ale zostawi go przy drzwiach, więc nikt oprócz służby raczej go nie zobaczy.

Idzie na przyjęcie! Cieszyła się jak podłotek. Już dawno tak się nie czuła. W czasie trwania małżeństwa, a także po śmierci męża musiała zachowywać się odpowiedzialnie i poważnie, ale teraz - teraz wybiera się na przyjęcie. Po długiej żałobie nawet zwykła kolacja wydawała się największą galą.

Kiedy suknie zostały poprawione, ku zadowoleniu obu kobiet, Lucy pomogła Violet przynieść gorącą wodę - zwyczajowe zasady między panią a jej służącą uległy zatarciu z powodu różnych kolei losu w życiu Lucy - wykapała się i przebrała. Najpierw wciągnęła znoszoną bieliznę, a potem elegancką suknię, której miękki dotyk był jak pieśczoła.

Następnie Violet ułożyła jej włosy i w końcu Lucy mogła się przejrzeć w ostatnim, jakie jej pozostało, lusterku wiszącym na ścianie sypialni.

- Wygląda pani prześlicznie, psze pani - zachwycała się służąca. - Mam nadzieję, że będzie się pani wspaniale bawiła.

- Dziękuję, Violet - odparła. I pomimo tego, że na przyjęciu oprócz gospodyni będą prawdopodobnie sami obcy, pomyślała, że życzenie służącej może się nawet spełnić. Wieczór jawił się jej jak przyszłość kryjąca w sobie nieskończone możliwości.

Czekają wprawdzie długa przechadzka, ponieważ nie stać jej na dorózkę, a własnego powozu nie posiada, ale za to pójdzie z nią Violet, która ochoczo zaoferowała swoje towarzystwo. Już nawet owijała się szalem.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi frontowych.

- Któż to znowu? - mruknęła Lucy. Skinęła na służącą, a ta, podtrzymując szal, pobiegła do drzwi. Lucy czekała w jadalni, denerwując się z powodu wizyty nie w porę. Chodząc tam i z powrotem, myślała z obawą, czy nie okaże się zaraz, że jej nadzieja na zabawę się nie ziści. Powróciła Violet z zaskakującą wiadomością.

- Hrabina Sealey czeka na panią w swoim powozie, psze pani - powiadomiła z promiennym uśmiechem.

- Co? - Lucy stanęła jak wryta, nie wierząc własnym uszom.

- Powiedziała, że wybiera się na to samo przyjęcie i uraduje ją pani towarzystwo. Poza tym miała po drodze.

Pierwsze zdanie mogło być prawdą, przynajmniej Lucy taką miała nadzieję. Natomiast drugie... hrabina podróżująca po ubogiej części Cheapside? Nie, niemożliwe. A jednak pierwsze wrażenie dotyczące hrabiny było trafne: ta kobieta rzeczywiście jest aniołem.

- Niech pani idzie, psze pani - szepnęła Violet. - Woźnica czeka, żeby pomóc pani wsiąść.

Tak więc, upomniawszy wcześniej służącą, aby porządnie zarygłowała drzwi, Lucy opuściła dom i wspomagana ramieniem stangreta wsiadła do eleganckiego powozu.

- Lucy, kochanie, wyglądasz czarująco - przywitała ją lady Sealey. - Tak się cieszę, że przyjąłeś zaproszenie.

Lucy się zarumieniła.

- Droga pani, jest pani zbyt dobra - zaczęła. - Nie wiem, jak mam dziękować...



Ale starsza dama machnęła lekceważąco ręką.

- Wyrazy wdzięczności to taka nuda, nie sądzisz? - Uśmiechnęła się, by ocieplić nieco własne słowa. - Porozmawiajmy o czymś bardziej interesującym. Właśnie doszły mnie plotki o najnowszej kochance księcia Argyll. Mówią, że dziewczyna ma niewiele ponad osiemnaście lat, a on mógłby być jej dziadkiem.

Może jednak anioł to nie najlepsze określenie dla hrabiny, co jednak nie umniejszało wdzięczności, jaką Lucy odczuwała dla swojej dobrodziejki. Wdzięczności nie tylko za prezent w postaci pięknych sukni, ale także za jej obecność w tej chwili. Lucy cieszyła się, że ma ją u boku, ponieważ czuła się ogromnie zdenerwowana przed pierwszym od roku towarzyskim wystąpieniem. Jeszcze zanim wyszła za męża, nie miała zbyt wielu okazji do uczestnictwa w życiu towarzyskim ze względu na skromną sytuację materialną. Natomiast po ślubie większość dni spędzała samotnie; tylko od czasu do czasu urozmaicała je sobie pogaduszkami z sąsiadami spotykanymi w miejscowych sklepikach. Z mężem wychodziła bardzo rzadko, bo rzadko ich gdzieś zapraszano.

Dopiero żona pastora, która zjawiła się u niej kilka miesięcy po śmierci Stanleya, zastając ją samotną i spłakaną, dała jej list polecający do lady Sealey, namawiając, żeby skontaktowała się z hrabiną. Ale nawet herbatki u hrabiny nie przygotowały jej na obecne wydarzenie.

Tak więc, gdy powóz zajechał pod imponującą rezydencję, Lucy szeroko otworzyła oczy. Wysokie okna jarzyły się światłami, na podjeździe tłoczyły się powozy. Przeczucie jej nie myliło; to nie będzie jedno z tych skromnych przyjęć, w których uczestniczyła jako mężatka. Tym razem, już jako samotna wdowa, wkracza w nowy świat.

Zerknęła w stronę hrabiny, a ta przesłała jej zachęcający uśmiech. No, niezupełnie samotna, a poza tym przypomniała sobie, że ma na sobie piękną suknię, i poczuła się pewniejsza, a nawet podekscytowana. Może jednak bajki, których wysłuchiwała na kolanach u matki, nie są tylko bajkami.

Nie żeby oczekiwała, iż spotka tu swojego księcia, jednak już sama możliwość znalezienia się w tak czarownym miejscu, wśród elegan-

cko ubranych ludzi bawiących się przy dźwiękach pięknej muzyki, spływającej do niej teraz po szerokich schodach, które widziała przez otwarte drzwi... Lucy czuła, że jej serce bije jak oszalałe.

Podtrzymywana przez pomocne ramię stangreta wysiadła za hrabiną z powozu, a następnie poszła za nią do wejścia. Lady Sealey wkroczyła do holu i podczas gdy zajmowała się nią służba - lokaj odebrał od niej jej śliczną pelerynkę w jodełkę, pokojówka poprawiła zakładki atłasowej sukni, a kamerdyner, kłaniając się, podał jej ramię i wprowadził na szerokie schody - Lucy miała chwilę na zebranie myśli.

Odczuwała lekki niepokój, ale także podniecenie i ciekawość. Rozejrzała się. Hol oblewało migotliwe światło, draperie na ścianach miały najmodniejszy wzór, a na stoliku w rogu stał wazon z piękną kompozycją z cieplarnianych kwiatów. Nozdrza drażniły smakowite zapachy dochodzące z wnętrza domu, z rejonu kuchni, gdzie szykowano poczęstunek. .. prawdziwy obiad... Ślina napłynęła jej do ust, więc ją przełknęła. Najpierw musi pójść do gości, uważając, żeby nie skompromitować się przy rozmowie; czas na rozkosz dla podniebienia przyjdzie później.

Hrabina prowadzona przez kamerdynera weszła na schody, a do Lucy podszedł lokaj, prosząc o jej płaszcz. Z ulgą pozbyła się sfatygowanego wierzchniego okrycia, natychmiast czując przypływ pewności siebie. Ciesząc się cichym szelestem sukni, z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową, szła wolno do salonu wypełnionego gośćmi.

Kiedy jednak stanęła w drzwiach, odwaga ją opuściła i nogi się pod nią ugięły. Tak słabo zna ten elegancki świat. A co, jeśli nie będzie miała nic do powiedzenia, jeśli zapomni tytuły osób, które tu dzisiaj pozna? Jeśli...

Stojąc w przejściu pod wysokim sklepieniem, słuchała, jak lokaj anonduje jej przybycie. Przez chwilę nie mogła na niczym skupić wzroku, potem jednak śmiało popatrzyła przed siebie. Widząc spory tłum gości, pomyślała, że przyjęcie nie jest tylko zwykłą kolacją.

Zobaczyła, że stojąca blisko wejścia, niewiele od niej młodsza dama odwraca się w jej stronę. Rozpoznała w niej kobietę, z którą gawędziła na podwieczorku u hrabiny Sealey.

- Pani Contrain, mogę zwracać się do pani Lucy? Proszę mówić do mnie Giną. Tak się cieszę, że przyszedłaś.

- Oczywiście, ja... to miłe, że mnie zaprosiłaś- zająknęła się Lucy, wykonując lekki ukłon.

- Ależ nie ma o czym mówić. - Uśmiech pani Morris wydawał się szczery. Ona także dygnęła. - Wystarczająco długo pozostawałaś w odosobnieniu. Pamiętam, jak nasza droga hrabina i mnie ponaglała, bym wyszła z ukrycia i, jak to ujęła, wróciła do świata żywych. To ogromny cios stracić ukochanego męża, a rany długo się goją. Ale życie toczy się dalej i dlatego cieszę się, że miałaś odwagę dzisiaj do nas dołączyć.

Lucy zagryzła usta, po czym zmusiła się, by posłać gospodyni uprzejmy uśmiech.

- Bardzo się cieszę, że tak dobrze rozumiesz moje trudne położenie.

- Jeśli my, wdowy, nie będziemy się wspierały, pozostanie nam tylko smutek i żal - stwierdziła pani Morris. - Przedstawię cię moim znajomym; domyślam się, że nie zdążyłaś jeszcze wyrobić sobie w Londynie rozległych znajomości.

Lucy skinęła głową na potwierdzenie. Rzeczywiście tak było, choć miała nadzieję, że nie będzie się musiała tłumaczyć. Nie rozumiała, dlaczego Stanley nie chciał jej nigdzie zabierać; zazwyczaj wymawiał się tym, że na przyjęciu będą sami mężczyźni, a to, jak twierdził, niezbyt stosowne towarzystwo dla kobiety.

Więc zostawała w domu sama z książką lub robótką w ręku, choć wiedziała, że inne małżeństwa nie tak spędzają czas.

- Jest tu kilkoro moich przyjaciół, których bardzo chcę ci przedstawić. Jestem pewna, że przypadną ci do gustu... - zaczęła pani Morris, ale przerwał jej lokaj zapowiadający przybycie następnych gości.

Gospodyni odwróciła się do wejścia, żeby ich przywitać, więc Lucy, pozostawiona samej sobie, postanowiła wmieszać się w tłum. Ze zdenerwowania miała ściśnięty żołądek i przyspieszony oddech.

Stał przed nią lokaj ze srebrną tacą, proponując kieliszek wina. Przyjęła poczęstunek; popijając sherry, przyglądała się otoczeniu.

Przekonała się, że wbrew temu, jak jej się na początku wydało, gości nie jest wcale tak dużo. Po salonie krążyło około dwunastu osób. Sporo z nich otoczyło hrabinę, która usadowiła się w odległym kącie salonu. Przyciągnęły je do niej jej żywy temperament i poczucie humoru. Lucy przez chwilę rozważała, czyby także do niej nie dołączyć, jednak uznała, że oznaczałoby to tchórzostwo.

Rozejrzała się. Nieopodal stały dwie kobiety; jedna z nich, krągła brunetka o wesołych orzechowych oczach i sympatycznym uśmiechu, od czasu do czasu na nią zerkała. To dodało Lucy odwagi, więc ruszyła w jej stronę.

- Pani Morris przyrzekła, że przedstawi nas swojej nowej znajomej, ale widzę, że nadal wita spóźnionych gości - zaczęła brunetka. - Nazywam się Julia Blythe. Mój mąż, jak zazwyczaj, utknął wrogu salonu z innymi panami. Pewnie teraz chwali się nowymi psami myśliwskimi i rozprawia o polowaniach i zwierzyńcu, którą ustrzelił. No i oczywiście mówią o koniach.

Lucy mimo zdenerwowania roześmiała się, a potem ukłoniła.

- Dobry wieczór. Nazywam się Lucy Contrain.

- Miło mi - odpowiedziała brunetka, oddając ukłon. - Czy jeździ pani konno, pani Contrain?

- Och nie, obawiam się, że miałam ograniczony kontakt z tymi zwierzętami - wyznała Lucy.

- To się wspaniale składa. - Melodyjny śmiech Julii przeszył powietrze. - Dzięki temu nie zauważy pani, jaką jestem ignorantką w tej materii. Zdaje się, że w dzieciństwie za często spadałam z kucyka i pewnie dlatego teraz tak bardzo się boję tych olbrzymich bestii.

- Mam niewielkie doświadczenie jeździeckie, więc rozumiem pani uczucia - odparła Lucy, milknąc, bo obok niej zatrzymała się nowo przybyła para. Kobieta była urodziwa, o kasztanowych włosach; mężczyzna postawny, z wesołym uśmiechem na twarzy.

- Pani Blythe, jak miło znowu panią widzieć - odezwała się nieznajoma. - A także pani przyjaciółkę.

Julia Blythe przedstawiła sobie panie.

- Pani Contrain, pan William Tennett z żoną. Chyba dopiero co zjawiliście się w mieście?

- Contrain? - Kobieta popatrzyła na Lucy z trudnym do odczytania wyrazem twarzy. - Pani Stanleyowa Contrain?

- Tak - potwierdziła Lucy. - Czy znała pani mojego męża?

Przez chwilę panowała cisza, potem pani Tennett pokręciła głową, a zmarszczki na jej czole się wygładziły.

- Nie, nie, chyba pomyliłam osoby. Chodziło mi o Contrainą, którego poznałam w zeszłym tygodniu na bardzo nudnym przyjęciu...

- To nie mógł być mój mąż — zgodziła się Lucy.

- Do tego właśnie prowadzi zbyt długie przesiadywanie na wsi. - Pani Tennett rozłożyła wachlarz. - Doprawdy nie da się opowiedzieć, jak wiejskie życie potrafi być nużące. Nie ma się z kim spotykać, nie licząc jakiegoś tuzina rodzin, które na dodatek prawie nigdy nie wytykają nosa ze swoich hrabstw; mają takie prowincjonalne gusty. Nasza gospodyni nie mogła nigdzie dostać porządnego homara, a tamtejsza krawcowa nie ma pojęcia o najnowszej modzie...

- Och, roznoszą wino - przerwał jej mąż. Ukłonił się paniom i oddalił za służącym niosącym srebrną tacę.

Pani Tennett, nieprzejęta jego odejściem, kontynuowała:

- Cóż za piękna suknia, pani Blythe. Imponujące falbany. Ale pochwałę się, że ja też, jak tylko krawcowa skończy pracę, będę miała nową garderobę. W końcu sezon niebawem się rozpocznie. Pani kreacja także jest urocza, kochanie - zwróciła się do Lucy. - Przypomina mi suknię, którą w zeszłym sezonie nosiła hrabina Sealey.

Lucy zamrugała. Poczuciła się tak, jakby ktoś chlusnął jej kubelkiem zimnej wody w twarz. Opanowała się jednak.

- Tak, hrabina była na tyle uprzejma, że przedstawiła mnie swojej krawcowej, której kunszt zawsze podziwiałam - odparła bardzo spokojnie.

- Oczywiście - zgodziła się pani Tennett. - Też muszę się do niej udać, kiedy tylko William przestanie narzekać na rachunki za moją garderobę. Marion, powiada, nawet księżę nie wydaje na stroje tyle,

co ty. - Zachichotała. - Oczywiście, że nie. W żyłach księcia może i płynie królewska krew, ale jest mężczyzną, czyż nie? Ale niech pani powie, pani... Contrain, jak się nazywa ta wspaniała krawcowa?

Złapana we własne sidła, pomyślała Lucy, ale na szczęście z ratunkiem przysłała jej Julia Blythe.

- Wszyscy znają madame de Quincy! - zakrzyknęła pani Blythe, po czym dodała: - Niestety, cieszy się taką popularnością, że obawiam się, iż najpierw trzeba się do niej zapisać. Ale naturalnie może pani wysłać jej liścik, powiadamiając o swoim zainteresowaniu.

- Ach cóż, nie mam pani figury, Julio, ani eleganckiej postawy jak pani Morris - pani Tennett westchnęła. - Chyba jednak zostaną przy swojej krawcowej; przynajmniej wie, jak zatuszować mój zbyt niski wzrost.

Kobiety kontynuowały rozmowę w podobnym stylu, dzięki czemu Lucy mogła się nieco rozluźnić. Jeśli tylko znowu nie wpadnie w nową odzieżową pułapkę, wieczór może okazać się udany. Spostrzegła, że stojąca w drugim rogu salonu gospodyni rozprawia o czymś z lokajem.

- Dlaczego obiad się opóźnia? - zastanawiała się na głos i bez cienia zażenowania Marion, śledząc wzrokiem spojrzenie Lucy. - Ciekawe, czy to z powodu jakiegoś ważnego gościa, który się jeszcze nie zjawił?

Nie czekając na odpowiedź, powróciła do opisywania kroków, jakie podejmie, by odświeżyć swoją garderobę. Lucy pozwoliła sobie na chwilę zamyślenia. Przestronny salon o brzoskwińowych draperiach, rozświetlony kryształowymi żyrandolami, szmer rozmów przerywanych wybuchami śmiechu - to wszystko było jak budzenie się z długiego koszmarnego snu. Wiedziała, że ten wieczór to tylko szczęśliwe zrządnienie losu. Mając tak skromną garderobę, nie może planować następnych podobnych rozrywek; po wyjściu stąd czekają na nią bieda i rzeczywistość naznaczona długami. Tym bardziej chciała się cieszyć i napawać wspaniałością chwili.

Usłyszała, że pani Tennett nagle zamilkła, więc podniosła wzrok i widząc wyraz twarzy innych kobiet, poznała, że ktoś się do nich

zbliża. Natychmiast, zanim się jeszcze odwróciła, wyczuła, kto za nią stoi.

- Dobry wieczór paniom - rozległ się niski głos.

Lucy czuła się podekscytowana, jednak zachowała spokój. Odwróciła się powoli i natknęła na znajome spojrzenie, w którym pobłyskiwały zawadiackie ogniki; ciemne oczy zdawały się przemawiać tylko do niej, jakby była jedyną kobietą w pokoju.

Przed Lucy stał Nicholas Ramsey, wicehrabia Richmond.

### 3

*Codziennie pozwól sobie na małą przyjemność.*

Margery, hrabina Sealey

**W**icehrabia był bardzo elegancki; czarny wieczorowy surdut i śnieżnobiała koszula odcinały się od jego oliwkowej skóry, głębokich, ciemnych oczu i ciemnych włosów. Na twarzy miał lekko cyniczny grymas, ale gdyby ktoś umiał czytać mu w oczach, pomyślała Lucy, wiedziałby, że za maską obojętności kryje się o wiele, wiele więcej.

Nagle uświadomiła sobie, że zapewne nie jest jedyną kobietą w salonie, która uważa, iż błysk aroganckich oczu jest przeznaczony właśnie dla niej. Z pewnością tak samo tłumaczyła sobie spojrzenie wicehrabiego każda z towarzyszących jej pań. Pani Blythe, mimo wesołości, zdawała się być nieco skrępowana, a pani Tennett była wyraźnie speszona.

Wicehrabia pokłonił się im szarmancko.

- Jakimż jestem szczęściarzem - rzekł z uśmiechem. - Najpiękniejsze panie zebrane w jednym miejscu.

Pani Tennett zachichotała i wyciągnęła przed siebie dłoń.

- To bardzo pochlebne spostrzeżenie - rzuciła zalotnie. - Naprawdę szkoda, wicehrabio, że tak rzadko się widzujemy. Wszyscy je-

steśmy szczęśliwi, zwłaszcza ja, widząc, że zaszczycił pan swoją obecnością to skromne spotkanie u pani Morris.

- Jakże mógłbym oprzeć się takiej pokusie? - odparł Ramsey. Pani Tennett znowu zachichotała, po czym z wyraźną niechęcią puściła jego dłoń. - Och, zdaje się, że jesteśmy wzywani na obiad.

Rzeczywiście kamerdyner zapraszał do stołu i goście zaczęli łączyć się w pary.

-- Nieładnie tak się spóźnić - rzuciła jeszcze do wicehrabiego pani Tennett, celując w niego wachlarzem. - To przez pana tak długo odwlekano posiłek. - Wymianę zdań przerwał jej mąż, który zjawił się, aby zaprowadzić ją do jadalni, więc poszła za nim, choć z ociąganiem.

Julia Blythe uśmiechnęła się i także umknęła do męża. Lucy przez chwilę poczuła się straszliwie osamotniona. Tak właśnie już teraz będzie; musi pojawić się w jadalni bez eskorty. Nagle zapragnęła powrócić do pustego domu, skryć się w kuchni i tam, w jej bezpiecznym zaciszu, dzielić się ze służącą przepisami na potrawy, których nie ugotują, bo ich na to nie stać. Skarciła się w myśli. Nie będzie tchórzyła. Jeśli ma stawić czoło samotnemu życiu, uczyni to z całą odwagą, na jaką ją stać.

Odstawiła na pół opróżniony kieliszek na pobliski stolik i skierowała w stronę dwuskrzydłowych drzwi. Dopiero wtedy zauważyła, że lord Richmond nadal przy niej stoi i oferuje jej swoje ramię.

- Czy wolno mi odprowadzić panią do jadalni?

Proste pytanie zdawało się zawierać w sobie całą gamę aluzji. Jak on to robi, że jej puls przyspiesza na każde jego słowo? Położyła dłoń w zgięciu ramienia wicehrabiego. Przez delikatną materię sukni mogła poczuć, jak mocno jest umięśnione. Znowu zalała ją fala silnych emocji, za które zaraz się zganiła. Postanowiła, że więcej nie pozwoli, aby ten osławiony bawidamek tak na *nią* działał.

- Powinien pan towarzyszyć hrabinie - rzekła, próbując wycofać dłoń, ale lord przykrył ją swoją dłonią.

- Ależ skąd. Widzę, że dołączył do niej lord Whitman, jej stary dobry znajomy. - W jego głosie zabrzmiały zarówno czułość, jak

i rozbawienie. Lucy spojrzała w głąb salonu i zobaczyła, że hrabina trzyma pod ramię starszego mężczyznę; na jego twarzy malowało się uwielbienie dla towarzyski.

- W takim razie innej ważnej damie... - upierała się, ale Ramsey nadal kręcił głową.

- Żadna nie ma większych praw do mojego towarzystwa niż pani, pani Contrain.

To, co mówił, było absurdalne - zdawała sobie z tego sprawę - jednak jego nonszalancja, emanująca od niego męska siła sprawiały, że czuła się tak bezwolna jak liść na wietrze. Nawet gorzej, bo jakaś część w niej pragnęła dać się porwać jego ciemnym oczom.

Zagryzła usta, przypominając sobie arogancję, jaką przejawiał przy ostatniej rozmowie, jego zagadkowe pytania oraz szokujące żądanie przeszukania rzeczy należących do jej męża. Nie może zapomnieć o swoim całkowicie usprawiedliwionym oburzeniu. Poza tym, ten mężczyzna to znany rozpustnik, więc nie należy mu ufać. Pamiętała plotki zasłyszane na podwieczorku... Podobnie słodkie rzeczy mówi zapewne wszystkim kobietom.

- Nie wszystkim - mruknął, na co Lucy spojrzała na niego zdumiona. Przecież nie wypowiedziała na głos ani słowa.

- Myśli pani, że mówię to samo wszystkim kobietom - wyjaśnił.

Starła się ukryć rozgoryczenie. Niestety, taka jest prawda, że wyraz twarzy często zdradza jej myśli. Musi pamiętać, żeby lepiej się maskować.

- Czyżby? - odparła. - Z pewnością nie mogłabym nawet w myśli być tak nietaktowna. - Położyła nieznaczny nacisk na słowo nietaktowna, ale wicehrabia wcale się nie przejął tym subtelnym nawiązaniem do jego niewłaściwego zachowania u niej w domu.

- Och, nie - zaprzeczył. - Nie nietaktowna, ale, jaksądzę, ostrożna. Jednak zapewniam, że nie obrzucam komplementami wszystkich kobiet, ale tylko te, z którymi pragnę zawrzeć bliższą znajomość.

Coraz gorzej. Nim zdążyła zareagować na niestosowną sugestię, znaleźli się w jadalni i wicehrabia puścił jej dłoń. Tutaj zostali roz-

dzieleni; to jasne, że szczęśliwy traf nie mógł trwać wiecznie i nie będzie go miała u swojego boku przy obiedzie.

Poskromiła uczucie żalu, patrząc, jak zajmuje swoje miejsce. To nawet i dobrze; lord Richmond jest niebezpieczny i nie należy spodziewać się po nim niczego dobrego. Powinna być wdzięczna losowi, że oszczędził jej towarzystwa tego bawidamka.

A jednak od tej chwili już nikt nie wydawał jej się tak błyskotliwy jak on. Tym bardziej że po jej prawej ręce zasiadł starszy mężczyzna, z którym zamieniła zaledwie kilka słów, a po lewej - młodzieniaszek, którego rumiana twarz prawie zupełnie tonęła w wysokim wykrochmalonym kołnierzu koszuli. Zresztą sąsiad i tak całą uwagę skupił na pogawędce z Julią Blythe, siedzącą u jego drugiego boku.

Tymczasem przy Lucy stanął lokaj z wazą przepysznej zupy żółtowej, a zaraz potem pojawiły się: nadziewana fladra, grzyby w delikatnym sosie, wołowina w plastrach, pieczone kurczę w rozmarynie i mięciutka jagnięcina, nie wspominając o całej gamie przystawek.

Przysłuchując się rozmowie prowadzonej przy stole, delectowała się każdym kęsem aromatycznych, mocno przyprawionych ziołami potraw; dobrą kuchnię zaczęła doceniać dopiero, gdy zrobiła się tak biedna, że nie było jej stać na jedzenie, choć i wcześniej nie miała kucharki z prawdziwego zdarzenia.

Poza konsumpcją przez cały czas, niemal bezwiednie, słuchała głębokiego głosu wicehrabiego, którego wypowiedziom prawie nieustannie towarzyszyły wybuchy śmiechu nie tylko kobiet, ale nawet i mężczyzn. Bo panowie także zdawali się być nim oczarowani.

- Ostatni wyścig, Richmond, to była finezja - mówił właśnie któryś. - Byłem pewny, że mój deresz prześcignie twojego siwka, ale zdaje się, że rzuciłeś na tego mojego biedaka urok; w ostatniej gonitwie zgubił podkowę. Trzeba przyznać, że twój wierzchowiec nie miał sobie równych.

- Zwykły pech, Mack - zapewnił wicehrabia. Uśmiechnął się. - Gdybym rzeczywiście posiadał magiczną moc, oszczędzałbym ją na inne okazje.

Na te słowa panowie parsknęli śmiechem, a panie zachichotały, zarazem się rumieniając. Wszyscy zdawali się wiedzieć, na jakich to okazjach najbardziej zależy lordowi.

Lucy przysłuchiwała się rozmowie wbrew sobie, nadal jednak rozkoszując się coraz to innymi potrawami, które pojawiały się na stole. Na koniec, po kilku kęsach ciasta nasączonego sherry i kęsie piernika udekorowanego prawdziwymi kwiatami, poczuła, że musi podziękować lokajowi podsuwającemu jej tacę z serami. Po chwili jednak zmieniła zdanie i sięgnęła po jeden duży kawałek. Korzystając z faktu, że wszyscy wsłuchują się w opowieści wicehrabiego, niezmiennie wywołujące salwy śmiechu, wsunęła ser do torebki, gdzie schowała już wcześniej poczynione zapasy. Nie zapomniała o Violet.

Nadszedł czas opuszczenia jadalni. Czuła się jak utuczona gęś; uczucie równie przyjemne, co mało jej znane. Jaka to odmiana taki posiłek po warzywnej zupie, którą jadła poprzedniego dnia.

- Podziel się z nami swoimi wesołymi myślami - zaczęła ją Julia Blythe, dostrzegając na twarzy Lucy błogi uśmiech. - Wyglądasz na taką rozbawioną.

- Myślę o umiejętnościach tutejszej kucharki - wyznała. - Posiłek był wyśmienity.

Pani Morris wydała się zadowolona z pochwały.

- Tak się cieszę, że ci smakowało, moja droga.

- Tak jak i mnie - wtrąciła się pani Tennett. - Zwłaszcza ten sos grzybowy i wołowina. Chciałabym dostać na nie przepis. Czy był tam rozmaryn i tymianek?

Pani Morris roześmiała się głośno.

- Mogę tylko zgadywać. Moja kucharka bardzo niechętnie dzieli się ze mną swoimi sekretami.

- To tak jak mój kucharz! - zawołała Julia Blythe.

Rozmowa potoczyła się dalej w tym kierunku; panie wymieniały się przepisami i narzekały na to, jak trudno znaleźć dobrych kucharzy. Wkrótce otwarto drzwi do salonu i do pań dołączyli panowie.

Wszystkie kobiety zdawały się zerkać w stronę lorda Richmonda. Poza Lucy, bo ta świadomie starała się na niego nie patrzeć; nie chciała okazywać zainteresowania, którego... naprawdę... nie czuła. Poza tym nie chciała się upodobniać do pani Tennett, która gapiła się na lorda bez cienia zażenowania, niczym zgłodniały kot na mysz.

Zamiast jemu, Lucy przyglądała się reszcie gości. Z radością spostrzegła, że jeden z panów o bardzo sympatycznym uśmiechu podszedł do pani Morris i usiadł koło niej. Ta od razu cała się spłoniła. Niezaprzeczalnie odwzajemniała zainteresowanie mężczyzny. Jak to miło, że przynajmniej życie jednej wdowy staje się bardziej kolorowe, pomyślała z rozrzewnieniem.

Tymczasem, jakby w odpowiedzi na swoje rozważania, spostrzegła wicehrabiego, który zmierzał w jej kierunku. Udało mu się, zapewne dzięki latom praktyki, w zręczny sposób uwolnić się od towarzystwa rochochoconej pani Tennett.

- Skąd ten wesoły błysk w pani oku, pani Contrain? - zapytał ściszym głosem, siadając koło Lucy. - Może podzieli się pani ze mną tym, co tak panią rozbawiło?

- Wszyscy zdają się myśleć, że żartuję sobie z czegoś - odparła, czując, że bliskość lorda jak zawsze ma wpływ na jej puls. To naprawdę skandaliczne, że ten mężczyzna tak na nią działa; gdy się zbliżał, traciła możliwość rozsądnego myślenia. - Jestem dość poważną osobą, choć jak każdy znam kilka śmiesznych żartów. To wszystko.

Uśmiechnął się.

- Skoro tak pani twierdzi, madame. Podejrzewam jednak, że gdyby sobie pani na to pozwoliła, z pewnością umiałyby pani wyśmienicie się bawić.

- Wesoła wdówka? - Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy też przypadkiem rozmówca z niej nie kpi. - Te dwa słowa wzajemnie się wykluczają, nie sądzi pan?

- Nie chciałem pani urazić - wyjaśnił, unosząc ciemne brwi. - Ale przecież nawet wdowa wie, co to radość i zabawa. Mając w pamięci szczęśliwe chwile związane z życiem we dwoje, właśnie ona powinna być jedną z najmądrzejszych i najpogodniejszych kobiet na świecie.

Lucy ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że uwaga wicehrabiego bardzo ją ubodła. Z tego też powodu odpowiedziała mu surowiej, niż zamierzała.

- Nawet jeśli straciła wszystko, co było dla niej najcenniejsze?

- Ale poznała miłość i prawdziwe oddanie - upierał się lord z odrobiną tęsknoty w głosie. - Jest w lepszym położeniu niż większość mieszkańców tej nieszczęsnej planety, moja droga. - Twarz mu spoważniała.

Przez moment, przyglądając się jego ciemnym oczom, Lucy czuła, że ten siedzący obok mężczyzna doskonale wie, co to znaczy być samotnym. Wspólne doświadczenie połączyło ich na chwilę, jakby dzielili się wyjątkowym i bardzo osobistym sekretem. Poczowała się tak, jakby pierwszy raz patrzyła na wicehrabiego; nie przypuszczała, że ukrywa przed światem ból i jakąś nieokreśloną tęsknotę. On jednak szybko odwrócił wzrok, kryjąc uczucia za maską obojętności.

- Może porozmawiamy o biżuterii? - zaproponował. - Mając taki kolor oczu, powinna pani nosić szafiry, moja droga, lub rubiny.

Nagła zmiana tematu zupełnie zbiła ją z tropu. Milczała, wahając się, co odpowiedzieć, i w tej właśnie ciszy rozległ się nagły i drażniący śmiech Marion Tennett.

- Cóż to, pani Contrain, chce pani zatrzymać naszego niegodziwego wicehrabiego tylko dla siebie? Powinna się pani wstydzić. Nawet małe dzieci wiedzą, że powinny się dzielić słodyczami.

Intymność chwili prysła. Lucy zarumieniła się, a twarz lorda Richmond przybrała chłodny wyraz.

- Czuję się urażony porównaniem mnie do słodkości - rzucił. - Niestety nie jestem do dyspozycji łakomczuchów.

Między tym dwojgiem coś się działo, wyczuwało się napięcie, lecz Lucy nie umiała odgadnąć jego przyczyn.

Marion Tennett poczerwieniała. Odwróciła się od wicehrabiego i spojrzała na Lucy. Uśmiechała się, ale nie oczami.

- Wyteżyłam pamięć, moja droga, i przypomniałam sobie, że jednak poznałam pani męża. To uroczy mężczyzna, i jaki miły dla dam! Miała pani szczęście, wychodząc za niego.

Lucy patrzyła na rozmówczynię ze zdumieniem, które jednak starała się ukryć. Stanley twierdził, że tam, gdzie chodził, zawsze byli sami panowie. Nigdy nie wspominał o kobietach. Czy pani Tennett kłamie? A może, ponieważ nie wydaje się zbyt błyskotliwa, po prostu się myli?

- Jest pani pewna, że mówimy o tej samej osobie? - zapytała z niedowierzaniem. Od śmierci Stanleya minął ponad rok; może kobieta naprawdę myli go z kimś innym.

Uśmiech Marion zrobił się cierpki, a jej ostry głos zdał się rozlewać po całym salonie.

- Och, oczywiście, że jestem pewna. Pamiętam, że bardzo się zdziwiłam, kiedy usłyszałam, że ten pan... hm... nie żyje. Widziałam go jeszcze wieczorem, przed jego śmiercią.

Lucy zamrugała.

- To niemożliwe - rzuciła.

Pani Tennett uniosła głowę, a jej głos stał się jeszcze bardziej donośny.

- Zapewniam panią, że tak było. Może nie znała pani swojego męża tak dobrze, jak pani myśli.

Jakaś kobieta stojąca w pobliżu sapnęła, a potem w salonie zapadła cisza.

Lucy zamarła, nie chcąc zdradzić swoich emocji. Cóż za przykra reakcja na małe nieporozumienie i jaka przesadzona! Było oczywiste, że Marion Tennett pragnęła pozyskać uwagę lorda Richmonda, ale żeby zaatakować prawie obcą osobę... Lucy musiała bardzo się starać, żeby zachować spokojny wyraz twarzy, i przez tę walkę o kontrolę nie mogła się skupić na wymyśleniu stosownej odpowiedzi.

Zastąpił ją wicehrabia.

- Każdy człowiek jest wielką tajemnicą, którą zna tylko nasz Stwórca - rzekł tonem tak twardym, jak twarde było spojrzenie Marion Tennett. - Lepiej się nie łudzić, że jesteśmy w stanie poznać wnętrze drugiej osoby.

- Och, moja droga - szybko wtrąciła się Julia Blythe, starając się chyba załagodzić sytuację. - Uwierz mi, żadna żona nie zna każdej

myśli swojego męża, tak jak i nie zna każdego jego kroku. A gdyby nawet było to możliwe, to czyż życie nie stałoby się wtedy okropnie nudne?

- Ani też mężowie nie znają wszystkich porywów serca swoich żon - dodała z drugiej strony salonu hrabina. - Dzięki czemu równowaga i zgoda w małżeństwie mogą być zachowane!

Jej słowa zostały przyjęte śmiechem i atmosfera nieco się rozluźniła. Lucy głęboko odetchnęła i zerknęła na Marion, która z irytacją stuknęła palcami po wydatnych biodrach.

Pochylił się ku niej lord Richmond i coś jej szepnął do ucha. Zarumieniła się i skinęła głową.

Lucy poczuła przykry zawód, jednak zaraz zganiła się za tę reakcję. Mimo chwili wzajemnego porozumienia wcale nie zamierzała monopolizować uwagi tego najwyraźniej bardzo popularnego i pożądanego przez tak wiele osób mężczyzny. Niech Marion Tennett zabiera sobie nonszalanckiego wicehrabiego; to oczywiście, że uczyni wszystko, żeby zyskać jego zainteresowanie.

Tymczasem lord odszedł z nią na bok, ale rozmawiali tylko chwilę. Następnie przeszedł do grupki trzech mężczyzn i teraz z nimi wdał się w pogawędkę. Lucy usłyszała salwy śmiechu i strzępy rozmów; jakieś opowiadki o koniach i anegdoty z polowań. Starła się nie patrzeć w tamtą stronę.

W końcu odwróciła się do Julii, nie zdradzając, że czuje się opuszczona po odejściu wicehrabiego; sama była tym zdziwiona. Nie ma sensu robić sobie apetytu na ciastko, kiedy kogoś nie stać nawet na chleb, stwierdziła w duchu, uśmiechając się grzecznie do rozmówczyni opowiadającej właśnie o nowej kreacji szytej dla niej na następne przyjęcie.

Niemniej Lucy nadal czuła niejasny ucisk w sercu; silne i bolesne pragnienie, którego doświadczała od momentu spotkania wicehrabiego Richmond. Chociaż na niego nie patrzyła, wyczuwała jego obecność, wyodrębniała jego głos spośród innych męskich basów i altów. To szaleństwo, myślała, jeszcze usilniej starając się wyrzucić jego obraz z głowy.

Ale gdy po chwili przemierzył salon i stanął przy niej, wcale się nie zdziwiła.

- Czy widziała pani unikatowy zbiór porcelany należący do naszej gospodyni? - zapytał. - Jest całkiem imponujący.

Bardzo spontanicznie, jakby robiła to codziennie, oparła dłoń w zgięciu jego ramienia, ledwo tłumiąc okrzyk zaskoczenia, bo nagle przy dotknięciu poczuła, że między nimi przeskoczyła jakaś dziwna iskra. Mimo to pozwoliła zaprowadzić się do gabloty i pochyliła nad nią, udając, że uważnie przygląda się stojącym wewnątrz eksponatom.

Czekała, aż jej towarzysz się odezwie, ale kiedy w końcu to uczynił, wprost nie mogła wyjść ze zdumienia, tak ją zaskoczył poruszo- nym tematem.

- Czy to prawda, że w dniu śmierci pani mąż nie wychodził z domu? - rzucił zniecierpliwiony, nie robiąc żadnych wstępów do tego przecież wielce niedelikatnego pytania.

Lucy popatrzyła na niego, oszołomiona, zupełnie nie rozumiejąc jego intencji.

- Wychodził, ale tylko do klubu, by spędzić w nim spokojny wieczór na grze w wista. Przynajmniej tak mi powiedział.

- Jeśli to prawda, to... to o co chodziło Marion? - Lord zmarszczył czoło. - Może po prostu jak zawsze tylko snuje intrygi?

W tej chwili Lucy postanowiła, że więcej nie będzie już z wicehrabią rozmawiała. Musi jak najszybciej zerwać wszelkie kontakty z tym tajemniczym człowiekiem. Jest zbyt wrażliwa, żeby znosić ze spokojem jego impertynenckie zachowanie, którym co i rusz wytrąca ją z równowagi. Mimo tego postanowienia jednak nie odwróciła się i nie odeszła.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, co dzieje się w głowie pani Tennett - mruknęła, po czym z lekkim poirytowaniem dodała: - A co więcej, myślę, że lepiej będzie, jeśli zamiast stać tu ze mną, wróci pan do niej.

Lord Richmond uniósł gęste brwi,

- Tak szybko znużyło panią moje towarzystwo?



- Ależ nie. Chodzi mi tylko o to, że pani Tennett sprawia wrażenie osoby trochę nieprzewidywalnej - wyjaśniła, wpatrując się w zawiły wzór na zabytkowym wazonie. Jego piękno jeszcze bardziej uzmysłowiło jej brzydotę wazonu, który otrzymała w prezencie od kuzynki Wilhelminy. A jednak przydał się, mimo szpetoty. Nigdy by nie pomyślała, że kiedyś będzie za niego kuzynce wdzięczna. - Lepiej, żeby rozmawiał pan z nią, nie ze mną, bo inaczej znowu się zdenerwuje, że nie poświęca jej pan całej swojej uwagi.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł. - Przyrzekłem jej spotkanie, ale wyłącznie pod takim warunkiem, że więcej nie będzie robiła scen.

Jego zadufanie i pewność siebie zirytowały Lucy. Niemniej, kiedy zerknęła w bok, przekonała się, że pani Tennett rzeczywiście przycichła, skupiwszy uwagę na innych gościach.

- Jeśli tak, to bardzo się cieszę - odparła, zdając sobie sprawę, że jej głos brzmi nieco oschle. Czy wicehrabia wyobraża sobie, że potrafi zawrócić w głowie każdej kobiecie? - Jeśli ta pani tak pragnie pańskiego towarzystwa...

- Ming, jak sądzę - przerwał jej, podnosząc głos, jakby jego uwaga była przeznaczona nie dla niej, a raczej dla kogoś, kto mógł się im w tej chwili ewentualnie przysłuchiwać. Wskazując na jeden z wazonów, uniósł dłoń, przy okazji niechcący ocierając się o jej ramię.

Natychmiast przeszył ją rozkoszny dreszcz. Ze zdwojoną siłą poczuła emanujące od mężczyzny siłę i zmysłowość. To na nie przez cały czas tak intensywnie reagowała. Nie rozumiała jednak, dlaczego tak się dzieje. Wie przecież, że lord Richmond jest zwykłym bawidamkiem, z rodzaju tych najgorszych, i nie powinna pozwalać sobie na to, by jego dotyk tak na nią wpływał; ani dotyk, ani głos... głos... Nagle uświadomiła sobie, że wicehrabia znowu coś do niej mówi i że nie chodzi już o zbiory w gablocie.

- Dlaczego miałbym pożądać towarzystwa tej sekutnicy o ostrym języku, kiedy stoi przy mnie najbardziej urokliwa kobieta pod słońcem?

Zmrużyła oczy i popatrzyła na niego z powagą.

- Czy pan ze mnie żartuje?

- Tak mało ceni sobie pani własne wdzięki?

Napotkała jego wzrok i przez chwilę przyglądali się sobie. Miał oczy tak ciemne jak noc; rozplynęła się w nich na chwilę, zapominając o całym świecie.

Zakręciło jej się głowie; poczuła, że brakuje jej tchu.

- Jakimż głupcem musiał być pani mąż, że nie zachwycał się pani ciepłem? - wyszeptał wicehrabia.

Lucy nabrała powietrza.

- Nie może pan... nie wolno panu...

- Nie, nie wolno mi - zgodził się. Przysłonił oczy ciężkimi powiekami, a na usta przywołał cyniczny uśmiech. - Tak czy inaczej, mamy wiele rzeczy do przedyskutowania, droga pani Contrain. Czy zastanę panią jutro w domu?

- Tak. To znaczy... chyba nie zapowiada pan swoich odwiedzin? - Perspektywa jego wizyty wzbudziła w niej zarówno zachwyt, jak i podejrzliwość. Starła się wziąć w garść.

- Właśnie, że tak - potwierdził ciągle ściszym głosem. - Nadal chcę panią zapytać o kilka rzeczy dotyczących pani męża.

- Och. - Zamierzała zaprotestować, ale zbiła ją z tropu jego rzeczowa odpowiedź. - Jeśli planuje pan ponowić swoją oburzającą propozycję, to nie widzę...

- Proszę o cierpliwość - rzekł. - Zdaje się, że będę musiał wyjaśnić pani całą prawdę.

- Od tego należałoby zacząć - odparowała, obrzucając go wściekłym spojrzeniem. Wróciła jej jasność myślenia i chciała się tego trzymać.

- Poza tym... - Wicehrabia wziął jej dłoń i zamknął w swojej.

Nadal stali odwróceny tyłem do reszty gości, więc Lucy myślała, miała nadzieję, że nikt nie dostrzegł tego gestu, od którego po plecach przebiegł jej przyjemny dreszcz.

- Nie mogę kochać się z panią w obecności tuzina osób. - Uniósł jej dłoń i ucałował czule.

Oddech uwiązał jej w nagle wyschniętym gardle. Tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi udało jej się nie krzyknąć.

- W takim razie, lordzie Richmond, zaproszę ich całą setkę, żeby mieć pewność, że do tego nie dojdzie!

## 4

Tak jak zapowiadał, następnego dnia z rana Nicholas pojawił się na małej bocznej uliczce w Cheapside, przy której stał dom Contrainów. Budynek był niewielki i sprawiał wrażenie bardzo zaniedbanego; z drzwi frontowych schodziła łuszcząca się farba, z okien wiało pustką. Czyżby za życia Stanley Contrain nie dbał o swój dobytek?

Nicholas wcale by się temu nie dziwił.

Zmarszczył czoło, wspominając wydarzenia z poprzedniego dnia. Na jego niewinne zaloty pani Contrain zareagowała oburzeniem, choć widać było, że jest nimi także szczerze zaskoczona. Najwyraźniej mąż nie obdarzał jej ani specjalnym uczuciem, ani nie podziwiał jej wdzięków. Z jakiegoś powodu myśl ta wzbudziła w nim gniew. Pani Contrain zrobiła na nim wrażenie osoby ujmującej, pełnej kobiecego ciepła oraz skromnej i szczerzej, które to cechy, o czym dobrze wiedział, nieczęsto się spotyka. Prawdopodobnie była wierna i lojalna mężowi, choć, zdaniem Nicholas, Stanley Contrain, zwykły łotr, po prostu na to nie zasługiwał. Wymamrotał pod nosem przekleństwo i pokręcił głową.

Przeszłość pani Contrain to nie jego sprawa. Musi skupić się na własnych problemach: na przyjacielu, którego stracił; na podejrzeniach, które na nim ciążyły; na zleceniu, które powierzył mu książę; no i przede wszystkim na odnalezieniu zaginionego klejnotu. Od rozpoczęcia poszukiwań minął już ponad rok, a on nadal nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie jest rubin. Dlatego musi bezwzględnie sprawdzić ten nowy trop, na który wpadł ostatnio. Nawet za cenę zdenerwowania Lucy Contrain, bo to niestety właśnie do niej prowadziły ślady; świadczyły one, że mogła mieć coś wspólnego z zagi-

nięciem rubinu. Nabrał głęboko powietrza, po czym zbliżył się do wyblakłych niebieskich drzwi i zapukał.

Cisza. Czyżby wdowa udawała, że jej nie ma? - zdziwił się. Zaraz jednak usłyszał odgłos cichych kroków, po czym drzwi domu lekko się uchyliły.

W szczelinie pokazała się czyjaś głowa. Chyba to była pokojówka, bo na ciemnych włosach dostrzegł czysty czepeczek. Na szczupłej twarzy dziewczyny, która przyglądała mu się z niechęcią, widniał wrogi grymas.

- Lord Richmond do pani Contrain - poinformował wyniosłym tonem, z nadzieją, że przyłoczy nim pokojówkę, a tym samym natchmiast zostanie przyjęty. Ale się przeliczył.

- Pani nie ma w domu - oświadczyła dziewczyna dumnie, jakby służyła u samej królowej.

Nicholas bez trudu mógłby przepchnąć się przez drzwi, ale nie miał zwyczaju używać siły, zwłaszcza w stosunku do młodych i eterycznych pokojówek. Poza tym, co o takim nikczemnym zachowaniu pomyślałaby pani Contrain? Nie, najpierw musi dostać zgodę na wejście; był pewien, że wcześniej czy później ją otrzyma.

- Naprawdę muszę z panią Contrain porozmawiać - przekonywał już łagodniejszym głosem. - Gdybyś mogła powiedzieć swojej pani...

- Pani nie ma w domu! - powtórzyła dziewczyna. - Zresztą ona nie chce pana widzieć... Och, miałam tego nie mówić... Pani wyszła na ważne spotkanie i tyle.

Słuchając jej, Nicholas z trudem utrzymywał powagę.

- Tak, rozumiem. W takim razie, kiedy wróci, proszę jej powiedzieć, że koniecznie muszę się z nią zobaczyć i porozmawiać... - Zamilkł na moment, żeby zrobić odpowiednie wrażenie. - Będę tu wracał, dopóki mnie nie przyjmie.

Na twarzy pokojówki pojawiło się zaniepokojenie. Zapominając o zmieszaniu, rzuciła:

- Nie rozumiem, co może być ważnego w kilku kupkach starych ubrań pana?

A więc osobiste rzeczy Contraina nie zostały wyrzucone ani sprzedane, pomyślał Nicholas, czując przypływ nadziei. Może jednak na coś się tu natknie. Szansa była nikła, ale po wielu miesiącach bezowocnych poszukiwań i błędnych tropach gotów był chwycić się wszystkiego.

- Wrócę tu - przyrzekł, po czym, kiedy już służąca zamknęła drzwi, zresztą z niepotrzebną stanowczością, pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

Spojrzał na woźnicę, który go przywiózł do Cheapside.

- Mason, zabierz powóz do domu.

- Jaśnie panie? - Woźnica wyglądał na zdumionego. - Przecież nie będzie pan wracał pieszo?

- Nie, ale i tak muszę tu zostać i załatwić jeszcze pewne sprawy. Wrócę dorożką.

Służący nie wyglądał na przekonanego, jednak - zresztą bardzo rozsądnie - zatrzymał swoje wnioski dla siebie.

- Tak jest, jaśnie panie.

Strzelił lejcami i elegancki ciemnogrnatowy powóz ruszył z miejsca. Nicholas odprowadził go wzrokiem, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy, wcześniej przepuszczając przejeżdżający po niej chwiejący się wóz wyładowany cebulą. Postanowił, że zaczeka na powrót pani Contrain, choć nie był do końca przekonany, czy chce to zrobić, bo zależy mu na sprawdzeniu śladów, czy raczej, bo pragnie ją znowu zobaczyć.

Lepiej, żeby chodziło o to pierwsze, bo odnalezienie rubinu to teraz najważniejsza sprawa. Przecież nie zaprzepaści szansy tylko dlatego, że nie potrafi zapomnieć uroczej twarzyczki pani Contrain i jej płowych loków. Choć prawdę mówiąc, wiele by dał, by móc prześliznąć się ręką po jej zgrabnych biodrach.

Na końcu ulicy znalazł zapuszczoną pijalnię, do której wszedł, przystając w progu, by nie uderzyć głową w niską framugę. W środku powietrze było przesiąknięte zapachem stęchłego piwa i przepoczonej odzieży oraz dymem z paleniska. Sądząc po wyglądzie, większość znajdujących się w pijalni mężczyzn zajmowała się handlem, choć

było tam też kilku robotników. Kiedy wszedł, zapadła cisza, a spojżenia obecnych powędrowały w jego stronę. Jednak nie na długo. Już po chwili nikt się nim nie interesował i sala znowu wypełniła się szmerem rozmów. Podszedł do baru.

- Macie burgunda?

Mężczyzna za ladą odchrząknął i pokręcił głową.

- Nieważne. W takim razie poproszę o kufel piwa — rzucił, choć trochę się obawiał, czy zamawiając podrzędny trunek, za wiele nie ryzykuje. Nie chciał narażać podniebienia bardziej, niż to było konieczne.

Zdziwił się jednak, bo piwo okazało się lepsze, niż się spodziewał. Przeniósł się z nim do stołu pod zakurzone okno, z którego mógł obserwować ulicę.

Przez ponad pół godziny prawie nic się na niej nie działo, nie licząc przejeżdżających co jakiś czas furmanek i odrapanych dorożek oraz włóczęgi z workiem na ramieniu, który stał pod ścianą i pokrzykiwał na przechodniów. Nicholas popijał piwo i przyglądał się mu, ale dość nieobecny wzrokiem, bo myślami błądził gdzie indziej. Przede wszystkim zastanawiał się, czy służąca pani Contrain nie kłamała, mówiąc, że Lucy nie ma w domu. Przypuszczał, że nie; pewnie gdzieś wyszła, ale raczej nigdzie daleko.

Z rozmyślań wyrwał go łoskot przetaczającego się pod oknem wozu z węglem. Wyteżył wzrok, bo w oddali dostrzegł jakąś kobietę z torbą na ramieniu, za którą podążała druga, wyglądająca na służącą. Przyjrzał się uważnie tej pierwszej, ale prawie od razu uznał, że to nie może być Lucy. Przede wszystkim na jej głowie sterczał bardzo krzykliwy kapelusz, zupełnie nie w stylu pani Contrain, a poza tym jej sylwetka była bardziej masywna. Nie, z pewnością nie jest to Lucy, bo Lucy jest zgrabna, a poza tym ładna i ma piękną skórę, włosy... Rozmarzył się. Boże, dlaczego nie spotkał jej w innych okolicznościach...

Nagle ją zobaczył, jakby wyczarowaną przez wyobraźnię. Szła samotnie spieszonym krokiem wzdłuż wąskiej ulicy, starając się omijać świeże końskie odchody. Zaraz za nią włókł się mężczyzna z workiem

na plecach. Nicholas prześliznął się po nim spojrzeniem i nagle zmrużył oczy. Czy to nie ten sam włóczęga, którego wcześniej obserwował? Coś mu nie pasowało w worku, która zwieszał się z jego pleców. Wyglądał tak, jakby był pusty. Włóczęga przyspieszył kroku, prawie zrównując się z Lucy. Nicholas nie czekał dłużej, tylko rzucający zapłatę za piwo na stół, poderwał się i wybiegł na ulicę.

- Pani Contrain, proszę uważać! - zawołał, biegnąc do niej wielkimi susami.

Ale zanim Lucy zdążyła unieść zdumiony wzrok, włóczęga już był przy niej i złapał ją za rękę. Krzyknęła i zaczęła się wyrwać.

Napastnik nie tylko nie chciał jej puścić, ale złapawszy za oba ramiona, zaczął nią potrząsać jak szmacianą lalką. Lucy, niewiele myśląc, wymierzyła mu silnego kopniaka w goleń. Mężczyzna zaklął siarczyście.

W tej samej chwili dopadł go Nicholas i pochwycając go za kłapy, rzucił nim z całych sił o ścianę domu. Chciał mu jeszcze dołożyć pięścią, ale kiedy zobaczył, że mężczyzna skulił się i wcale nie zamierza z nim walczyć, zrezygnował.

- Co ty sobie wyobrażasz? - warknął do niego. - Napadasz na damy!

- Bez obrazy, panie, bez obrazy - zawodził włóczęga. - Jestem biedny, nie mam pracy. Chciałem tylko zarobić kilka groszy.

- Żeby cię już nigdy więcej tu nie oglądał - rzucił Nicholas. - Bo jeśli jeszcze kiedyś zobaczę cię w pobliżu tej damy, dopiero będziesz miał się z pyszna - zagroził.

- Już dobrze, już dobrze. Ja przecież nie chciałem nic złego - mamrotał mężczyzna.

- Jak się pani czuje? - zapytał Nicholas Lucy, widząc, że bardzo pobladła.

- Dobrze, tylko...

Korzystając z tego, że nikt na niego nie patrzył, włóczęga umknął. Nicholas zaklął pod nosem i już chciał za nim pobiec, ale zmienił zdanie, uznawszy, że nie zostawi Lucy samej na ulicy. Nie wyglądała najlepiej.

- Odprowadzę panią do domu. Jest pani błąda i powinna się pani napić czegoś mocniejszego. Na przykład brandy.

Lucy zduśiła niewesoły śmiech. Brandy? Wicehrabia spodziewa się, że znajdzie u niej tak drogi trunk?

- Nie, doprawdy, proszę nie robić sobie kłopotu. Czuję się już o wiele lepiej. - Sama pragnęła w to uwierzyć. Ale nie była to prawda. Nadal jeszcze drżała na wspomnienie ciężkich rąk napastnika na swoich ramionach, jego paznokci wbijających się w skórę... - A poza tym... - Zawahała się. Nagle naszła ją niezrozumiała chęć, by jednak, nie patrząc na to, że prawie się nie znają, przyjąć pomoc od wicehrabiego Richmond.

Dobry Boże, to przez tę jej samotność i brak kogokolwiek, z kim mogłaby się podzielić problemami, kogo mogłaby się poradzić... Łzy zdradziecko napłynęły jej do oczu, więc chcąc je otrzeć, uniosła dłoń i wtedy spostrzegła, że jej delikatna rękawiczka z kożłej skóry jest poszarpana i wystaje z niej jeden palec.

- Och! - jęknęła. - Ten łotr podarł mi rękawiczkę.

To była ostatnia kropla, która przepełniła miarę. Zasłoniła twarz i się rozpłakała.

Sądziła, że lord Richmond cofnie się albo odwróci wzrok, tak jak to czynił Stanley, który nie znośił, kiedy płakała, i najczęściej odsuwał się od niej wtedy z wyraźnym wstrętem. Przypuszczała, że wszyscy mężczyźni tak właśnie reagują na kobiecy płacz i bezradność.

Jednak wicehrabia wcale się nie odsunął, tylko objął ją silnym ramieniem. Nagle poczuła się drobna i słaba, ale też bezpieczna. Oparła głowę na jego piersi i już na dobre oddała się łkaniom.

W tym czasie Nicholas, spoglądając na trzęsący się czubek ciemnego kapelusza, zastanawiał się, czy jego drogi płaszcz od Westona zniesie tyle wilgoci. Potem przyszło mu na myśl, że ta jego nagła troska o garderobę jest tylko pretekstem, by odwrócić uwagę od wściekłości, która nim zawładnęła na widok cierpienia tulącej się do niego kobiety. Niech diabli wezmą jej szmatławego męża. Niech piekło pochłonie wszystkich, którzy doprowadzili ją do takiego stanu, wyklinał w duchu, zarazem dziwiąc się samemu sobie. Skąd u niego

taka troska? Jakim cudem Lucy Contrain zdołała się przedrzeć przez mur obojętności i cynizmu, którym od tak dawna i tak szczelnie się otaczał? Nie umiał odpowiedzieć na te pytania.

Nagle oprzytomniał i zdał sobie sprawę, że wzbudzają zainteresowanie mijających ich przechodniów, którzy ciekawie się im przyglądali. Jakaś biednie ubrana kobieta nawet się przy nich zatrzymała.

- Chyba powinniśmy wejść do domu - zasugerował cicho.

Lucy westchnęła.

- To była moja ostatnia para rękawiczek - powiedziała, tłumacząc swoje zachowanie. Nadal pochlipując, sięgnęła do torebki. Wyciągnęła z niej małą chusteczkę, zapewne po to, aby obetrzeć nią policzki.

Widząc ten maleńki, obsyty czarną koronką skrawek materiału, Nicholas podał jej własną chustkę. Przyjęła ją z wyrazami wdzięczności i najpierw użyła do wytarcia twarzy, a potem do wydmuchania nosa, co zresztą zrobiła tak energicznie, że nie mógł się nie uśmiechnąć, choć postarał się, by nie było tego widać. Pokręcił odmownie głową, znowu hamując śmiech, bo Lucy chciała oddać mu chustkę.

- Nie, nie, proszę ją zatrzymać.

Potem wziął ją pod rękę i podeszli pod drzwi domu. Tym razem drobna służąca pojawiła się w nich natychmiast.

- Och, psze pani, co się stało? - Dziewczyna z niepokojem przyglądała się bladej twarzy Lucy i jej zaczerwienionym oczom. - Czy ten pan panią skrzywdził? - Spojrzała wrogo na wicehrabiego, sprawiając takie wrażenie, jakby zamierzała rzucić się na niego z pięściami, nie bacząc wcale na rozmiary przeciwnika. Wyglądała jak kociak szykujący się do ataku na wielkiego psa.

- Och, nie! - zaprzeczyła Lucy.

- Pani Contrain jest zdenerwowana po dość nieprzyjemnym incydencie z namolnym włóczęgą - wyjaśnił rzeczowo Nicholas. - Czy macie w domu brandy?

Służąca popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Niby skąd, sir? Sprzedawca wina powiedział, że najpierw w piekle zapanuje zima, nim on przedłuży kredyt Contrainom...

- Violet! - zakrzyknęła Lucy bardziej błagalnie niż z nagana w głosie.

- Och, przepraszam, psze pani. - Pokojówka zrobiła skruszoną minę. - Chciałam powiedzieć, że nie mamy brandy, jaśnie panie.

Nicholas skinął głową. Gdzie tu udać się po coś na wzmocnienie? - zastanawiał się. Wiedział już, że nie do najbliższej piwiarni. Może...

- Pójdiesz do winiarni na rogu Hayes - powiedział w końcu wyciągając z kieszeni kilka gwinei i podając je służącej. Ta popatrzyła na nie wielkimi oczami.

- Weź dorożkę, będzie szybciej - dodał.

Violet nadal nie ruszała się z miejsca.

- Czy wiesz, jak zatrzymać dorożkę? - zapytał.

Dziewczyna wyprostowała szczupłe ciało.

- Oczywiście, jaśnie panie - odparła dumnie. - Ja... ja już nieraz to robiłam.

Było to oczywiście kłamstwo, lecz Nicholas, kryjąc uśmiech, udał że w nie uwierzył.

- No to wspaniale - rzekł. - W takim razie się pospiesz.

Tymczasem pani Contrain powinna rozprostować nogi, pomyślał. Sklął się w duchu za to, że pozwolił jej tak długo stać w korytarzu, choć nadal zdawała się być roztrzęsiona. Gdzie on ma rozum?

- Może zechciałaby się pani położyć? - zapytał.

Violet i Lucy popatrzyły na niego ze zgrozą.

- Oczywiście sama - dodał rozdrażniony. - Po prostu nie chcę, żeby pani zemdlała.

- W porządku, Violet - mruknęła Lucy do służącej, a do Nicholas powiedziała: - Wystarczy, że na chwilę przysiadę. Rzeczywiście czuję się trochę słabo.

Służąca skinęła głową i wyszła, a Nicholas podszedł do Lucy i zaferował jej ramię; wprawdzie odzyskała już kolory, ale nadal nie wyglądała dobrze. Zastanawiał się, czy nie jest głodna. Przeklęty Contrain! Jak mógł zostawić żonę w tak strasznych warunkach?

- Gdzie mam panią zaprowadzić? Do salonu?

Lucy roześmiała się gorzko.

- Nie, nie, lepiej spoczniemy na chwilę w jadalni - zaproponowała.

Tylko tam mogła zaprosić gościa, bo poza kuchnią i jej sypialnią, do których nie wypadało go wprowadzać, w domu nie było więcej żadnego umeblowanego pokoju. Przeszli więc do jadalni, gdzie opadła z ulgą na jedno z wiśniowych krzesel, myśląc zarazem, że brak pieniędzy potrafi być czasami ogromnie dokuczliwy.

Spodziewała się, że po tym stwierdzeniu jak zawsze zaleje ją fala rozpacz, ale o dziwo tak się nie stało. Wyglądało na to, że obecność lorda Richmond wpływa na nią bardzo uspokajająco. Zmarszczyła brwi, bo przypomniała sobie napaść.

- Ten mężczyzna... - zaczęła. - Trochę mnie to dziwi, że tak mnie zaatakował. Twierdził, że jest żebrakiem, a oni raczej takich rzeczy nie robią. Przynajmniej nie w biały dzień. Zniechęciliby do siebie potencjalnych ofiarodawców.

- Rzeczywiście - zgodził się wicehrabia, obracając krzesło tak, by móc siedzieć naprzeciwko niej. Jego poważne spojrzenie, które zdawało się oznaczać, że jest bardzo zainteresowany tym, co Lucy ma do powiedzenia, nieco ją speszyło, niemniej kontynuowała:

- Poza tym używał zbyt wyszukanego słownictwa jak na żebraka, nie sądzi pan?

Nicholas zamrugał. Dlaczego nie zwrócił na to uwagi? To wszystko przez Lucy. To przy niej staje się taki rozkojarzony. Musi zapamiętać, żeby bardziej się w jej towarzystwie pilnować.

- Chyba ma pani rację - odpowiedział wolno, zastanawiając się zarazem, co by to mogło oznaczać.

- A jego paznokcie...? Przyjrzałam się im, kiedy mnie chwycił. Były czyste i równo przycięte.

- Zdumiewające, jeśli wierzyć, że jest bez grosza i pracy - zgodził się z ponurą miną wicehrabia.

- Bardzo to dziwne - mruknęła Lucy, po czym zamilkła, jakby na znak, że teraz jego kolej.

Nicholas też czuł, że czas na wyjaśnienia.

- Mam pani do opowiedzenia pewną historię, pani Contrain - zaczął. - Jest to opowieść o drogocennym klejnocie noszącym nazwę Szkarłatna Wdowa.

Lucy zamrugała.

- O klejnocie? Co to ma wspólnego z...

Unióśł dłoń, powstrzymując ją w ten sposób przed dalszymi pytaniami.

- Dlatego Szkarłatna Wdowa, że wiele osób, które chciało zdobyć ten kamień, straciło przy tym życie. Jego oficjalna nazwa brzmi Królewski Rubin z Mandalay.

Słowo rubin przypomniało Lucy ich rozmowę na przyjęciu u pani Morris.

- Dlaczego mi pan o tym opowiada?

Poruszył się w krześle niecierpliwie.

- Rubin został sprzedany Koronie Brytyjskiej; miał zająć miejsce między innymi królewskimi klejnotami. Książę regent wymyślił że wykorzysta go do ozdobienia szat koronacyjnych, kiedy... kiedy wreszcie nadejdzie jego czas na wstąpienie na tron.

Czyli po śmierci dotychczasowego króla, który oszalał, dodała w myślach Lucy, nie zamierzając jednak dzielić się nimi z rozmówcą. Wszyscy wiedzieli, dlaczego następcę tronu mianowano regentem.

- Ponieważ moja rodzina prowadzi interesy w Indiach i na Dalekim Wschodzie, a książę o tym wie, poprosił mnie o sprowadzenie tego drogocennego kamienia do Anglii. Miało się to odbyć w całkowitej tajemnicy w obawie przed próbami wykradzenia go.

Lucy szeroko otworzyła oczy. Cóż za niesamowita historia.

- I?

- Zleciłem wykonanie tego zadania mojemu zaufanemu pracownikowi, Victorowi Montatowi, któremu przydzieliłem do pomocy dwóch strażników. Mieli mu towarzyszyć dzień i noc. I wszystko potoczyłoby się jak należy, gdyby nie sztorm, który dopadł ich w drodze powrotnej. Statek został uszkodzony, dlatego musieli zatrzymać się na kilka dni na Gibraltarze. Kiedy wreszcie statek był sprawny, ruszyli do Plymouth. Ponieważ późno dobili do portu, postanowili nie

tłuc się do Londynu w ciemnościach, tylko spędzić noc w jakimś za-jeździe. Wynajęli pokoje i poszli spać. Niestety następnego dnia rano Victor już nie żył. Został zasztyletowany. A strażników ktoś uspił. No i oczywiście po rubinie nie było śladu.

Lucy sapnęła.

Nicholas odwrócił wzrok i popatrzył w okno, ale wcale nie widział znajdującego się za nim małego ogródka.

- Victor był moim pracownikiem i śmierć dosięgła go w czasie wykonywania obowiązków służbowych. Co więcej, był też moim przyjacielem. Dlatego nie spocznę, póki nie odnajdę ręki, która trzymała sztylet.

Słyszac ponurą determinację pobrzmiwającą w jego głosie, Lucy zadrżała. Zrobiło jej się niemal żal mordercy, gdy wyobraziła sobie, co się z nim stanie, gdy wpadnie w ręce siedzącego przed nią postawnego mężczyzny. Niemal żal, bo...

- Bardzo panu współczuję z powodu utraty przyjaciela - powiedziała. - Proszę jednak wybaczyć mi to, co teraz powiem. Nie rozumiem, jaki to wszystko ma związek ze mną.

Wicehrabia odwrócił się do niej i skupił na niej spojrzenie ciemnych oczu. Lucy objęła się ramionami. Znowu przelała się przez nią fala niezrozumiałych emocji, które pojawiały się zawsze, gdy był przy niej lord Richmond.

- No cóż, pani Contrain, jestem zmuszony panią poinformować, że w moim mniemaniu mąż pani był wplątany w kradzież rubinu.

Szeroko otworzyła usta, nie znajdując na to odpowiedzi. Zawisła między nimi cisza tak ostra jak pierwszy przymrozek.

- Chce pan powiedzieć, że to Stanley ukradł rubin? - Pomówienie wydało jej się tak niedorzeczne, że mało co a wybuchnęłaby śmiechem. Widząc jednak surowy wyraz twarzy mężczyzny, tylko odchrząknęła i ucichła. Rozejrzała się po pustym pokoju. - Czy widzi pan tu coś, co mogłoby świadczyć o tym, że jestem właścicielką bezcennego klejnotu?

Nicholas wzruszył ramionami.

- Może go pani posiadać i nie mieć o tym pojęcia - odparł spokojnie. - Wcale nie sugeruję, że wiedziała pani o kradzieży.

Zobaczył, że niebieskie oczy Lucy robią się ciemne od gniewu. Zaraz jednak się opanowała. Zagryzła usta i nie mogąc znieść jego uważnego spojrzenia, odwróciła głowę. Uroczą pani Contrain nie jest dobrą aktorką, tego Nicholas był pewien. Jej twarz odzwierciedlała każdą emocję, co w innych okolicznościach byłoby nawet godne podziwu, obecnie zaś świadczyło o tym, że nie jest zdolna do oszustwa. Bardzo pragnął wierzyć w jej niewinność i w to, że nie brała udziału w występku męża.

Odchrząknęła.

- Kiedy ta kradzież miała miejsce? Dlaczego nic o niej nie pisano w gazetach?

- Ponieważ księżę regent obawia się skandalu; rubin kosztował go fortunę. Jeśli się okaże, że go stracił, jego wrogowie nie zostawią na nim suchej nitki. A wrogów mu nie brak. Dlatego też muszę panią prosić, żeby nie opowiadała nikomu tej historii.

Skinęła głową.

- Jeśli zaś chodzi o kradzież, to rubin zniknął tej samej nocy, której zamordowano mojego pracownika. Ponad rok temu. W ostatnią niedzielę lutego - kontynuował Nicholas.

Lucy pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że Stanley był wtedy w Londynie.

- Czy jest pani tego pewna? Był z panią tamtej nocy?

Lucy spuściła wzrok i zapatrzyła się w cienką mgiełkę kurzu pokrywającą blat stołu. Starła go bezmyślnie. Było jej wstyd się przyznać, że choć mąż często gdzieś wychodził, ona rzadko wiedziała, dokąd się udaje. W ogóle mało o nim wiedziała.

Wicehrabia czekał. Jego twarz nie zdradzała wiele, ale Lucy wyczuwała czające się za opanowaniem zniecierpliwienie.

- Zdaje się - zaczęła w końcu - że tamtego dnia wybrał się do Kent z wizytą do przyjaciół.

Nicholas aż podskoczył na te słowa.

- Czy towarzyszyła mu pani?

- Nie, chyba... chyba byłam lekko przeziębiona. - Tak naprawdę to nie została zaproszona. Nawet z tego powodu pokłóciła się ze

Stanleyem. Później ciągle to sobie wyrzucała, bo przecież było to tuż przed jego wypadkiem.

Poczuła, że ponownie zaczyna ogarniać ją poczucie winy, gdy nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Czy to możliwe, że Stanley wcale nie pojechał wtedy do Kent, jak mówił? Czując na plecach lodowaty dreszcz, spojrzała na wicehrabiego.

Ten przyglądał się jej wzrokiem, z którego trudno było cokolwiek wyczytać.

- Rozmawiałem z obsługą zajazdu w Plymouth. Jeden z pracowników opisał mi człowieka bardzo podobnego do pani męża. Mówił, że był w zajeździe w towarzystwie jeszcze dwóch mężczyzn. Podobno cała trójka ulotniła się stamtąd niespodziewanie, ale zostawili chusteczkę z wyhaftowanymi inicjałami S.C.

- Mogą oznaczać kogoś zupełnie innego - zauważyła.

Wicehrabia pokręcił głową.

- Sam rozmawiałem z właścicielem zajazdu i jego pracownikami. Opis doskonale pasuje do pani męża.

- Ale przecież minął ponad rok. Po tak długim czasie pamięć może ich zawodzić! - wykrzyknęła.

Zobaczyła, że lord Richmond się zawahał, i odczuła chwilową ulgę. A więc wicehrabia podziela jej wątpliwości.

- Dlatego trzeba to wyjaśnić - oświadczył w końcu. - Jestem przekonany, że zależy pani na oczyszczeniu imienia męża z zarzutów. Jeśli tylko rzeczywiście uważa pani, że jest niewinny.

- Ależ to oczywiste - zachnęła się, starając, by w jej głosie nie zabrzmiała nawet najmniejsza nutka wątpliwości, która niestety tliła się w głębi jej umysłu.

- W takim razie nie będzie pani oponowała i pozwoli mi przejrzeć rzeczy męża?

Tam niby ma być ukryty królewski klejnot?

Pomysł wydał jej się tak absurdalny, że tym razem już wybuchnęła śmiechem. Ale był on przepełniony napięciem.

- Naturalnie - powiedziała, wstając i kierując się do schodów.

Kiedy znaleźli się już na pierwszym piętrze, przy drzwiach jej sypialni, zatrzymała się.

- Ostrzegam, że część rzeczy męża już sprzedałam. Te najmniej zniszczone. Ale wcześniej przejrzałam kieszenie i nie wydaje mi się, żebym coś przeoczyła. Jak duży jest rubin?

- Wielkości kurzego jaja - poinformował Nicholas.

Zamrugła.

- O, z pewnością bym go zauważyła. - Przeszła do stojącej w rogu pokoju skrzyni, w której starannie poskładane leżały ostatnie sztuki garderoby męża. Jak dotąd nie zdobyła się jeszcze na to, by sprzedać wszystkie.

Kiedy otworzyła wieko, ze środka powiało miętą na mole, a także - jeszcze nadal - Stanleyem, to znaczy mieszkanką dymu tytoniowego, którym nasiąkał w klubach przy grze w karty, i słodkich perfum, którymi czasami się skrapiał. Lucy wzięła głęboki oddech, po czym odsunęła się, aby wicehrabia mógł uklęknąć przy skrzyni i przejrzeć jej zawartość.

Miała wrażenie, że przez to, iż pozwala obcemu człowiekowi przeszukiwać i obmacywać ubrania męża, zdradza jego pamięć. Nie bardzo chciało jej się wierzyć, że lord Richmond naprawdę spodziewa się znaleźć w jej małej sypialni klejnot wart królewskiej fortuny.

Nicholas tymczasem przeczesywał odzież wolno i metodycznie. Po oględzinach każdą sztukę odkładał obok siebie na podłogę. Niestety, nie znalazł niczego godnego uwagi, może oprócz starego weksła karcianego. Lucy już zaczynała się rozluźniać, gdy nagle zobaczyła, że zamarł, trzymając w rękach jeden z płaszczy Stanleya. Coś w nim szeleściło przy potrząśnięciu.

- Co to? - zapytała.

Wicehrabia wywrócił płaszcz spodem na wierzch i przesunął ręką po kancie u dołu płaszcza. Jeszcze raz sprawdził prawą stronę; wyglądało na to, że coś się dostało pod podszewkę, zapewne przez dziurę w kieszeni, i spadło na dół.

- Ma pani nożyczki? - zapytał, spoglądając na Lucy. Minę miał dość obojętną, ale w ciemnych oczach lśniło podekscytowanie.

Podniosła się i poszła do szafy po koszyczek z przyborami do szycia. Wyjęła z niego małe nożyczki i podała je wicehrabiemu. Ten zabrał się do przecinania nici na szwie.



W końcu udało mu się zrobić otwór na tyle duży, żeby zmieściła się w nim jego dłoń. Sięgnął pod podszewkę. Po chwili wyjął rękę i pokazał Lucy mały papierowy zwitek. Widząc, że to tylko wyblakły rachunek, odetchnęła z ulgą.

Zastanowił ją jednak wyraz twarzy lorda. Jeszcze raz podsunął jej zwitek pod nos, chcąc chyba, żeby sama przeczytała, co było na nim napisane.

- Rachunek z gospody Biały Jeleń - stwierdził krótko. - Z tej, w której dokonano morderstwa.

Poczuła ukłucie strachu. Skąd on się wziął w płaszczu Stanleya? Czy to oznacza, że jej mąż był jednak w Plymouth?

- Może ktoś mu go po prostu dał - rzuciła gwałtownie.

- Może, choć moim zdaniem Stanley tam był - stwierdził lord.

Lucy z trudem przełknęła ślinę. Postanowiła, że jeszcze się nie podda.

- Rachunek to za mało, żeby nazwać mojego męża złodziejem!

- Ma pani rację - zgodził się Nicholas, chowając ubrania do skrzyni i zamykając wieko. - Jednak jest to dla mnie wskazówka, że nie powinienem schodzić z obranego tropu.

- Co pan teraz zamierza?

- Chyba spróbuję się dowiedzieć, co robił pani mąż w ostatnim tygodniu życia. - Na chwilę twarz Nicholasa znowu przybrała surowy wyraz; pograżył się w myślach.

- A więc zdecydowanie chce go pan wmieszać w tę sprawę? - zapytała, marszcząc czoło i robiąc krok w stronę rozmówcy.

Nicholas chyba dopiero po chwili uświadomił sobie jej ostry ton. Spojrzał na Lucy z powagą.

- Tak, obawiam się, że jestem do tego zmuszony. Oczywiście, może się okazać, że popełniam pomyłkę. Jednak pani, pani Contrain, o nic nie musi się martwić.

Po tym zapewnieniu wyciągnął rękę i objął nią zaciśnięte dłonie Lucy.

Nie zabrała ich od razu, bo uścisk mimo wszystko dodawał jej otuchy.

Czekała na następne słowa Nicholasa, ale ten się nie odzywał, tylko dziwnie się jej przyglądał. Stali tak blisko siebie, że bardzo dokładnie widziała każdy szczegół jego twarzy, łącznie z niebieską żyłką na czole. Nabrała powietrza, czując wpadający w nozdrza mocny męski zapach. Znowu poczuła się dziwnie.

Zdała sobie sprawę, że stoją w sypialni, a jej starannie zasłane łóżko znajduje się tylko jeden krok od nich. Bardzo niezręczna sytuacja. Pomyślała, że zachowała się niestosownie, przyprowadzając tu wicehrabiego i że zapewne nie ma on o niej z tego powodu najlepszego zdania. Kiedy jednak zjrzała w jego ciemne oczy, nie zobaczyła w nich ani wyrazu potępienia, ani tak naprawdę żadnego innego. Za to odniosła wrażenie, że podobnie jak ona ma dziwnie przyspieszony oddech. Podniósł nawet rękę, jakby chciał dotknąć jej policzka. Poczuła mocniejsze uderzenie serca.

- Psze pani! - rozległo się nagle od drzwi i stanęła w nich Violet. — Czy pani... to znaczy... Przyniosłam brandy, jaśnie panie.

Nicholas opuścił rękę.

- Dziękuję, Violet - powiedziała Lucy, czując, że twarz jej płonie. - Znajdź kieliszki i rozstaw w jadalni. Zaraz tam zejdziemy.

Pokójówka, trochę chyba zakłopotana, dygnęła i okręciwszy się na pięcie, wybiegła z pokoju.

Lucy odsunęła się od Nicholasa i spróbowała zebrać rozbiegane myśli, nie wiedząc, co ma powiedzieć, nie pamiętając nawet, o czym ostatnio rozmawiali.

Na szczęście wicehrabia odezwał się pierwszy:

- Musi pani zrozumieć, pani Contrain, że ta sprawa jest ogromnie ważna. Do tego stopnia, że księżę regent każdemu, kto odnajdzie rubin, przyrzekł nagrodę w wysokości pięciu tysięcy funtów.

Poczuła, że oddech więźnie jej w gardle. Zakaszła, a potem odchrząknęła.

- Pięć tysięcy funtów? - zapytała ochryple.

Nicholas potwierdził skinieniem głowy.

- Oraz dozonną wdzięczność, jeśli dobrze pamiętam jego słowa.

Lucy na sekundę przymknęła oczy, myśląc o swojej pustej spiżarni, o domu, który niedługo zostanie jej odebrany. Jej pierwszy i ostatni dom od czasów dzieciństwa...

- Pomogę panu! -wykrzyknęła.

## 5

**W**icehrabia ze zdziwienia uniośł brwi.

Lucy mówiła dalej z zapałem:

- Niech mnie pan dobrze zrozumie. Nie wierzę w winę męża ani nawet jego uczestnictwo w kradzieży. Jednakże, jeśli udowodnimy, że nie był w nią zamieszany, pan przekona się, że poszedł błędnym tropem i zacznie szukać innego, aja... hm... może zasłużyć na część nagrody? - Wstrzymała oddech.

Ciemne oczy Nicholasa się roziskrzyły.

- Tak, w istocie - zgodził się. - Z największą przyjemnością skorzystam z pani pomocy, a jeszcze bardziej będę uradowany, jeśli otrzyma pani zapłatę za poświęcenie. W takim razie może najpierw opowie mi pani o zwyczajach męża?

Lucy zadrżała, znowu miała poczucie winy i wyrzuty sumienia z powodu niełojalności. Czy wolno jej tak czynić, nawet jeśli tym sposobem próbuje uratować dom? Była przekonana, że Stanley nie był złodziejem. Mimo jego wad nigdy czegoś takiego by o nim nie pomyślała. Po chwili zastanowienia podjęła decyzję.

- W gruncie rzeczy - zaczęła - mój mąż bardzo mało opowiadał mi o swoich sprawach.

Rozczarowanie lorda było niemal namacalne.

- Ale przecież była pani jego żoną, z pewnością...

Zamilkł, a Lucy nie miała cienia wątpliwości, że dostrzegł rumieniec, który wykwitł jej na twarzy. Może jednak nie wszyscy mężowie są tak małowówni lub tak niechętnie zabierają żony na towarzyskie spotkania jak Stanley.

- Jednakże... - Przerwała ciszę, po czym zaraz ponownie zamilkła. Czuła wyrzuty sumienia z powodu tego, co zamierzała za chwilę wyznać. Podniosła wzrok i przekonała się, że lord Richmond jej się przygląda, i to bardzo uważnie. Jakże niebezpieczny byłby z niego przeciwnik. Wystarczy spojrzeć w te inteligentne, przenikliwe oczy spoglądające na nią teraz. Jakżeż to spójrzanie jest przerażające, a zarazem jak ekscytujące. Czuła, że policzki coraz bardziej ją pieką.

- Jednakże? - zapytał.

- Mąż posiadał notes, w którym zapisywał wszystkie zaproszenia... - wyjąkała.

- Ach... -Wicehrabia nabrał powietrza. - I pani po jego śmierci go zachowała, tak?

Odwróciła wzrok, nie mogąc znieść jego przeszywającego spojrzenia.

- Oczywiście.

- W takim razie może go przejrzymy - zaproponował niecierpliwie. Widząc jej wahanie, dodał: -- W celu ustalenia, czy mąż brał udział w kradzieży, czy też nie.

Lucy podjęła decyzję. Jest pewna uczciwości Stanleya, dlatego więc miałyby się wzbraniać przed udowodnieniem jej światu. Nikomu nie wyrządzi tym krzywdy.

- Dobrze - zgodziła się. Podeszła do stojącej w rogu sypialni biblioteczki i sięgnęła po niewielki notesik. Przez chwilę przyglądała mu się tylko, po czym, zebrawszy się na odwagę, otworzyła go.

Lord Richmond przemierzył pokój trzema długimi krokami. Zajrzał do notesu, zerkając zza jej ramienia.

- Chyba powinniśmy sprawdzić wpisy z ostatniego miesiąca przed wypadkiem - podpowiedział.

Przerzuciła strony. Większość notatek była zdawkowa, niektóre nawet zapisane szyfrem. W każdym tygodniu, we wtorek i czwartek, pojawiała się litera E.

Wicehrabia popatrzył na nią pytająco.

- Czy wie pani, co albo kogo oznacza to E?

Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Może chodzi o grę w karty?
  - Pani mąż był hazardzistą? - zapytał łagodnie.
- Lucy starała się nie przybierać obronnego tonu.
- Takim jak większość dżentelmenów.
  - Często przegrywał?

Gdyby tylko to wiedziała - chociaż i tak nie mogłaby zabronić Stanleyowi grać. W końcu trwonił własne pieniądze. Gdyby wiedziała! Przyszedł jej na myśl tajemniczy Thomas Brooks, który chciał zabrać jej dom.

- Nie wiem - odpowiedziała powoli. - Czasami po nocy spędzonej na grze wydawał się przybity, innym razem promieniał radością. Sądziłam więc, że koniec końców przynajmniej wychodzi na swoje. - Popatrzyła na rozmówcę. Dostrzegła w jego oczach ślad powątpienia, który jednak zaraz znikł, zastąpiony wyrazem uprzejmej akceptacji. - Wspominał kiedyś o Watiers - powiedziała. Powróciwszy do przeglądania notesu, przewróciła następną stronę i ze zdumienia aż zamrugała, czym od razu przykuła uwagę Nicholasa. Pochylił się nad notesem. - A co to jest? — Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zapytać. - Zna pan to nazwisko?

Wskazała na notkę *Rockhaven, 14.00*; zapis widniał w piątkowej rubryce.

- O, księżna Rockhaven? Nie przypuszczałem, że pani mąż obracał się w tak elitarnych kręgach.

- Ja także nie! - Lucy pomyślała o najlepszym wieczorowym surducie Stanleya; połatanym w wielu miejscach, z plamą po winie na rękawie, której ani ona, ani Violet nie były w stanie usunąć. Stanley u księżnej? W wytartym surducie?

- Nie wspominał nigdy, że bywa najej salonach?

- Nie! - Lucy nie mogła pohamować poirytowania. Jeśli byłaby to prawda, z chęcią by mu wygarnęła, co myśli o takich tajemnicach. Nagle, z westchnieniem, uzmysłowiła sobie, że to już niemożliwe. Ale dlaczego Stanley tyle przed nią ukrywał? Dopiero w tej chwili dotarło do niej ostatecznie wypowiedziane przez lorda Richmond zdanie.

- Salony? Skąd pan wie, że to były regularne spotkania?

- Bo księżna zawsze w sezonie wydaje przyjęcia. I zawsze w piątek - wyjaśnił.

A on, wicehrabia Richmond, bez wątpienia jest na nich mile widzianym gościem, pomyślała. Spojrzała na elegancką koszulę i doskonale skrojony surdut, trochę oszołomiona emanującą od ich właściciela aurą pewności siebie i męskością. Te lśniące czarne oczy... jak świeżo przeorana żyzna gleba... Stłumiła dreszczyk podniecenia. Stojący obok niej mężczyzna z pewnością jest wpuszczany wszędzie tam, gdzie zechce się zjawić. Nie wyobrażała sobie, by którakolwiek kobieta - utytułowana czy nie - odmówiła sobie przyjemności jego towarzystwa.

- Sądzę, że właśnie od tego powinniśmy rozpocząć - stwierdził, wyrrywając ją z zamyślenia.

- Od czego? - Znowu była skupiona. Dlaczego użył liczby mnogiej?

- Zabiorę panią dzisiaj ze sobą do księżnej. - Skinął głową w stronę drzwi, dając znać, że zamierza wyjść, więc odprowadziła go do schodów.

- Ja, u księżnej? - Poczuli, że wzbiera w niej niepokój. - Nie, nie, ja nie mogę... ja nigdy...

- Powiedziała pani, że pragnie mi pomóc, tak czy nie?

- Tak, ale...

- Przyjadę po panią p piętnastej - zapowiedział, gdy stanęli na szczycie schodów. - Będzie pani mogła popytać o męża, dowiedzieć się czegoś o jego zwyczajach i znajomych. Pani będzie zręczniejsza niż ja. Przecież w końcu ma pani prawo rozmawiać o zmarłym mężu.

- Ja mam iść do księżnej? - wykrztusiła.

Wicehrabia podniósł na nią wzrok.

- Tak, a tymczasem powinna pani napić się brandy.

Zeszli do jadalni, gdzie Violet zostawiła dla nich kieliszki. Wicehrabia napełnił je i podał jeden Lucy.

- Pani zdrowie, madame.

Zapatrzyła się w bursztynowy trunek. Raczej powinna wypić za zachowanie zdrowych zmysłów, pomyślała, bojąc się, że się załamie, jeśli pojawią się nowe, szokujące rewelacje dotyczące jej męża. Co on tam robił na tych salonach? Chyba nie słuchał muzyki ani nie rozprawiał o sztuce. Może po prostu chciał się znaleźć w eleganckim towarzystwie? Ale dlaczego nic jej nie powiedział? Czuła się zraniona, zdradzona i rozgniewana. Westchnęła, próbując odepchnąć od siebie męczące uczucia. Wystarczy jej obecnych zmartwień; nie chce wracać do bolesnych wspomnień z czasów małżeństwa.

- Zobaczmy się za kilka godzin, pani Contrain. - Wicehrabia ukłonił się, a ona automatycznie wyciągnęła do niego rękę.

- Ale... - Ciepły dotyk jego dłoni, nawet tak krótki, wyrwał ją z ponurych rozmyślań. Nie mogąc wydobyć z siebie już żadnego słowa, patrzyła, jak mężczyzna wychodzi. Po chwili usłyszała odgłos zamykających się za nim frontowych drzwi, a następnie cichy zgrzyt; to Violet pobiegła za wychodzącym, żeby zasunąć rygle. Potem wśliznęła się do pokoju.

- Czy wszystko w porządku, psze pani? Tenjegomość... on... e... chyba nie zrobił nic niestosownego, kiedy... e... kiedy byliście sami?

- Nie, nie, lord Richmond jest dżentelmenem - uspokoiła ją Lucy, próbując się nie zarumienić. Odwróciła oczy od wścibskiego spojrzenia pokojówki, myśląc gorączkowo. Czekają wizyta u księżnej. Dobry Boże, co na siebie włoży?

- Violet, chodź ze mną, proszę, na górę. - Odsunęła na wprost opróżniony kieliszek. - Mamy zajęcie.

W sypialni przejrzały zawartość pudła od hrabiny. Jak należy się ubrać na eleganckie przyjęcie? Nie miała najmniejszego pojęcia. Uznała w końcu, że ponieważ ma się odbyć po południu, obiadowa suknia nie będzie odpowiednia. Sięgnęła więc po wieczorową z błyszczącego jedwabiu. Po lekkim zwężeniu w pasie i popuszczeniu na piersiach leżała na niej idealnie. Do tego jeszcze tylko pantofle, które da Violet do wyczyszczenia, i gotowe.

Kiedy służąca wyszła odświeżyć pantofle, Lucy rozprostowała fałdy jedwabnej sukni, żeby pozachwycać się jej miękkością, ale nag-

le przypomniała sobie o podartej rękawiczce. Och, a rękawiczki są tak widoczne. Nie miała ani pieniędzy, ani otwartego kredytu, by móc szybko kupić nową parę. A z gołymi dłońmi nie może pokazać się w towarzystwie.

Wzdychając, poszła po koszyczek do szycia i zabrała się do łątania dziur.

Iglę odłożyła dopiero po półgodzinie. Rękawiczka nie wyglądała idealnie, ale musiało już tak zostać. Do chwili podania herbaty, którą księżna z pewnością zaserwuje, będzie musiała ukrywać ręce. Wyobraziła sobie, jak chowaje za plecami, niczym nieśmiałe dziewczątko. Roześmiała się, choć był to smutny śmiech. Jakby nie dość się denerwowała samym przyjęciem! Już miała wstać, kiedy usłyszała nagły hałas dochodzący z dołu.

Och nie, znowu jacyś włamywacze?

Skoczyła na równe nogi i pobiegła do schodów. Zbiegła po gołych drewnianych stopniach, omal nie wpadając na wielką i przerażającą bestię, która na pierwszy rzut oka najbardziej przypominała niedźwiedzia.

Dobry Boże, czyżby uciekł z cyrku? Lucy sapnęła i wyciągnęła ręce, chcąc się osłonić przed potworem, który rozwarł zaśliniony pysk i wyszczerzył ostre kły. Wyraźnie gotował się, żeby się na nią rzucić.

- Leżeć, Lucyfer! - krzyknęła Violet. - Na ziemię.

Ku zdumieniu Lucy zwierzę posłuchało. Usiadł i wywiesił czerwony jęzor.

- Violet, co to za bestia? - zapytała, kiedy już odzyskała głos.

- Pies. Pożyczyłam go od chłopaka od rzeźnika, psze pani, żeby nas bronił - wyjaśniła pokojówka, wyraźnie z siebie zadowolona. - To nowofundland; rzeźnik dostał go od brata, który jest kucharzem na statku rybackim. Mówi, że to miłe zwierzę, tylko za bardzo wyrosło. Rzeźnik trzyma go teraz na tyłach sklepu i odstrasza nim złodziei.

- Zapewne skutecznie - mruknęła Lucy. - To jest pies?

Miał wielkie cielsko, pokryte czarną i skołtunioną sierścią; sama jego głowa była wielkości kubła na węgiel. Kiedy stał na tylnych

łapach, wzrostem dorównywał Violet. Nadal przypominał niedźwiedzia.

- Jesteś pewna, że potrafisz nad nim zapanować? - dopytywała się Lucy, patrząc niepewnie na drobne ciało służącej i olbrzymiego psa. - Wierzę, że świetny z niego stróż, ale jeśli nas pożre, to jego usługi na niewiele nam się zdadzą.

Violet kiwała głową z zapałem.

- O tak, psze pani. Chłopak rzeźnika nauczył mnie wszystkich komend, a później przyniesie dla niego skrawki mięsa. Poza tym, jak Lucyfer już kogoś pozna, to się na niego więcej nie rzuca.

Lucy chciała w to wierzyć. Głęboko nabrała powietrza i zaraz tego pożałowała. Lucyfer, jak przystało na zwierzę o tym imieniu, nie był za pan brat z czystością.

- Może wyprowadź go drzwiami kuchennymi i zostaw na schodach. Potem zjemy zupę.

- Tak jest, psze pani - zgodziła się Violet. - Noga, Lucyfer. - Wyprowadziła psa.

Kiedy wróciła, zasiadły do stołu i każda spożyła po miseczce cienkiej zupy. Lucy ani na chwilę nie przestawała się zastanawiać, dlaczego Stanley tak wiele przed nią ukrywał. Przecież w małżeństwie powinna obowiązywać szczerłość. Może była wobec męża zbyt uległa? Ale czyby to coś zmieniło, gdyby domagała się od niego większej otwartości? Zapewne powiększyłoby dystans między nimi.

Gdyby tak miała więcej okazji przyjrzeć się innym małżeństwom! Może wtedy by uznała, że zasługuje na lepsze traktowanie. Ale nie znała wielu par. Matka młodo owdowiała, kuzynka Wilhelmina nigdy nie wyszła za mąż. No i, szczerze mówiąc, Lucy była Stanleyowi tak wdzięczna za propozycję małżeństwa - iluż to mężczyzn z chęcią prosi o rękę ubogiej dziewczyny? - że nie wymagała od niego tłumaczenia się z częstych nieobecności. On zresztą twierdził, że to normalne, iż tak wiele czasu spędza w klubach. Mówił, że większość mężczyzn tak postępuje. Wierzyła mu. Teraz jednak wątpliwości, które mimo wszystko zawsze gdzieś się tam w jej umyśle tliły, przybrały na sile i nie dawało się ich już dłużej ignorować.

Niestety, za późno na dywagowanie, co powinna była robić. Pokręciła głową, ale zaraz zamarła w bezruchu, z łyżką w połowie drogi do ust, ponieważ wydało jej się, że słyszy pukanie do drzwi. Siedzący na schodach pies zaczął warczeć.

Włożyła łyżkę do prawie pustej miseczki i skoczyła na równe nogi. Violet popatrzyła na nią z przestachem.

- Ja pójdę, psze pani - zaoferowała się. - Wezmę ze sobą Lucyfera.

- Nie, wcześniej sprawdzę, kto to.

Sięgnęła po grubą laskę, którą podpierała się jej matka, kiedy dokuczały jej stawy, i pospieszyła do frontowych drzwi. Spodiewając się nowych napastników, najpierw wyrzała przez okno salonu. Na schodach stał jakiś chłopak. Był szczupły i nie wyglądał szczególnie groźnie, więc machnęła do oczekującej w korytarzu Violet, żeby otworzyła.

Starła się wsłuchać w szmer głosów, ale niestety nie potrafiła odróżnić słów. Pobiegła do służącej, kiedy tylko ta zamknęła drzwi.

- Czego chciał?

Wtedy zobaczyła, że pokojówka trzyma w rękach małą, porządnie zapakowaną paczuszkę. A to co znowu? Chyba nie następny podarek od hrabiny.

Oczy Violet lśniły z ciekawości.

- Ten posłaniec powiedział, że przysłał go tu jego pan.

Lucy rozerwała brązowy papier i na widok zawartości paczki otworzyła szeroko usta.

Rękawiczki - delikatne, z najlepszej skóry, o różnych długościach i kolorach: białe, beżowe, szare, lawendowe, do każdego rodzaju sukni. Było ich co najmniej tuzin.

- Jest też liścik, psze pani! - wykrzyknęła radośnie Violet.

Odebrała od niej mały kartonik. *Zamiast tych porwanych,,* brzmiała krótka wiadomość. *Pani sługa, Richmond.*

Lucy, czując napływające do oczu łzy, zaczęła mocno mrugać powiekami. Podniosła jedną parę rękawiczek i z zachwytem się jej przyjrzała. Najpierw pogładziła, ciesząc się ich miękkością, potem postanowiła je włożyć; pasowały jak ulał, co było o tyle dziwne, że

przecież rękawicznik nie zdejmował miary z jej dłoni. Czyżby wicehrabia aż tak dobrze się im przyjrzał, że dzięki temu mógł utrafić z rozmiarem? Nie, z pewnością nie; to zwykły zbieg okoliczności. Oczywiście nie powinna przyjmować prezentów od nieznanym, tym bardziej od tego bogatego arystokraty, o którego reputacji nie da się powiedzieć, że jest bez skazy, ale z drugiej strony, jak może odrzucić tak miły gest? Uśmiechnęła się z rozkoszą na myśl, że wreszcie znowu ma czyste i nowe, a nie połatane rękawiczki.

Przyłożyła je do policzka. Postanowiła, że przyjmie dar, jednak, kiedy tylko nadarzy się okazja, wyjaśni wicehrabiemu, jak niestosowne jest robienie takich prezentów dopiero co poznanym damom.

Violet zawołała, że woda na kąpiel jest już gotowa, więc wyrwała się z rozmyślań i poszła na górę. Miała ogromną ochotę na filiżankę herbaty, ale wiedziała, że w domu od dawna jej już nie ma. Westchnęła przeciągle. Gdyby tylko udało jej się dostać część nagrody... Wtedy z pewnością nie cierpiałaby na brak herbaty.

Jakże się zdziwiła, kiedy po jakimś czasie służąca weszła do sypialni z promiennym uśmiechem i postawiła przed nią filiżankę wypełnioną parującym płynem.

- A ja sądziłam, że puszka na herbatę jest pusta?
- Bo to prawda, psze pani...
- Proszę pani - poprawiła ją automatycznie Lucy.
- Proszę pani. No właśnie, bo ja... kiedy szłam po to brandy, zerwałam trochę rumianku ze skweru - wyjaśniła dziewczyna, wielce dumna ze swojej przedsiębiorczości.
- To wspaniale - pochwaliła ją Lucy, na co Violet uśmiechnęła się jeszcze szerzej.
- Lucy upiła łyk naparu i natychmiast się skrzywiła.
- Violet, jesteś pewna, że to rumianek?
- Chyba tak - odparła beztrudno służąca.
- Och, moja droga, zejdź na dół i sprawdź drzwi. Zdaje się, że znowu słyszałam pukanie.
- A ja nie, psze pani - zdziwiła się dziewczyna, ale i tak wybiegła z pokoju.

Jak tylko zniknęła, Lucy natychmiast wylała gorzki płyn do dzbanka po wodzie i szybko odstawiła filiżankę. Ciekawe, ile jeszcze tego podejrzanego zielska naznosiła Violet, zastanawiała się. Miała nadzieję, że nie za wiele.

Wróciła myślami do czekającego ją przyjęcia. Perspektywa wizyty u księżnej ekscytowała ją, ale i niepokoiła. Wprawdzie zawsze marzyła, by więcej udzielać się towarzysko, ale żeby zaczynać aż tak wysoko! A jeśli przyniesie wicehrabiemu wstyd? Wtedy zapewne zrezygnuje z jej pomocy przy rozwiązywaniu zagadki zaginionego klejnotu.

Wolałaby, żeby do tego nie doszło. Poza tym nie chciała ściągnąć na siebie niezadowolenia lorda Richmond. Nie do końca wiedziała, czemu obawia się jego dezaprobaty i dlaczego w ogóle zależy jej na opinii wicehrabiego, niemniej tak właśnie było, a z drugiej strony, cóż w tym dziwnego, że chce zasłużyć na jego szacunek?

Zmęczona rozważaniami, westchnęła i sięgnęła po szczotkę do włosów. Zapewne wicehrabia już wkrótce się zjawi; nie wypada, żeby na nią czekał.

- Nikogo nie było - powiadomiła Violet, wracając do pokoju.
- Przykro mi, widocznie się pomyliłam - mruknęła.

Służąca zajęła się jej włosami, które najpierw porządnie wyszczotkowała, a następnie upięła w kok. Lucy sprawdziła rezultat w lustrze i skinieniem głowy wyraziła aprobatę.

- Dziękuję, Violet.
- Powinna pani zmienić fryzurę, psze pani; jedna pokojówka z sąsiedztwa mówi, że teraz damy z towarzystwa skracają włosy.

Lucy pokręciła głową. Stanley wolał ją w długich i oczekiwał, iż będzie się nosiła bardzo skromnie, niemal jak wdowa. Teraz po prawdzie nie musi się już kierować jego upodobaniami, ale na razie nie będzie niczego zmieniać.

Założyła małe perłowe kolczyki po matce i wsunęła na dłonie nowe rękawiczki. Dobrze się czuła, mając na sobie coś nowego. Jeszcze raz zerknęła do lustra, ale nie miała za wiele czasu na podziwianie swojego wizerunku, bo wkrótce rozległo się pukanie do drzwi.

Tym razem Violet także je usłyszała i spojrzała na Lucy.

- Ktoś puka.  
- Zejdź, tylko najpierw wyjrzyj przez okno z salonu i sprawdź, czy to wicehrabia.

- Tak, psze pani. Czekam panią wyśmienita zabawa - rzuciła na odchodne i wybiegła z sypialni.

Lucy opuściła sypialnię spokojniej, choć ze zdenerwowania serce waliło jej jak młotem. Lord Richmond czekał już w holu i kiedy ją zobaczył, na jego twarzy pojawił się wyraz takiego zachwytu, że nie miała wątpliwości, iż jej wysiłki nie poszły na marne.

- Wyglądasz pani wspaniale, pani Contrain. - Ukłonił się. - Do twarzy pani w tym kolorze.

Zarumieniła się.

- Dziękuję - odparła. - Mam nadzieję, że suknia, którą wybrałam, jest odpowiednia do okazji. Muszę wyznać, że w sprawach mody mam niewielkie doświadczenie

Nicholas uśmiechnął się na tę jej prostolinijność.

- Jestem przekonany, że wywoła pani powszechny podziw.

Uniosła brwi.

- Może i jestem łatwowierna, lordzie Richmond, ale nie aż tak, żeby w to uwierzyć! Jednakże, jeśli tylko nie przyniosę panu wstydu...

Uśmiechnął się do niej ujmująco.

- Nigdy - zapewnił. - Chodźmy. Powóz czeka.

Prowadzona przez wicehrabiego opuściła swoje skromne progi i wsiadła do zgrabnej granatowej karocy, czując się niemal jak królowa. W oknie domu naprzeciwko dostrzegła ruch. Ciekawe, ilu sąsiadów ją teraz obserwuje i co sobie myślą? Pewnie nim zdąży zniknąć za rogiem, po ulicy szerokim strumieniem popłyną plotki! Postanowiła się tym nie przejmować; rozejrzała się po wnętrzu powozu, zachwycając się miękkimi, obitymi aksamitem kanapami i ładnie rzeźbionymi drewnianymi okiennicami. Jeszcze nigdy nie podróżowała tak dobrze wyposażonym ekwipażem.

Wicehrabia usiadł obok niej. Była świadoma jego bliskości tak bardzo, że specjalnie przybrała zdystansowany wyraz twarzy. Wzięła głęboki wdech i natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd.

W nozdrza uderzył ją zapach piżma. Zerknęła na towarzysza i to był jej następny błąd. W ciemnych oczach lorda Richmond wyczytać można było rozbawienie, aczkolwiek niepozbawione życzliwości. Będąc w jego towarzystwie, Lucy ani razu nie miała wrażenia, że się z niej naśmiewa lub z jej błędów, co tak często zdarzało się Stanleyowi.

Odchrząknęła, zanim spytała:

- Czy powinnam o czymś wiedzieć, zanim dotrzemy na miejsce? Na przykład coś na temat księżnej?

Wicehrabia przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nasza gospodyni to kobieta w średnim wieku o dużym poczuciu humoru. Kiedyś była ulubienicą księcia regenta, ale teraz, jak mi się zdaje, są tylko dobrymi przyjaciółmi. Księżę czasami wpada na jej salony, choć z pewnością nieregularnie.

Lucy zamrużyła; wielkie nieba, rzeczywiście znajdzie się w wyborowym towarzystwie. Księża widziała tylko raz w życiu, jako małą dziewczynkę. Przejeżdżał ulicą obok niej i jej matki w eleganckiej karecie. Zapamiętała przystojną, choć lekko pucołowatą twarz i otaczające ją romantyczne długie loki, ale przede wszystkim promienny uśmiech.

- Jaki jest pański plan? To znaczy, co chce pan, żeby tam robiła? - Czego sam nie mógłby uczynić, dodała w myśli. Wprawdzie to ona zaproponowała pomoc w odnalezieniu rubinu, ale nie przypuszczała, że w związku z tym znajdzie się na salonach księżnej.

- Niech pani pogawędzi z gośćmi, dowie się, czy któryś z nich znał pani męża. Bardzo jestem ciekaw, kto wprowadził go do księżnej i w jakim celu - wyjaśnił rzeczowo.

Wskazania były tak oczywiste, że Lucy zawstydzona, iż sama o tym nie pomyślała, zarumieniła się.

- Naturalnie.

Jej zadaniem jest nawiązać kontakt z jak największą liczbą osób... i wypytywać je o męża; zbierać o nim wszelkie informacje, które tak naprawdę powinna sama znać. Przeklęty Stanley - nawet po śmierci udawało mu się stawiać ją w kłopotliwych sytuacjach.

Czuła, że coś mrowi ją w żołądku. Aby uciszyć nerwy, zaczerpnęła głęboko powietrza. Stwierdziła, że opuścili już Cheapside - jak

dla niej stanowczo za szybko - i znaleźli się w bardziej eleganckiej zachodniej części Londynu, gdzie domy były wysokie, szykowne i dobrze utrzymane. Prawie zapomniała o zdenerwowaniu, przyglądając się z zachwytem mijanym po drodze budynkom, placom i skwerom. Po ulicach przemykały wytworne powozy, a chodnikami przechadzali się pięknie ubrani panie i panowie.

Nie dostrzegła jednak nikogo, kto elegancją przyćmiłby siedzącego obok niej mężczyznę. Odwróciła głowę i stwierdziła, że lord Richmond się jej przygląda.

Natychmiast się zmieszła - pewnie wygląda jak prosta wiejska dziewczyna pierwszy raz oglądająca miasto. Czuła, że rumieniec wypływa jej na policzki, i bardzo chciała powiedzieć coś sensownego.

- Czy przyjęcia u księżnej posiadają jakiś motyw przewodni? Może nasza gospodyni interesuje się sztuką lub na przykład polityką? Chyba że są to czysto towarzyskie spotkania?

Wicehrabia zastanowił się nad pytaniem, po czym uśmiechnął się czarująco.

- Przypuszczam, że na przyjęciu usłyszysz pani przede wszystkim ploteczki i różne insynuacje, więc raczej nie liczyłbym na poważne dysputy o sprawach państwowych. Nasza gospodyni lubi dobry żart i zabawne anegdoty.

O nieba! Lucy nie znała żadnych plotek, a tym bardziej zabawnych historyjek. Poczowała grudę w gardle.

Nie miała jednak czasu na roztrząsanie tego problemu, bo w tym właśnie momencie powóz zajechał pod wysoki elegancki budynek, którego szerokie dwuskrzydłowe drzwi opływało przyćmione światło. Kareta stanęła w miejscu, choć konie jeszcze uderzały kopytami o bruk. Stangret odłożył lejce i zeskoczył z kozła. Najpierw otworzył drzwiczki powozu, a potem rozłożywszy schodki, zamarł w oczekującej pozie. Lucy nerwowo zacisnęła dłoń, ale zaraz dumnie uniosła głowę. Dam sobie radę, powiedziała w duchu. Skoncentruj się na poszukiwaniach rubinu, pamiętaj, że walczysz o uratowanie domu, upominała się. Ale w tej chwili przede wszystkim zachowaj

spokój, żebyś się nie zbłądziła gafą i niestosownym zachowaniem. To nie miejsce na oblewanie się herbatą!

Lord Richmond już stał u jej boku i podawał ramię. Z radością umieściła na nim dłoń, modląc się tylko, żeby nie zorientował się, że cała drży.

W drzwiach powitał ich kamerdyner, który odebrawszy kapelusz i rękawiczki od Nicholasa, osobiście poprowadził nowo przybyłą parę szerokimi schodami do salonu.

W jego proggu stał lokaj w eleganckiej liberii i to jemu wicehrabia cicho podał nazwisko Lucy. Sam nie musiał się przedstawiać.

Lokaj gromko wydeklamował:

- Wicehrabia Richmond i pani Contrain.

Lucy poczerwieniała, zastanawiając się, czy tylko sobie wyobraża, że kierują się w jej stronę uważne spojrzenia, czy rzeczywiście tak się dzieje. Była ciekawa, ilu ze znajdujących się w salonie elegancko odzianych gości zna szczegóły związane ze śmiercią jej męża.

Podeszła do nich kobieta o szerokim uśmiechu i jeszcze szerszych biodrach. Szła niespiesznym krokiem, a na jej twarzy widniała łaskawość; to musi być księżna.

- Mój drogi Ramsey. Jak dobrze znowu cię widzieć. Tak długo się nie pokazywałeś!

Nicholas pochylił się nad jej dłonią.

- Rodzinne interesy, bardzo pilne, zmusiły mnie do wyjazdu do Europy. Jestem szczęśliwy, że mogę wreszcie znaleźć się w pani czarującym towarzystwie, wasza wysokość.

Księżna rozpromieniła się, po czym spojrzała na Lucy.

- I pana znajoma. Jestem zachwycona, że mogę panią poznać, pani Contrain.

- Dziękuję - wymamrotała Lucy i wykonała ukłon, pamiętając, żeby był wystarczająco głęboki, odpowiedni do rangi gospodyni i jej wieku. - To dla mnie zaszczyt, że mogłam się tu zjawić.

- Przybyli tu dzisiaj bardzo zabawni goście, lordzie Richmond, ale żaden z nich nie zna tytułu wspaniałych anegdot, co ty. Usiądź obok mnie na sofie i trochę mnie pozabawiaj. Jestem taka znudzona.



Lord ukłonił się, ukradkiem mrugając do Lucy, po czym poszedł za księżną do pobliskiej kanapy.

Pozostawiona sama sobie przy wejściu do salonu, Lucy trochę się de-nerwowała. Wytworny salon był wypełniony dystyngowanie wyglądającymi gośćmi. O Boże, jak bardzo odczuwała brak obycia towarzyskiego. Na chwilę strach prawie ją sparaliżował, ale kiedy uzmysłowiła sobie absurdalność sytuacji, stłumiła go. W końcu, jeśli udało jej się prawie bez grosza przy duszy przeżyć cały zeszły rok, znieść groźby i nękania wierzylieli o zwrot długów, to czy zleknie się teraz tych wytwornych ludzi?

Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się dokoła. Spostrzegła, że po salonie krążą lokaje roznoszący na tacach herbatę, wino oraz pateiy ze smakowicie wyglądającymi kanapkami i ciastami. Postanowiła, że najpierw, zanim zmiesza się z tłumem, zaspokoi głód, dzięki czemu może pozbędzie się wreszcie ucisku w żołądku.

Poprosiła o filiżankę herbaty i pozwoliła, żeby służąca nałożyła jej na delikatny porcelanowy talerzyk drobne ciasteczka i kilka ma-leńkich kanapek. Dopiero po chwili zorientowała się, że mając zajęte obie ręce, nie będzie mogła niczego zjeść.

O nieba! Rozejrzała się za jakimś siedziskiem i w końcu dostrze-gła wolne miejsce tuż obok starszej damy w fioletowo-brązowej suk-ni. Przeszła ostrożnie przez pokój i usiadła obok niej z gracją.

- Czy mogę do pani dołączyć? - Postawiła talerzyk na małym stoliku i wreszcie zamoczyła usta w upragnionej herbacie. - Jak się pani miewa? Nazywam się Contrain.

- Dziękuję, dobrze- odparła chłodno kobieta, wykrzywiając z niesmakiem usta. - Lady Marible. Zapewne słyszała pani to nazwi-sko, ponieważ członkowie mojej rodziny już od siedmiu pokoleń zasiadają w Izbie Lordów.

- To imponujące - mruknęła Lucy, kryjąc uśmiezek. Kobieta kontynuowała wyliczanie dostojnych przodków, lecz Lucy nie bar-dzo się jej przysłuchiwała, zamiast tego sięgnęła po ciastko. Było przepyszne - tak słodkie, jak kwaśną minę miała siedząca obok dama. Kanapki z ogórkiem i kremem z łososia także okazały się smaczne. Lucy zaczęła, aż starsza kobieta zamilknie i powiedziała:

- Muszę przyznać, że lista pani przodków rzeczywiście robi wra-żenie. Jestem przekonana, iż jest pani ich godną kontynuatką. Czy często bywa pani u księżnej?

- Co tydzień - odparła wdowa, potrząsając głową upiększoną trzema strusimi piórami. Przyglądając się jej sukni, kunsztownie wy-kończonej falbanami ramowanymi fioletowymi różyczkami, i dłu-giemu sznurowi pereł na szyi, Lucy miała wrażenie, że w porówna-niu z rozmówczynią jest prawie naga. Pogładziła miękkie fałdy sukni i pewność jej wróciła.

- Księżna zaprasza do siebie tylko samą śmietankę towarzyską, osoby z najwyższych sfer - dodała obcesowo lady Marible. - Na ogół.

Lucy nie przejęła się słowami starszej pani.

- Może znała pani mojego zmarłego męża, Stanleya Contraina? Starsza kobieta się skrzywiła.

- Wątpię. Rozmawiam tylko ze znajomymi.

Słyszac tę idiotyczną odpowiedź, Lucy omal nie zakrtusiła się kęsem kanapki. Jakoś udało jej się go przełknąć.

- A ja uważam, że pogawędki z nieznanymi są ciekawsze.

Lady Marible popatrzyła na nią ze zdumieniem, jakby się zasta-nawiała, czy nie stroi sobie z niej żartów.

- Moim zdaniem ostatnio na salonach pojawia się za dużo hołoty.

Lucy westchnęła. Ta rozmowa donikąd jej nie zaprowadzi.

- A może zna pani hrabinę Sealey? - podsunęła. - Ona także przyjmuje raz w tygodniu i...

- Ach, ta? Kiedy była młodsza, cóż... - Lady Marible zasznu-rowała usta i skrzywiła się, jakby skosztowała niedojrzałej śliwki. - Sły-szałam skandaliczne opowieści na temat tej pani. Nie niżałabym się do tego, by bywać w jej domu.

Lucy zeszywniała. Mogła ignorować osobiste przytyki, ale nie pozwoli, by podawano w wątpliwość honor jej przyjaciółki.

- Jaka szkoda! Hrabina to osoba mądra i wytworna. Poza tym wielce uprzejma oraz lojalna. Być jej przyjacielem to wielki za-szczyt.

Na tę obronną mowę wdowa ze zdumienia aż otworzyła usta.

- Ale...

- Pozostawię panią teraz, by mogła się pani nacieszyć swoją samotnością lub rozmową ze znajomymi. - Lucy dopiła herbatę i wstała. Tak czy inaczej zjadła już przekąski, a towarzystwo nadętej i złośliwej kobiety odebrałoby apetyt każdemu.

Oddaliła się szybko, prawie wpadając przy tym na postawnego mężczyznę, który akurat przeciął jej drogę.

- Och, proszę wybaczyć - rzuciła.

Nieznamy spojrzeli na nią, zmierzyli ją wzrokiem i uśmiechnęli się, jakby był zadowolony z tego, co zobaczył.

- Nie, nie, to moja wina. Powinienem patrzeć, gdzie idę. Carley-Smith, do usług.

- Miło mi - odparła.

Mężczyzna pochylił się do jej dłoni, przytrzymując ją ociupinkę zbyt długo.

- Chyba po raz pierwszy u księżnej? Nie przypominam sobie, bym widział panią wcześniej, a z pewnością zapamiętałbym tak świeżą i śliczną buzię.

Zaczerwieniła się.

- Tak, to moja pierwsza wizyta. Za to być może miał pan okazję poznać mojego zmarłego męża, Stanleya?

Pan Carley-Smith zmarszczył czoło, po czym pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, moja droga. Tak czy inaczej, niech pani pozwoli, że przyniosę jej kieliszek wina. Z pewnością powinniśmy się bliżej poznać.

Wydawał się zachwycony ich spotkaniem, inaczej niż lady Maribelle, ale niestety on także nie przypominał sobie Stanleya. Dławiąc zniecierpliwienie, Lucy przez chwilę pogawędziła z mężczyzną, a kiedy już wypadało, ulotniła się.

Przechodząc przez salon i rozglądając się za następnym rozmówcą, ze zdziwieniem stwierdziła, że dostrzega znajomą twarz. Znajomą, ale niekoniecznie mile widzianą.

- Jestem zaskoczona, widząc panią tutaj - rzekła wyniośle Marion Tennett, mierząc Lucy tak samo chłodnym i nieprzyjaznym spojrzeniem,

jak podczas przyjęcia u pani Morris. - Wydawało mi się, moja droga, że mówiła pani, iż rzadko udziela się towarzysko.

- Jak widać, od czasu do czasu jednak odrywam się od kominka. [jak się pani miewa? - odparła Lucy ostrożnie. Miała do tej kobiety tyle zaufania, ile ćma do pająka przyczajonego na lepkiej sieci. Tym razem przynajmniej wicehrabia towarzyszy nie jej, lecz księżnej, więc nie musi się obawiać, że pani Tennett oskarży ją o monopolizowanie uwagi lorda Richmond.

- Widzę, że porzuciła już pani żałobę. Bardzo rozsądnie - mruknęła Marion z fałszywą słodyczą.

- Dobiegła końca. - Lucy ze spokojem popatrzyła na swoją jedwabną suknię. Nie da wzbudzić w sobie poczucia winy. - Od śmierci męża minął już ponad rok.

- Oczywiście - odparła jej rozmówczyni tonem, który jednak nadal wyrażał dezaprobatę, jakby uważała, że postępowanie Lucy jest nie na miejscu. - To był początek marca, prawda?

- Tak, zgadza się. - Lucy obrzuciła ją uważniejszym spojrzeniem. - Ale skąd pani to wie? Myślałam, że nie znała pani mojego męża? Czy coś sobie pani przypomniała? Może poznaliście się tutaj, u księżnej?

Marion Tennett wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się znacząco.

- Może. Nie przypominam sobie.

Lucy nie poddawała się, czując, że rozmówczyni *coś* ukrywa.

- Przypuszczam, że przychodził tu, aby dowiedzieć się, co się dzieje w towarzystwie i żeby poznać najświeższe plotki.

Stanley rzeczywiście lubił plotki i czasami, gdy był w dobrym nastroju, dzielił się nimi i opowiadał o skandalach w światku arystokracji. Tylko że zazwyczaj nie chciał powiedzieć, gdzie je usłyszał. W klubie, tłumaczył niejasno. Od kolegów przy kieliszku wina. Wiesz, jak to jest.

Pani Tennett wydawała się zdumiona.

- Pani powinna to wiedzieć najlepiej! W końcu to pani mąż!

Lucy poczerwieniała. Gdyby znała Stanleya tak, jak żona powinna znać męża, nie znajdowałaby się w obecnej kłopotliwej sytuacji.

Ale przecież nie mogła wyznać tego obcej osobie, a już z pewnością nie tak wrogo nastawionej jak Marion Tennett.

- Tak, oczywiście - mruknęła. - A pani mąż? Jest tutaj? - Rozejrzała się za niskim, korpulentnym mężczyzną, który towarzyszył pani Tennett na przyjęciu u pani Morris.

Z jakiegoś powodu Marion zmieszała się i zmarszczyła czoło.

- Och, zdaje się, że dostrzegłam znajomego, z którym koniecznie muszę zamienić słowo. - Jej szybkie odejście zdumiało Lucy, ale nie żałowała utraty towarzystwa osoby tak niezrównoważonej.

Zauważyła lokaja ze srebrną tacą pełną kanapek i wzięwszy dwie, jedną ugryzła, a drugą, sprawdzając, czy nikt na nią nie patrzy, wsunęła do torebki dla Violet.

Udało jej się porozmawiać jeszcze z kilkoma osobami, lecz nie licząc pani Tennett, nie natknęła się na nikogo, kto by pamiętał jej męża. Dlaczego nazwisko księżnej znajdowało się w jego terminarzu? Czy Stanley rzeczywiście kiedykolwiek pojawił się u księżnej? Był tu raz czy może więcej niż raz? A jeśli tak, to jak, na Boga, udało mu się zdobyć zaproszenie? Czy ktoś go wprowadził, takjaką wicehrabia? A jeśli, to kto?

Nagle u jej boku stanął sam lord Richmond, wreszcie zwolniony z obowiązku zabawiania księżnej.

- Jakież postępy? - zapytał cicho.

- Jedyna osoba, z którą rozmawiałam i która choć trochę kojarzy Stanleya, to pańska stara znajoma - powiadomiła.

Nicholas uniósł ciemne brwi.

- Pani Tennett. Ta, która wywołała takie zamieszanie na przyjęciu w zeszły poniedziałek - przypomniała bezbarwnym tonem.

Skrzywił się.

- A tak, dostrzegłem ją w tłumie.

- Jestem pewna, że wkrótce pana wyśledzi - ostrzegła. - A co z księżną? Czy pytał ją pan o Stanleya?

- Twierdzi, że nie pamięta, by go poznała, ani nie ma pojęcia, jak to się stało, że dostał zaproszenie na jej salony, jeśli w ogóle. Tyle tylko, że księżna ma bardzo słabą pamięć - dodał szeptem. -

To, że nie pamięta Stanleya, wcale nie oznacza, iż pani mąż tutaj nie bywał.

- Pani Tennett sugerowała, że bywał - poinformowała Lucy. - Jednak nie znalazłam nikogo więcej, kto by to potwierdził. Niech pan spróbuje coś jeszcze od niej wyciągnąć. W końcu ma do pana słabość.

Nicholas znowu uniósł brwi.

- A panią to irytuje?

Lucy pożałowała uczynionej uwagi.

- Oczywiście, że nie. Nic mi do tego, z kim się pan przyjaźni. Życzę panu... pomyślności w kontaktach z panią Tennett.

Uśmiechnął się nieco drwiąco na te słowa, ale zaraz spoważniał, bo Lucy wydała okrzyk satysfakcji.

- A oto i ona!

W ciemnych oczach lorda pojawiło się zniecierpliwienie, które zaraz zastąpił uprzejmym uśmiechem. Odwrócił się i ukłonił nadchodzącej.

- Mój drogi lord Richmond - wymruczała Marion. - Jak wspańiale znowu pana widzieć!

- Jestem zaszczycony - odparł, ale mało entuzjastycznie.

- Usiądźmy i porozmawiamy przez chwilę - zaproponowała pani Tennett, zachęcająco trzepocząc rękami.

- Naturalnie - zgodził się, zerkając na Lucy. - Czy zechce nam pani towarzyszyć, pani Contrain?

- Nie chcę przeszkadzać starym przyjaciołom w rozmowie - odparła lekko. - Proszę mi wybaczyć, ale zdaje się, że widzę znajomą twarz.

Odmaszerowała sztywno wyprostowana. Musi teraz z kimś porozmawiać albo się ośmieszy. Skierowała się do grupy matron stojących pod ścianą i przystanąła przy nich. Jedna z kobiet odwróciła się do niej.

- Witam panią - powiedziała. - Jestem Maldear. Przepraszam, ale zdaje się, że nie zapamiętałam, jak pani się nazywa.

- Contrain - przedstawiła się Lucy. - Szybciej pewnie skojarzy pani to nazwisko z moim mężem, który częściej ode mnie odwiedzał księżną.

- Obawiam się, że nikogo takiego sobie nie przypominam - stwierdziła kobieta. - Może pani mąż nie przychodził tu w celach towarzyskich, lecz po to, by w bibliotece grać w karty z księciem?

To była najbardziej interesująca uwaga, jaką do tej pory usłyszała. Trudno było wyobrazić sobie Stanleya gawędzącego z gośćmi księżnej, za to o wiele łatwiej przy stoliku karcianym.

- To możliwe - zgodziła się Lucy - A czy te karciane spotkania odbywają się co tydzień, podobnie jak przyjęcia?

- O tak - potwierdziła starsza dama, bawiąc się wachlarzem. - Choć, jak mi się wydaje, raczej we wtorki lub czwartki, a nie w piątki.

Lucy zmarszczyła czoło, przypominając sobie, że zapiski w terminarzu widniały pod piątkiem. Gdyby tylko wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć i o co chodziło Stanleyowi? Nadal nie mogła uwierzyć, że mąż miał związek z kradzieżą rubinu. Tego byłoby już za wiele.

Udała, że z zainteresowaniem przysłuchuje się rozmowie toczącej się między matronami, choć opowiadki o obcych osobach były jej zupełnie obojętne. Dlatego też ze znużenia rozglądała się wokół i dzięki temu w pewnej chwili zobaczyła, że zza aksamitnej kotary, kilka kroków od niej, wyłania się starszy dżentelmen.

Wyglądało na to, że wbrew temu, co usłyszała od swojej rozmówczyni, tego wieczoru panowie także urządzili sobie grę. A skoro tak, to rok temu Stanley mógł tu być. Pospiesznie wymamrotała słowa przeprosin, po czym predefilowała przez pokój, chcąc zajrzeć za kotarę. Zanim jednak zdążyła odsunąć, wyłonił się zza niej, prawie się z nią zderzając, niewysoki i korpulentny mężczyzna w średnim wieku o rumianej twarzy.

- Prze... przepraszam - zająknęła się. - Nie chciałam...

Nieznajomy ukłonił się jej niedbale, choć z wdziękiem.

- Nic się nie stało, moja droga. Całą winę biorę na siebie. Mam okropny nawyk niepatrzenia, dokąd idę.

Mężczyzna wydał jej się dziwnie znajomy. Dygnęła, przekonana, że tak swobodnie zachowywać się może tylko ktoś ważny, choć mogła się mylić...

Potem usłyszała okrzyk wicehrabiego.

- Wasza wysokość!

O nieba! Toż to księżę regent we własnej osobie. Lucy zniechęciła, żałując, że jej ukłon nie był głębszy.

Księżę postarzał się od czasu, gdy widziała go ostatnio. Czyli przed wieloma laty. No, ale przecież wszyscy się starzeją, a najbardziej ci, którzy prowadzą bardzo aktywne i ekscytujące życie, obfitujące w skandale, tak jak księżę. Nic dziwnego, że dorobił się wielu zmarszczek na twarzy i że przybyło mu kilka kilogramów. Jednak uśmiech miał nadal tak samo promienny. Właśnie się gromko roześmiał, widocznie z żartu wicehrabiego, z którym gawędził jak ze starym znajomym.

- A twoja piękna towarzyszką? - zapytał, kiedy już się nieco uspokoił. - Musisz mnie z nią poznać, Richmond.

- Oczywiście, wasza wysokość. Proszę pozwolić przedstawić sobie panią Stanleyową Contrain.

Księżę łypnął okiem na Lucy, nagle poważniejąc.

- Contrain? To ten, który twoim zdaniem mógł być wmieszany w... no wiesz...

- Przypuszczalnie wmieszany - zgodził się cicho wicehrabia. - Pani Contrain zaoferowała nam pomoc w rozwikłaniu zagadki.

- Wielkiej zagadki! - wykrzyknął przyszły król Anglii. - Musisz go odnaleźć, Richmond, inaczej będę miał się z pyszna. Jeśli prasa się o tym dowie... tak jakby niewystarczająco zależli mi za skórę!

Wicehrabia machnął ręką, dając znak księciu, żeby ściszył głos.

- Tak, tak, wiem. Jeśli się wyda... - Zamilkł i wyciągnął dużą chustkę, którą otarł twarz pokrytą kropelkami potu. - Zleciłem poszukiwania tuzinowi detektywów i kilku szpiclom z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale jak do tej pory na nic nie wpadli. Wiem, że jeśli w ogóle sprawa jest do rozwiązania, tylko ty potrafisz tego dokonać, Richmond.

Westchnął ciężko.

- No a skoro ta dama postanowiła nam pomóc, znaczy to, że jestem jej dłużnikiem. - Jeszcze raz skłonił się przed Lucy, która

pomyślała, że niczego bardziej by nie pragnęła niż tego, by jego słowa okazały się prorocze.

- Musicie oboje zjawić się u mnie w przyszły wtorek na przyjęciu, które urządza w teatrze. Zapraszam tylko najściślejsze grono znajomych - dodał przed odejściem. - Przyprowadź ją, Richmond.

- Oczywiście, wasza wysokość - zgodził się Nicholas. - Jesteśmy zaszczyceni.

Zaszczyceni? Lucy nie wierzyła własnym uszom. Raczej zaskoczeni. Wizyta u księżnej wystarczająco nadwyrężyła jej nerwy; ma jeszcze gościć u samego księcia? W co, na Boga, wplątał się Stanley?

Czując grudę w gardle, zmusiła się do uśmiechu. Książę uniósł jej podbródek, jakby była dzieckiem.

- Ponętna dziewczeczka - mruknął. - Masz szczęście, Richmond.

Wicehrabia nie skomentował dwuznacznej uwagi, zamiast tego uklonił się księciu, który odszedł, by przywitać się z gospodynią przyjęcia. Lucy odprowadziła go wzrokiem. Jak łany zboża pod naporem wiatru goście jeden za drugim gięli się przed nim w ukłonach.

- Chyba książę nie mówił poważnie, że...

- Jak najbardziej poważnie - przerwał jej Nicholas. - Nigdy nie zdarza mu się przeoczyć ładnej buzi, choć, jak wiem, woli damy starsze i bardziej doświadczone.

Lucy zamrugała, bo nagle oczami wyobraźni zobaczyła krągłą księżnę Rockhaven w objęciach niemniej korpulentnego księcia regenta. Nie wiedziała, czy powinna być oburzona, czy raczej rozbawiona.

Otrząsnęła się i powróciła myślami do rzeczywistości.

- Dowiedział się pan czegoś od pani Tennett?

Nicholas pokręcił głową wyraźnie sfrustrowany.

- Marion albo wszystkiemu zaprzecza, albo insynuuje takie rzeczy, że trudno w nie uwierzyć.

- Widać, że z całych sił stara się rozbudzić w panu zainteresowanie swoją osobą - mruknęła, tym razem jednak pamiętając, by komentarz na temat pani Tennett przekazać obojętnym głosem. - Niestety, mimo że dzisiaj rozmawiałam chyba z większą liczbą osób niż

przez cały zeszły rok, tylko ona, jeśli jej informacje można traktować poważnie, zapamiętała Stanleya.

- W takim razie czas na nas - powiedział Nicholas, uznając chyba, że Lucy jest już zmęczona i ma dosyć przyjęcia. Podeszli do gospodyni, żeby podziękować za zaproszenie i się pożegnać. Po niespełna kilku minutach siedzieli już obok siebie w luksusowym powozie.

Lucy już nie ekscytowała się jego wnętrzem, bardziej skupiona na towarzyszu, którego bliskość mocno odczuwała, mimo że była bardzo zmęczona i zniechęcona, głównie tym, że tak niewiele zdołali się dowiedzieć o Stanleyu. Jeśli dochodzenie będzie dalej toczyć się w żółtym tempie, nigdy nie znajdą rubinu, a ona nie otrzyma swojej nagrody. Potrząsnęła głową, chcąc się pozbyć z wyobraźni wizji wierzycieli dobijających się do drzwi jej domu, zamierzających wyrzucić ją i Violet na ulicę.

Nie wolno tracić nadziei! - zakrzyknęła w duchu. Wjakiś sposób przecież zdobędzie tych tysiąc funtów na spłacenie długu.

## 6

**P**o dotarciu do domu, wicehrabia pomógł Lucy wysiąść z powozu, po czym sam zapukał do drzwi, jednak nikt im nie otwierał.

- Czy służąca jest w domu?

- Powinna być, chyba że znowu poszła po te swoje zioła, które parzy, a potem każe mi je pić - mruknęła Lucy.

Nicholas miał zakłopotaną minę.

- Zioła?

Lucy machnęła ręką i otworzyła drzwi własnym kluczem.

- Pewnie poszła coś załatwić.

Nicholas wszedł za nią do małego holu. Lucy pociągnęła nosem. W domu czuć było dziwny zapach. Czyżby Violet postawiła garnek z cebulą zbyt blisko pieca? Wiedziała, że powinna podziękować wicehrabiemu za eskortę, ale zaniepokojona zapachem...

- Jeśli pan pozwoli, najpierw rozejrzę się po domu - powiedziała. Nie czekając na zgodę towarzysza, pośpieszyła do kuchni.

Kiedy do niej weszła, usłyszała groźne i niskie warczenie. Zupełnie zapomniała o Lucyferze.

Krzyknęła krótko. Lord Richmond przybiegł za nią, ale na widok wielkiego psa, który właśnie się podnosił, stanął w drzwiach jak wryty. Wyglądało na to, że olbrzymi zwierz zamiast stróżować, drzemał do tej pory przy piecu, jednak teraz zamierzał chyba nadrobić chwilową nieuwagę. Szczercząc kły, zrobił krok naprzód, uważnie i podejrzliwie wpatrując się w dwie znieruchomiałe postaci.

- Dobry Boże! - zakrzyknął Nicholas. Chwycił Lucy za ramię i przepchnął ją za siebie. Pies znowu warknął przez pożółkłe kły, łypiąc na nich błyszczącymi ślepiami. Nicholas podniósł rękę.

- Siad!

Lucy zerkała zza jego ramienia. Wiedziała, że nie wolno jej okazywać strachu, bo to tylko rozochoci bestię, ale nie umiała pozbyć się wrażenia, że jest jak owca stojąca przed wygłodniałym wilkiem. A wicehrabia nie miał przy sobie nawet swojej laski.

- Leżeć! - krzyknął stanowczo, ale pies zamiast posłuchać, znowu tylko warknął.

Lucy, mimo że była zmrożona strachem, usilnie starała się przypomnieć sobie komendy, których uczyła ją Violet. Co to były za słowa, zastanawiała się, czując, że z powodu paniki w głowie ma tylko pustkę.

- Siad! - zawołała.

Lucyfer podniósł się i zrobił krok do przodu. Jego warczenie zdawało się wypełniać całą kuchnię.

Lucy wytężyła pamięć.

- Nie, to nie było tak. Cofnij się. Nie. Och, wiem. Ziemia!

Ale zamiast posłuchać, pies rzucił się naprzód.

Rozległy się trzask rozrywanej odzieży i przekleństwo. Wicehrabia, jakby posiadał nadprzyrodzone moce, zdołał odepchnąć od siebie wielki pysk i ciągnąc Lucy, podbiegł do najbliższych drzwi, otworzył je i, kiedy wbiegli do środka, szybko za sobą zamknął, tuż przed złotymi kłami.

Lucyfer z wyciem skoczył na drzwi, które zatrzeszczały groźnie pod naporem jego cielska.

Lucy, napięta jak struna, wstrzymywała oddech. Czuła, że tak samo spięty jest stojący za nią Nicholas. Pies jeszcze raz skoczył, potem dał spokój, ale nie opuścił kuchni.

Cała roztrzęsiona, Lucy oparła się o wicehrabiego, a ten objął ją ramieniem. Stopniowo się uspokajała, aż w końcu podniosła głowę.

Znajdowali się w spiżarni; niewielkiej komórcy wypełnionej półkami z jednym małym okienkiem. Panował w niej półmrok i choć Violet regularnie szorowała półki i kamienną posadzkę, w słabym świetle dochodzącym z okienka widać było wirujące wszędzie kłęby kurzu. Pomieszczenie było przesycone zapachem dawno już spożytego mięsa, solonej ryby, cynamonu, gałki muszkatołowej i cebuli zwisającej na sznurku z sufitu.

Wicehrabia milczał, ale jego ciało nadal wydawało się sztywne. Lucy spojrzała na niego i sapnęła.

- Boże, pan jest ranny! - No tak, oczywiście. Lucyfer zdążył zatopić w nim wielkie kły. - Tak mi przykro, lordzie! Zupełnie zapomniałam, że w domu jest pies. Czy rana jest poważna?

- Nic godnego uwagi - odparł spokojnie.

Ale ona dostrzegła na szarych pantalonach plamę krwi.

- Pan pozwoli, że sprawdzę - rzuciła stanowczo, klękając i ściągając rękawiczki.

- Pani Contrain, tak nie wypada - sprzeciwił się, ale mało zdecydowanym tonem. Wyglądało na to, że jednak ból dawał mu się we znaki.

Zerkając w górę na jego twarz, Lucy przekonała się, że jej podejrzania są mylne, bo lord zdawał się raczej hamować śmiech niż ból, a jego ciemne oczy pobłyskiwały z rozbawienia.

- Niech pan nie zapomina, wicehrabio, że jestem wdową. Miałam już okazję widzieć rozebranego mężczyznę - rzuciła dumnie, hardo unosząc podbródek. - Poza tym nie mam zamiaru patrzeć, jak wykrwawia się pan na moich oczach na śmierć!

Rozsunęła rozdarty materiał i zagryzając usta, obejrzała ranę.

- To tylko... a... - Lord Richmond zeszywniał, kiedy ocierała kropelki krwi. - Mała ranka.

- Pozwolę się nie zgodzić. Rana mocno krwawi. Muszę ją oczyścić i zabandażować - stwierdziła. - Z przykrością muszę pana prosić, lordzie, żeby zsunął pan spodnie.

Nie patrzyła na niego, pewna, że znowu, mimo bólu, w jego oczach zobaczy rozbawienie.

- Rzadko zdarza mi się słyszeć taką prośbę... zwłaszcza w tak dziwnych okolicznościach - mruknął, ale uczynił, jak prosiła.

Lucy nie mogła nie zauważyć, że ma silnie umięśnione uda, a jego skóra jest przyjemnego oliwkowego koloru. Starła się trzymać wzrok z daleka od miejsc intymnych, koncentrując spojrzenie na zranieniach. Nie wydawały się głębokie, choć skóra była rozdarta aż w dwóch miejscach.

- Tak, dziwne okoliczności i nieprzyjemny incydent — rzuciła ponuro. - Niestety przez tę bestię na zewnątrz nie mam dostępu do wody i nie mam czym oczyścić rany, ale... och, jest przecież brandy! - Butelka z alkoholem, zakupiona za pieniądze wicehrabiego, stała na pustej półce. Znalazły się też czyste ściereczki używane do prac w kuchni. To musiało wystarczyć. - Zamierzam przetrzeć ranę alkoholem, a potem ją obandażować - zapowiedziała.

Wicehrabia z powątpiewaniem przyglądał się butelce.

- Okropna strata naprawdę dobrego trunku. Poza tym będzie piekło jak diabli.

- Obawiam się, że tak - zgodziła się. Podała mu alkohol, żeby najpierw znieczulić go od wewnątrz.

- Ostatni łyk skazańca?

Z drwiącym uśmiechem wziął spory haust, po czym zwrócił jej butelkę.

Odebrała ją drżącymi dłońmi i mimo że nie miała zwyczaju pijać tak mocnych alkoholi, tym razem, ze względu na stresujące przeżycia, łyknęła trochę, natychmiast odczuwając w przełyku i żołądku ostre pieczenie. Odkasnęła, po czym wróciła do opatrywania rannego.

- Proszę się nie ruszać - poleciła.

Nicholas skrzywił się, ale zebrał się w sobie. Mimo to, gdy alkohol spłynął na ranę, podskoczył.

- Jeszcze chwilka - pocieszyła go Lucy, sama krzywiąc się ze współczucia. - Najgorsze już za nami, naprawdę.

- Łatwo pani mówić, bo to pani trzyma butelkę! - Nicholas mamrotał coś jeszcze, ale Lucy niespecjalnie się temu przysłuchiwała, zajęta rozdieraniem ścierki na pasy. Owinęła nimi nogę.

- Jeśli nie będzie się pan wiercił, powinno się trzymać - powiedziała i spojrzała na Nicholasa. Pokręciła głową. - Bardzo jest pan bładny, lordzie. Chyba powinien pan usiąść.

- Na czym? - spytał rzeczowo.

Faktycznie w spiżarni nie było żadnego krzesła, skrzyni lub nawet kartonu. Rozglądając się dookoła, Lucy nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Nic mi nie będzie - zapewnił Nicholas, choć twarz szarzała mu coraz bardziej. Oparł się o drzwi. Zaskrzyphiały, na co Lucyfer natychmiast odpowiedział warknięciem. Lucy zadrzała.

- Postoję - mruknął niepewnie wicehrabia.

Lucy z przerażeniem patrzyła, jak wbrew temu, co zapowiedział, nogi się pod nim uginają i z wolna osuwa się na kamienną posadzkę.

O nieba. Opadł ciężko na ziemię. Podskoczyła do niego, uklękła i objęła go ramieniem, próbując pomóc mu utrzymać równowagę - nie chciała, żeby w razie utraty przytomności uderzył głową w twardą posadzkę. Usiadła obok. Przez cienki materiał sukni czuła zimno bijące od podłogi.

- Lordzie Richmond, tak mi przykro! - wymamrotała, nie będąc pewna, czy w obecnym stanie wicehrabia w ogóle ją słyszy. Ale odpowiedź padła natychmiast:

- Musimy bardziej poważnie potraktować naszych wrogów - stwierdził. - Wiedziałem, że są zdolni do zabójstwa, ale nie sądziłem, że będą nas sukcesywnie wyniszczać.

- Och. - Lucy zahała się, ale uznała, że nie czas na ubywanie prawdy. - Z przykrością muszę wyjawić, że... ten potwór na zewnątrz to nie podstęp wrogów, ale pomysł moich przyjaciół, lordzie.

- Ma pani w takim razie niebezpiecznych przyjaciół - oświadczył, a ona z radością przekonała się, że jego głos wydaje się już nieco mocniejszy. Odwróciła głowę, żeby popatrzeć mu w twarz. Kolory powracały na policzki.

- To Violet pożyczyła psa. Od rzeźnika - wyjaśniła szybko. - Jej się słucha, ale mnie nie. Może pomyliłam komendy.

- Lepiej by było, gdyby wysiliła pani pamięć - zasugerował, układając usta do uśmiechu. - Inaczej pozostaniemy tu nie wiadomo jak długo. Nie damy rady tej bestii bez broni... i to dużego kalibru.

Lucy spojrzała na jego zranioną nogę i zadrżała.

- Nie, nie, nie wolno nam skrzywdzić psa. Violet powinna wkrótce wrócić.

Zauważyła, że Nicholas spogląda na puste półki, i zakłopotana faktem, że jest świadkiem jej ubóstwa, dodała pospiesznie:

- Lepiej się pan już czuje?

Zmarszczył czoło. Czuł się okropnie. Noga pulsowała bólem - miał nadzieję, że pies nie ma wścieklizny - a poza tym rzadko w tak fatalnym stanie pokazywał się damom, które to on miał ratować z opresji, a nie odwrotnie. Jednak nie zapowiadało się, żeby Lucy Contrain zamierzała wypominać mu, że się nie sprawdził jako pogromca psa-potwora. Przyglądała mu się z przejęciem, więc żeby ją uspokoić, próbował się uśmiechać. Było mu niewygodnie; opierał się o twarde drzwi i przypuszczał, że kiedy obsuwał się na podłogę, w intymne części ciała weszło mu kilka drzazg. Od posadzki wiało chłodem, a mrok spowijający komórkę wcale nie dodawał otuchy.

Wszystko to jednak się nie liczyło, a to dlatego, że obok siedziała Lucy i tuliła go do siebie. Czuł, że budzi się w nim pożądanie, a przecież chwila zupełnie nie jest odpowiednia. Jednak patrząc na rozpalone policzki obejmującej go kobiety i opadające na jej twarz loki, które wysunęły się z koka, oraz czując jej kształtne piersi, nie potrafił zdusić w sobie przyjemnego napięcia ani przestać rozmyślać, jak jest ponętna.

Przyszło mu na myśl, że bardzo dobrze się stało, iż jest ranny, bo wykorzystując współczucie Lucy, sprawi, że ta, odpuściwszy

niewielką czujność, ulegnie jego wdziękowi i... Niespodziewanie spłynęło na niego uczucie, którego już dosyć dawno nie doświadczał, a które ostudziło nieco jego rozpalony wizjami umysł. Wyrzuty sumienia.

Postąpiłby nieuczciwie, gdyby skorzystał z obecnej sytuacji i uwiódł porządną kobietę, jaką jest Lucy. Chyba zbyt wiele czasu spędzał do tej pory z megierami pokroju Marion Tennett. Zduślił westchnieniem.

- Chyba powinna się pani przenieść na drugi koniec spiżarni - zasugerował.

Lucy poruszyła się i spojrzała na niego z zaniepokojeniem.

- Przepraszam, sprawiam panu ból.

- Nie, wręcz przeciwnie. - Uśmiechnął się do jej ciepłych niebieskich oczu. - Ale niestety pani bliskość zbyt mocno na mnie działa...

Popatrzyła na niego, ze zdumienia szeroko otwierając oczy, po czym nagle na jej policzkach pojawił się uroczy rumieniec, który następnie rozlał się na szyję.

- Ja nie... to znaczy, ja...

- Och, wiem. Chciała pani tylko ostudzić moje czoło, a nie rozbudzić we mnie bestię, podobną do tej czającej się na zewnątrz.

Nadal dochodził ich stukot pazurów krążącego po kuchni psa. Lucy, doskonale wiedząc, o co chodzi Nicholasowi, ponownie się zarumieniła i uznała, że wicehrabia ma rację; nie powinna siedzieć tak blisko niego.

Ale tak wspaniale się czuła oparta o ramię wicehrabiego, z głową ułożoną na jego piersi, czując jego dłonie na swoich. Był taki ciepły i silny; już tak dawno nie... Cóż, te tęsknoty to wyłącznie jej problem.

Przynajmniej jest na tyle przyzwoity, że ją ostrzegł. A ona nie powinna sprawiać wrażenia, że jest otwarta na niestosowne propozycje.

- Chciałam tylko pana podtrzymać, żeby nie uderzył pan głową o twardą posadzkę - wyjaśniła, starając się, by jej głos brzmiał



rzeczowo. Nie zamierzała nawet wspominać o tym, że jego bliskość sprawia jej wielką przyjemność.

- Naturalnie. I jestem pani za to ogromnie wdzięczny. Za oszczędzenie mi bólu zderzenia się z podłogą i za opatrzenie ran - mówił niby to z powagą, ale w jego oczach czaił się śmiech.

Niech go diabli... Przypuszczalnie domyśla się, jak na nią wpływa jego bliskość. Przestała nagle tak bardzo boleć z powodu obrażeń wicehrabiego, mimo że częściowo przyczyniła się do ich powstania.

- Ja nie jestem... ja nigdy...

- Oczywiście, że nie - zgodził się.

Tym razem Lucy mogłaby przysiąc, że w jego oczach pojawiła się autentyczna kpina. Odsunęła się więc trochę, co najmniej na odległość kilku kroków.

- Och, tak jest o wiele lepiej - zapewnił Nicholas z nutką wesołości w głosie.

- Proszę zachowywać się poważnie! - rzuciła ostro. - Gdyby to pomieszczenie było większe, odsunęłabym się znacznie dalej, niestety. ...

Przerwało jej nagłe warknięcie dochodzące zza drzwi. Lucyfer znowu się na nie rzucił, widocznie zaalarmowany jej podniesionym głosem. Podskoczyła i instynktownie wystawiła przed siebie rękę. Nicholas natychmiast ją pochwycił i zamknął w silnym uścisku.

Wcale nie zamierzała się wyswobodzić, woląc w razie ataku potwora, który skokami i drapaniem coraz bardziej nadwerężał stare drzwi spiżarni, mieć koło siebie silnego sprzymierzeńca. Nie czas na dbanie o przyzwoitość, przynajmniej nie w chwili, gdy wielkie psie kły zagrażają jej bezpieczeństwu.

- Nigdy nie przepadałam za dużymi psami - próbowała się tłumaczyć. - Jeszcze gdy byłam dzieckiem, olbrzymi mastiff wpędził mnie na drzewo, na którym potem musiałam spędzić wiele godzin - mówiła drżącym głosem.

Nicholas przysunął się do niej i objął ją ramieniem.

Nie wzbraniała się, bo niespodziewanie dla niej samej uznała, że takie wtulenie się w niego, oparcie mu głowy na piersi jest całkiem

naturalne. Przyszło jej na myśl, że może winą za tę uległość oraz za lekkie zamroczenie, które odczuwała, obciążyć powinna wypitą przed kilku minutami brandy.

- Pani Contrain? Żle się pani czuje? Proszę nie mdleć - usłyszała głos Nicholasa.

- Teraz moja kolej. - Choć później będzie się pewnie rumieniła za te słowa, teraz wydały jej się zupełnie sensowne.

Poczuła pieczenie, kiedy klepał ją po policzkach.

- Och! - Otworzyła oczy. - Dlaczego pan to zrobił?

- Nie chciałem, żeby pani zemdłała - stwierdził stanowczo. - I upadła na mnie.

Zamierzała zaprotestować, ale przerwał jej, zanim zdążyła zebrać myśli.

- Może jeszcze jeden łyk brandy? Zdaje się, że trochę jej zostało.

To chyba niezbyt dobry pomysł, uznała, ale nie powiedziała tego na głos, bo nie była w stanie się odezwać; nadal czuła, że głowa jej ciąży, a pokój wiruje. Skinęła na zgodę i kiedy przystawił butelkę do jej ust, upiła łyk, czując drzenie, gdy mocny trunek dostał się do żołądka i zaczął rozpalać jej wnętrzności.

Zamrugnęła, stwierdzając, że znowu widzi twarz lorda. Wyglądał na szczerze przejętego.

- Proszę wolno i głęboko oddychać... Lepiej?

- Tak, dziękuję. Przykro mi, że ze mnie taki słabeusz. - Chciała się wyprostować, ale Nicholas nie wypuścił jej z objęć.

Rozejrzała się dokoła, po prawie pustych półkach.

- Sądzę, że to osłabienie to wynik głodu i zdenerwowania.

Pomyślała, że powinna zaprzeczyć, ale wymagało to za wiele wysiłku.

- Nieważne - odparła. - Zaraz poczuję się lepiej.

- Tak, moja droga pani Contrain - powiedział tonem innym niż przed chwilą, ale nie umiała ustalić, na czym polega różnica. - Przyrzekam, że pani życie będzie lepsze.

Bardzo delikatnie dotknął jej policzka.

Wtuliła się w jego ciepłą dłoń. Przymknęła oczy, czując, że jej ciało znowu zaczyna drżeć, lecz tym razem z zupełnie innych powodów niż wcześniej. Dłoń Nicholas z policzka przez brwi zawędrowała na czoło i ześliznęła się na drugi policzek, a następnie, co wprawiło ją w jeszcze silniejsze drżenie, zatoczyła koło wokół zarysu jej ust.

Wstrzymała oddech i nawet o tym nie wiedząc, rozchyliła usta i objęła nimi koniuszek palca, dotykając go lekko czubkiem języka.

Nicholas nie poruszył się, ale wyczuwała jego silną reakcję. Na chwilę obydwójce zamarli, jakby grali w pantomimie, po czym wicehrabia drugą dłonią objął jej twarz i przycisnął usta do jej ust.

Pocałunek był namiętny, ale bardziej niż pożądanie wyczuwała w nim prośbę o przyzwolenie. Oddała mu pocałunek bez zastanowienia, w natychmiastowej reakcji na impuls płynący z jej ciała. Przywarła do Nicholas, pragnąc, by wyzbył się wszelkich zahamowań, co też nastąpiło. Wzięła ją w ramiona.

Wsunęła dłonie między ciemne loki na tyle jego głowy i jeszcze mocniej się w niego wtuliła. Dopiero w tym momencie zorientowała się, jak bardzo brakowało jej takiej czułości. Bardziej niż jedzenia. Mimo że jej ciało płonęło, wiedziała, że w grę nie wchodzi samo tylko fizyczne pożądanie.

Czuła, że w Nicholasie pociągają wszystko; jego cyniczne spojrzenie, jego błyskotliwy umysł, a przede wszystkim jego gotowość do chronienia jej. Nie zastanawiał się przecież nawet przez sekundę, kiedy osłonił ją sobą przed Lucyferem.

I choć wprawiło ją to w ogromne zakłopotanie, obudził w niej pożądanie, którego tak naprawdę nigdy wcześniej nie odczuwała...

Oderwali się od siebie dopiero po jakiejś chwili, obydwójce zdyszani. Lucy czuła na policzku łaskotanie włosów, które wysunęły się z koka i opadały luźno wokół głowy. Strzepnęła je, ale znowu opadły, więc Nicholas delikatnie odsunął je na bok.

- Myślę - odezwał się ochrypłym głosem - że jeśli ktoś szybko nas stąd nie uwolni, to zagrażać pani będzie coś więcej niż tylko ta krwiożercza bestia za drzwiami.

- Może po prostu inny rodzaj bestii? - Uniosła brwi.

- Może - zgodził się, pochylając się ku niej.

- Dzięki Bogu - wymamrotała, unosząc głowę, gotowa do następnego pocałunku.

Przerwał im nagły pisk dochodzący zza drzwi. Nicholas odsunął się i nastawił uszu. Lucy, która od razu rozpoznała głos służącej, westchnęła ciężko.

- Psze pani, szybko, Lucyfer trzyma w spiżarni złodzieja! - darła się na całe gardło dziewczyna.

- Lucyfer trzyma mnie w spiżarni! - wykrzyknęła Lucy, starając się pohamować rozdrażnienie. Wprawdzie chciała, aby Violet wróciła i ich uwolniła, ale czy musiało się to stać właśnie w tym momencie? Na ustach nadal czuła ciepło warg Nicholas.

Zerknęła w jego stronę i stwierdziła, że na jego twarzy także rysują się mieszane uczucia, choć starał się przybrać charakterystyczny dla siebie zdystansowany wyraz. Podniósł się i lekko utykając, wyciągnął do niej rękę.

Przyjęła pomocną dłoń i podciągnęła się na nogi. Z żalem uznała, że z Violet i Lucyferem za drzwiami nie wypada im kontynuować miłosnych uniesień.

- Otwórz, Violet! - zawołała. - Ale najpierw przytrzymaj tę bestię!

Służąca pociągnęła za drzwiczki spiżarni, które otwierały się z trudem przy wtórze skrzywienia starych zawiasów, nadwerężonych atakami Lucyfera. W otworze pojawiła się najpierw Lucy, a za nią wicehrabia.

Na jego widok pies warknął, a Violet szeroko otworzyła oczy.

- Mówiłaś, że ten zwierz słucha się komend. - Lucy z niechęcią spojrzała na kudłatą bestię.

- No bo tak jest, psze pani - potwierdziła służąca. - Chłopak od rzeźnika...

- Wiem, wiem, tylko że kiedy powiedziałam „siad”, kompletnie mnie zignorował - poskarżyła się Lucy. - Och, uważaj.

Lucyfer podniósł się i warcząc, wyszczerzył kły. Wyglądało na to, że uważa Nicholas za wroga.

Violet patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie wiem, dlaczego się nie posłuchał, psze pani. Lucyfer, siad! Pies natychmiast opadł na tylne łapy.

- I już wszystko wiadomo - rzucił cicho zza pleców Lucy Nicholas. - Violet wypowiada „siad” twardo, z wymową charakterystyczną dla osób z jej kręgów społecznych.

Lucy nie wiedziała, czy ma się roześmiać, czy zacząć krzyczeć.

- Tak, rozumiem - powiedziała w końcu. I choć widziała, że służąca nadal nic nie pojmuje, postanowiła nie zawstydząć jej wyjaśnieniami. - Violet, może zwrócisz to... to zwierzę rzeźnikowi wraz z gorącymi podziękowaniami?

- Tak, psze pani, jak sobie pani życzy - zgodziła się dziewczyna, choć wyglądała na zawiedzioną. Wyprowadziła psa, który wyszedł za nią posłusznie.

Lucy nabrała powietrza i odwróciła się, by spojrzeć na mężczyznę, który nieomal został jej... kochankiem. Gdyby im nie przeszkodziło... Cóż, lepiej się nad tym nie zastanawiać.

- Powinien pan wrócić do domu i kazać obejrzeć ranę lekarzowi — zasugerowała, mimo że wcale nie chciała, żeby Nicholas sobie poszedł.

Spojrzał na nią.

- Jak się domyślam, sklep rzeźnika znajduje się w pobliżu?

- Tak — potwierdziła.

- To znaczy, że Violet niedługo wróci?

Skinęła głową, lekko się rumieniąc. Jeśli Nicholas myśli...

- W takim razie chyba rzeczywiście już pójdę. Ale wrócę tu jutro, pani Contrain, żeby zaplanować wraz z panią dalsze kroki związane z naszym dochodzeniem.

Już mówi o dochodzeniu, pomyślała z żalem. Z drugiej strony, dlaczego miałby o nim nie mówić? Czas nagli; muszają najszybciej odnaleźć rubin. W grę wchodzi honor wicehrabiego oraz jej przetrwanie. Tak, to jest teraz najważniejsze, a co do zajścia w spiżarni... Cóż, to zwykła pomyłka. Musi zapomnieć o uczuciach, które nią zawładnęły.

Tylko że były takie intensywne...

Zorientowała się, że zbyt długo się nie odzywa, więc chcąc pozbyć się grudy w gardle, przełknęła ślinę.

- Chyba że nie życzy sobie pani dalej uczestniczyć w poszukiwaniach? Lub woli pani czynić to na własną rękę? - zapytał Nicholas trochę zdezorientowany jej milczeniem.

- Och, nie. Jak najbardziej chcę pomóc, proszę w to nie wątpić. - Wyciągnęła do niego dłoń, wmawiając sobie, że to tylko gest uprzejmości, a nie pragnienia dotknięcia go choć na pożegnanie.

- To wspaniale! - Pochylił się nad jej dłonią, niespodziewanie unosząc ją do ust. Poczwała dreszcz przebiegający przez całe ciało. Nim zdołała się opanować i udzielić uprzejmej odpowiedzi, wicehrabia zdążył się już odwrócić i wyjść. Pobiegła za nim, chcąc widzieć, jak wsiada do powozu. Stangret uniósł lejce i odjechali.

Rozejrzała się po ulicy, zastanawiając się, czy sąsiedzi podglądają ją jak zawsze? Miała nadzieję, że nie dostrzegli pokrwawionych i rozdartych spodni wicehrabiego. Plotkom nie byłoby końca.

Po zamknięciu i zaryglowaniu drzwi objęła się ramionami, próbując wyciszyć rozbuchane emocje. Nie wolno jej tak dalej postępować, bo skończy się na tym, że straci reputację albo, co gorsza, zyska, tyle że złą. I choć gdzieś w głębi niej głos mówił, że wicehrabia wart jest utraty szacunku opinii publicznej, nie pozwoliła sobie tego słuchać.

Westchnęła i powróciła do kuchni. Przynajmniej stołek do pieca, usiadła i zapatrzona w kupkę węgla czekającego na Violet, pograżyła się we wspomnieniach z zajścia w spiżarni.

Oprzytomniała dopiero po powrocie służącej, która od razu zabrała się do przyrządzenia czegoś do jedzenia. Lucy wyjęła przemycone z przyjęcia kanapki.

Kładąc je na stole, przypomniała sobie, że ma w perspektywie następne, tym razem z przyjęcia wydawanego przez księcia w teatrze. Zastanawiała się, która z podarowanych jej sukni będzie odpowiednio elegancka na takie wydarzenie. Nagle Violet uniosła głowę.

- Ktoś puka do drzwi, psze pani — powiedziała.

Lucy złapała za grubą laskę i ruszyła do okna w salonie, a Violet do drzwi.

- To tylko jakichś chłopak z paczką. Możesz otworzyć! - zawołała.

Służąca wykonała polecenie. Lucy przysłuchiwała się jej rozmowie z posłańcem, a kiedy skończyli, wyszła do holu. Zobaczyła, że Violet, uginając się pod ciężarem, trzyma w rękach pakunek. W korytarzu roznosił się wspaniały słonawy zapach. Co to może być?

- Jest liścik, psze pani - powiadomiła służąca, ruchem głowy wskazując na karteczkę, którą ścisnęła w dłoni.

Lucy szybko po nią sięgnęła i zaczęła czytać:

- „Moja droga pani Contrain. Jeden z moich dzierżawców przysłał mi świeżo uwędzoną szynkę. Ponieważ sam wybieram się na proszony obiad i nie będę mógł jej spożyć, pomyślałem, że pani zrobi z niej użytek. Wierny sługa, Richmond”.

Co? Jeszcze raz odczytała wiadomość, tym razem na głos i z zażenowania aż poczerwieniała. No tak, wicehrabia mówił coś o tym, że powodem jej zaosłabnięcia może być głód. No i przecież widział puste półki w spiżarni. O nieba. Powinna odesłać przesyłkę. Czuli się okropnie w roli przyjmującej jałmużnę, nawet od Nicholasa, który jest o wiele miłszym człowiekiem, niż to po sobie pokazuje.

Poczuła, że jakby na znak protestu, jej żołądek zacisnął się w kulę. No a poza tym trzeba pomyśleć o Violet; jak długo jeszcze zdoła ją przetrwać na rozwodnionych zupkach i resztkach wykradzionych z przyjęć? Westchnęła.

- Widać, że to mężczyzna i nie zna się na kuchni - zauważyła służąca, nieświadoma wewnętrznej walki, jaką toczy jej pani. - Przecież taka dobrze zakonserwowana szynka nie ma prawa zepsuć się przez jedną noc!

Lucy mimo przygnębienia się roześmiała.

- Oczywiście, że nie. A my chyba powinnyśmy przyjąć prezent i podziękować, jak sądzisz?

- O tak, psze pani - zgodziła się dziewczyna, robiąc wielkie oczy. - Zaraz ukroję kilka plastrów na kolację. - Prawie przefrunęła

do kuchni mimo ciężaru w dłoniach. Lucy uznała, że porządny posiłek można okupić odrobiną upokorzenia. Poza tym, kiedy otrzyma nagrodę za odnalezienie rubinu... Tojej przypomniało, że czas porządnie się przyłożyć do poszukiwań.

Poszła na górę i otworzyła kufer z rzeczami męża, postanawiając jeszcze raz je przejrzeć z nadzieją, że może coś znaczącego wpadnie jej w ręce.

Ale wśród wytartej odzieży i połatanej bielizny, niestety, na nic się nie natknęła. Nie pojmowała, jakim sposobem Stanley znalazł się na salonach u księżnej - jak się tam dostał? Gdyby udało im się to ustalić, może dowiedzieliby się czegoś więcej o sekretnych zajęciach jej męża.

Usłyszała pukanie; ktoś znowu stał za drzwiami. Zamknęła wieko skrzyni i przeszła na podest schodów.

- Najpierw wyjrzyj przez okno! - zawołała do Violet, która już biegła otworzyć.

- Tak, psze pani - potwierdziła służąca, wchodząc do pustego saloniku. - Następny posłaniec - zakomunikowała krótko.

Pospieszyła do drzwi, a Lucy zeszła na dół i dołączyła do służącej akurat w chwili, gdy ta obracała się z trudem, trzymając w rękach wielki kosz wypełniony różnymi wiktuałami.

- Co on znowu wymyślił?! - wykrzyknęła Lucy, nie wiedząc, czy ma być zła, czy raczej płakać z radości na widok bochenków świeżego chleba, słoików z dżemem i z piklami, puszek z przyprawami, kandyzowanych owoców i wielu innych smakołyków.

Tym razem wiadomość brzmiała: *Moja droga pani Contrain, kilka dodatków do szynki. Wierny sługa...*

Doprawdy, wicehrabia ma tupet. Dobiegło ją z kuchni dziwne syczenie.

- Violet, ziemniaki się przypalają! - krzyknęła.

- Kto by się tym przejmował - mruknęła służąca, o mało nie upuszczając kosza, tak się zmieszała własną uwagą. - Ojej, przepraszam, psze pani.

Lucy stłumiła śmiech.

- Wiem, o co ci chodziło. Zabierz to do kuchni i ratuj ziemniaki. Zjemy wczesną kolację.

- Och, tak, psze pani! - z entuzjazmem zakrzyknęła dziewczyna.

Pobiegła do kuchni, a Lucy została tam, gdzie stała, pogrążona w zadumie nad szczodrością wicehrabiego. Nie rozumiała, dlaczego demonstruje światu maskę cynicznego i aroganckiego człowieka, skoro za takiego rezerwą i obojętnością kryje się tak wrażliwe serce. Może jego znajomi wierzą w ten wizerunek, ale ona wie swoje...

Z zamyślenia wyrwało ją ponowne pukanie do drzwi. Nie do wiary. Co teraz? Obrusy i sztućce?

Pamiętając, żeby najpierw wyjrzeć przez okno saloniku, otworzyła drzwi i przekonała się, że na schodach stoi chudy, obdarty ulicznik. Nie trzymał żadnych pakunków, za to podał jej zmiętą kartkę.

- Dziękuję - powiedziała, ale chłopak już uciekł.

Zamknęła drzwi i zarygłowała je, po czym rozprostowała trochę wybrudzony papier.

*Posiadam cenną rzecz, która należy do pani męża. Zobacz ją pani za tysiąc funtów.*

Bez podpisu. Lucy ze zdumieniem wpatrywała się w wiadomość.

Rubin!

## 7

Zrobiły sobie wczesną i obfitą jak nigdy kolację, po której poczuły się senne i ociężałe. Po chwili odpoczynku zabrały się jednak do pracy: Violet pozmywała, a Lucy odstawiła resztę wiktuałów do spiżarni - mimo że się tak objadły, z kosza niewiele ubyło. Kiedy już kuchnia została uprzątnięta, Lucy, widząc, że służącej po pożywnym posiłku kleją się oczy, postanowiła wysłać ją na wcześniejszy spoczynek.

- Ale psze pani - próbowała oponować dziewczyna, choć przy okazji szeroko ziewała. - Przecież muszę pani pomóc zdjąć suknię i wyszczotkować włosy.

- Dam sobie radę sama, dziękuję. Ty idź do łóżka - nakazała stanowczo.

Sprawdziła, czy wszystkie okna i drzwi są porządnie zamknięte, po czym wdrapała się na piętro i poszła do swojej sypialni. Zdjęła suknię, przebrała się w koszulę nocną, umyła twarz, a następnie rozpuściła burzę długich jasnych loków i zabrała się do ich szczotkowania. Myślni cały czas krążyła wokół kartki.

Kto ją przysłał? Z samego rana musi posłać wiadomość do wicehrabiego. Zaczęła się zastanawiać nad tym, którego z okolicznych chłopców udaje się przekonać do długiej przechadzki, za którą zapłaci - miała nadzieję - dopiero wicehrabia. O tak, Nicholas z pewnością wynagrodzi posłańca. Jest przecież taki hojny...

Nie mogła jednak zastanawiać się nad zaletami wicehrabiego, bo sprawa kartki nie dawała jej spokoju. Przede wszystkim wiedziała, że nie chce przyjąć do wiadomości istotnego faktu wynikającego z treści wiadomości: tego, że Stanley musiał być zamieszany w kradzież rubinu. Ale jak to w ogóle możliwe? Jej mąż złodziejem? Nie potrafiła w to uwierzyć. To prawda, że Stanley nie był bez wad: miał przed nią tajemnice, nigdzie nie chciał jej ze sobą zabierać, ale z drugiej strony, był to człowiek o tak konserwatywnych poglądach i sztywnych zasadach, że nie umiała go sobie wyobrazić w roli przestępcy. Przecież każdej niedzieli razem zjawiali się w kościele, a przy łóżku trzymał Biblię!

Bardzo też przejmował się obyczajnością i na przykład nigdy nie zgadzał się, żeby wkładała suknie z mocno wyciętym dekoltem, nieważne jak modny lub akceptowany był to strój. Przystawała na jego kaprysy, bo zazwyczaj nie dotyczyły spraw na tyle poważnych, by chciało się jej o nie wykłócać. Poza tym wiele mu zawdzięczała: ożenił się z nią, choć nikt inny nawet nie chciał na nią spojrzeć, pozwolił jej sprowadzić matkę i zawsze bardzo grzecznie się do niej odnosił, choć z dystansem.

Była mu za to wdzięczna i tak pozostanie. Niestety, miłość i zrozumienie, którego tak bardzo pragnęła, nigdy się między nimi nie pojawiły. Początkowo sądziła, że sympatia i wzajemny szacunek doprowadzą z czasem do zbliżenia. Zamiast tego, im dłużej byli małżeństwem, tym bardziej się od siebie oddalali, aż w końcu ich relacja opierała się wyłącznie na bardzo powierzchownych, acz uprzejmych kontaktach.

Na pewno nie było tak, że Stanley jej nienawidził. Wydawało jej się, że ją nawet lubił, tylko po prostu go nie interesowała. Wprawdzie był wobec niej szarmancki i zawsze grzecznie dziękował, gdy podawała mu z rana śniadanie, i nigdy nie zapomniał przed wyjściem z domu życzyć jej dobrego dnia, jednak na tym się kończyło. No jeszcze czasami zdarzało im się rozmawiać przy obiedzie, lecz najczęściej mówili tylko o pogodzie lub Stanley przekazywał jej różne ploteczki z życia wyższych sfer. Po obiedzie znikał i wracał zazwyczaj dopiero nad ranem, skradając się do łóżka na palcach, żeby jej nie obudzić.

Lucy zupełnie nie wiedziała, jak na to reagować. Wypróbowała wszystko, co tylko jej wpadło do głowy. Na przykład udawała, że śpi, ale oczywiście miała nadzieję, że mąż obudzi ją pocałunkiem. Niestety nigdy się to nie zdarzyło. Stanley przebierał się po ciemku w koszulę, po czym ostrożnie wślizgiwał się do łóżka i natychmiast zapadał w sen.

Kiedy więc dla odmiany zamiast udawać, że śpi, siadała i zapalała lampę, licząc, że może w ten sposób zachęci męża do normalnego przecież w małżeństwie zbliżenia, ten tylko klepał ją po ramieniu, jakby była dzieckiem, pytał o samopoczucie i życząc dobrej nocy, zasypiał.

Przez te jego uniki z dnia na dzień czuła się coraz bardziej zagubiona i coraz mniej atrakcyjna. Wiedziała, że nie jest piękną, ale przecież nie brzydula. Zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego jej własny mąż jej nie pożąda, tym bardziej że zawsze jej się wydawało, że to właśnie mężczyźni przywiązują do tych spraw większą wagę.

Stanley był szczupły i drobnej budowy. Prawie nigdy nie dopisywał mu apetyt, nie mówiąc już o tym, że jego upodobania kuli-

narne nieustannie się zmieniały i raz chciał, żeby przyrządziła mu wykwintne dania, choćby pieczoną baraninę, a kiedy indziej życzył sobie zwykłego gotowanego dorsza. Ale chyba nie wszystko zależy od postury?

Westchnęła. Czy mógł dać się namówić na kradzież? Bo z pewnością sam jej nie zaplanował. No a co z zabójstwem? Stanley był taki łagodny. Naprawdę nie mogła sobie wyobrazić, że byłby w stanie kogoś zamordować. To wszystko nie pasowało do mężczyzny, którego znała... albo myślała, że zna.

Czy to możliwe, że jej mąż miał drugą, inną twarz?

Zdmuchnęła świecę. Uznała, że jej rozmyślenia są całkowicie bezowocne, i postanowiła zmienić bieg myśli, skupiając się na czymś przyjemniejszym. Przypomniała sobie wspaniałą kolację, którą zjadły wraz z Violet, i spiżarnię, pełną po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Niestety, od razu przyszła jej na myśl osoba, której to wszystko zawdzięczała. Potem zalały ją wspomnienia namiętych uścisków i pocałunków w spiżarni...

No tak, teraz to już w ogóle może zapomnieć o śnie. Poprawiła poduszkę i odwróciła się do ściany. Nie, nie, musi natychmiast zabronić sobie tych fantazji. To, że na widok wicehrabiego miękła jej kolana, a serce bije szybciej, nie oznacza jeszcze, że może sobie pozwolić na romans. Przecież doskonale wie, jakie mogą być tego konsekwencje - mogłaby zająć w ciąży, a potem zapewne musiałaby samotnie wychowywać dziecko.

Westchnęła. Zawsze marzyła o dziecku, ale teraz, kiedy nie ma już męża, nie jest to możliwe. Wdowa z brzuchem? Przecież opinia publiczna by ją zniszczyła. Nie mówiąc już o tym, że dziecko musiałoby do końca życia zmagać się z piętnem bękarta. A co by na to powiedziała kuzynka Wilhelmina... Lucy zdrząła na samą myśl. Nawet jej matka, gdyby żyła, nie byłaby z niej zadowolona... Nie, nie, to niebezpieczne, tym bardziej że miała dziwne przeczucie, że bez względu na siłę namiętności i zauroczenia, w końcu zostałaby porzucona.

A to by ją załamało. Instynkt jej podpowiadał, że gdyby pozwoliła sobie pokochać wicehrabiego, nigdy nie potrafiłaby o nim zapomnieć.

Nie umiałyby, tak jak inne kochanki, cieszyć się jego towarzystwem tylko przez chwilę, a potem patrzeć, jak odchodzi, udając się na kolejne podboje. Nie, lepiej trzymać się z daleka od tak niebezpiecznej pokusy.

Przewracała się w łóżku jeszcze przez wiele godzin, które wydawały się wiecznością, aż w końcu zdołała zapaść w niespokojny, ciężki i wypełniony koszmarami sen.

Po obudzeniu za nic nie chciała zagłębiać się w ich treść, zwłaszcza że odniosła wrażenie, że czuje się jakoś inaczej. Mrużąc powieki przed oślepiającymi promieniami słońca przeświecającymi przez cienkie zasłony, zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od śmierci męża otworzyła oczy przepełniona nie przerażeniem, lecz oczekiwaniem. Obawa, która od tak dawna jej towarzyszyła, ulotniła się. Wprawdzie pamiętała nadal, że jest zadłużona, że może stracić dom i żeby tak się nie stało, musi zebrać tysiąc funtów, ale mimo to wypełniała ją nadzieja. I wiedziała, skąd się ona brała. Z myśli, że ma szansę na zdobycie nagrody za odnalezienie klejnotu i okazję na coś, na co zazwyczaj szanowane damy rzadko mogą liczyć - chyba że zostaną guwernantkami lub damami do towarzystwa - na zarobienie własnych pieniędzy!

Choć szanse nie były wielkie, to jednak istniały, jak ostatnia deska ratunku, i właśnie z tego powodu zmienił jej się nastrój.

Usiadła, a gdy w pokoju pojawiła się Violet, wnosząc na drewnianej tacy porcelanowy imbryczek, z którego roznosił się wspaniały aromat, poczuła się jeszcze lepiej.

Herbata, prawdziwa herbata! Cóż za rozkosz! Jakoś zapomniała, że puszka z herbatą była w koszu z żywnością. Violet przyniosła też talerz z plastrami szynki i kromkami chleba posmarowanymi dżemem i miodem.

- Mam nadzieję, że ty też zjadłaś porządny posiłek, Violet? - zapytała, z lubością popijając gorącą herbatę.

- O tak, psze pani - zapewniła dziewczyna, uśmiechając się szeroko. - Mimo to szynki jest jeszcze tak dużo, że starczy jej pewnie na wiele dni, a może tygodni.

- Wspaniale - ucieszyła się Lucy. - Żeby się nie okazało, że zanim ją skończymy, będziemy jej miały serdecznie dosyć.

Violet skrzywiła się powątpiewająco.

- Och, to niemożliwe, psze pani. Jest taka pyszna!

Lucy się nie spierała. Umyła się i ubrała, po czym usiadła, żeby napisać liścik do wicehrabiego, który rozpoczęła od gorących podziękowań za wiktuały. Następnie napisała o wiadomości, jaką otrzymała poprzedniego wieczoru. Wezwała potem Violet, zlecając jej znalezienie jakiegoś posłańca, który zgodziłby się zanieść list do rezydencji wicehrabiego, i wcale nie była zdziwiona, gdy się okazało, że służąca znajęca adres.

- Gawędziłam ze stangretem - wyjaśniała niewinnym głosem.

Lucy skinęła głową, czując, że chyba powinna ją skarcić, ale nie bardzo wiedziała za co.

Po jej wyjściu sięgnęła po pudełeczko z przyborami do szycia, zamierzając zająć się przesywaniem sukien na przyjęcie u księcia, od którego dzieliło ją przecież tylko kilka dni. Była nim jeszcze bardziej przejęta niż wizytą u księżnej. To prawda, że jakoś ją przeżyła, niemniej...

Pukanie do drzwi zmusiło ją do zejścia na dół. Ciekawa, kto chce ją odwiedzić - choć wiedziała, że to nie wicehrabia, bo na niego było jeszcze za wcześnie - wyjrzała przez okno w salonie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że przed drzwiami stoi jedna z sąsiadek.

Poszła otworzyć.

- Pani Broddy, cóż za niespodziewana wizyta?

Nie umiała odgadnąć wyrazu, który malował się na twarzy gościa.

- No właśnie, Lucy, już dawno cię nie odwiedzałam, więc pomyślałam sobie, że wpadnę i dowiem się, jak ci się wiedzie.

Lucy zamrugała powiekami, zdumiona zarówno nieoczekiwanym zainteresowaniem sąsiadki, jak i tym, że nie wiadomo, kiedy ich znajomość stała się tak bliska, że są ze sobą po imieniu.

- To miłe z pani strony. Proszę wejść.

Zmuszona była zaprosić sąsiadkę do jadalni.

- Obawiam się, że salon nie nadaje się w tej chwili na przyjmowanie gości - wyjaśniła. - Napije się pani herbaty? - Dzięki Bogu, że ją ma i może nią częstować!

- Z ochotą - zgodziła się pani Broddy.

- Violet wyszła coś załatwić - kontynuowała Lucy - więc wybacz pani, ale zostawię ją na chwilę samą, muszę postawić czajnik na ogniu.

- Och, nie rób sobie kłopotu - rzuciła sąsiadka. - Powinnaś zatrudnić więcej służby.

- Tak - mruknęła Lucy. - Bez wątplenia.

- Wiem, że po śmierci męża jesteś osamotniona i z pewnością nie chcę zakłócać ci żałoby - zaczęła kobieta. - Ale ponieważ zupełnie przypadkowo widziałam cię w tym tygodniu często wychodzącą z domu, pomyślałam, że zajrzę sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

Ach, to stąd ta poruszająca się zasłona w oknach domu naprzeciwko. Oczywiście, zupełnie przypadkowo. Lucy zrobiła się ostrożniejsza.

- Poproszono mnie o uregulowanie kilku zaległych spraw mego męża, to wszystko - odpowiedziała, starając się nie zarumienić.

- To Stanley miał różne sprawy, które łączyły go z utytułowanym arystokratą? Dziwne. - Pani Broddy nie wyglądała na przekonaną. - Nie wiem, czy wiesz, ale lord Richmond posiada dość wątpliwą reputację...

Ciekawe, jak dużo czasu zajęło jej sprawdzenie, do kogo należy herb widniejący na drzwiach powozu wicehrabiego? Lucy z westchnieniem pomyślała, że zapewne już od kilku dni po jej małej uliczce plotki krążą jak oszałałe. Powinna się była domyślić, że odwiedziny kogoś z wyższych sfer będą w sąsiedztwie szeroko komentowane.

- Przyjmując go u siebie, bez przyzwoitki, narażasz się na podejrzenia o niestosowne zachowanie. Ponieważ twoja droga matka nie żyje, moja kochana, nie waham się udzielić ci rad w jej imieniu...

- Chyba jednak wstawię ten czajnik- przerwała jej Lucy. - Nie chciałabym okazać się niegościnna.

Ale sąsiadka nie dała się uciszyć. Machnęła ręką z lekceważeniem.

- Jeśli chodzi o przyzwoitość, nigdy nie dość ostrożności, sama to dobrze wiesz, moja droga. Twój zmarły mąż doskonale to rozumiał i zawsze bardzo stosownie się zachowywał. Wiem, że nie chciałabyś zniesławić jego pamięci...

Tym razem Lucy podskoczyła na równe nogi.

- Bardzo przepraszam, ale naprawdę nie mam więcej czasu na pogaduszki - powiedziała stanowczo. - Obawiam się, że czeka mnie następna wizyta.

Starsza pani zmarszczyła czoło.

- Nie ma potrzeby się obrażać. Mam na względzie wyłącznie twoje dobro. Jestem przekonana, że gdyby twoja droga kuzynka tu była, zgodziłaby się ze mną.

Lucy pohamowała grymas niechęci. Wilhelmina? Tylko jej tu brakuje!

- Przrzekam pani, że zapamiętam sobie jej rady - zapewniła upartą matronę, choć w myśli dodała, że wcale nie przrzeka się nimi kierować. - Teraz jednak muszę się przebrać, ponieważ zaraz wychodzę.

Pani Broddy podniosła się z wielce niezadowoloną miną. Kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły, Lucy z gniewem tupnęła nogą o podłogę. Jakież to irytujące! Ale przecież mogła się spodziewać, że tak będzie. Po prostu nie powinna się pokazywać w towarzystwie mężczyzny o tak złej reputacji...

O nie. Ten pełen dezaprobaty głos, który słyszy teraz w głowie, wcale nie należy do niej, tylko do kuzynki Wilhelminy. Prawda jest taka, że wicehrabia to człowiek o wielkim sercu, a to, że lubi romanować, nie oznacza jeszcze, że byłby zdolny umyślnie kogokolwiek skrzywdzić.

A może tak go broni, bo sama ma do niego słabość, zastanawiała się. Wprawdzie zaoferowała mu swoją pomoc w poszukiwaniach zaginionego klejnotu, bo zależy jej na nagrodzie, jednak przy okazji bardzo jej odpowiada towarzystwo lorda. Zawsze, gdy go widzi, nastrój jej się poprawia, a serce bije szybciej... Może rzeczywiście padła ofiarą umizgów doświadczonego uwodziciela?



Och, tam do diabła! Poszła na górę do sypialni i sięgnęła po żółtą suknię, którą zamierzała włożyć na przyjęcie u księcia. Potem, zdawszy sobie sprawę, że nie chce, by wicehrabia, gdy się zjawi, zastał ją w sypialni - w miejscu niestosownym do przyjmowania mężczyzn - zniosła ją na dół do jadalni. I tam ją zastała po powrocie Violet, pochłoniętą szyciem i zupełnie samą.

- Zacznę od góry, proszę pani - poinformowała służąca, która trzymała w ręku szczotkę i ścierkę. - Liścik zaniósł chłopak z wazywniaka. Ten to potrafi szybko biegać.

- Dobrze - pochwaliła ją Lucy. - Dziękuję ci.

Dziewczyna skinęła głową i wyszła, a Lucy powróciła do swojego zajęcia. Cały czas jednak nasłuchiwała odgłosów z ulicy, trochę się denerwując, gdy pod domem przejeżdżał powóz albo furmanka.

To śmieszne, że tak się ekscytuje mężczyzną, który ze względu na swoją pozycję społeczną jest dla niej nieosiągalny. Nawet gdyby był zainteresowany małżeństwem - a wydaje się, że nie jest - to i tak nie ożeniłby się z biedną wdową...

Wzdrygnęła się, kłując przy tym w palec. Do diaska! Włożyła go do ust, mamrocząc pod nosem słowa, za które kuzynka Wilhelmina z pewnością by ją zganiła. Dlaczego tak często dzisiaj o niej myśli? Może czuje się winna, choć przecież nie zrobiła niczego złego... No tak, a pocałunki w spiżarni, które, co gorsza, sprawiły jej dużą przyjemność? Gdyby im nie przerwano, mogłoby nawet dojść do... No właśnie, do czego?

Tak się pograżyła w marzeniach, że zupełnie zapomniała o nasłuchiowaniu turkotu powozu. Dlatego też, kiedy rozległo się pukanie do drzwi, aż podskoczyła na krześle, omal znowu nie kłując się w palec. Ze zdenerwowania upuściła igłę. Szybko się jednak pozbierała i już prawie spokojna czekała, aż Violet zejdzie na dół i otworzy gościowi.

Nie trwało to długo i prawie zaraz lord Richmond stanął w drzwiach jadalni. Na jego widok serce jej zamarło. Był taki wysoki i władczy. Ciemne oczy miały inteligentny wyraz i czaiła się w nich wesołość. Podobał jej się nawet cyniczny grymas na jego ustach, którym zresztą coraz mniej się przejmowała...

- Pani Contrain? - Skłonił się.

Spróbowała się opanować.

- Proszę usiąść - zaproponowała z taką godnością, na jaką tylko było ją stać. - Violet, przyrządź nam, proszę, herbatę.

- Tak, psze pani - posłusznie odpowiedziała służąca. Wychodząc, obrzuciła gościa promiennym spojrzeniem.

- Muszę jeszcze raz panu podziękować... - zaczęła Lucy, ale lord machnął ręką i usiadł, sięgnawszy po krzesło.

- Nie ma za co. Jakież poprawki?

Lucy starała się nie zarumienić.

- Och, próbuję się tylko przygotować na nasze następne towarzyskie wyjście. No nie do końca towarzyskie, bo to raczej zbieranie informacji. - Zamilkła, obawiając się, że powie za dużo.

Zobaczyła, że wicehrabia zmarszczył czoło. Czyżby się obawiał, że nie będzie odpowiednio się prezentowała na królewskim przyjęciu?

Zmartwiona tą myślą także zmarszczyła czoło, ale gdy tylko wicehrabia się odezwał, natychmiast zapomniała o kłopotliwej kwestii stroju.

- Ten list z wiadomością - przypomniał. - Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście - odparła. Odłożyła suknię i sięgnęła do kieszeni po zmiętą kartkę.

Wicehrabia uważnie ją przestudiował, dwukrotnie odczytując tekst.

- Jeśli to szantaż - rzekł - to wygląda na to, że szantażysta chce panią najpierw sprawdzić.

- Co pan ma na myśli?

- Nie podał żadnego adresu, pod który można by wysłać okup - wyjaśnił.

- Mnie też to zastanowiło. - Czując się już pewniej, pochyliła się, byjeszcze raz przyjrzeć się brudnej kartce.

- Może się pani spodziewać następnej wiadomości - dodał.

Zadrzała. Myśl, że gdzieś tam ktoś czyha na nią, chcąc zwabić ją w... w co? - nie była najprzyjemniejsza. Zaraz jednak przypomniała

sobie, że przecież nie jest sama, że lord Richmond będzie u jej boku - i strach zelżał.

- Co zrobimy w tej sprawie? - zapytała, dodając zaraz z zakłopotaniem: - Z żalem wyznam, że ja nie... to znaczy...

- Proszę się nie martwić. Wcale nie oczekuję, że wypłaci pani szantażystę te tysiąc funtów- zapewnił. - Sam się tym zajmę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Problem w tym, że suma wymieniona w liście jest zbyt niska.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że jest poważnie zafrasowany.

- Zbyt niska?! Jak dla mnie jest ogromna.

- Owszem, jednak biorąc pod uwagę wartość rubinu, to kwota jest mała. - Zmarszczył czoło, a potem wzruszył ramionami. - Ale naturalnie zapłacimy.

- I nie podpowiemy szantażystę, że powinien zażądać więcej — rzuciła Lucy.

W oczach wicehrabiego widać było rozbawienie.

- Zgadza się, nie chcemy przecież rozbudzać w nim pazerności - odparł już pogodniejszym głosem.

- Jak pan sądzi, kto to może być? - zapytała. - Mam na myśli autora wiadomości.

Wicehrabia pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, ale koniecznie musimy się tego dowiedzieć. Musi być to ktoś, kto w jakiś sposób jest powiązany z kradzieżą, choć... - Zamilkł, zastanawiając się nad czymś.

Lucy westchnęła. Wszystko sprowadzało się do tego, że ostatecznie jej mąż jednak okazał się przestępcą. Lord Richmond o tym nie wspomina, ale tylko przez grzeczność.

- Nadal trudno mi uwierzyć, że Stanley mógł posunąć się do kradzieży - wyznała.

Wicehrabia skinął głową, spoglądając na nią z powagą.

- Jestem przekonany, że to dla pani cios. Bardzo mi przykro.

Pochyliła głowę, zła, że nagle i bez żadnej zapowiedzi w jej oczach pojawiły się łzy. Wicehrabia wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale się chyba rozmyślił. Lucy szybko zamrugała powiekami, walcząc

o to, by nie poddać się napadowi płaczu. Co on sobie o niej pomyśli, jeśli przy każdej okazji będzie się tak łatwo rozrzewniała? Musi być silniejsza, jeśli pragnie wesprzeć wicehrabiego w dochodzeniu. Tego ranka policzyła, ile jeszcze zostało jej dni do uregulowania najważniejszego długu: tysiąc funtów. Inne będą musiały poczekać. Niestety, przy okazji tych wyliczeń znowu ogarnęło ją wrażenie, że zawiśła nad nią gęsta chmura strachu. Trzeba zignorować te zatrwające myśli, jeśli chce zachować opanowanie i spokój, pomyślała.

- Sądzi pan, że kiedy posłaniec ponownie się tu zjawi, powinniśmy go śledzić? - zapytała. - Trudno tylko przewidzieć, kiedy to może nastąpić.

- No właśnie. A niestety nie wypada, abym czatował na niego u pani w domu - stwierdził. - Chociaż tak bardzo zależy mi na odzyskaniu Szkarłatnej Wdowy, że mógłbym nawet rozbić się obozem pod pani drzwiami. Tylko że wtedy byłbym na widoku wszystkich, co mijałoby się z celem.

Lucy pokiwała głową.

- Tak, ma pan rację. Niestety nie mogę zaprosić pana do siebie. Moi sąsiedzi pomyśleliby... - Zamilkła, cała w pasach. Przypomniała sobie porady pani Broddy.

- Oczywiście, wyobrażam sobie - zgodził się. - Sąsiedzi zawsze zakładają najgorsze- dodał nieco drwiąco i z błyskiem wesołości w oczach.

Lucy jednak nie podzielała jego beztroski: matka nieraz jej powtarzała, że reputacji nie wolno lekceważyć.

- W takim razie... - zaczęła, ale przerwała, bo wicehrabia obrócił głowę i gestem dłoni pokazał, by zamilkła. Doszło ich ciche pukanie.

Lord Richmond podniósł się, chcąc podejść do drzwi, ale uprzedziła go Violet. Lucy także wybiegła do holu akurat w chwili, gdy służąca zasuwawała rygle.

- Kto to był? ~ zapytała.

- Jakiś chłopak, psze pani - poinformowała Violet, nieco zdumiona ostrością głosu swojej pani. - Przyniósł następny liścik.

Lucy pochwyciła kartkę, a stojący za nią lord Richmond zapytał:

- Violet, jak wyglądał ten posłaniec?

Dziewczyna zmarszczyła czoło, zastanawiając się.

- Zwykły chłopak z ulicy, jaśnie panie. Trochę obdarty i co dziwne, nie czekał na napiwek.
- Ten sam, który przyniósł poprzedni list?

Skinęła twierdząco głową.

- Tak myślę. Przepraszam, jaśnie panie, ale czajnik gwizdże. - Poszła do kuchni. Lucy stała zapatrzona w kartkę.

*Pszyńieś tysionc funtów do domu z czerwonymi drzwiami w Little Hedding, Hampstead Heath. Dzisiaj o ósmej wieczorem. Pytaj o Eve.*

Nic było podpisu. Skrzywiła się i oddała liścik Nicholasowi.

Przyjrzał mu się uważnie.

- Usiądźmy i zastanówmy się - zaproponował.

Wrócili więc do jadalni, a wicehrabia położył kartkę obok poprzedniej i zaczął je porównywać.

- Co pani widzi? - zapytał.
- Poza tym, że ortografia piszącego nagle się pogorszyła? - spytała. - Papier jest podobny. Ma taką samą fakturę. Co do atramentu, to na obu kartach jest ciemnozielony, ale charakter pisma się zmienił.
- A więc mamy do czynienia z więcej niż jedną osobą - stwierdził ponuro wicehrabia. - Coraz mniej mi się to podoba.
- Jak to? Przecież sam pan mówił, że mamy szansę odzyskać rubin za śmieszna kwotę - zauważyła. - A o to nam właśnie chodzi. I może nawet dostaniemy tę nagrodę od księcia! - zawołała i natychmiast się zarumieniła, zdając sobie sprawę, że ostatnie słowa ukazują ją w niekorzystnym świetle.

Na szczęście wicehrabia spoglądał na nią z życzliwością, choć po jej następnej wypowiedzi wyraz jego twarzy stał się surowszy.

- Pojedziemy tam i...
- Żadne pojedziemy. Nie ma nawet mowy o tym, żeby mi pani towarzyszyła - przerwał jej. - Znam tę okolicę i jeśli się nie mylę, nie jest ona najbezpieczniejsza. Dama, zwłaszcza po zmroku, nie powinna się tam pojawiać.

- Lordzie Richmond - zaczęła stanowczo - nie jestem jakąś tam rozpieszczoną damulką z towarzystwa. Mój ojciec zmarł, kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem i od tamtej pory żyję w biedzie. Zanim zamieszkałyśmy z matką u mojej kuzynki, byłyśmy zmuszone żyć w okolicy, której nikt nie nazwałby dystygowaną.

- Wątpię, żeby przypominała miejscowość wymienioną w liście - upierał się Nicholas. - Przykro mi, pani Contrain, ale niektóre rzeczy nie nadają się dla oczu damy.

- Dobry Boże, jest pan tak samo pruderyjny jak mój mąż! - wykrzyknęła, po czym zagryzła usta. Jej uwaga nie była pochlebna dla żadnego z panów. - To znaczy, miałam na myśli...

- Nie chodzi mi o obyczajność, ale pani bezpieczeństwo - sprostował głosem, w którym wyczuwało się tłumione zniecierpliwienie. Zmrużył oczy. - Żałuję, że muszę ostudzić pani zapał, niemniej nie pozwolę pani tam pojechać.

- Ja także żałuję, ale na całe szczęście nie ma pan żadnego prawa mówić mi, co mogę, a czego nie mogę robić! - wybuchnęła. - Chce pan, żebym sama tam pojechała?

- Z pewnością nie!

- Jedną z korzyści wdowieństwa jest to, lordzie Richmond, że żaden mężczyzna nie może mi niczego nakazać albo zakazać.

Przy okazji przyszły jej na myśl jeszcze inne zalety jej statusu, o których wspominała lady Sealey, ale nie chciała w tej chwili ich rozważać, nawet nie dlatego, że wprawiłoby to ją w zakłopotanie, a raczej dlatego, że była zbyt rozgniewana.

Przez chwilę wicehrabia przyglądał się jej w milczeniu, co ją zirytowało i przypominało, że potrafi być arogancki, o czym przecież przekonała się już przy ich pierwszym spotkaniu.

- Wątpię, aby jakiś mężczyzna mógł zdobyć nad panią kontrolę, pani Contrain - stwierdził w końcu trudnym do określenia tonem. - Na pewno w grę nie wchodzi siła ani przekonująca logika.

Uniosła dumnie podbródek.

- Och, to niesprawiedliwe! Cóż jest nielogicznego w mojej decyzji?

- Przed chwilą ostrzegałem panią, jak niebezpieczna może być podróż do Hampstead Heath, miejscowości pełnej złodziejasków i innych podejrzanych typków. Gdyby była pani rozsądna, przyznałaby, że moje argumenty są racjonalne.

- Obawiam się, że w pańskiej argumentacji istnieje poważna luka. - Pochyliła się ku wicehrabiemu. - Lordzie Richmond, liścik był zaadresowany do mnie. Osoba lub osoby, które go przysłały, zapewne w ogóle nie zdają sobie sprawy z pana istnienia. W gruncie rzeczy, jeśli pojedzie pan sam, może pan nawet wystraszyć szantażystę. A przecież mamy odnaleźć rubin!

Wicehrabia się zawahał.

- Pani Contrain, niech pani zrozumie, że to jest bardzo niebezpieczne.

- Rozumiem! - rzuciła i zadrżała, bo pomyślała o tajemniczym mordercy, który już raz zabił. - Dlatego właśnie będę szczęśliwa, jeśli zgodzi się pan mi towarzyszyć. Gdyby pana nie było, musiałabym jechać sama...

- Nigdy bym na to nie pozwolił! - zawołał z przejęciem.

Słyszając jego ton, z trudem opanowała uśmiech. Gniew minął jej tak szybko, jak się pojawił. Nagle zaczęła być świadoma, że wicehrabia siedzi bardzo blisko i wpatruje się w nią swoim ironicznym spojrzeniem, które - jej zdaniem - pojawiał się w jego oczach zawsze, gdy próbował zatuszować... No właśnie, co?

Pochylił się lekko ku niej, a ciemny lok zsunął się mu na czoło. Zapragnęła odsunąć go na bok i dotknąć oliwkowej skóry.

- Herbata, psze pani - zapowiedziała wesoło Violet, wchodząc do pokoju z tacą w ręce.

- Czy ona to robi specjalnie? - mruknął wicehrabia.

Lucy skrzywiła się, zła, że służąca znowu pojawiła się nie w porę. Posłała lordowi wymowne spojrzenie, po czym przywołała na twarz uprzejmy uśmiech.

Tymczasem niczego nieświadoma Violet krzątała się przy stole, zdejmując z tacy filiżanki, talerzyk z kromkami chleba z masłem i świeżutkie bułeczki, które musiała upiec z samego rana. Zdawała

się być tak zachwycona faktem, iż mają czym poczęstować gościa, choć to on dostarczył wiktuałów, że Lucy nie potrafiła się dłużej na nią gniewać. Zresztą dobrze się stało, że im przerwała, bo jeszcze doszłoby do czegoś, co mogłoby nadważyć jej reputację.

- A więc ustalone - powiedziała, nalewając herbatę do filiżanek. - Jedziemy razem.

Wicehrabia przyjął od niej filiżankę ze zmarszczonym czołem.

- Pod jednym warunkiem: będzie się pani słuchała moich instrukcji.

- Naturalnie - zgodziła się potulnie. Udała, że nie dostrzegła sceptycznego spojrzenia rozmówcy.



Resztę dnia spędziła na poprawianiu sukni, w której miała się zjawić na przyjęciu w teatrze, starając się nie myśleć o czekającej ją wyprawie do nieznannej miejscowości. Pocieszała się tylko, że nie pojedzie tam sama; była zdumiona, jak uspokajająco działała na nią myśl o towarzystwie wicehrabiego.

Przed podróżą jednak zjadły jeszcze z Violet pożywny obiad, składający się z podgrzewanych plastrów szynki i dodatków pochodzących z kosza od wicehrabiego. Spożyły go w jadalni, z czego służąca była wyraźnie bardzo zadowolona, zapewne uznając, że wracają stare dobre czasy. Potem Lucy przebrała się, wkładając jedną ze swoich wdowich sukien, uznawszy wcześniej, że tego wieczoru powinna wyglądać tak skromnie, jak to tylko możliwe, no i wiedziała, że szantażysta spodziewa się wdowy. Wreszcie, już całkiem gotowa, zeszła do holu i chodząc po nim nerwowo, nasłuchiwała powozu.

Kiedy w końcu doszedł ją turkot kół i stukot kopyt, pośpieszyła do frontowego okna, żeby się przekonać, czy to lord Richmond. Wyrzała przez okno i doznała szoku. Zamiast szykownego powozu przed domem stała nieduża i zniszczona dorożka.

Co to, na Boga?

Przeszła do drzwi wejściowych i już miała je otworzyć, gdy rozległo się pukanie. Zawahała się.

- Pani Contrain?

Rozpoznałaby ten głos wszędzie. Szybko odryglowała drzwi. Na stopniach stał wicehrabia.

Nawet w ciemności poznała jego jastrzębi profil. Twarz wicehrabiego oświetlona tylko słabym światłem z korytarza i migotliwym światłem latarenki wiszącej przy dorożce wydawała się surowa i posepna. Może powinnam na niego uważać? - zastanowiła się Lucy. W końcu znam go przecież bardzo krótko. Ale zaraz porzuciła wątpliwości, bo jak zawsze obecność Nicholasa zapewniał jej spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Mimo to nie mogła się pohamować i zapytała:

- Dlaczego przyjechał pan dorożką, a nie swoim powozem, lordzie?

- Bo tam, dokąd się udajemy, szykowny powóz za bardzo przyciągałby uwagę - wyjaśnił. - Jednakże, mimo całej mojej zapobiegliwości, zdaje się, że i tak już wzbudziłem czyjaś ciekawość. W oknie naprzeciwko widzę jakąś twarz.

- Ach, to pani Broddy - mruknęła Lucy. - Moja wścibska sąsiadka. - Spojrzała w górę, unosząc głowę tak, aby kobieta mogła ją wyraźnie zobaczyć, i wesoło do niej pomachała. Zasłonka w oknie natychmiast opadła w dół.

Lucy ruszyła do dorożki, odnosząc wrażenie, że siedzący na koźle woźnica kogoś jej przypomina. Nawet uchylił kapelusza, kiedy przy pomocy wicehrabiego wsiadała do środka pojazdu, który był wysłużony, ale czysty.

- Czy woźnica to pański służący? - zapytała.

Nicholas skinął głową.

- Woźnica jest mój. Tylko dorożkę wypożyczyłem - poinformował spokojnie. - Chciałem mieć pewność, że jeśli zacznie się robić nieprzyjemne, będę miał w pobliżu kogoś, na kim można polegać. Nie byłoby wesoło, gdybyśmy w trudnej sytuacji zostali bez środka lokomocji.

- Na pewno nie! - zgodziła się Lucy głosem, w którym słychać było pewną obawę. Jakoś nagle, gdy już nie mogła się wycofać, zrobiło jej się trochę nieswojo, a jeszcze bardziej zaczęła się niepokoić, gdy odrapana dorożka, mijając ostatnie peryferyjne zabudowanie, wyjechała z Londynu.

Droga, którą podążali, była pusta, oświetlona tylko światłem księżyca, który pojawiał się i znikał za chmurami. Wieczorna bryza szeleściła złowrogo w gałęziach drzew. Widząc, że Lucy drży, lord Richmond dotknął jej dłoni spoczywającej na wytartej kanapie.

- Nic mi nie jest - zapewniła, ale w jej głosie pojawiła się piskliwa nuta. Odchrząknęła. - To znaczy, trochę się niepokoję, ale nie aż tak, żeby... żeby być panu ciężarem. Wolałabym tylko wiedzieć, z kim się spotkamy.

- A tak, nasz tajemniczy szantażysta - mruknął wicehrabia.

Lucy nagle się wyprostowała.

- O Boże, tysiąc funtów!

- Proszę się nie martwić, mam je ze sobą - uspokoił ją Nicholas.

Dopiero teraz dostrzegła duży skórzany portfel wsunięty dyskretnie pod siedzenie obok cienkiej laski.

Na myśl, że tak dużą kwotę - przynajmniej dla niej - będą musieli oddać jakiemuś łajdakowi, zalała ją fala gniewu. Instynkt jej podpowiadał, że należy walczyć, a nie ulegać szantażyście. Wyglądało jednak na to, że teraz nie mają wyjścia. Klejnot powinien trafić do księcia regenta, zaś wicehrabia powinien zidentyfikować zabójcę przyjaciela oraz oczyścić swoje nazwisko. Ona natomiast musi być odważna i zapanować nad lękiem, który teraz nagle ją ogarnął, gdy uświadomiła sobie, na jakie poważne niebezpieczeństwo się naraża.

Wyprostowała ramiona, chcąc dodać sobie tym gestem otuchy. Posiadacz rubinu, ktokolwiek nim jest, był współnikiem Stanleya, i to on zabił przyjaciela wicehrabiego. Bo nie Stanley, tego była pewna. Znowu przebiegł ją dreszcz przerażenia.

Lord Richmond, chyba czytając jej w myślach, posłał jej uspokajający uśmiech, po czym ujął jej rękę, ucisnął ją i uniósł na krótko do ust.

- Nie mogę patrzeć, jak pani cierpi - powiedział. - Czy marną panią odwieźć do domu? Proszę się nie martwić, sam też dam sobie wyśmienicie radę.

Pokręciła głową.

- O nie, nadawca listu spodziewa się mnie, a nie pana. Mógłby się wystraszyć, gdybym się nie pojawiła, i ulotnić, zanim zdążyłby pan odzyskać rubin. - Nabrała powietrza, postanawiając, że już więcej nie będzie pokazywała po sobie zdenerwowania. - Już jestem spokojna.

Akurat kiedy kończyła wypowiadać ostatnie słowo, z ciemności dobiegło ich pohukiwanie sowy. Przerażona tym nagłym dźwiękiem, podskoczyła.

- No, może nie tak do końca, ale prawie. Czy już dojeżdżamy na miejsce?

Wydało jej się, że wicehrabia się uśmiechnął, choć w ciemności zobaczyła tylko błysk jego białych zębów.

- Niestety nie. Został nam jeszcze spory kawałek drogi.

- Och! - zdziwiła się, a przy okazji zmartwiła, bo to oznaczało, że z braku innego zajęcia będzie zmuszona dalej znosić własne niewesołe myśli.

Nagle przyszło jej do głowy, że zna inny sposób na urozmaicenie podróży poza zamartwianiem się. W zaciemnionym powozie kobieta i mężczyzna wcale nie są skazani na nudę. Dobrze, że wicehrabia nie umie czytać w myślach, bo bardzo by się zdziwił, gdyby się dowiedział, co jej chodzi po głowie. Ale i tak nie ma o czym mówić, bo przecież przyrzekła sobie, że będzie się wystrzegała podobnych pokus.

Tylko że wicehrabia nadal trzymał ją za rękę.

Powinna ją dyskretnie wysunąć, ale wcale nie chciała tego zrobić, bo ciepła i mocna dłoń wicehrabiego dodawała jej otuchy. Zresztą dzięki kontaktowi czuła się bezpiecznie. Wprawdzie wicehrabia siedział teraz wygodnie rozparty na wytartym siedzeniu, ale potrafiła sobie wyobrazić, że bez większego wysiłku zdołałby obronić ją przed ewentualną napaścią. Pomyślała, że na tak ryzykowaną wyprawę w nieznaną nie mogła dobrać sobie lepszego towarzysza.

Prawdopodobnie westchnęła cicho, bo poczuła, że lord się poruszył i obrócił głowę, by się jej uważniej przyjrzeć.

- Jest pani pewna, że dobrze się czuje?

- Naturalnie - odparła, choć głos znowu jej lekko zadrżał. Tym razem nie ze strachu. Dorożka natrafiła na wybój i Lucy, z cichym okrzykiem, upadła na wicehrabiego.

- Och, przepraszam. Nie chciałam...

Objął ją ramieniem, żeby pomóc jej się wyprostować. Uniosła twarz, żeby spojrzeć na niego w ciemności, i w tej samej chwili księżyc, który wyłonił się na chwilę zza chmur, wpadł bladym promieniem do środka dorożki. Stwierdziła, że wicehrabia lekko się uśmiecha.

- Wiem... i tym bardziej żałuję. - Słyszac to, lekko wyciągnęła szyję, jakby w geście zaproszenia, a on, opuściwszy głowę, dotknął ustami jej ust.

Pocałunek był krótki - ulotna zapowiedź pieszczoty - po czym wicehrabia się odsunął. Lucy zamiast oburzenia poczuła coś, czego doświadczyła w trakcie krótkiego zbliżenia w spiżarni - podniecenie, tyle że dwakroć silniejsze. Ten mężczyzna rozpałał w niej ogień, którego istnienia nawet się nie domyślała.

Wiedziała, że powinna się wycofać, że wicehrabia nie będzie jej miał tego za złe, nie będzie na nią naciskał. Chodziło jednak o to, że... pragnęła jego pocałunków, pożałowała ich z pasją, która rosła w niej przez cały okres trwania jej jakże w gruncie rzecz cnotliwego małżeństwa... Teraz, siedząc w ciemności, siedząc obok wicehrabiego, odkryła, że nie potrafi znaleźć sił, aby odmówić sobie zaspokojenia niecodziennego głodu.

Sama dosięgnęła jego ust, napała na nie mocno, czując pod wargami słonawe ciepło jego warg. Rozkoszowała się ich dotykiem przez chwilę, gdy nagle ze zdumieniem stwierdziła, że ma w ustach język Nicholasa. Aż podskoczyła. Stanley nigdy czegoś takiego nie robił!

Wicehrabia znowu wsunął język między jej wargi. Uznała to za ogromnie zmysłowe i niesiona namietnością odważyła się zrobić to samo. Nicholas objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. Puls dudnił

jej w uszach. Zapomniała o wszystkich przestrożach, upomnieniach i strachu przed zszarganiem reputacji. Wszystko to rozpułyło się jak masło pozostawione na słońcu.

Uniosła ręce i objęła kochanka za szyję, osuwając się miękko w jego objęcia. Ich pocałunek zdawał się trwać wieczność, a kiedy się w końcu rozdzielili, prawie nie mogła złapać tchu. Nicholas musnął ją jeszcze ustami po policzku, czole i włosach, a ona ze zdziwieniem przekonała się, że tylko ją bardziej tym rozpałał; to straszne - nie, to wspaniałe - że zamiast zaspokajać głód, każdy dotyk tylko go wzmacniał. Jeśli tak właśnie wygląda intymne zbliżenie, to doprawdy bardzo jej tego brakowało!

Dorożka zaczęła zwalniać i wicehrabia uniósł głowę. Lucy westchnęła.

Przeklęty woźnica- dlaczego musieli dojechać właśnie w tej chwili?

Jej towarzysz wyglądał już jednak przez okno, więc poprawiła fryzurę i także przez nie wyjrzała.

- Gdzie jesteśmy?
- Zbliżamy się do wsi.
- Hampstead? - spytała.

Pokręcił głową.

- Nie, nie jedziemy do pijalni wód ani w odwiedzin do pisarzy i artystów. Nasz cel to odosobniona i mało szacowna wioska na obrzeżu Hampstead. Niegdyś rozbójnicy zasadzali się tu na podróżnych zdążających do Londynu, a te spokojne lasy przed nami widziały sporo rozlewu krwi i morderstw popełnianych na niewinnych ofiarach.

- Och! - Lucy zadrżała i rozejrzała się po okolicy z nieco chorobliwym zafascynowaniem, choć na razie widziała tylko wysokie drzewa przy drodze, których gałęzie chwiały się poruszone wiatrem, oraz ciemne niebo nad nimi z szarymi plamami chmur. Przeświecał przez nie księżyc niemal w pełni, a z oddali dochodził przejmujący i trochę niezmierny szept.

Nagle ciemność przeszył inny odgłos, o wiele mniej melodyjny. Głośny pijacki rechot i trzaskanie drzwiami. Drzewa się przerzedziły i przed ich oczami rozlało się wrzosowisko: falisty zielony krajobraz

z porozrzucanymi gdzieś samotnymi kępami krzaków i wysokich traw. Na horyzoncie zamigotały światła małej wioski - kilku chat ustawionych wzdłuż wąskiej drogi. Jedna z nich była większa od pozostałych. Bez większego zdziwienia Lucy stwierdziła, że dorożka zajeżdża właśnie pod ten budynek, który, co dało się zobaczyć dzięki latarni wiszącej u dorożki i dwóm większym zawieszonym po bokach domostwa, miał czerwone drzwi.

Dorożka zatrzymała się, choć konie, parszcząc, jeszcze chwilę dreptały w miejscu. Z wnętrza budynku niosły się w ich stronę odgłosy awanturniczej zabawy. Ktoś coś krzyknął, ktoś inny wybuchnął śmiechem i zaklął, a potem, o dziwo, rozległy się dźwięki pianina - kilka niepewnych i fałszywych nut. Lucy wzięła głęboki oddech.

- Chce pani zostać w dorożce? - spytał lord Richmond. - Po wiem, że zjawiłem się w pani imieniu. To miejsce naprawdę nie jest odpowiednie dla pani.

- Nie. Muszę się tam pokazać. - Lucy się wyprostowała. - To nasz najbardziej obiecujący trop. Szkoda byłoby go zaprzepaścić. Pójdę pierwsza, a pan niech idzie kilka kroków za mną.

Uniósł brwi, ale nie zaprotestował. Wetknął portfel z pieniędzmi pod płaszc, sięgnął po laskę, a następnie, rozejrzawszy się, wysiadł z powozu. Lucy wysiadła za nim. Podeszli pod dom i stanęli przy chropowatych drzwiach. Nicholas pchnął je i odsunął się na bok, robiąc przejście dla towarzyski.

Lucy nie pozostawało nic innego, jak tylko przekroczyć próg. Uczyniła to i znalazła się w świetle, o jakim nawet nie wiedziała, że istnieje. Nigdy wcześniej nie była w miejscu, w którym panowałyby tak rozwinęta atmosfera. W dużym pokoju znajdowało się z pół tuzina mężczyzn, większość wyglądających na upojonych alkoholem. Pomieszczenie było wypełnione mnóstwem stolików, krzeseł i kanap, na których obok mężczyzn leniwie rozpięły się kobiety, niektóre mocno wtulone w swoich towarzyszy, zupełnie jak ona w dorożce w wicehrabiego.

Jakiś pijany jegomość stojący najbliżej drzwi zamrugnął intensywnie powiekami, jakby starał się wyostrzyć widzenie. Był niski i tęgi,

z wypiętym okrągłym brzuchem, a na głowie sterczały mu rzadkie włosy. Miał na sobie białą poplamioną koszulę. Kiedy wreszcie dołąła niewyraźnie dostrzec kobiecą postać w drzwiach, uśmiechnął się szeroko.

- Chcesz kieliszeczek wina, słodziutka? A całusa?

- Nie, dziękuję - odparła Lucy pospiesznie, cofając się o krok. Starła się nie pokazywać po sobie wstrętu ani zaskoczenia.

Mężczyzna, który się do niej odezwał, był akurat kompletnie ubrany, ale reszta towarzystwa nie prezentowała się już tak porządnie. Panowie mieli porozpinane koszule i porozwiązywane fulary, a kobiety prawie przezroczyście suknie z mocno wyciętymi dekoltami. Jedna z nich, siedząca najbliżej wejścia, na widok przybyłej zepchnęła najpierw z piersi dłoń obłapiającego ją jegomościa, wyprostowała się i wbiła w Lucy wrogie spojrzenie. Była rozczochrana, a na jej szyi widniał ciemny siniak. Widząc jej rozpalone policzki, Lucy pomyślała, że kobieta ma chyba gorączkę, skoro jest taka czerwona.

- Czego tu? - wychrypiała ladacznica. - Nie trzeba nam więcej... - Nie skończyła, bo jej wzrok, jakby ciągniony niewidzialną siłą, ześliznął się z Lucy i utknął za jej plecami. Kobieta wytrzeszczyła oczy i szeroko otworzyła usta. Lucy domyśliła się, że jej zachwyty ma związek z pojawieniem się w drzwiach wicehrabiego.

- Och, jakiś ty ładniutki. Chcesz iść na górę? Jestem tu najlepsza, przysięgam!

Na te słowa z kanapy zeskoczyła druga ladacznica o rudych włosach. Podeszła do pierwszej i odepchnęła ją na bok. Ona także była ubrana w prawie przezroczystą suknię, pod którą wyraźnie można było dostrzec zarys jej piersi.

- Nie, nie, wybierz mnie - zapiszczała. - Wyglądasz mi na kogoś, kto się zna na dobrej zabawie! Aja ci ją, złotko, mogę zapewnić.

Ciężko przełykając ślinę, ponieważ nagle zdała sobie sprawę, w jakim miejscu się znalazła, Lucy się wyprostowała.

- Proszę mi wybaczyć, ale...

Przerwała, bo następna kobieta podeszła do pozostałych i wyglądało na to, że zaraz wszystkie zaczną się bić między sobą o po-

tencjalnego klienta. Wicehrabia będzie się musiał opędać od nich laską, pomyślała Lucy, dochodząc do wniosku, że to nie ona, ale lord Richmond powinien być pozostać w dorożce! Bo też pojawienie się tak przystojnego mężczyzny w przybytku rozpusty to jak rzucenie ziaren kukurydzy między stado wygłodniałych kur.

Jednak Nicholas nie stracił głowy.

- Nie, dziękuję, nie skorzystam - odparł chłodno. - Jestem tu z tą damą. - Wprawdzie zaakcentował ostatnie słowo, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Przyłazisz tu z własną kobietą?! - wykrzyknęła ze zdziwieniem jedna ladacznica. - Co z ciebie za dziwadło?

- Czy któraś z pań ma na imię Eve? - przerwała jej Lucy.

Kobiety zwróciły na nią oczy, z których z różnym natężeniem wzywały obrzydzenie i niechęć. Dwie pokręciły przecząco głową.

- Nie, a czego od niej chcesz? - zapytała któraś.

- Dostałam wiadomość, że chce się ze mną widzieć - poinformowała Lucy. - Czy wiecie, gdzie ją znajdę?

- Za informację daję szylinga - dodał wicehrabia, podrzucając monetę.

Oczy kobiet rozbłysły chciwością.

- Jest na górze... Powiem jej, że przysłiście. Tylko ostrzegam, że ona nie zgodzi się na żadne dziwactwa. Za to ja z chęcią się do was przyłączę, jeśli o to wam chodzi.

Lucy milczała, nie rozumiejąc, o czym kobieta mówi, ale odechnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że ladacznica, kołyszając biodrami i rzucając przez ramię wzywające spojrzenia, poszła w końcu w stronę wąskich schodów.

Niestety, zobaczyła też, że chwiejnym krokiem zbliża się do niej chudy jegomość. Na szczęście wicehrabia także to dostrzegł i stanął przed Lucy, co widząc, pijany mężczyzna niechętnie się obrócił i z braku czegoś lepszego zarzucił ramiona na szyję rudowłosej ladacznicy stojącej obok niego. Ta zachichotała i pociągnęła go za sobą do *schodów*. Wtoczyli się na nie z trudem i po chwili zniknęli na górze.



Lucy była sztywna ze zdenerwowania, ale starała się tego po sobie nie pokazywać. W tej chwili jedyne, co chciała zrobić, to wymknąć się z tej podejrzanej spelunki frontowymi drzwiami i jak najszybciej powrócić do Londynu. Pamiętała jednak, że jest tu, bo grozi jej utrata domu, i żeby go zachować, musi otrzymać nagrodę za odnalezienie rubinu. Pocieszyła się więc w duchu, że przecież zaraz spotkają się z szantażystą, a potem natychmiast opuszczą dom schadzek. A tymczasem dziękowała Bogu, że wicehrabia jest przy niej i groźnym spojrzeniem odstrasza wyraźnie nią zainteresowanych podchmielonych mężczyzn.

Na szczęście ich misja dobiegała chyba końca, bo na szczycie schodów pojawiła się postać trzymająca w ręku świeczkę. Kobieta wyglądała na młodszą od swoich koleżanek, ale tak jak one miała nieprzyjazne, twarde spojrzenie.

- Mnie szukacie? - zapytała przez zaciśnięte usta. Jej głos nie brzmiał tak wulgarnie jak głosy reszty kobiet. Lucy pomyślała nawet, że gdyby jej nie widziała, odniosłaby wrażenie, że rozmawia ze zwykłą wiejską dziewczyną. Jednak po przyjrzeniu się ostrym rysom nieznamomej doszła do wniosku, że nawet jeśli dziewczyna rzeczywiście pochodzi ze wsi, to już dawno o tym musiała zapomnieć.

- Nazywasz się Eve? Ty mnie wzywałaś? - Lucy pokazała liścik, który wyjęła wcześniej z kieszeni.

Dziewczyna przymrużyła oczy. Obejrzała się przez ramię, a potem zamarła w bezruchu, jakby się nad czymś zastanawiając. W pokoju rozległ się głośny śmiech.

- Lepiej wejdźcie na górę - rzuciła.

Lucy zerknęła w stronę wicehrabiego, który stał za nią z dość ponurą miną. Mimo to jego obecność dodawała jej odwagi, więc ruszyła w stronę schodów, wiedząc, że lord za nią pójdzie. Kiedy znaleźli się na piętrze, Eve poprowadziła ich ciemnym korytarzem do maleńkiej sypialni, która znajdowała się w jego połowie. W środku stało tylko łóżko z rozrzuconą, brudną pościelą.

- Możemy porozmawiać tutaj - powiedziała dziewczyna, odstawiając świeczkę pachnącą tanim woskiem i opierając się o ścianę.

W przeciwieństwie do kobiet z dołu wydawała się być zainteresowana wyłącznie osobą Lucy. Złożywszy ramiona, taksowała ją wzrokiem od stóp do głów, przez co Lucy poczuła się dziwnie, była nawet urażona. Ale nie, to nie moment na upominanie się o grzeczność, więc zdusiła w sobie urazę.

Poza tym sama także była ciekawa rozmówczyni. Eve, choć młoda, miała bujną figurę i duży biust. Wjej brązowych włosach przeświecały czerwone pasemka, zrobione chyba henną. Policzki grubą warstwą pokrywał róż. Mimo słabego oświetlenia wyraźnie było widać, że dziewczyna ma podkrążone oczy i jest spięta, choć starała się to ukryć.

Lucy popatrzyła w stronę rozgrzebanego łóżka. Pościel wydziełała stęchły zapach, podobnie jak cały pokój. Nie było tu krzeseł, ale postanowiła, że woli stać niż zaryzykować kontakt z brudnymi prześcieradłami.

- To ty do mnie napisałaś?

Eve skinęła głową.

- Tak, ja. W końcu mnie też się coś należy - rzuciła zaczepnie w odpowiedzi. - Poza tym nie proszę przecież o wiele, a pani jest bogata.

Na te słowa Lucy roześmiała się smutno w duchu; dziewczyna musiałaby długo czekać, gdyby to ona miała jej wypłacić żadaną kwotę.

- No dobrze. Ale powiedz, co dostanę w zamian? - zapytała. - Masz przy sobie to, o czym pisałaś w liście?

- Co za głupie pytanie? - Z jakiegoś powodu dociekania Lucy zdenerwowały dziewczynę. Odwróciła na chwilę wzrok, rzucając za siebie ukradkowe spojrzenie.

- To bardzo ważne. Musimy jak najszybciej zlokalizować ten... cenny przedmiot, który pozostawił ci mój mąż - pospieszyła z wyjaśnieniami Lucy.

- Chcecie mi go odebrać? - Eve wydawała się zdumiona i zaniepokojona. Szeroko otworzyła oczy.

- Oczywiście, że tak.

- Ale po co?

Lucy się zmieszała.

- Wiesz przecież, że nie należy do ciebie. Musimy go zwrócić właścicielowi.

- Liczyłeś na to, że weźmiesz pieniądze i zatrzymasz to, co ukradłeś? - wtrącił się Nicholas. - Nie jesteśmy aż tak naiwni!

Dziewczyna na jego ostre słowa nieco się skuliła, ale zaraz wzięła się w garść i pokręciła głową.

- Co to znaczy, ukradłeś? Nie zamierzam go oddawać, inaczej w ogóle bym do pani nie napisała. Nie pozwolę... Chcę tylko trochę pieniędzy. Stanley powinien być zostawić mi coś, żeby pomóc mi...

Lucy, słysząc ostatnie zdanie, nagle przestała się zastanawiać nad brakiem logiki w wypowiedziach dziewczyny.

- Chcesz powiedzieć, że dobrze znałaś mojego męża?! - zakrzyknęła.

Przez chwilę na ustach Eve gościł uśmiezek wyższości.

- O tak, znałam go.

Lucy z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała, że powinna poczuć się w tej chwili zaszokowana, oburzona, może zraniona, ale mąż był jej tak obcy... coraz bardziej obcy z każdą nową rewelacją na jego temat. Sama już nie wiedziała, co powinna czuć. Niemniej nie obrażała sobie Stanleya w tym domu schadzek.

- Często się spotykaliście?

- A skąd miałabym to... o czym napisałam w liście? - mruknęła Eve, przewracając oczami.

Lucy chciała poniechać dalszych pytań, ocalić resztki godności, niestety słowa same wystrzeliły z ust.

- Dlaczego on tu bywał?

- Jak to, dlaczego? O co paniusi chodzi? - Eve wpatrywała się w Lucy ze szczerym zdumieniem. -A po co, według pani, mężczyźni przychodzą do takich miejsc?

W tej chwili na korytarzu rozległy się ciężkie kroki i dziewczyna ściszyła głos.

- O, do diabła. Posłuchajcie, dajcie mi te pieniądze, a ja was wyprowadzę tylnymi schodami. Nie podałam mu pani adresu, nawet

kiedy kazał mi posłać ten drugi list. Wiem, że Stanley nie chciałby, żeby stała się pani krzywda. Naprawdę warto zapłacić... zresztą Stanley też by tego chciał. O, do diaska!

Drzwi otworzyły się z hukiem.

- Dlaczego, dziwko, nie powiedziałaś, że przyjechali! -W progu stał mężczyzna. - Chcesz wszystko zatrzymać dla siebie, tak?

Lucy poczuła, że serce przestało jej bić.

## 8

Wicehrabia wystąpił naprzód i ściągnął groźnie brwi, jakby miał do czynienia tylko z podpitą handlarzyną, a nie mężczyzną wielkim jak piec.

Nieznajomy był barczysty i miał dłonie jak dwa bochny chleba. Zbyt krótkie w porównaniu z tułowiem nogi sprawiały, że przypominał wyrosniętego karła. Ale i tak wzrostem dorównywał lordowi. Nad ciemnymi oczami, prawie je przysłaniając, jedną długą linią ciągnęły się krzaczaste brwi wyrastające z wypukłego czoła. Wyglądem przypominał potwora, a nie istotę ludzką.

Lucy, ogarnięta strachem, chciała wołać o pomoc, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że nikt im tujej nie udzieli.

Zdumiała się, słysząc, że wicehrabia przemawia do nieznajomego całkiem spokojnie, jakby nic złego się nie działo.

- Nie przypominam sobie, żeby łączyły nas interesy.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Wszystko, co tu się dzieje, jest moim interesem. I zawsze dostaję z łupów lwią część, rozumiesz?

- Och, jak najbardziej. - Lord Richmond skinął głową. -Ale czy się z tym zgadzam, to już inna historia.

- Co? - Twarz mężczyzny skurczyła się w prawie komicznym grymasie zdumienia. Zamrugnął powiekami i zrobił krok naprzód. - Możesz sobie wziąć te swoje wytworne słówka i wsadzić tam, gdzie

ich miejsce, wymuskany gogusiu, a ja i tak zabiorę ci to, co kryjesz pod tym eleganckim płaszczykiem!

Lucy z przerażenia zrobiła krok do tyłu, uderzając przy tym nogami o brzeg łóżka. Cudem udało jej się utrzymać równowagę.

Wicehrabia natomiast zrobił krok do przodu, posyłając w stronę przeciwnika, który mianował się właścicielem przybytku, groźne spojrzenie.

- Dostaniesz pieniądze, ale dopiero, kiedy zobaczę, co masz w zamian - odparł wciąż opanowany.

- Jace, proszę. Nie rób nic głupiego. Dam ci twoją połowę...! - zawołała Eve piskliwym ze strachu głosem.

- Mam gdzieś połowę. Chcę wszystko, ty głupia dziewucho. Myślisz, że po co kazałem ci pisać do tych bogatych dupków? - Wykrzywił się tak, że już w ogóle nie przypominał ludzkiej istoty.

Lucy, zeszywniała z przerażenia, zastanawiała się, czy uda im się ująć z życiem z tej spelunki. Domyślała się, że ogromny Jace ma podobnych mu towarzyszy, których w każdej chwili może zawołać. Ona i wicehrabia mogą liczyć tylko na woźnicę, który jest daleko i nie usłyszy ich wołania, a poza tym to starszy mężczyzna, mający swoje najlepsze lata już za sobą.

- Niechże pozwoli nam pan spokojnie opuścić ten dom - odezwał się wicehrabia. - Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

- Może dla ciebie! - Jace znowu zrobił krok naprzód, zatrzymując się tuż przed nim.

Lucy wstrzymała oddech.

Olbrzym wyciągnął ramię z dłonią jak połec szynki i chwycił wicehrabiego za klapę płaszcza.

- Jeśli chcesz wyjść stąd żywy, najpierw musisz dać mi to, co masz pod płaszczem i resztę cennych przedmiotów. Może nawet będę tak wspaniałomyślny, że puszcze tę damę wolno. Chociaż przydałaby mi się taka ładnusia twarzyczka do kompletu.

Lucy aż się zachłusnęła z przerażenia.

- Niech pan nie miesza do naszej rozmowy tej pani. - Wicehrabia patrzył na właściciela zajazdu jak na odrażające robactwo. - I pro-

ponuję, żeby zabrał pan te brudne łapska. Mój krawiec nie byłby zadowolony, gdyby zobaczył, jak pan traktuje jego dzieło. Niech pan powie, gdzie jest nagroda, po którą przyjechaliśmy?

Jace zacharczał; być może miał to być śmiech.

- Z wielką przyjemnością, wasza lordowska mość, ale dopiero, kiedy spotkamy się w piekle!

Wicehrabia westchnął, zerknął na Lucy, jakby prosząc ją wzrokiem o wybaczenie, a następnie tak szybko, że nie zdążyła zauważyć poszczególnych ruchów, najpierw walnął olbrzyma w ramię łaską, którą trzymał u boku, po czym, niemal równocześnie, zadał mu cios w żołądek.

Mężczyzna stęknął i skulił się. Twarz pociemniała mu z bólu.

Wicehrabia wyminął go, machając na Lucy, żeby poszła za nim, co natychmiast uczyniła.

Obejrzał się jeszcze na Eve.

- Wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli pójdziesz z nami. Obawiam się, że nie powinnaś ufać swojemu... ech... opiekunowi.

Lucy nagle przypomniała sobie siniaka na szyi jednej z kobiet na dole. Wzdrygnęła się.

- Tak, chodź z nami - ponagliła.

Ale dziewczyna, choć patrzyła na skuloną postać swojego chlebodawcy z wyraźnym przestachem, pokręciła odmownie głową.

- Nie mogę.

Lord Richmond nie zamierzał marnować czasu na przekonywanie jej. Przytrzymał drzwi dla Lucy, która zdołała już odzyskać nadzieję na to, że ostatecznie uda im się uciec z tego domu.

Ale zwinięty na brudnej posadzce olbrzym nagle się ocknął i krzyknął:

- Homer, do mnie! Oni uciekają!

Wicehrabia pochwycił Lucy za ramię i wypchnął na korytarz. Pobiegli do szczytu schodów; niestety, stało tam już dwóch mężczyzn. Nie byli tak potężnie zbudowani ani tak przerażający jak Jace, niemniej było ich dwóch. Pierwszy z nich, z mocno przeredzoną czupryną, przyglądał się im złośliwymi oczkami. Mimo że brzuch wylewał mu się zza pasa, sprawiał wrażenie silnego, a to dzięki muskularnym

ramionom. Drugi był gorzej zbudowany; na czole miał różowawe znamię. Blokowali sobą wąską klatkę schodową.

Na ich widok Lucy ogarnęła rozpacz. Była bliska paniki. Ale napad hysterii nic by tu nie pomógł. Zaciśnięła usta, żeby stłumić okrzyk strachu, nie chcąc absorbować sobą uwagi wicehrabiego.

- Dawaj to - warknął jeden z mężczyzn.

Nie wyglądało na to, żeby Nicholas się przejął.

- Niejestem pewien, co pan ma na myśli - powiedział.

Drugi mężczyzna się skrzywił.

- Nie gadaj bzdur, tylko oddawaj forszę albo cię zabiję i sam sobie ją wezmę.

- Zabij go tak czy inaczej - rzucił jego towarzysz. - Podoba mi się ta kobitka.

Lucy głośno przełknęła ślinę, a wicehrabia nabrał powietrza.

- W takim razie przyjdź tu i spróbuj mi ją odebrać - zaproponował. Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się groźna nuta.

Łysiejący mężczyzna pokonał kilka stopni w górę. Lucy zeszywniała, ale wicehrabia jednym płynnym ruchem najpierw podciął laską nogi mężczyźnie, potem go pchnął, i ten zachwiawszy się i straciwszy równowagę, upadł na koleżkę, po czym obaj, klnąc siarczyście, stoczyli się ze schodów.

- Chodźmy - mruknął wicehrabia, łapiąc Lucy za rękę. Zaczęli zbiegać w dół, nie zważając na to, że leżący u stóp schodów mężczyźni blokują im drogę. Jeden z nich, ten silniej zbudowany, wyciągnął rękę, chcąc złapać Nicholasa za nogę. Musieli się wycofać.

- Znajdźmy te drugie schody, o których mówiła Eve - rzucił wicehrabia.

Nie musiał tego Lucy dwa razy powtarzać. Czym prędzej z powrotem wspięli się na schody i wbiegli na korytarz. Na szczęście był pusty.

Wicehrabia skręcił w lewo i po kolei otwierał wszystkie drzwi do pokoi.

- Wynocha! - krzyknął ktoś pijackim głosem z jednego z pokoi.

Nicholas, nie przejmując się tym, nie przerywał poszukiwań. Lucy szła za nim, zastanawiając się, ile czasu minie, nim dwóch męż-

czyn na dole zdąży się pozbierać albo nim Jace się ocknie. Ponieważ uznała, że nastąpić to może w każdej chwili, postanowiła wicehrabemu pomóc. Nacisnęła klamkę drzwi do pokoju, przy którym stała.

Zobaczyła małe łóżko, a na nim dwa splecione w uściskach ciała. Pospiesznie zatrzęsnęła drzwi i przeszła do następnych. W tym pokoju nikogo nie było; stały tu tylko porządnie zasłane łóżko i obok mała komoda. Szukała dalej.

Wtem spostrzegła głowę Eve wyłaniającą się z pokoju, w którym z nią wcześniej rozmawiali. Dziewczyna dojrzała ich i szeroko otworzyła oczy. Nic nie powiedziała, ale ruchem głowy wskazała na drugi koniec korytarza.

- Tędy! - zawołała Lucy do wicehrabiego.

Przybiegł natychmiast i razem ruszyli w mrok długiego korytarza. Eve cofnęła głowę, a zaraz potem rozległ się odgłos uderzenia i na korytarz, ku przerażeniu Lucy, wytoczył się Jace, blokując im drogę.

Trzymał przed sobą niewielki, ale groźnie wyglądający nóż, który wyciągnął zza paska.

- Myślę, że czas oddać pieniądze, lordzie - wycodził drwiąco. - A potem przekonasz się pan, co się dzieje z każdym, kto zadrze z Jace'em Ciężką Pięścią.

Lucy pomyślała, że już po nich. Laska wicehrabiego nie obroni ich przed ostrym nożem. Jace także to wiedział i dlatego zwycięsko się uśmiechał. W oczach płonęła mu żądza mordy.

Lord Richmond nie zwracał uwagi na jego przechwałki; skupił się na nożu. Zręcznym ruchem rozdzielił laskę na dwie części i z jednej wyciągnął ukryty w środku cienki sztylet.

- Może to wyrówna szanse? - mruknął. - Chyba powinna się pani odsunąć.

Jace ryknął i rzucił się naprzód. Wicehrabia natychmiast zadał cios i Jace znowu ryknął, tym razem z bólu. Z ramienia połała mu się krew. Upuścił nóż, który z brzękiem upadł na podłogę. Wicehrabia szybko kopnął go do tyłu wprost pod nogi Lucy, a ona, niewiele myśląc, pochyliła się i go podniosła.

W tym czasie wicehrabia przystawił przeciwnikowi sztylet do gardła - Sugeruję - zaczął tak przesywającym szeptem, że rzezimieszek zbladł - żebyś zszedł mi z drogi.

Jace z wyczuwalną niechęcią odszedł na bok.

- Znajdę cię, ty przeklęty paniczyku, i wtedy się policzymy! - krzyknął.

- Będę czekał - odwarknął lord Richmond. - Tylko pamiętaj, że jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, możesz tego nie przeżyć. I jeśli cokolwiek stanie się Eve, a ja się o tym dowiem, dołączysz do niej w piekle!

Jace cofnął się pod ścianę, ale wicehrabia gestem kazał mu wejść do następnego pokoju. Ktoś w środku zaczął protestować, jednak nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Siedź tu, dopóki nie wyjdziemy - nakazał wicehrabia. Zatrzasnął drzwi tuż przed rozwścieczoną twarzą Jace'a, trzymającego się za krwawiące ramię.

- Chodźmy.

Lucy nie trzeba było tego powtarzać. Dotarli do końca korytarza i po otwarciu ostatnich drzwi zobaczyli kręte schody, jeszcze węższe niż te z przodu budynku. Było na nich ciemno, lecz kiedy zrobili pierwszy krok, na dole zamigotało słabe światełko.

Lucy, wiedząc, że nie mają nawet co marzyć, iż na dole spotkają przyjazną twarz, zaczęła się modlić. Czy istnieją jeszcze jakieś inne sposoby ucieczki z tego piekielnego miejsca? - zastanawiała się.

Najpierw zobaczyli płomień świecy, potem sylwetkę trzymającego ją mężczyzny. To był ten łysiejący, z którym mieli już do czynienia. Łypał na nich groźnie, trzymając w dłoni mały pistolet wycelowany prosto w serce wicehrabiego

- Nigdzie pan nie pójdzie, milordzie. - Wskazał palcem w górę. - Przy drugich schodach stoi mój kumpel. A teraz zastrzele cię, paniczyku, wyrnę ci serce i jeśli nadal jeszcze będziesz dychał, nakarmię cię nim.

Był za daleko, żeby wicehrabia mógł dosięgnąć go swoją szpadą. Uniósł pistolet. W tym momencie Lucy przypomniała sobie, że trzyma w ręku nóż.

Zamachnęła się i rzuciła.

Niestety, nie trafiła celu; nóż tylko otarł się o ramię mężczyzny, rozdierając lekko rękaw koszuli. Niemniej zbior cofnął się z okrzykiem zdumienia i zarazem uniósł nieco lufę pistoletu.

Lord Richmond natychmiast z tego skorzystał i rzucił się ze szpada do przodu. Uderzyła w pistolet, ześliznęła się po nim i wbiła w klatkę piersiową przeciwnika. Ten, z trudem łapiąc oddech, upadł do tyłu.

Czy zdołamy go ominąć? - to było pierwsze, co przyszło Lucy do głowy.

- Nadal żyje i ma broń - szepnął jej do ucha wicehrabia, jakby czytał w jej myślach. - Musimy się cofnąć.

- Ale tam jest Jace - zaprotestowała. Lecz Nicholas już ją pochwyił za rękę i wciągał na mały podest u szczytu schodów. Zaczepiła płaszczem o gwóźdź wystający z nieheblowanych desek, z których zrobiona była poręcz. Przez chwilę się szamotała, w końcu mocno pociągnęła i gdyby okoliczności były mniej rozpaczliwe, krzyknęłaby z żalości, bo usłyszała trzask rozrywanego materiału. Teraz jednak miała większe zmartwienia niż zniszczony płaszcz.

Ciągnąc go za sobą, bo zsunął się jej do połowy ramion, pobiegła w górę schodów i tam, u wejścia na korytarz, zamarła. Pomyślała, że sytuacja zaczyna przypominać teatralną farsę, w której po scenie krążą w kółko te same postaci. Gdyby nie powaga chwili, chybaby się roześmiała. Naprawdę jednak daleko jej było do wesołości.

Jak się spodziewała, Jace wyglądał z pokoju, w którym go zostawili. Uśmiechnął się na ich widok.

- Uwaga! - zawołała.

Wicehrabia nie odpowiedział, tylko szybko otworzył drzwi najbliższego pokoju i wciągnął ją do środka.

- Chcesz całuska, przystojniaczku? - zapytała kobieta siedząca na brzegu łóżka. Miała na sobie tylko brudną koszulę, a przyprószone siwizną włosy opadały na ramiona w tłustych strąkach.

Lord Richmond zignorował ją i się rozejrzał.

- Może się zabarykadujemy? - zaproponowała Lucy, próbując zebrać myśli. Popatrzyła na drzwi, ale nie dostrzegła ani zasuw, ani

zamka. Pewnie to Jace nie pozwala na zamykanie pokoi. Usłyszała w korytarzu jego ciężkie kroki. - Idzie tu!

Wicehrabia przepchnął pod drzwi łóżko, na co siedząca na nim kobieta zapiszczała i wycofała się w jego róg. Nicholas podbiegł do okna i wypchnął okiennice.

- Mason, tutaj!

Co on robi? - zastanawiała się Lucy. Drzwi, popychane z zewnątrz, trochę się uchyliły, ale zatrzymały na ramie łóżka. Zaczęły drgać, jakby ktoś mocno napierał na nie ramieniem.

- Lucy, proszę tu przyjsć! - zawołał wicehrabia. Nadal wyglądał przez okno. Lucy zrobiła krok naprzód, nie odrywając oczu od wejścia. Rama łóżka była za słaba, żeby długo mogła się opierać sile napierającego na drzwi mężczyzny.

Zaskrzypiały i uchyliły się szerzej, spychając łóżko. Jace wdarł się do pokoju z grymasem wściekłości na twarzy. Lucy, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, zaczęła się szarpać z podartym płaszczem, starając się zrzucić go z siebie. Zamarła, kiedy zobaczyła, że Jace wziął skądś pistolet i teraz celuje nim w lorda Richmonda.

Tym razem nie miała w ręku noża, tylko zwinięty płaszcz i rzuciła nim w napastnika. Ten strącił go z twarzy i pociągnął za spust. Pistolet wystrzelił; kobieta na łóżku krzyknęła.

Czy ktoś został postrzelony? Szybko się rozejrzała, ale ani wicehrabia, ani kobieta nie wyglądali na rannych. Za to w ścianie ziała wielka dziura.

Wicehrabia przebiegł przez pokój i jego pięść wylądowała na twarzy Jace'a. Rozległ się trzask i Jace znowu upadł. Nicholas pochwycił Lucy za rękę.

- Do okna!

To było pierwsze piętro. Jeśli skoczą, grozi im połamanie kości, jeśli nie śmierć.

Lucy wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła, że tuż pod oknem stoi ich dorożka. Zaczynała rozumieć plan wicehrabiego.

- Ja skoczę pierwszy, a pani zaraz za mną. - Obejrzał się za siebie na zwiniętego w kłębek i jęczącego Jace'a.

Skinęła głową.

Nicholas otworzył okiennice najszerzej, jak się dało, potem przełożył nogi przez parapet. Zobaczyła we framudze jego szerokie barki, a po sekundzie zupełnie zniknął z pola widzenia. Rozległ się trzask rozdieranego materiału i odgłos upadku.

Wstrzymując oddech, Lucy wyjrzała przez okno, chcąc sprawdzić, czy skok wicehrabiego zakończył się szczęśliwie. Na dachu dorożki widniało szerokie rozdarcie; woźnica starał się opanować przestraszone konie, które pragnąc rzucić się do ucieczki, nerwowo potrzasały łbami. Wicehrabia cały i zdrowy wyciągał ramiona w stronę okna.

- Teraz!

Lucy poczuła, że ktoś szarpie ją za suknię. Pociągnęła mocno za spódnicę, wrywając z rąk prostytutki jej skraj.

- Nawet nie próbuj - ostrzegła groźnie.

Podciągnęła suknię - nie czas na przestrzeganie etykiety - i wspięła się na parapet. Wahała się tylko przez sekundę; potem wstrzymała oddech i skoczyła.

Wpadła w wyciągnięte ramiona Nicholasa, który pospiesznie wciągnął ją do wnętrza dorożki.

- Jedź, Mason! - zawołał.

Pojazdem szarpnęło, po czym, kiedy woźnica wreszcie popuścił lejce, dorożka ruszyła z impetem. Z łoskotem przejechali wąską ulicę, szybko oddalając się od domu schadzek.

Goniły ich wściekłe okrzyki, ale dorożka nabrała już szybkości i jeśli tylko Jace z koleżkami nie mieli osiodłanych lub doczepionych do powozu koni, nie groziło im niebezpieczeństwo. Mimo to Lucy pomyślała, że uspokoi się dopiero, kiedy wjadą do Londynu.

Kiedy zostawili za sobą małą zabiedzoną wioskę, pojawiły się przed nimi drzewa porastające pobocze wąskiej drogi. Była upstrzona dziurami, więc dorożka trzęsła się i podskakiwała niemiłosiernie.

Lucy błagała Boga, żeby tylko się nie rozpadła. Jednak znając wicehrabiego, domyślała się, że w takim wypadku po prostu dosiedliby koni i wrócili do miasta wierzchem. Dobry Boże, cóż za noc!

Przypomniała sobie wstrętą fizjonomię Jace'a i zadrżała. Nicholas dostrzegł to i objął ją ramieniem. Oparła się o nie.

- Nie będę pani obrażał i nie zapytam, jak się pani czuje - powiedział. - Lucy Contrain, jest pani nadzwyczajną kobietą.

Popatrzyła mu w twarz i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest spokojna.

- Wobec tego ja także pozwolę sobie wyznać, że bardzo pana podziwiam - odparła. - Nie sądziłam, że uda nam się ujść stamtąd z życiem.

- A jednak uszliśmy i w dużej mierze zawdzięczamy to pani - oświadczył.

- Tylko że nie odzyskaliśmy rubinu! - Westchnęła. - Tyle zachodu na nic.

Przycisnął ją mocniej do siebie.

- Nie powiedziałbym.

Znowu na niego popatrzyła, nie bardzo go rozumiejąc.

- Pana zdaniem nie była to strata czasu? Sądzi pan, że Eve wie coś na temat rubinu?

Nicholas zmarszczył czoło.

- Jestem pewien, że wie więcej, niż nam powiedziała. Obawiam się, że będę musiał ponownie wybrać się do Hampstead Heath.

- Och, nie! - zaprotestowała Lucy. - Nie wolno panu. Nie może pan ryzykować ponownego spotkania z tym strasznym Jace'em i jego kompanami. Myślę, że my...

- Nie ma mowy o żadnym „my”. Następnym razem nie pojedzie pani ze mną - oświadczył stanowczo, wzmacniając uścisk ramienia. - W ogóle nie powinienem był pozwolić pani tam jechać. Przez ostatnią godzinę wiele razy sam siebie przeklinałem za to, że wystawiłem panią na takie niebezpieczeństwo.

- Ale już jesteśmy bezpieczni - przypomniała mu, choć z niepokojem patrzyła przez okno na mijane przez nich ciemne sylwetki drzew. Z ulgą stwierdziła, że słyszc tylko tętent końskich kopyt i od czasu do czasu ponure pohukiwanie sowy.

- Tak czy inaczej, popełniłem błąd. Przygotuję plan i wyciągnę z Eve wszystko, co wie, jeśli w ogóle coś wie.

Jeszcze zobaczymy, pomyślała Lucy, ale milczała, uznawszy, że nie czas na kłótnie. Po pierwsze, nie chciała sobie psuć przyjemności, jaką sprawiała jej bliskość wicehrabiego, po drugie, domyślała się, co by jej odpowiedział. Postanowiła pozostawić tę rozmowę na później; przymknęła oczy i mocniej wtuliła się w ramię towarzysza.



Cóż ze mnie za głupiec, myślał Nicholas. Czuł ciepło bijące od opartej o jego ramię kobiety i walczył z ogarniającym go pożądaniem.

Był bardziej poruszony, niż to po sobie pokazywał. Gdyby nie było z nim Lucy, to ta śmieszna utarczka w podrzędnym burdelu tylko by go rozochociła; lubił wyzwania, bo nieco ożywiały jego egzystencję, która już od lat wydawała mu się okropnie nudna.

Jednak obecność Lucy Contrain i fakt, że naraził ją na niebezpieczeństwo, sprawiły, że bijatyka wcale nie wydała mu się zabawna. Nawet nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby ktoś ją zranił. Poczuci się dziwnie, choć tym razem nie było to pożądanie. Był naprawdę zdziwiony tym, że oprócz namiętności osoba Lucy wzbudza w nim też inne uczucie, które, jak mu się wydawało, już dawno w sobie pogrzebał i nie spodziewał się, że kiedykolwiek jeszcze się odezwie: troskę o drugiego człowieka.

I właśnie z tego powodu, mimo pożądania, postanowił, że tym razem nie ulegnie. Wiedział, że Lucy pozwoliłaby mu na pocałunek, że ochoczo otworzyłaby przed nim wrota do namiętności, za którą i ona wyraźnie tęskniła. Ale chciał najpierw rozeznac się w swoich uczuciach, które tak niespodziewanie się w nim odrodziły.

Jechali więc dalej pogrążeni w milczeniu i ciemności, a on starał się nie myśleć o tym, jak przyjemne i naturalne wydaje mu się to, że Lucy siedzi obok i wtula się w niego, taka słodka i ufna...



Kiedy zajechali pod drzwi jej domu, znowu się posprzecali.

- Powinna się pani stąd wyprowadzić - przekonywał. - Eve zna pani adres. Jace może zjawić się w Londynie i nająć kogoś, kto pomści jego dzisiejszą porażkę.

Lucy pokręciła głową. Straszliwie pragnęła znaleźć się w swojej sypialni, we własnym łóżku i przestać już wreszcie myśleć o koszarnej wycieczce.

- Eve mówiła, że Jace nie wie, gdzie mieszkam.

- Wierzy pani słowom prostytutki? Chce pani od nich uzależnić swoje życie? - pytał. - Jeśli tylko pani się zgodzi, zawiozę ją do porządnego hotelu. Może pani wziąć ze sobą pokojówkę. Nikt nie będzie się temu dziwił.

Pozwolić mu zapłacić za hotel i wyżywienie? Lucy nie chciała dalszej jałmużny, a sama nie miała pieniędzy na wynajęcie pokoju.

- Nie, nie, ja jej wierzę. Poza tym, pragnę zostać w moim domu.

Ten niewielki, skromny budynek był dla niej zawsze jedynym schronieniem przed niepewnym losem; nie była przygotowana na opuszczenie go. Być może wicehrabia znowu oskarży ją o brak rozsądku i kierowanie się emocjami, ale w tej chwili była tak zmęczona i wstrząśnięta, że nie zależało jej na czyjejkolwiek opinii.

Wicehrabia jeszcze przez chwilę namawiał ją do zmiany zdania, lecz w końcu, spochmurniawszy, ustąpił.

- W takim razie przyślę pani mojego *szługacego*. Na to musi się pani zgodzić.

Skinęła głową, marząc jedynie o tym, żeby się położyć. Mimo to, kiedy lord Richmond odjechał, ogarnął ją żal. Otrząsnęła się z niego, ponieważ wiedziała, że musi teraz przez jakiś czas pobyć sama, aby uporać się z rozczarowaniem i zdradą męża. Te dwie rzeczy już w drodze nie dawały jej spokoju.

Zarygłowała za sobą drzwi. W korytarzu pokazała się owinięta szalem Violet i przyglądała się swojej pani z zakłopotaniem.

- Czy nic pani nie jest, psze pani?

- Nie, nic, dziękuję - odparła. Poinformowała pokojówkę o przyjeździe *szługacego* od wicehrabiego.

- Jak się tylko pojawi, pomóż mu urządzić posłanie w kuchni, a potem zmykaj do łóżka. Jest bardzo późno.

Violet uparła się, że pójdzie z nią na górę, żeby rozpiąć suknię i rozczesać zmierzwione włosy. Kiedy skończyły, Lucy odesłała służącą, mówiąc, że może rano pospać, jak długo zechce, po czym sama także się położyła. Poranny brzask właśnie zaczynał rozrzedzać mrok. Lucy ziewnęła i podciągnęła kołdrę pod brodę. Mimo że było jej ciepło i przytulnie, jej umysł nie chciał się uciszyć.

Ten przybytek rozpusty - cóż to za straszne miejsce! A Jace, jego właściciel? Prawdziwy zbir! Biedna Eve. Życ w takim miejscu?! Nie sprawiała wrażenie złej osoby. Wcale nie - próbowała im pomóc w ucieczce. Czy wie coś o zaginionym rubinie? Lord Richmond ma rację - muszą to z niej wyciągnąć.

Wyobraziła sobie swojego męża i Eve w objęciach. Dziwnie się poczuła, głównie było to niedowierzanie. Nie rozumiała, dlaczego Stanley zadał się z taką kobietą. Czego mu brakowało we własnej żonie? Dlaczego nie mógł zaznać przyjemności pod własnym dachem? Przecież nie była mu niechętna, nie była jedną z tych żon, o których się szeptało, że nie lubią sypiać z mężami. Przeciwnie, bardzo pragnęła, by Stanley bardziej się tymi sprawami interesował. Być może Eve potrafi robić coś, czego nie umieją zwykłe, przyzwoite kobiety. Ale jak tu się dowiedzieć, co to za umiejętności, które tak pociągają mężczyzn? Przecież nikt jej *tego nie* powie.

Wprawdzie jest wdową i nie powinno jej to obchodzić, ale chciała się przynajmniej przekonać, w czym tkwił błąd, jaki popełniła. Wierciła się niespokojnie, ubijając poduszkę i starając się przybrać wygodniejszą pozycję, żeby tylko wreszcie spłynął na nią sen. Wszystko na nic. Mieszane uczucia nie dawały jej spokoju, choć musiała przyznać, że rozpacz, która towarzyszyła jej od miesięcy, nie była już tym najsilniejszym. Doskwierały jej przede wszystkim rozżalenie i gniew na Stanleya za zdradę.

Przyszło jej nawet na myśl, że znowu cieszy się, że żyje, choć po śmierci męża, w chwilach najgorszego przygnębienia, zdarzało się, że żałowała, iż nie umarła wraz z nim. Wystarczyłoby parę kroków na ulicę pod zbliżający się rozpędzony powóz...



Coś jednak ją powstrzymywało, uporczywe pragnienie życia, niechęć rozstania się z nadzieją na lepszą przyszłość. Teraz już wie, że dobrze postąpiła, nie zaprzestając walki. Gdyby się poddała, uległa rozpacz - nigdy nie poznałaby Nicholasa...

Nie, nie wolno jej o nim myśleć, bo wtedy już z pewnością nie zaśnie. Zresztą, co dobrego może jej przynieść romans z wicehrabią - miał już tyle kobiet, że nią znudziłby się w okamgnieniu. Poza tym skoro zawiodła Stanleya, mogłaby również zawieść Nicholasa. Chciałaby się dowiedzieć, czego tak naprawdę jej brakuje...

Pomyślała o lady Sealey. Ta z pewnością jest biegła w sprawach damsko-męskich, nie mniej niż kurtyzana. Z uczuciem ulgi przyrzekała sobie, że porozmawia z hrabiną i poprosi ją o radę.

W końcu poczuła, że powieki wreszcie zaczynają jej ciężać, a natłok myśli trochę ustępuje. Zasnęła.



Okazało się, że nie dane jej było zaznać dłuższego snu. Z objęć Orfeusza wyrwały ją dzwony kościelne, które rozdzwoniły się tylko kilka godzin po tym, jak zamknęła oczy. Uświadomiła sobie, że jest niedziela. Wprawdzie mogła sobie pozwolić na to, by ten jeden raz opuścić mszę, ale uznała, że po pierwsze, gdyby nie poszła do kościoła, sumienie nie dałoby jej spokoju, a po drugie, w tych nerwowych czasach przydaje jej się kilka chwil spędzonych w atmosferze spokojnej kontemplacji.

Poderwała się więc z łóżka, a zasnana Violet pomogła jej upiąć włosy - ostatnio tyle miała z nimi kłopotu, że coraz częściej przemyśliwała o zmianie fryzury - po czym szybko się ubrała w nową spacerową suknię. Wybiegły z domu, pozostawiając w nim postawnego służącego, którego wicehrabia przysłał im do ochrony. Udało im się dotrzeć do kościoła na czas.

Violet pobiegła na balkon, gdzie było miejsce dla służby, a Lucy usiadła w tej samej co zawsze ławce i otworzyła modlitewnik, próbując

skupić się na mszy. Miała na sumieniu wiele grzechów, do których może nie zaliczyłaby odwiedzin w przybytku rozpusty, bo znalazła się w nim nie z własnej woli, jednak z pewnością powinna wziąć pod uwagę swój niewytłumaczalny pociąg do lorda Richmond.

Swoją drogą, ciekawe, gdzie on się teraz podziewa? Czy poszedł, jak należy, do kościoła, czy może jeszcze śpi? A jeżeli tak, to czy oznacza to, że jest złym człowiekiem? Stanley w kościele pokazywał się co tydzień, a okazało się, że nie był jednak wzorem cnót...

Pamięć nasunęła jej wspomnienie pewnej niedzieli przed wieloma laty, kiedy to wracała wraz z mężem ze mszy. Zauważyła wtedy, że Stanley intensywnie wpatrywał się w młodą kobietę stojącą po drugiej stronie ulicy, ubraną w suknię z dużym dekoltem odsłaniającym obfity biust. Miał wzrok jak wygłodniały pies, a na ustach dziwny uśmiech. Kiedy tylko zauważył, że Lucy mu się przygląda, zaczerwienił się i przybrał obojętną minę, natychmiast odwrócił wzrok. Czy powinna była wtedy domyślić się, że mąż coś przed nią ukrywa? Ilu jeszcze rzeczy o nim nie wie? Bardzo ją to wszystko bolało.

Ale czy ma prawo oceniać Stanleya? Sama też nie jest bez skazy. Zwłaszcza ostatnio.

Westchnęła. Może miłosierny Bóg nie jest tak surowy jak ona i ma większy wzgląd na ludzkie słabości, zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Jak to mawia pastor: wiara powinna dodawać otuchy, a nie przygnębiać.

Z rozmyślań wyrwało ją szuranie stóp; wierni podnosili się, by wysłuchać ewangelii. Gdy znowu usiadła, starała się już nie rozpraszając, tylko skupić na mszy, co jej się nawet udało. Kiedy się zakończyła, wstała z ławki i zaczęła się przesuwając do wyjścia. Nagle pomiędzy szmeru rozmów dobiegł ją znajomy cierpki głos.

Ze zdumienia stanęła jak wryta. Wielkie nieba, to nie może być...

*Mężczyznami należy się cieszyć, a nie starać się ich zrozumieć.*

Margery, hrabina Sealey

**A** jednak tak.

Kilka kroków dalej, tarasując przejście, stała kuzynka Wilhelmina pogrążona w rozmowie z sąsiadką Lucy, panią Broddy. Co ona tu, na Boga, robi?

Lucy instynktownie się pochyliła, starając się ukryć za matroną, która wyłoniła się z innego rzędu ławek. Ale było za późno.

- Dzień dobry, Lucindo - zagrzmiała kuzynka, przepychając się przez tłum niczym wielki statek między mniejszymi dobijającymi do portu. - Zastanawiałam się, czy cię tu zastanę. Mam nadzieję, że pobyt w domu Bożym nieco ostudził twój temperament.

- Chodzę do kościoła każdej niedzieli - rzuciła Lucy, ignorując uwagę na temat charakteru, która była aluzją do jej niedawnego wybuchu gniewu. - Ale jestem zdumiona, że ciebie tu widzę.

- Zajazd, w którym się zatrzymałam, nie bardzo mi odpowiadał - wyjaśniła Wilhelmina. - Łóżka były niewygodne, a jedzenie byle jakie. Odwiedziłam panią Broddy i okazało się, że ma wolny pokój. Zaproponowała mi gościnę na lato, a ja przyjąłam zaproszenie. Ale cóż to widzę, Lucindo? Porzuciłaś załobę. Najwyższy czas, choć powinnaś bardziej starannie układać włosy. Musisz lepiej przeszkolić tę swoją pokojówkę - dokończyła.

Lucy nie przejęła się typowymi dla kuzynki słowami krytyki, za to zastanowiła ją informacja o przeprowadzce. Oczywiście wiedziała, że Wilhelmina i pani Broddy się przyjaźnią - bardzo do siebie pasowały. Poza tym, domyślała się, że dla oszczędnej Wilhelminy oferta darmowego pokoju to wielka gratka.

- Pani Broddy postąpiła wielce uprzemie - mruknęła, a pomyślała, że teraz już obydwie będą szpiegowały z domu naprze-

ciwko. Miała ochotę się uszczypnąć. To jakiś zły sen. Gorzej, to koszmar.

- Wkrótce cię odwiedzę - dodała kuzynka. - Wczoraj byłam zajęta rozpakowywaniem bagaży, ale już po wszystkim, więc dłużej nie będę zwlekała z wypełnianiem grzecznościowych powinności.

- Naturalnie. - Lucy nadal miała kłopot z głosem. Odetchnęła głęboko. Mogłoby być gorzej, stwierdziła ponuro w duchu. Przynajmniej Wilhelmina nie zatrzymała się u niej!

- Z przyjemnością przyjmujemy zaproszenie na kolację. Może dzisiaj?

- Obawiam się, że nie jestem jeszcze gotowa na przyjmowanie gości - odparła Lucy już bardziej stanowczo. - Ale oczywiście nie zapomnę o tobie, kuzynko.

- Nie przyjmujesz gości, czyżby? Słyszałam, że pewien utytułowany dżentelmen odwiedza cię regularnie - zauważyła Wilhelmina z naganą w głosie. - Choćby z tego powodu przyda ci się w pobliżu starsza osoba, gotowa służyć radą. Jestem przekonana, że nie zależy ci na tym, aby o tobie plotkowano...

- A ja jestem przekonana, że tobie, kuzynko, nie zależy na rozpowszechnianiu plotek! - odburknęła Lucy.

Wilhelmina aż sapnęła ze zdumienia.

- Ja... doprawdy, Lucindo... To do ciebie niepodobne.

- Proszę wybaczyć, ale zdaje się, że blokujemy przejście - rzuciła Lucy. - Życzę paniom miłego dnia. - Odwróciła się i szybkim krokiem, walcząc ze wściekłością, ruszyła do wyjścia. Jest przecież w kościele; powinna wykazać się łaskawością.

Tyle że Wilhelmina nawet świętego wyprowadziłaby z równowagi!

Po pożegnaniu się z pastorem i jego żoną odszukała czekającą na nią Violet i razem pospieszyły do domu. Nie zamierzała wracać w towarzystwie kuzynki i jej przyjaciółki.

Violet już dowiedziała się najświeższych nowin od kucharki pani Broddy.

- Maddy mówiła, że potrafi zjeść za dwoje - opowiadała szepem, na co Lucy z niedowierzaniem kręciła głową.

Kiedy tylko weszły do domu, poszła prosto do sypialni i zajrzała w małe lusterko. Rzeczywiście, jej niesforne włosy wysunęły się spod spinek, a twarz miała czerwoną od szybkiego spaceru i wiatru.

Westchnęła z irytacją, pociągając za jasny kosmyk. Nagle podjęła decyzję.

- Violet!
- Tak, psze pani?
- Przynieś nożyczki!

Służąca, z oczami wielkimi ze zdumienia, wykonała polecenie, a Lucy usiadła przed małą toaletką.

- Tnij - poleciła.
- Ale psze pani?
- Chcę mieć ładną krótką fryzurę. Skróć mi włosy, proszę.

Oczy służącej były pełne entuzjazmu.

- O tak, psze pani. Wspaniały pomysł! - Podniosła nożyczki, ale zaraz zamarła w bezruchu, jakby nagle ogarnęła ją niepewność. - Ale ja nie miałam okazji na nikim poćwiczyć, psze pani. A jeśli coś zepsuję? To w końcu pani włosy.

- Wiem, że to moje włosy, i wiem, że nie masz doświadczenia - odparła rzeczowo Lucy. - Mimo to zaryzykuję, więc zabieraj się do pracy.

Wstrzymała oddech, patrząc, jak dziewczyna, wypuściwszy powietrze, sięga po pierwsze pasmo. Upadło na podłogę.

Po półgodzinie obie spojrzały do lustra.

- Podoba się pani, psze pani? - zapytała niepewnie Violet.

Lucy przesunęła dłonią po głowie. Cóż, stało się. Ścięta włosy i teraz są krótkie. Wreszcie nie będzie się męczyła z upinaniem burzy loków w przyzwoite koki, jak się tego domagał Stanley. Nawet jej się podobało, że teraz włosy luźnymi falami okalały jej szczupłą twarz.

- Dobrze się spisałaś - pochwaliła służącą. - Jestem bardzo zadowolona.

Violet się rozpromieniła.

- Och, dziękuję, psze pani. Ja także uważam, że bardzo pani do twarzy w tej nowej fryzurze. Naprawdę. - Wyszła po szczotkę

i szufelkę, żeby pozamiatać kosmyki, a Lucy jeszcze raz przesunęła palcami po włosach. Tak, ładnie to wygląda, uznała w duchu, choć dziwnie się czuła, bo głowa nagle stała się bardzo lekka.

Gdyby tak samo łatwo można było pozbyć się nieprzyjemnych myśli. Na czas obcinania włosów jakby gdzieś odeszły, jednak teraz znowu zaczęły ją dręczyć. Myślała o Eve, Stanleyu i o tym, że go zawiódła, choć nie bardzo wiedziała, w czym tkwił jej błąd.

Jeszcze do niedawna uważała, że mimo pewnej ekscentryczności Stanley był dobrym mężem. Wprawdzie nie udało im się osiągnąć prawdziwej bliskości, ale przecież Lucy znała wiele kobiet, którym brak zażyłości w małżeństwie zupełnie nie przeszkadzało. Choćby pani Broddy i jej małomówny małżonek, który większość czasu spędza w swoim gabinecie, pozostawiając żonę samej sobie. Lucy była u Broddych tylko kilka razy, ale to wystarczyło, żeby zauważyć, na jakich zasadach funkcjonuje małżeństwo jej sąsiadów.

Niestety, Stanley nie tylko nigdzie jej ze sobą nie zabierał, ale jeszcze, ponieważ jej nie ufał, miał przed nią wiele tajemnic. Niektóre zabrał ze sobą do grobu. Gdyby żył, chyba rzuciłaby się na niego z pięściami. Niestety, od tego też się wywinał.

Jęknęła cicho, kipiąc ze złości, sfrustrowana. Pomyślała, że dobrze by jej zrobiło, gdyby porządnie sobie popłakała, tyle tylko, że wcześniej wylała już chyba cały zapas łez, a poza tym wiedziała, że lada chwila wróci Violet.

Trzeba się czymś zająć, ot co. Sięgnęła po suknię, którą miała włożyć na przyjęcie u księcia, i zeszła z nią oraz z koszyczkiem do szycia do jadalni, gdzie było więcej światła.

Szła przez jakiś czas, całkowicie skupiona na pracy, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi. Podskoczyła, ale Violet już biegła korytarzem.

- Najpierw sprawdź przez okno! - zawołała, bardziej z przyzwyczajenia niż z obawy przed nieproszonymi gośćmi. Lokaj wicehrabiego nadal u nich przebywał, a jego obecność działała na nią uspokajająco. Mimo to wołała być przezorna; nigdy nic nie wiadomo.

Nazwisko gościa, którego po wejściu do jadalni zaanonsowała Violet, jej nie zaskoczyło.

- Wicehrabia Richmond, psze pani.

Służąca dygnęła, wymownie przewracając oczami. Lucy się zarumieniła. Czy jej stosunek do wicehrabiego jest aż tak oczywisty? Czy tak łatwo po niej poznać, że na jego widok serce jej rośnie?

Zupełnie inaczej niż na początku ich znajomości, kiedy to uznała go za wyniosłego cynika. Jednak z czasem zmieniła zdanie, a po wyprawie do Hampstead Heath zaczęła myśleć o wicehrabim Richmond niemal jak o wieloletnim przyjacielu. Nadal bardzo mało o nim wiedziała, ale ufała mu tak, jak nigdy żadnemu mężczyźnie.

Nie, to nieprawda. Ufała przecież Stanleyowi!

Nicholas natychmiast spostrzegł zmianę jej nastroju. Wszakjeszcze nic nie powiedział - skąd więc ta nagła rezerwa? Kiedy wszedł, uśmiechała się do niego ciepło i radośnie. Jaka szkoda, że tak spochmurniała.

Uważaj, ostrzegł się w duchu. Jeśli nie będziesz postępował poważnie, to nim się obejrzysz, ta kobieta wejdzie ci na głowę. Swym zwyczajem chciał przywdziać maskę cynizmu, jednak przy Lucy Contrain było to zadziwiająco trudne. To przez sposób, w jaki wysuwa podbródek, jakby w każdej chwili oczekiwała od życia następnego ciosu; a zarazem nie ma w niej ani odrobiny zgorzknienia - zawsze z taką wyrozumiałością wypowiada się o mężu, o którym Nicholas miał jak najgorsze zdanie, nie tylko z powodu afery z rubinem. Jej ciepły uśmiech, jej chęć do walki z przeciwnościami losu... Naprawdę jest najwspanialszą, najrozkoszniejszą...

Dość tego! To droga do zguby. Czyż nie przysiągł sobie, że już nigdy żadnej kobiecie nie pozwoli zawładnąć swoim sercem, nigdy żadnej nie zaufa ani nie pokocha. Już raz się zaangażował i utracił miłość swojego życia. Więcej nie chciał tak cierpieć.

To nie przypadek, że zadawał się wyłącznie z kobietami doświadczonymi - znudzonymi żonami i wdowami, którym, tak jak i jemu, zależało jedynie na chwili rozrywki. Nigdy nie flirtował z młodymi pannami na wydaniu, nie chcąc łamać im serc obietnicami przywiązania, których nie mógłby dotrzymać. Ta zasada była ostatnią, jaką przestrzegał w ramach kodeksu dżentelmena. Przynajmniej tak so-

bie mówił po każdej schadzce z jakąś w gruncie rzeczy obojętną mu kobietą. W głębi czuł jednak, że rzeczy mają się zgoła inaczej, niż je sobie tłumaczył; tak naprawdę próbował w ten sposób zabezpieczyć się przed bólem.

- Pani Contrain.- Ukłonił się, grając na zwłokę. Kiedy znowu uniósł głowę, Lucy zdążyła przywołać na twarz wyraz stosownej uprzejmości. Tam do diabła, nie zależy mu na uprzejmości, nie z jej strony!

- Mam nadzieję, że nie zjawiam się nie w porę? - zapytał. - Czy mój lokaj dobrze się spisuje?

Lucy się uśmiechnęła.

- Niewiele ma tu do roboty. Żadnych sreber do polerowania ani gości, których mógłby wprowadzać do pustego salonu. Violet zapędziła go do obierania ziemniaków - powiedziała. - Niemniej bardzo panu dziękuję. Jego obecność bardzo mnie uspokoiła.

- Miło mi to słyszeć. Bałem się, że nadal martwi się pani z powodu wczorajszej eskapady.

Zadrżała.

- Rzeczywiście byłem trochę wstrząśnięta, ale już mi przeszło, dziękuję.

Sądząc po podkrążonych oczach, wcale nie jest taka spokojna, jak twierdzi, ale Nicholas nie miał odwagi głośno tego powiedzieć. Coś jeszcze się zmieniło; uzmysłowił sobie, że obcięła włosy. Wyglądała jeszcze młodziej, jak uroczy urwis - choć pewnie żaden urwis nie ma tak jedwabistych policzków i gładkiej różanej cery. Nowa fryzura dodała jej urody i powabu. Zanim sobie zdał sprawę, co robi, wyciągnął rękę i musnął jasny skręcony lok.

Lucy ze zdumienia kilka razy zamrugała, a on, nie umiając się pohamować, zsunął dłoń na jej policzek.

Obydwoje mieli wrażenie, że nagle przeskoczyła między nimi iskra. Lucy wstrzymała oddech, Nicholas zamarł. O Boże, jakże jej pożąda. Patrzył na jej falującą pod muślinową materią sukni pierś i na oczy, które stawały się coraz okrągłejsze. Wyobraził je sobie rozognione namiętnością i uniesieniem.

Bez wątpienia Lucy Contrain należy się od życia więcej rozkoszy.

Ale cofnęła się, więc on także zabrał dłoń.

- Ja... ja... - Podniosła robótkę i opuściła na nią wzrok. - Właśnie szykuję suknię na przyjęcie u księcia.

Wcześniej zmniejszyła dosyć odważny dekolt, wszywając wstawkę z jedwabiu. Stanley zawsze jej powtarzał, że powinna dbać o umiar i niepotrzebnie nie odsłaniać ciała. Jednakże po wizycie w Hampstead Heath i obejrzeniu strojów tamtejszych kobiet, w tym odzienia Eve - kobiety, którą wybrał jej mąż - postanowiła zrezygnować z nadmiernej skromności. Dlatego też teraz chciała usunąć wstawkę.

Niestety, zmieszana bliskością wicehrabiego oraz uczuciami, które wzbudził w niej jego dotyk, zbyt mocno pociągnęła za materiał, rozrywając przy okazji brzeg dekoltu. Aż krzyknęła ze złości.

- Och, pracowałam nad tym przez trzy dni!

Łzy, zupełnie absurdalnie, napłynęły jej do oczu. Przecież to tylko suknia, upominała się w myślach, choć w rzeczywistości sprawa była poważniejsza; tylko ta kreacja spośród strojów od hrabiny nadawała się na przyjęcie u księcia. Czy da się ją naprawić? Musi się dać.

Pociągnęła nosem.

- Nic się nie stało. Jakoś to naprawię - powiedziała, ale odłożyła suknię i dość ponuro popatrzyła na wicehrabiego. Nie umiała określić, czy ten mężczyzna jest dla niej przekleństwem, czy wybawieniem. Jednego była pewna: odkąd się pojawił, jej życie całkowicie się zmieniło.

- Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że gdyby znowu wybierał się pan do Little Hedding, muszę panu towarzyszyć - dodała.

Nicholas, choć cały czas patrzył na nią z powagą, na jej oświadczenie zareagował dopiero po chwili, jakby myślami był gdzie indziej. Pokręcił głową.

- Nie zgadzam się.

- Niestety, to konieczność - upierała się. - Godzinami rozmyślałam o naszym spotkaniu z... z Eve i uznałam, że dziewczyna rzeczywiście coś przed nami ukrywa. Ale pan od niej nic nie wyciągnie, ponieważ ona panu nie zaufa.

- Bo nie sprawiam wrażenia osoby, której można zawierzyć, tak? - spytał przytłumionym głosem.

Lucy, zmieszana, odwróciła wzrok.

- Nie o to mi chodziło. Problem w tym, że jest pan mężczyzną, a ja odnoszę wrażenie, że doświadczenie nauczyło Eve nie ufać męskiej części ludzkości.

Nicholas natychmiast pomyślał, że tego samego nauczyła się Lucy, choć w innych okolicznościach. Już jako dziecko straciła ojca, mąż ją zdradzał, a po jego śmierci okazało się, że był zadłużony, przez co teraz grozi jej utrata dachu nad głową. Nie można powiedzieć, żeby od mężczyzn zaznała wiele dobrego.

A zasługuje na wszystko, co najlepsze...

I on pragnie jej to dać, pragnie sprawiać jej przyjemność. Dlaczego więc go odrzuciła?

Był zdziwiony, jak bardzo zabolął go fakt, iż Lucy uciekła przed jego dotykiem. Chciał wierzyć, że stało się tak, ponieważ jest kobietą z zasadami, dbającą o swój honor. Zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy, tak jak on, utracili wiarę w przyzwoitość. Nie wszyscy są cynikami. Lucy z pewnością nie. Jednak wyczuwał, że za jej zachowaniem kryje się coś więcej niż tylko dbanie o swoją reputację. I właśnie to coś sprawiło, że poczuł się tak straszliwie odrącony.

Z całego serca pragnął wziąć ją w ramiona, obsypać pocałunkami, przepędzić pieszczotami to zagubione, zdezorientowane i pełne bóleści spojrzenie. Pragnął pogłaskać jej twarz z dumnie wysuniętym podbródkiem - oznaką tego, jak uparcie nie chciała się poddać złemu losowi.

Dumnie uniesione czoło zdawało się mówić, że Lucy Contrain nigdy więcej nie padnie ofiarą mężczyzn. A to oznacza, że nie będzie mógł zdobyć jej zaufania, nie poprowadzi Lucy nieznaną jej dotąd drogą namiętności.

Zrezygnowany opuścił ręce wzdłuż tułowia. Cofnął się.

- Nie będę dłużej zajmował pani czasu. O naszych dalszych planach związanych z poszukiwaniami Szkarłatnej Wdowy porozmawiamy po przyjęciu. Przyjadę po panią we wtorek wieczorem o siódmej trzydzieści.

Skinęła głową, myśląc przy okazji o tym, że ilekroć jego elegancki powóz zjawia się pod jej drzwiami, tylekroć na ulicy rusza młyn plotek.

No cóż, trudno. Przecież nie pozwoli, żeby sąsiedzi kierowali jej postępowaniem. Nie pozwoli na to również swojej kuzynce.

- Dziękuję - powiedziała.

Po wyjściu gościa pokój wydał się jej dziwnie pusty. Zastanawiała się, czy czymś nie uraziła wicehrabiego; opuścił ją tak nagle. W końcu doszła do wniosku, że ma zapewne o wiele ciekawsze zajęcia niż spędzanie czasu w Cheapside w towarzystwie biednej wdowy. Powtarzała sobie, że musi być rozsądna i przestać marzyć o związku z niedostępnym dla niej mężczyzną; związku, którego nikt by nie zaakceptował, a który - wiedziała o tym doskonale jako racjonalnie myśląca osoba - po prostu jest niemożliwy.

Tylko w bajkach się zdarza, że piękny i bogaty książę zakochuje się w biednej dziewczynie i ją poślubia. W prawdziwym życiu małżeństwo to w najlepszym razie dogodny dla małżonków układ, w najgorszym: zwykły interes. Tak właśnie postrzegała związek między kobietą a mężczyzną Wilhelmina i takie nauki przekazywała dorastającej Lucy.

- Poza tym nie jesteś jakąś piękną, Lucindo, żeby liczyć na coś więcej - powiedziała pewnego razu. Wspomnienie tamtej chwili nadal sprawiało Lucy ból. Były wtedy w przegrzonym salonie kuzynki, która popijała herbatę, podczas gdy matka Lucy naprawiała odzież swoją i córki, żeby jako tako się prezentowały i nie musiały się prosić o pieniądze na nowe ubrania. Takie prośby nie odnosiły zresztą skutku poza długim wykładem od Wilhelminy na temat oszczędzania.

Rozpamiętując smutną przeszłość, Lucy zaciskała zęby. Doskonale pamiętała kandydata na męża, którego wyszukała dla niej kuzynka - starego i schorowanego lubieżnika. Nic dziwnego, że kiedy pewnego dnia w kościele przedstawiono jej Stanleya, Lucy uznała go za bardzo pociągającego. Odwiedzał wtedy jakiegoś znajomego z pobliskiej wioski. Chociaż prawie go nie znała, od razu przyjęła jego oświadczenia.

Tego dnia matka, zerkając na miniaturowe zdjęcie ojca Lucy, które zawsze miała przy sobie, szepnęła do niej:

- Lucy, kochanie, miłość to coś wspianego. I niewiele ma wspólnego z bogactwem i rozsądkiem.

Lucy nie znalazła w małżeństwie miłości, niemniej dzięki niemu udało jej się uciec od kuzynki i od niewolniczej egzystencji biednej krewnej. Rozejrzała się po salonie, jak zawsze znajdując pocieszenie w myśli, że jest u siebie, we własnym domu... który nadal będzie do niej należał, jeśli tylko spłaci wierzycieli. Co do kuzynki, to nie czuła, żeby miała wobec niej jakiegokolwiek zobowiązania; matka ciężką pracą aż nadto odwdzięczyła się za marny kąt, który dała im niegdyś Wilhelmina.

Teraz tu jest jej dom i będzie o niego walczyła z całym światem i z Bożą pomocą, nawet jeśli miałyby to oznaczać jeszcze tuzin wypraw do odrażającego przybytku rozpusty w Hampstead Heath. Nie cofnie się przed niczym!

Z przykrych rozmyślań wyrwała ją Violet. Przyniosła herbatę na podwieczorek. Lucy wolno popijała napój, delektując się jego aromatem i słodkością. W pewnej chwili rozległo się pukanie do drzwi, więc kazała służącej otworzyć.

- Och, psze pani, proszę zobaczyć. To dla pani! - wołała wracając z wielkim pudłem w rękach.

Położyła je na stole, a Lucy, zapominając o ponurych dywagacjach, pospieszyła, by rozpakować przesyłkę. Na przykrywcę widniało nazwisko znanej krawcowej. W środku, pod papierem, w który zawinięty był prezent, leżał bilecik.

*W zastępstwie płaszcza, który poświęciła pani dla naszej sprawy. Richmond*

Lucy podniosła liścik..

- Jak miło - mruknęła. - Ze też pamiętał, że zostawiłam tam mój płaszcz.

- Och, psze pani - szepnęła Violet. - Proszę go przymierzyć.

Był czarny, wełniany, ozdobiony lśniącem aksamitem i podszyty jedwabiem; o wiele cieplejszy i bardziej elegancki niż płaszcz, który zostawiła w zajeździe Jace'a. Pogłaskała miękką wełenkę i uśmiechnęła się z zadowolenia. Cóż za piękne okrycie!

Powiesiła go w szafie i chyba zabrała jego ciepło ze sobą do snu, bo tym razem nie przerywały go koszmary o złodziejach wdzierających się do jej domu.



W poniedziałek zajęła się końcowymi przygotowaniem do przyjęcia u księcia; pracowicie wykańczała suknię, która była już prawie gotowa. Udało jej się poprawić rozdarcie na dekolcie, widoczne tylko po uważnym przyjrzeniu się z bliska.

Od rana nieustannie ktoś pukał do drzwi. Najpierw chłopak od rzeźnika podrzucił im najtłustszą gęś, jaką Lucy w życiu widziała.

Violet ją oskubała i przyniosła pokazać.

- Psze pani, niech pani popatrzy!

- Wielkie nieba, chłopak rzeźnika chyba pomylił domy! - wykrzyknęła Lucy. - Nie zamawiałam niczego takiego... Taka gęś musi kosztować fortunę!

Violet pokręciła głową.

- Nikt niczego nie pomylił. Pytałam. Posłaniec powiedział, że wczoraj wieczorem zatrzymał się przed rzeźnią bogaty dżentelmen, a jego woźnica tak długo walił w drzwi, aż w końcu sam właściciel wyrżał z okna pokoju nad sklepem. Dżentelmen rzucił mu pół korony i kazał przesłać nam najpiękniejszego ptaka, jakiego ma do sprzedania.

Lucy popatrzyła wymownie na służącą.

- Wicehrabia!

- Tak, psze pani - potwierdziła Violet. - Ale co my z nią zrobimy?

- Oczywiście upieczemy - mruknęła Lucy, choć rozumiała dylemat służącej. Dni były ciepłe i drób, w przeciwieństwie do wędzonej szynki, nawet upieczony, niedługo zachowa świeżość. Nie zdołają same zjeść naraz takiego wielkiego ptaszyska, a zmarnować dobre mięso to grzech. Podjęła szybką decyzję.

- Wstaw gęś do piekarnika - zanim się upiecze, minie wiele godzin. Pani Broddy i moja kuzynka uważają, że powinnam je ugościć, więc nie sprawię im zawodu. Pobiegnij na drugą stronę ulicy i zaprosz je na obiad. Nie mamy co dać na przystawkę, więc powiedz, że obiad

będzie skromny. Wilhelmina i tak będzie wniebowzięta, bo nadarzy jej się okazja, żeby coś skrytykować!

- Tak jest, psze pani - posłusznie przytaknęła Violet, chociaż wykrzywiła usta z niezadowolenia.

- Potem pójdz do domu pani Smith.

- Pani Smith?

- Tej wdowy z siódemką dzieci, która prowadzi usługi szewskie na następnej ulicy. Do tej pani Smith. Zaproś ją i powiedz, żeby koniecznie przyprowadziła wszystkie dzieci. - Lucy uśmiechnęła się, widząc, że Violet przygląda się jej w osłupieniu. - Nie zmarnujemy ani odrobiny z tego wspaniałego ptaka.

- Oczywiście, psze pani - zgodziła się służąca, a na jej twarzy w miejsce niezadowolenia zagościł lekki uśmiech.

Cała trójka wraz z lokajem zabrała się do przygotowania niespodziewanego poczęstunku. Wiązało się to ze znacznymi spustoszeniami w spiżarni, ale Lucy niczego nie żałowała, bo zależało jej, by obiad był smaczny.

Wilhelmina, kiedy się zjawiła wraz z panią Broddy, była bardzo zdumiona zarówno na widok lokaja, jak i elegancko zastawionego stołu; królowała na nim piękna porcelana, scheda po matce Lucy.

- Doprawdy, Lucindo, lokaj? Przecież to oznacza dwukrotnie wyższą pensję, niż wzięłaby pokojówka. Taka ekstrawagancja! A ja myślałam, że jesteś w złej sytuacji finansowej...

- To wszystko prawda, jednak poszłam za radą pani Broddy, która zwróciła mi uwagę, że powinnam mieć więcej służby - odparła Lucy, nie potrafiąc się powstrzymać przed złośliwym żartem.

Pani Broddy skuliła się pod srogim wzrokiem Wilhelminy.

- No cóż...

Kuzynka ponownie skierowała spojrzenie na Lucy.

- Dlaczego ścięłaś włosy? Nie do twarzy ci w tej fryzurze i nie jest na czasie. Szkoda, że nie zapytałaś mnie o zdanie, odradziłabym ci ją.

I dobrze, że tak się nie stało, cisnęło się Lucy na usta, ale nie zdążyła się odezwać, ponieważ przeszkodziło jej pukanie do drzwi.

- Zdaje się, że przybyła reszta gości.

Kiedy do jadalni weszła pani Smith, a za nią stadko jej dzieci, poczynając od wysokiego wygadanego chłopca, do maluchów po kilka lat, Wilhelmina zrobiła jeszcze mniej zadowoloną minę. Towarzystwo zasiadło do stołu, choć wcześniej Lucy musiała pożyczyć krzesła od pani Broddy, bo tych, które miała w domu, nie starczyłoby dla wszystkich.

Dzieci pani Smith nie należały do spokojnych. Co chwila najmłodszy z chłopców opuszczał swoje miejsce, żeby gonić za starszym bratem, krzyząc: „Ja chcę ten kawałek, mamó; powiedz mu, żeby mi go oddał!” W końcu jego starsza siostra, dziewczynka około dwunastoletnia, pochwyciła go i siłą zaciągnęła do stołu. Ale on zaraz znów się poderwał; omal nie wpadł na Violet wnoszącą talerz z faszerowanymi jajami.

- Dlaczego te dzieci nie są w pokoju dziecinnym, gdzie ich miejsce? - narzekała głośno Wilhelmina.

Lucy lekceważyła jej utyskiwania, ale pani Smith postanowiła przywołać dziatwę do porządku.

- Charlie! - krzyknęła. - Siadaj i skończ ten wspaniały obiad!

Chłopiec posłuchał i z miną aniołka wbił ząbki w skrzydełko, które było większe od jego ramienia.

- Dzieci powinno być widać, a nie słychać - mamrotała pod nosem Wilhelmina, zagłuszana przez wesoły harmider podnoszony przez trzódkę pani Smith. Pani Broddy, siedząca po drugiej ręce Lucy, bezskutecznie starała się nawiązać z nią rozmowę na temat skandalicznych plotek dotyczących wicehrabiego.

- Czy jest pani pewna jego intencji? - dopytywała się. - Doprawdy, pani Contrain, musi pani pamiętać o swojej reputacji.

- Ależ ja pamiętam - spokojnie zapewniała Lucy. - Przynajmniej dwa razy dziennie biorę ją pod uwagę; przed śniadaniem i po południowej herbacie. Jaka szkoda, że pani mąż był dziś umówiony. Jeszcze kawałek gęsi?

- Nie, dziękuję - odburknęła matrona. Jak tylko obiad się skończył, wraz z Wilhelminą, obydwie zresztą bardzo wzburzone, pospiesznie ewakuowały się do domu.

Później Lucy pożegnała także panią Smith i jej gromadkę, pomogła Violet i lokajowi posprzątać ze stołu, a następnie poszła do swojej sypialni i wyczerpana rzuciła się na łóżko.

Następnego poranka obudziła się ze ściśniętym żołądkiem. Na pewno nie z powodu gęsi z poprzedniego dnia, bo ta była wyśmienita, a raczej na myśl o czekającym ją tego wieczoru towarzyskim wydarzeniu. Ona, Lucy Contrain, wybiera się do teatru na zaproszenie samego księcia regenta. Tego jeszcze nie było. Odetchnęła głęboko, zapewniając samą siebie, że wszystko ułoży się pomyślnie. Ani nie upuści filiżanki z herbatą, ani nie powie czegoś głupiego, bo postanowiła się mało odzywać, no i będzie tryskała dobrym humorem, bo do wieczora z pewnością zdąży uspokoić rozdygotane nerwy.

Jeszcze raz sprawdziła stan wieczorowej sukni, dobrała do niej długie rękawiczki z koźlęcej skóry, jedne z tych, które podarował jej wicehrabia, wypolerowała miękką szmatką kolczyki matki i dała lokajowi do oczyszczenia swoje aksamitne wieczorowe pantofle.

Z rana przybył średni syn pani Smith z naręczem konwalii w podzięcie za gościnę. Lucy większość pachnących białych kwiatów umieściła w wazonie i postawiła na stole w jadalni, a resztę postanowiła wykorzystać do upiękśnienia włosów w zastępstwie drogich strusich piór lub tiary, których nie posiadała. Była gotowa na przyjęcie.

Albo takiej się wydawało.

Wraz z służbą zasiadła do spóźnionego lunchu; aromatycznej zupy zrobionej na resztkach z gęsi. Właśnie zastanawiały się z Violet, kiedy powinna zacząć się szykować, żeby być gotowa na czas, gdy po raz któryś tego dnia rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

Violet pobiegła otworzyć i po sekundzie była już z powrotem, niosąc w rękach podłużny pakunek.

Promieniała.

- Psze pani, następna niespodzianka!

Myśląc, że już nic nie potrafi jej zadziwić, Lucy otworzyła pudełko i okazało się, że się myliła. Odsunęła papier i aż wstrzymała oddech. Wyciągnęła ze środka migoczący materiał.

- Jakie piękne - wyszeptła Violet.



Lucy z braku słów milczała i tylko wpatrywała się w cudowny zwiewny szal, przetykany złotą nicią.

- Och, niech go pani przymierzy - poprosiła służąca.

Lucy nie trzeba było ponaglać. Pobiegła do sypialni, szybko ściągnęła muślinową suknię, którą miała na sobie, i przebrała się w wieczorową kreację. Następnie, przy asyście Violet, udrapowała na ramionach nowy szal. Zasłonił pocerowany dekolt, a poza tym doskonale pasował jako dodatek do żółtej sukni.

Patrząc w lustro, prawie siebie nie poznawała w tych pięknych rzeczach.

Miała wrażenie, że śni.

- Będzie tam pani najpiękniejszą damą! - zachwycała się Violet, przyglądając się jej szeroko otwartymi oczami.

Lucy wybuchnęła śmiechem.

- Obawiam się, że to raczej niemożliwe. Na przyjęciu pojawi się wielu bardzo wytwornie odzianych gości, Violet - odparła, choć pomyślała, że nie będzie się od nich bardzo odróżniała. Poczowała wdzięczność dla darczyńcy. Zajrzała do pustego pudła i wyjęła z niego wizytówkę, która zsunęła się na bok.

HRABINA SEALEY.

Oczywiście. Powinna się była domyślić. Cóż za szczodra przyjaciółka z tej lady Sealey! Na wizytówce nie było nic więcej oprócz nazwiska, co Lucy nie zdziwiło, bo wiedziała już, że hrabina nie jest zbyt wylewna.

Skąd przyszedł jej do głowy pomysł podarowania jej szala? Może to wicehrabia szepnął jej słówko o dzisiejszym przyjęciu? Wszystko jedno, co nią kierowało, hrabina okazała wielką hojność, nawet jak na nią.

Tym razem nie wystarczy tylko liścik z podziękowaniami. Nie wypada też czekać z nimi do cotygodniowego podwieczorku. Poza tym Lucy wolałaby złożyć podziękowania bez świadków. Uznała, że starczy jej czasu, żeby przejść się do lady Sealey, a co więcej, spacer oderwie ją od nerwowych rozmyślań o przyjęciu.

Kazała Violet schować szal i przebrała się w dzienną suknię, odpowiednią na tego typu wizyty. Powiadomiła służącą, dokąd się wybiera.

- Tylko zdejmę fartuch- rzuciła dziewczyna- i już jestem gotowa, psze pani.

Zeszły na dół i tam się okazało, że Chudley, lokaj wypożyczony od wicehrabiego, który najwyraźniej bardzo poważnie potraktował swoją rolę stróża, uparł się, iż będzie im towarzyszył.

- Lord Richmond oberwałby mi głowę, gdyby coś się pani stało na ulicy - powiedział.

Lucy w końcu pozwoliła mu iść z nimi. Dzień był ciepły, więc pełna zapału energicznym krokiem ruszyła przed siebie. Mimo że lokaj podążał tuż za nią, bacznie obserwowała otoczenie, ale na całe szczęście nie dostrzegła nikogo podejrzanego, żadnego natrętnego żebraka. Opuściła ubogą część Cheapside i weszła do zachodniej części, gdzie ulice były szersze, a domy większe. Mijały ją powozy ciągnięte przez dobrze utrzymane konie z dumnie uniesionymi łbami. Na parkowych skwerach, między domami, pod okiem opiekunek bawiły się dzieci, a ich krzyki i śmiechy doskonale pasowały do jej nastroju. Nie opuścił jej on nawet wtedy, gdy dotarła do drzwi hrabiny i zapukała w nie mosiężną kołatką.

Kamerdyner od razu wpuścił ją do środka, a jeden z lokajów zaprowadził do salonu utrzymanego w łososiowo-złotej kolorystyce. Hrabina była sama, zajęta robótką.

Na widok gościa natychmiast ją odłożyła.

- Moje dziecko, cóż za wspaniała niespodzianka. Wejdz, proszę. Właśnie akurat się nudzę. Watkins, przynieś nam tacę z herbatą i ciasteczka.

Służący ukłonił się i wyszedł, a Lucy usiadła w jednym z pozłocanych krzesel.

- Przyszłam podziękować pani za hojny prezent. Szal jest przepiękny!

Ale lady Sealey machnęła ręką.

- Och, wystarczy tego, drogie dziecko. A teraz powiedz, co u ciebie. Mam nadzieję, że częściej wychodzisz?

Trochę zmieszana Lucy poinformowała hrabinę o niespodziewanym zaproszeniu od księcia do teatru.

Okazało się, że hrabina nic o tym nie wiedziała i przysłała prezent przypadkowo, nie znając wcale planów Lucy. A może mówiła tak tylko przez grzeczność, nie chcąc jej zawstydzać.

- To wspaniale - ucieszyła się. - W zeszłym tygodniu jadłam z księciem obiad. Tak przy okazji, to jego kucharz wspaniale przyrządza sosy. Na pewno będziesz się doskonale bawiła, chociaż może być trochę tłoczno. Nasz drogi książę uwielbia teatr, a jeszcze bardziej przyjęcia.

Lucy się roześmiała.

- Już się nie mogę doczekać. Z pewnością będzie to o wiele przyjemniejsze wydarzenie niż moja ostatnia wyprawa.

Och, nie powinna nic mówić o podróży do Hampstead Heath. Ale z drugiej strony, niczego bardziej nie pragnęła niż porozmawiać z hrabiną o swoich ostatnich przeżyciach. Hrabina jest kobietą doświadczoną, obeznaną z życiem - u kogo innego ma szukać porady, jak nie u niej? Poza tym Lucy wiedziała, że starsza pani wszystko, co usłyszy, zachowa dla siebie.

- Tak? - zaciekała się matrona, unosząc wypielęgnowane brwi.

- Nikomu innemu bym tego nie powiedziała, ale wiem, że nie będzie pani zaskoczona, kiedy się dowie, iż mój mąż... miał kochankę - wyrzuciła z siebie Lucy i odetchnęła.

Hrabina, nie zmieniając wyrazu twarzy, pokiwała głową, a Lucy mówiła dalej, już spokojniejsza:

- Spotkałam się z tą kobietą, ponieważ zmusiły mnie do tego sprawy związane z interesami męża. - Zamilkła.

- Och, to wielka odwaga. Mam nadzieję, że ta osoba nie była dla ciebie nieprzyjemna? Kurtyzany potrafią być bardzo bezwzględne.

- No... nie.

Hrabina pochyliła się - diament w jej pierścionku zamigotał - i poklepała Lucy po ręce.

- Ale ty, tak czy inaczej, czułaś się nieswojo?

Lucy jakiś czas zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Ja... ja naprawdę nie wiem, jak opisać to, co czułam.

- Nie zdziwiłabym się, gdybyś poczuła się zszokowana i zła - zasugerowała lady Sealey. - A także, oczywiście, bardzo zraniona tym, że twój mąż szukał zaspokojenia gdzie indziej. Ale wiesz, moja droga, wielu mężczyzn ma zwyczaj korzystać z takich usług. Gdybyś go bardzo kochała...

Lucy westchnęła.

- To nie do końca tak. Choć zawsze miałam nadzieję, że z czasem nasze uczucie się pogłębi.

- W takim razie nie pozwól, żeby ta wiadomość cię przybiła. Nie dziwi mnie, że po takiej informacji jesteś zdenerwowana, to naturalne. Jednak mam nadzieję, że błędy męża nie będą psuły ci nastroju.

- Ale niestety, tak właśnie się stało - wyznała szczerze Lucy. - Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja pragnęłam dzielić z nim... łożę. Chciałam, żebyśmy byli sobie bliżsi. Tylko Stanley tego nie chciał, a teraz wiem, że miał romans, i przez cały czas się zastanawiam, co robiłam źle, czego mi brakowało...

Hrabina spojrzała na nią. Lucy wpatrywała się w jej twarz pokrytą pudrem maskującym zmarszczki, starając się odczytać jej myśli.

- Cały czas zarzucam sobie, że to przez brak doświadczenia sama pchnęłam go w ramiona innej kobiety! - ciągnęła, postanawiając, że skoro już zaczęła, powie wszystko. - Czuję, że go zawiodłam, i to kładzie się cieniem na wszystkie wspomnienia z mojego małżeństwa.

- Lucy, nie wolno ci tak mówić ani myśleć! - odezwała się lady Sealey tonem niespodziewanie stanowczym. - Zapewniam cię, że niczego ci nie brakuje.

- No więc dlaczego...

- Drogie dziecko, tak właśnie czasami mężczyźni postępują. Kto by tam się zastanawiał, co nimi kieruje?

Lucy westchnęła.

- Żeby pani ją widziała... nie była może bardzo wyuzdana, ale mimo wszystko jest tak... inna niż ja. Tak dziwnie się czułam.

Lady Sealey się roześmiała.

- Najczęściej właśnie o to chodzi.

- Nie rozumiem. - Lucy pytająco popatrzyła na starszą kobietę, a ta machnęła ręką.

- O taki typ kobiet...

Do salonu wszedł służący z tacą w rękę, więc zamilkła, czekając, aż naleje herbaty do filiżanek i wyjdzie. Podsunęła Lucy filigranowe kanapeczki i smakowite ciasteczka.

Dziewczyna wyglądała na całkowicie zagubioną.

- Ale to wszystko nie ma sensu.

- A kto powiedział, że musi mieć? Wprawdzie uważa się, że to mężczyźni są bardziej racjonalni, ale moje doświadczenie podpowiada mi, że mogą, podobnie jak kobiety, pogubić się i stracić rozsądek na rzecz emocji. Jak już mówiłam, niektórzy mężowie wołają, żeby ich żony były święte i nietykalne, nawet dla nich samych. Tymczasem eksydują się zupełnie innymi kobietami, takimi, które z pewnością nie są święte. I to był właśnie problem twojego męża, moja droga. Jego wada, jeśli chcesz, ale nie twoja. Proszę, nie miej sobie nic za złe.

Jeszcze raz poklepała Lucy po dłoni i ponagliła ją, żeby piła herbatę, nim wystygnie.

Uczyniła to, by zaspokoić pragnienie, a także by mieć chwilę na zastanowienie nad tym, co usłyszała. Nadal nie rozumiała tego, że Stanley mógł pożądać innej kobiety tylko dlatego, że była rozwiązła, podczas gdy jego własna żona, którą przecież sam sobie wybrał, w ogóle go nie pociągała.

- A więc nie uważa pani, że istnieją jakieś triki, metody, których powinnam się nauczyć, żeby... - Zarumieniła się. - To znaczy, gdybym kiedyś jeszcze miała wejść w związek...

- Moja droga, jeśli spodoba ci się mężczyzna o zdrowych zainteresowaniach i jeśli zapragniesz odpowiedzieć na jego zaloty, jestem pewna, że bez problemu zaspokoisz jego oczekiwania. Kiedy dwoje normalnych ludzi połączy uczucie i zaufanie, cała reszta układa się sama. Uwierz mi na słowo. - Hrabina uśmiechnęła się, jakby coś się jej przypomniało.

Lucy bardzo pragnęła przyznać jej rację, ale nie pozbyła się jeszcze wszystkich wątpliwości. Cóż, hrabinie łatwo jest wygłaszać po-

dobne teorie, bo z pewnością nigdy żaden kochanek nie wyrzucił jej z łóżka. O to Lucy mogłaby się założyć. Westchnęła i zmieniła temat na lżejszy, a potem pożegnała się i wyszła.

Wracała do domu już wolniejszym krokiem; jej wierna eskorta tuż za nią. Dotarli na miejsce bez żadnych przeszkód i Violet otworzyła drzwi.

- Podgrzeję wodę na kąpiel, psze pani - powiedziała zaraz po wejściu.

Lucy zapomniała o trapiących ją myślach i rzuciła się w wir przygotowań do ważnego wieczornego wydarzenia. Wykąpała się, zmywając z siebie kurz ulicy, potem przy piecu wysuszyła włosy, zadowolona, że są krótkie i dzięki temu szybko schną. Opadały na twarz w naturalnych skrętach.

Violet ułożyła je w twarzową fryzurę i udekorowała konwaliami. Lucy zapięła kolczyki i zawiesiła na szyi mały wisiołek należący do jej babki. Potem włożyła suknię i ostrożnie owinęła ramiona szalem. Kiedy skończyła, poczuła się jak księżniczka.

Nie zdziwi się, jeśli dzisiaj pod jej drzwiami podjedzie karoca z dyni!

Nie, to będzie tylko... powóz wicehrabiego. Och, jak trudno będzie powrócić do zwyczajnego życia, kiedy już zagadka rubinu zostanie rozwiązana; bez książęcych zaproszeń, bez wizyt aroganckiego arystokraty, na którego widok jej serce zaczyna szybciej bić.

Pokręciła głową. Musi przestać bujać w obłokach i nie zapominać, że dzisiejsze przyjęcie to nie zabawa, tylko okazja, by dowiedzieć się czegoś o zaginionym klejnocie. Poza tym już się przecież przekonała, że nie można żyć marzeniami. Nie ma sensu tracić czasu na marzenia o miłości. Kiedyś sądziła, że może być szczęśliwa ze Stanleyem i że on będzie szczęśliwy z nią...

Te przekłete wspomnienia! Trzeba myśleć o chwili obecnej! A przed nią przecież wspaniały wieczór w teatrze i powinna się cieszyć każdą jego minutą. I tak też uczyni, postanowiła, a wraz z tą decyzją nagle ustąpiło całe kilkudniowe zdenerwowanie, które odczuwała na myśl o wizycie u księcia.

Ta noc należy do niej.

Kiedy powóz wicehrabiego zatrzymał się pod jej domem, Lucy już czekała. Przy pomocy Nicholasa, świadoma jego bliskości, zajęła miejsce na miękkiej kanapie.

Jej towarzysz prezentował się bardzo elegancko; czarny surdut, obcisłe spodnie, śnieżnobiała koszula i prosty, choć wykwinny fular. Oprócz sygnetu z nieoszlifowanym szmaragdem, który nosił zawsze, żadnej biżuterii w rodzaju złotych dewizek i brylantowych spinek. Nicholas nie był dandysem.

Przyglądał się jej takim wzrokiem, że krew w niej wrzała.

- Wygląda pani sensacyjnie - stwierdził. - Móc pani towarzyszyć to dla mnie zaszczyt.

Jakie to uprzejme z jego strony, że mówi tak, jakby rzeczywiście cieszył się z jej towarzystwa, chociaż powodem ich wspólnego wyjścia jest tylko zaginiony klejnot. Uśmiechnęła się i bez wahania wysunęła dłoń.

Nicholas, korzystając z okazji, natychmiast ją pochwycił i czule ucałował.

Zadrżała i mimo że dostrzegła w jego oczach błysk zawodu, cofnęła rękę, kręcąc zarazem głową.

- Ja... to znaczy... nie ma potrzeby, żebyśmy...

Zamilkła, trochę pogubiona. Nicholas rozczarowany ponownym odtrąceniem, pocieszał się w duchu, że zmieszanie Lucy świadczy o tym, że nie jest jej obojętny. Gdyby tylko jeszcze była bardziej otwarta na jego zaloty...

Podróż do teatru nie trwała długo i całe szczęście, bo Lucy, skrzępowana bliskością wicehrabiego, cała zdrętwiała. Nie chodziło o to, że się go obawiała; ufała mu całkowicie. Ale nie ufała sobie. Pragnęła zainteresowania ze strony tego mężczyzny, pożałowała jego pocałunków. .. a jednak, mimo że przyrzekła sobie, iż wykorzysta okazję, coś ją powstrzymywało.

Nabrała powietrza i postanowiła, że nie będzie teraz tego roztrząsała; teraz skupi się na czymś innym - na przykład na dzisiejszym wieczorze. Jest gościem samego księcia!

## 10

Powóz zatrzymał się przed Covent Garden. Lucy była tak podekscytowana widokiem ogromnego budynku teatru, że aż dygotała. Nigdy jeszcze nie była w prawdziwym teatrze, bo przecież nie można nazwać tak przedstawień kukiełkowych wystawianych na festynach, na które w dzieciństwie zabierała ją matka i które uwielbiała.

Wysiedli z powozu. Lord Richmond zaferował jej ramię i razem ruszyli do wejścia. W środku zastali tłumy. Lucy z wypiekami na twarzy przyglądała się wytwornym damom, choć starała się to robić bardzo dyskretnie. Była zdumiona tym, że wiele z nich jest odzianych bardzo swobodnie; ich suknie przypominały stroje kobiet z domu rozpusty w Little Hedding. Wicehrabia tymczasem witał się ze znajomymi, jednak przy nikim nie zatrzymywał się na dłużej. W końcu wziął Lucy pod rękę i poprowadził na piętro, a tam z całym ceremoniałem wprowadził do księżęcej loży.

- A, jesteś Richmond! I twoja śliczna znajoma. Wspaniale! - witał ich wylewnie książę. Lucy wykonała głęboki ukłon.

Nim jednak zdążyła się wyprostować, książę już odciągał jej towarzysza na bok na chwilę cichej pogawędki. Została więc sama, ale to jej nie przeszkadzało, ponieważ jak urzeczona rozglądała się dokoła.

Otaczała ją kakofonia dźwięków i feeria świateł; prawie żaden widz nie siedział na swoim miejscu i nie śledził sztuki. Parter, przeznaczony dla biedniejszej publiki, wrzał. Mężczyźni i kobiety w pospolitych strojach głośno wymieniali się uwagami, jedli i pili, a niektórzy nawet podśpiewywali urywki melodii dochodzących z proscenium, chociaż orkiestry prawie nie było słychać w tym zgiełku. Boczne ściany teatru składały się z kilku kondygnacji z lożami. W jednych zasiadły wystrojone w strusie pióra matrony, przeczesujące lornetkami nie tyle scenę, ile gości, jakby w poszukiwaniu tematów do plotek, w innych zaś pochłonięci flirtowaniem bogaci arystokraci i damy, zupełnie niezainteresowani występami. Od gawiedzi na parterze odróżniały ich tylko eleganckie stroje i błyszcząca biżuteria.

Lucy, zaszokowana tym spektaklem świateł i dźwięków, dopiero po chwili zorientowała się, że przedstawienie jest już w toku, a aktorzy recytują swoje kwestie mimo zgiełku. Względna cisza zapadała jedynie w chwilach ważniejszych scen. Postanowiła wsłuchać się w sztukę.

Usiadła z boku - wicehrabia nadal rozmawiał z księciem, który wyraźnie czymś poruszony, machał rękami i ciągle ocierał czoło chusteczką - i skupiła się na widowisku.

- „A ono wschodem, a Julia jest słońcem..”<sup>\*</sup> - recytował aktor, nieco ścisząc głos, bo akurat publiczność trochę się uspokoiła, zainteresowana emocjonującą sceną.

Tego wieczoru grano *Romea i Julię!* Lucy знаła tę sztukę. Ojciec zostawił jej oprawiony w skórę zbiór wszystkich dramatów Szekspira, które uwielbiała. Zaczytywała się nimi wieczorami podczas nieobecności Stanleya, siedząc samotnie w małym saloniku. *Romea i Julię* przeczytała nawet kilka razy, marząc w czasie lektury o miłości, która jej widać nie była przeznaczona. Jednakże nigdy nie oglądała tej sztuki na żywo. Mimo że wcześniej nawet nie przyszło jej na myśl, aby zapytać wicehrabiego, co będzie wystawiane, teraz była naprawdę zachwycona. Westchnęła i rozsiadła się wygodniej.

- „Patrz, jak na dłoni smutnie wsparła liczko...!” - Romeo zrobił dramatyczną przerwę, po czym dodał: - „O! Gdybym mógł być tylko rękawiczką, co tę dłoń kryje!”

Na chwilę oderwała wzrok od stojącej na balkonie aktorki odzianej w piękną niebieską suknię. Spojrzała w dół na swoje dłonie; na śliczne, długie rękawiczki, które dostała w prezencie od wicehrabiego. Przypomniała sobie moment, gdy dotknął jej policzka... Przez chwilę wspomnienie pochłonęło ją bardziej niż scena rozgrywająca się poniżej.

Och, żeby zaznać takiej namiętnej i żarliwej miłości, jaką odgrywali aktorzy na scenie... Niestety, lepiej o tym nie marzyć. Postąpiłaby bardzo nierozsądnie, gdyby pozwoliła sobie na poważne uczucia. Nawet hrabina Sealey tego nie doradzała.

<sup>\*</sup> Cytaty z *Romea i Julii* Williama Szekspira przeł. Józef Paszkowski (przyp. red.).

Owszem radziła jej, żeby się zabawiła, poprawiła sobie nastrój, ale nie, żeby się zakochała.

Z rozmyślań wyrwało ją pojawienie się w łoży nowych gości. Cofnęła krzesło, żeby zrobić dla nich miejsce. Pomyślała zarazem, że hrabina Sealey nie myliła się, mówiąc, iż książe przepada za wydawaniem przyjęć.

Och, Boże! Wśród wchodzących rozpoznała Marion Tennett i jej korpulentnego, małomównego męża. Nie były to osoby, które, gdyby to ona miała wybierać, wpisałyby na listę gości, ale, oczywiście, nie od niej to zależało, a nawet niewdzięcznością z jej strony byłoby narzekać.

Westchnąwszy w duchu, przygotowała się do wymiany powitalnych uprzejmości. Na szczęście wyglądało na to, że pani Tennett ma trochę lepszy nastrój niż ostatnio. Przy powitaniu nawet się do Lucy uśmiechnęła.

- Pani Contrain, jak słodko pani dzisiaj wygląda! Tak się cieszę, że panią widzę. Marzyłam o tym, żeby móc spędzić więcej czasu w pani towarzystwie.

Lucy starała się nie pokazać po sobie zdziwienia.

- Jak to miło z pani strony pani Tennett - odparła, kompletnie nie ufając przymilnym słowom kobiety i próbując odgadnąć, skąd ta zmiana w jej zachowaniu.

- Och, mów mi Marion. Możemy chyba zwracać się do siebie po imieniu, prawda?

- Oczywiście - zgodziła się Lucy, choć niechętnie. - Domyślam się, że lubisz teatr?

Marion zerknęła na scenę i usiadła w krzesło obok.

- Tak, tak, uwielbiam - odparła, po czym tracąc zainteresowanie sztuką, pochyliła się do ucha Lucy i szeptem zaczęła przekazywać jej wszystkie najnowsze i najpikantniejsze ploteczki. Lucy prawie w ogóle nie słyszała aktorów. Próbowwała nie okazywać po sobie uczucia zawodu, ale w duchu przeklinała towarzyszkę za to, że psuje jej tak wspaniałą duchową ucztę. No cóż, to cała Marion Tennett.

Na scenie Julia właśnie wygłaszała podniosłą kwestię:

- „Bo moja miłość równie jest głęboka jak morze, równie jak ono bez końca; im więcej ci jej udzielałam, tym więcej czuję jej w sercu”.

Och, cóż za wspaniałe zdania. Lucy bardzo żałowała, że nie może spokojnie śledzić przedstawienia. Gdyby tylko ta głupia kobieta przestała paplać jej do ucha. A w ogóle to bardzo dziwne, że tak nagle pani Tennett zapragnęła się z nią zaprzyjaźnić... Może chce w ten sposób odciągnąć ją od wicehrabiego? A może sądzi, że zmiana w zachowaniu zwróci jego uwagę? Lucy zdecydowanie nie ufała swojej rozmówczyni i z tego też powodu mało się odzywała, bąkając tylko od czasu do czasu jakieś słowo. Przede wszystkim jednak starała się, mimo przeszkody, podziwiać graną sztukę.

Na scenie zaś tragiczny romans zmierzał do sceny ucieczki, pojedynku i wreszcie serii fatalnych pomyłek, doprowadzających ostatecznie do śmierci młodych kochanków. Lucy czuła, że się wzruszyła i że zaraz się rozpłaczę, choć bardzo tego nie chciała, skrzepowana obecnością sąsiadki.

Ale nie było jej łatwo pohamować łzy. Doskonale wiedziała, jak to jest, kiedy dostaje się wieść o śmierci bliskiej osoby. Znała pojawiające się wtedy uczucie nagłej i przygniatającej straty, nawet jeśli jest to strata kogoś, kogo się nie kochało tak głęboką miłością, jaką obdarzali siebie Romeo i Julia.

Dlatego też, kiedy na koniec aktorka grająca Julię w zupełnej ciszy zawołała: - „Zbawczy puginale! Tu twoja pochwa. Tkwią w tym futerał!” - Lucy poczuła, że łzy jednak spływają jej po policzkach. Sięgnęła do torebki po chusteczkę.

- Doprawdy, moja droga, przecież to tylko gra! - zakrzyknęła pani Tennett ze śmiechem.

Czy ta kobieta nie ma za grosz wyobraźni i wrażliwości?

Lucy milczała, bojąc się, że głos ją zawiedzie. Szybko otarła policzki, z wielkim wysiłkiem powstrzymując napływające nadal łzy.

- Nigdy nie straciłaś kogoś bliskiego? - zapytała cicho.

Oczy Marion przez chwilę rozbłysły pod wpływem jakiejś emocji, ale Lucy nie potrafiła jej określić, oprócz tego, że była silna.

- Och, wiem, jaki smak ma strata - oświadczyła kobieta, także ścisząc głos. - Ale chyba nie jestem aż tak sentymentalna jak ty. I ponieważ tak jest, to radzę, moja droga, nie przywiązywać się do Nicholasa, bo on z pewnością złamie ci serce, a to może być tak samo bolesne jak śmierć ukochanego męża. Nie chcę, żebyś skończyła na marach jak biedna Julia.

Wstrętna kobieta!

- Nie jestem zainteresowana lordem Richmond - odparła Lucy głosem twardym z odrazy.

- Doprawdy, kochana, chyba nie sądzisz, że w to uwierzę? Żadna kobieta nie jest w stanie oprzeć się jego zalotom, tak jak i on nie potrafi się oprzeć każdej nowej urodziwej twarzyczce. Obserwuję go od wielu lat i zapewniam cię, że wiem, co mówię. - Wyglądało na to, że Marion nie kłamie.

Lucy, którą ogarnął nagły gniew, z trudem zebrała się na odpowiedź.

- Myślę, że sama sobie poradzę ze swoimi sprawami sercowymi, ale dziękuję za twoją... - przerwała i nabrała powietrza - zapewne szczerą troskę.

Pani Tennett zeszywniała.

- Myślisz, że nadal zależy mi na Nicholasiu? I wcale się nie mylisz. Pociąga mnie sto razy bardziej niż mój mąż. Jest najlepszym kochankiem, jakiego miałam od lat.

Lucy poczerwieniała, czując się tak, jakby ktoś dał jej w twarz.

- Och, nie powiem, Lucy, jesteś nawet ładniutka, ale niestety mało oryginalna. Nicholas nie lubi kobiet w twoim typie, zwłaszcza że w tym sezonie blond włosy nie są modne. Poza tym wątpię, żebyś posiadała dostateczne umiejętności, którymi mogłabyś utrzymać przy sobie tak doświadczonego kochanka. Może i byłaś wystarczająco powabna dla swojego męża, chociaż dochodziły mnie słuchy, że i tak szukał rozrywek poza domem, ale Nicholasa nie uda ci się utrzymać. Radzę się nawet o to nie starać, oszczędzisz sobie bólu rozstania. - Poklepała Lucy po ręce. - Mam na względzie wyłącznie twoje dobro, moja droga.

Naturalnie!

Lucy zabrała dłoń i poderwała się z krzesła.

- Z pewnością zapamiętam twoją radę. Wybacz, ale potrzebuję zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wicehrabia nadal rozmawiał z księciem, który cały czas albo energicznie gestykulował, albo nerwowo pociągał rozmówcę za rękaw. Stali odwróceny tyłem, więc nie widział jej wyjścia. Zresztą wcale nie pragnęła się mu teraz pokazywać. Zapewne nie wyglądała najlepiej z twarzą poczerwieniałą ze wstydu, gniewu, upokorzenia... i jeszcze wielu innych emocji, których nawet nie umiała określić.

Wyszła z łoży na korytarz. Nie będzie płakała, nie będzie; już wystarczająco została zawstydzona złośliwymi uwagami pani Tennett. Nie będzie się dalej poniżać. Ale opanowanie fali gniewu i rozżalenia nie przychodziło jej łatwo. Zbiegła schodami w dół, nie zwracając uwagi na chodzących od łoży do łoży gości.

Nagle wpadła na jakąś osobę i dopiero po chwili zorientowała się, że to ktoś znajomy.

- Pani Contrain, źle się pani czuje? - Julia Blythe delikatnie dotknęła jej ramienia.

Lucy pokręciła głową, nie potrafiąc wydobyć z siebie głosu. Bała się, że kiedy tylko otworzy usta, wybuchnie płaczem, a przecież nie wolno jej, nie może publicznie robić scen.

- Chodźmy do mojej łoży. - Pani Blythe pociągnęła ją za sobą. W środku siedziało kilku mężczyzn, którzy, zupełnie niezainteresowani sztuką, dyskutowali o czymś zawzięcie. - Domyślam się, że to poruszenie to wynik przedstawienia, które zapewne przywołało bolesne wspomnienia? - zapytała Julia.

Lucy skinęła głową, zagryzając usta, by się nie rozplakać.

- Proszę mi wybaczyć moje wzruszenie. To bardzo uprzejme z pani strony, pani Blythe, że...

- Och, proszę, mów mi po imieniu. Przypuszczam, że nie masz w Londynie wielu przyjaciół. A rodzina? Mieszka gdzieś w pobliżu? - Wydawała się szczerze przejęta, więc Lucy nie poczuła się urażona dość osobistymi pytaniami.

Pokręciła przecząco głową.

- Moi rodzice już nie żyją, a innych krewnych nie mam. - To była prawda, bo trudno do rodziny zaliczyć kuzynkę Wilhelminę.

- A więc zostałeś sama ze swoją żałobą. Musi być ci ciężko. Wiesz co, odwiedź mnie kiedyś. Bardzo chciałabym poznać cię bliżej. - Julia zajrzała do wyszywanej paciorkami torebki i wyjęła wizytówkę.

Jej szczere współczucie nieco uspokoiło nerwy Lucy, tak jak wstrętne uwagi Marion Tennett je wzburzyły.

- Uczynię to z wielką przyjemnością - zapewniła Julię. - I zapraszam też do siebie, jak tylko będę gotowa na przyjmowanie gości.

- W takim razie jesteśmy umówione. - Julia gorąco ją uściskała, co Lucy przyjęła z uśmiechem, trochę żałując, że daleko jej do podobnej swobody i otwartości. - Och zobacz, zaczyna się farsa, którą wystawiają zawsze po głównym przedstawieniu. Ona z pewnością cię rozweseli.

Lucy znowu się uśmiechnęła.

- Rzeczywiście, przyda mi się trochę rozrywki - zgodziła się. - Ale wrócę już do siebie, zanim znajomi zaczną się dziwić, gdzie się podziewam. - A Marion Tennett radować, że tak łatwo się pozbyła. Pewnie już flirtuje z wicehrabią. - Jestem ci ogromnie wdzięczna za słowa otuchy.

- Och, nie ma za co. Ucieszyło mnie nasze spotkanie — powiedziała Julia. - Jestem szczęśliwa, że miałyśmy okazję pogawędzić.

Lucy pożegnała się i nie spiesząc się, ruszyła w stronę książęcej łoży. Ale zanim do niej dotarła, drogę zagroził jej lord Richmond z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Tutaj pani jest - rzucił. - Nie mogłem się uwolnić od księcia. Jego wysokość bardzo się martwi naszą sprawą. Jakoś się jednak wyrwałem, bo zaniepokoiło mnie pani nagłe wyjście. Czy coś się stało?

- Nie - odparła, wzruszając ramionami. - Wszystko jest w porządku.

- Nie bardzo w to wierzę. - Nicholas dotknął palcem jej policzka, od czego zrobiło jej się cieplej i poczuła przypływ pewności siebie. - Czy pani płakała?

- Wzruszyłam się sztuką.
- To chyba rzeczywiście nie najlepsze przedstawienie dla wdowy - stwierdził. - Przykro mi, że panią zasmuciło.

Zdobyła się na uśmiech, choć zdawała sobie sprawę, że wypadł blado.

- Przecież nie pan wybierał repertuar, tylko książę.
- I nie ja zaprosiłem panią Tennett. Mam wrażenie, że jej towarzystwo nie przypadło pani do gustu. Żałuję, że musiała ją pani znosić. Nie wiedziałem, że tu dzisiaj będzie. Cóż, książę nie zasięga mojej rady przy ustalaniu listy gości, a Tennettowie zawsze się koło niego kręcą. - W ciemnych oczach Nicholasa widać było szczere współczucie.

- Zauważyłam, że pani Tennett nienawidzi każdego, kto odciąga od niej pańską uwagę. Chyba nawet i samego księcia - powiedziała Lucy, zdając sobie sprawę, że jej głos przybrał ostrzejszy ton.

Zdziwiła się, widząc, że wicehrabia się zasępił.

- Znają pani na tyle, żeby nie wierzyć każdemu jej słowu, czyż nie?
- To nie moja sprawa - odparła pospiesznie, zaraz żałując, że się nie zastanowiła nad innym sposobem wyrażenia swojej myśli. Tak si jednak składało, że powiedziała prawdę.

- Moja droga pani Contrain...
- Powinniśmy wracać — przerwała mu, choć wcale jej się nie spieszyło do następnych zjadliwych uwag Marion. - Nasza nieobecność zostanie zauważona, co tylko jeszcze bardziej rozpali w pani Tennett ogień zazdrości.

Stwierdziła ze zdumieniem, że w odpowiedzi wicehrabia przecząco kręci głową.

- Pożegnałem się już z księciem w naszym imieniu. Nie ma potrzeby narażać pani na dalsze nieprzyjemności ze strony tej kobiety.

Odetchnęła z ulgą.

- Książę nie był zawiedziony?
- Przecież nie został sam - odparł Nicholas, ścisząc dyskretnie głos. - Goście będą napływali przez całą noc, tak jak to zawsze bywa na przyjęciu urządzanym przez niego.

Skinęła głową, a kiedy zaoferował jej ramię, przyjęła je z ochotą. Czuła ulgę, że wychodzą, uświadamiając sobie zarazem, że królewskie przyjęcia są bardziej męczące, niż przypuszczała. Odprowadzały ich salwy śmiechu i głośne pokrzykiwania; najwyraźniej farsa, którą obecnie wystawiano, wzbudzała większe zainteresowanie publiczności niż wcześniejszy dramat.

Wicehrabia zamienił słowo z lokajem i kazał wezwać swój luksusowy powóz. Już po chwili pomagał Lucy zająć w nim miejsce. Oparła się o miękkie poduchy, z rozmysłem odwracając twarz od towarzysza. Jak dla niej był stanowczo zbyt spostrzegawczy, tym bardziej że nie potrafiła dobrze kryć emocji, które natychmiast odmalowywały się na jej twarzy.

Wyglądała na ulicę, przyglądając się mijającym ich powozom oraz handlarzom pchającym wózki do domu po długim dniu pracy. Niemniej przez cały czas czuła obecność wicehrabiego, który siedział naprzeciwko. Wiedziała, że niekiedy na nią spogląda, ale nie zaczynał rozmowy, widocznie szanując jej potrzebę pobycia w ciszy. Huśtanie wyposażonego w dobre resory pojazdu prawie ją uśpiło.

Otworzyła oczy dopiero, kiedy się zatrzymał. Rozejrzała się i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie stoją na jej ulicy. Nie była to nawet - sądząc po okolicznych eleganckich budynkach - jej dzielnica.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała trochę zaniepokojona.

Lord Richmond poruszył się niespokojnie, a ona dopiero w tej chwili uprzytomniła sobie jego obecność. Jak mogła zapomnieć, nawet na krótko, z kim dzieli to małe pomieszczenie? Zamrugała, próbując zebrać myśli.

- Pod moim domem.

Poczuła grudę w gardle. Czyżby jednak wicehrabia zamierzał ją wykorzystać? Czy błędnie postąpiła, obdarzając go zaufaniem?

- Pomyślałem sobie, że dobrze by pani zrobił kieliszek wina i rozmowa z przyjacielem przy kominku. Ale to oczywiście wyłącznie pani decyzja. Jeśli woli pani wrócić do domu, natychmiast wydam polecenie woźnicy - wyjaśnił, przyglądając się Lucy w mroku.

Widział, że w pierwszej chwili pobladła, ale zaraz odzyskała kolory. Jednak milczała, zapewne myśląc usilnie. Siedział bez ruchu,



nie chcąc wywierać na nią żadnego nacisku, żeby nie pomyślała, iż jej cześć i honor są zagrożone. Wprawdzie przywiezienie jej tutaj mogło się skończyć skandalem, ale Nicholas podjął to ryzyko, wiedząc, że ma lojalną i dobrze przeszkoloną służbę, która nikomu nie piśnie słówka o jej odwiedzinach.

Musiał ją do siebie zaprosić, bo cały czas nie mógł wyrzucić z głowy jej twarzy, kiedy stała przed nim w teatrze z cierpieniem w oczach. Powiedziała mu wtedy, że powodem jej łez jest wzruszenie, które ją ogarnęło podczas oglądania sztuki, ale on przypuszczał, że chodziło o coś innego. Sądził, że Lucy doznała dużej przykrości ze strony Marion Tennett. I właśnie dlatego postanowił przywieźć ją do siebie.

Ta delikatna a zarazem odważna i ciężko doświadczona przez los kobieta potrzebuje pocieszenia. Potrzebuje czułego i wspierającego ramienia, na którym mogłaby się wyżalić - już wystarczająco długo sama boryka się z problemami. Bardzo pragnął, by ramieniem, na którym wesprze się Lucy, było właśnie jego ramię. To on chciał być tym, który udzieli jej pomocy. A poza tym bardzo pragnął jeszcze czegoś. Czegoś, czego pragnąć nie powinien...

Czekał niecierpliwie na jej odpowiedź, mając wrażenie, że trwa to wieczność. Ale jej nie dotykał, nie namawiał, nie próbował uwieść, choć świetnie zdawał sobie sprawę, że gdyby chciał, osiągnąłby cel. Ale nie chciał, ponieważ takim postępowaniem mógłby ją zranić. Jest taka bezbronna. I choć marzył, by wziąć ją w ramiona, siedział nieruchomo i milczał.

W końcu Lucy bardzo wolno pokiwała głową.

- Dobrze - powiedziała. - To był rzeczywiście męczący wieczór. Przyznam, że nie chcę... nie chcę być teraz sama.

Popatrzyła na niego szczerze, nie kryjąc wyrazu osamotnienia, które wycierało z jej oczu. Podziwiał jej odwagę, z jaką się do tej samotności przyznała. Jeszcze bardziej go tym ujęła. Z westchnieniem ulgi otworzył drzwiczki powozu, co widząc, stojący na zewnątrz woźnica podbiegł i rozłożył przed nimi schodki. Nicholas podał Lucy ramię, pilnując, by zrobić to jak najbardziej oficjalnym gestem.

Bez słowa wprowadził ją do domu, w którego drzwiach powitał ich kamerdyner z nieprzeniknioną twarzą.

- Hodges, wino do biblioteki i lekkie przekąski.

Służący skinął głową i zniknął w ciemnych czeluściach korytarza. Lucy rozglądała się dokoła szeroko rozwartymi oczami.

- Pański dom sprawia bardzo miłe wrażenie - powiedziała. - Wspaniałe draperie.

Rzeczywiście były oryginalne; egzotyczne w kolorystyce, z namalowanymi myśliwskimi scenkami, których postaci wydawały się niemal żywe. Przeniosła wzrok na stół.

- Ta rzeźba także jest bardzo interesująca. Kogo przedstawia?

- Buddę, w jednej z jego poz - wyjaśnił.

Nie wiedziała, o kim Nicholas mówi, ale czuła, że od rzeźby emanuje dziwny spokój. Przez jakiś czas przyglądała się jej z zaciekawieniem, aż w końcu oderwała oczy od mosiężnej figurki i spojrzała na jaskrawy stylizowany obraz wiszący nad stołem, który przedstawiał grupkę kolorowo odzianych kobiet otaczających osobliwą postać o niebieskiej skórze; jak się domyślała, było to jakieś orientalne bóstwo.

- To bożek hinduski w otoczeniu księżniczek i służących - poinformował Nicholas.

Zaprowadził ją do biblioteki, swojego ulubionego pokoju, którego atmosfera wiele mówiła o tym, kim jest jego właściciel. Miał wrażenie, że Lucy od razu ją wyczuła. Znowu się rozejrzała, ze zdumieniem przesuwając wzrokiem po indyjskich rzeźbach i wazonach, kolorowym egzotycznym parawanie oraz jaskrawych jedwabnych poduchach rzuconych dla wygody na głębokie skórzane fotele.

- Podróż do Indii i na Wschód musiała być ekscytująca - zauważyła, przesuwając dłonią po uniesionej jakby na powitanie trąbie słonia wykonanego z hebanu. - Sama chętnie bym się tam wybrała.

- Nie! - wykrzyknął, zanim zdążył pomyśleć, a kiedy obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, zniżył głos: - To prawda, że Indie są piękne, ale też bardzo niebezpieczne. Już od dawna tam niejeżdżę.

Przyglądała mu się wyraźnie zaintrygowana jego słowami, więc, żeby uniknąć jej wzroku, podszedł do olbrzymiego globusa stojącego w rogu pokoju i zakręcił nim.

- Wiele podróżowałem po świecie, bo moja rodzina prowadziła interesy w różnych krajach. Teraz zostało nam już tylko jedno przedsiębiorstwo, to w spółce wschodnioindyjskiej - wyjaśnił. - Doskonale wiem, że nie wypada, by arystokrata zajmował się handlem i że wielu osobom się to nie podoba. Wykorzystują ten fakt jako sposobność do wytykania mi moich uchybień wobec etykiety, ale cóż, tak się rzeczy mają.

- Mam nadzieję, że się pan tym nie przejmujecie! - zawołała Lucy z oburzeniem. - Ciekawe, ile czasu ci hipokryci by wytrzymali bez swojej codziennej filiżanki herbaty!

Jej obrona i wzburzenie powinny go, co najwyżej, rozbawić - nie dbał o opinię ani o to, co się o nim mówi - jednak stało się inaczej; słowa Lucy wzruszyły go bardziej, niż to po sobie pokazał. Jest taka szczerza, ciepła i pełna współczucia... O, dobry Boże, jak on jej potrzebuje.

Zęby się uspokoić, znowu się odwrócił. Wybawił go służący, który wniósł tacę z winem, kieliszkami i półmiskiem pełnym kanapek i słodczy. Skinieniem głowy odesłał lokaja i sam zajął się gościem. Ucieszyło go, że Lucy sięgnęła po kanapkę z piklami; nadal się martwił, że jada za mało, choć w ciągu kilku ostatnich dni jej twarz chyba nabrała żywszych kolorów.

Rozlał wino do kieliszków. Podając jej jeden, otarł się palcem o jej dłoń i już nawet to małe zbliżenie sprawiło, że krew w nim zawrzała. Zmusił się, by usiąść w krześle w stosownej odległości od niej. Popatrzył na strzelający w kominku ogień, nie chcąc zbyt natarczywie wpatrywać się w rozmówczynię, chociaż tak naprawdę wolałby przyglądać się, jak płomienie odbijają się w jej płowych włosach i jasnoniebieskich oczach.

Odezwał się dopiero, gdy dokończywszy kanapkę, wypita trochę wina.

- A teraz - powiedział - chcę poznać prawdę.

Lucy poczuła ucisk w sercu, jakby czemuś była winna albo miała coś do ukrycia. Nie miała i nie musiała kłamać, tym bardziej więc się dziwiła, dlaczego czuje się tak, jakby schwymano ją w pułapkę.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła ścisłym głosem, z trudem wytrzymując badawcze spojrzenie Nicholasa. Spuściła oczy na orientalny kolorowy dywan pod stopami.

- Jestem pewien, że pani wie. Co takiego powiedziała pani Marion Tennett, że tak się pani tym przejęła? I proszę nie mówić, że płakała pani wyłącznie z powodu sztuki, choć przyznaję, że nie był to trafny wybór dla osoby krótko po żałobie. Marion knuła coś jak zawsze, a ja chciałbym się dowiedzieć, jaką nową trucizną próbowała panią poczęstować tym razem?

W jego głosie był gniew i jeszcze inna emocja, lecz Lucy nie umiała jej określić.

- Nie chcę źle mówić o pańskich znajomych - mruknęła, rzucając w stronę wicehrabiego niepewne spojrzenie.

- To prawda, że łączył nas krótki romans - przyznał. - Niemniej szybko się przekonałem, że towarzystwo Marion mi nie odpowiada. Nasza znajomość już dawno się skończyła.

Uwierzyła mu. Ten błysk w jego oczach... Znowu poczuła się speszona, więc spuściła wzrok, wbijając go w zawiły wzór na dywanie.

- To pers - poinformował z rozbawieniem. - Też uważam, że jest ładny, ale nie odpowiedziała mi pani na moje pytanie. Co takiego powiedziała Marion, że tak się pani zasmuciła?

- Ona... chciała się ze mną zaprzyjaźnić, a przynajmniej tak twierdziła.

Lucy wróciła pamięcią do rozmowy z panią Tennett. Wprawdzie wicehrabia powiedział, że zakończył z nią znajomość, jednak Marion inaczej to przedstawiała. Może po prostu nie potrafi się pogodzić z tym, że na zawsze utraciła zainteresowanie Nicholasa. Wcale jej się nie dziwiła. Sama chyba też ciężko by zniosła rozstanie z takim mężczyzną. Uznała, że najlepiej będzie nie rozwodzić się nad całą sprawą i oględnie odpowiadać na pytania wicehrabiego.

- Po prostu ostrzegęła mnie, że mogę paść ofiarą złudzeń. Mówiła, że obdarzenie pana uczuciem to najszybsza droga, by mieć złamane serce.

Po tych słowach zapadła cisza. Lucy skrzyżowała ramiona i spojrzała na wicehrabiego. W jego ciemnych oczach znowu pojawił się dziwny błysk, którego znaczenia nie rozumiała. Zrobiło jej się gorąco i musiała wolniej oddychać. Chyba czas poprosić gospodarza o podstawienie powozu. Pozostawanie z nim sam na sam przez tak długo zakrawa na czyste szaleństwo.

Niemniej była zadowolona, że zobaczyła jego dom; dzisiaj bardzo wiele się dowiedziała o tajemniczym wicehrabim, więcej niż mógłby sądzić.

- I pani jej uwierzyła? - zapytał, nie poruszywszy nawet palcem, a mimo to odniosła wrażenie, że nagle stanął przed nią potężny, przyczajony tygrys. Poczują przyspieszone tętno.

- Cóż, owszem. Myślę, że... każda kobieta cierpiałaby po rozstaniu z panem. Przecież doskonale pan wie, jak jest czarujący.

Boże, jakżeż wspaniale i rozkosznie niewinna jest ta kobieta. Jakim cudem udało jej się zachować tę niewinność? Z drugiej strony, kiedy miała ją utracić? Siedząc w domu, podczas gdy jej mąż rozbijał się po podejranych spelunach i burdelach? Pozostawiał samą tę najśłodsza, najcieplejszą kobietę pod słońcem. Opuszczoną, niekochaną...

Cisza się wydłużała. Czyżby Nicholas wątpił w jej słowa? Mimo że wcześniej nie zamierzała dokładnie powtarzać wypowiedzi Marion, teraz zmieniła zdanie i postanowiła powiedzieć wszystko.

- Pani Tennett twierdzi, że moja uroda i wdzięk są niewystarczające, by się mną pan zainteresował, a ja wiem, że...

Przyskoczył do niej nagle. Uklęknął i pochwycił ją w ramiona.

- I pani jej uwierzyła!

Czym go tak rozniewała? Lucy, zupełnie pogubiona, zamrugła powiekami, a on, widząc to, poluzował uścisk i uniósłszy dłoń, dotknął jej policzka, podobnie jak wtedy w teatrze, kiedy zobaczył, że płacze.

- Moja droga pani Contrain... chyba wolno mi mówić ci Lucy? Moja droga Lucy, jak możesz tak nisko siebie cenić?

Była tak podniecona z powodu jego bliskości, że z trudem przychodziło jej myślenie, a co dopiero formułowanie odpowiedzi. Siła tego mężczyzny, męskość, która go otaczała, tak jak dym otacza płomień, sprawiały, iż mimo że tego nie chciała, nie potrafiła mu się oprzeć. Lgnę do niego jak ćma do światła świecy, pomyślała. Muszę uważać, żeby się nie poparzyć.

Spróbowała odzyskać choć trochę kontroli nad sobą. Wyprostowała się i powiedziała:

- Przecież nie twierdzą, że jestem najbrzydszą kobietą w Londynie, lordzie Richmond...

- Nicholasie -przerwał jej.

- Lordzie Richmond - powtórzyła stanowczo. - Ale byłoby też głupotą i stratą czasu wmawiać sobie, że jest się jakąś niezrównaną pięknoscią, jak niektóre damy z towarzystwa.

- A widziałas te piękności?

Zarumieniła się.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie bywam w towarzystwie na tyle często, żeby... ale słyszałam różne historie. Stanley mi opowiadał...

Ucichła.

- I coś takiego opowiadał o tych pięknościach twój mąż? Czy mówił, że są próżne, wyniosłe i sztuczne? - ponaglał ją Nicholas.

Nie odpowiedziała, ale też jej rozmówca wcale nie czekał na odpowiedź.

- Czy mówił ci, co sądzi na twój temat? - pytał dalej wzburzony, a Lucy była coraz bardziej zmieszana.

Ściszył głos, ale nie zmienił tonu.

- Czy kiedykolwiek zachwyił się pięknymi rysami twojej twarzy, twymi lśniącymi, jasnymi oczami i ich szczerym wyrazem? Czy mówił ci, jak ożywcza jest twoja otwartość w porównaniu z pretensjonalnością i sztucznością dam z towarzystwa? Jak twoje ciepło rozprasza smutek w sercu, a twoja wrodzona odwaga i poczucie humoru napełniają je otuchą...

Zamilkł nagle, chyba sam zaskoczony swoim wybuchem. Ale jego zaskoczenie było niczym w porównaniu ze zdumieniem, które

ogarnęło Lucy. Z trudem przełknęła ślinę. Dlaczego mówi jej te wszystkie przeurocze, ale pozbawione sensu rzeczy? Czy tak właśnie zachowuje się doświadczony uwodziciel? Nic dziwnego, że żadna kobieta nie może mu się oprzeć, skoro potrafi tak pięknie przemawiać. Gdyby choć przez chwilę wierzyła temu pełnemu napięcia i czułości spojrzeniu lub nawet tylko połowie jego słów...

Nie, nie. Tak nie wolno. Musi kazać mu natychmiast się odsunąć. Niech wraca na swoje krzesło, żeby dzieliła ich stosowna odległość, bezpieczny dystans... Chociaż wszystkie te myśli przeleciały jej przez głowę, to jednak, wbrew nim, uniosła dłoń i po raz pierwszy to ona dotknęła jego policzka.

Miał bardzo gładką skórę. Czuła, że jest spięty. Zatrzymała palce na małej bliźnie koło ust - zapragnęła złożyć na niej pocałunek, jakby mogła tym zniwelować ból, który kiedyś musiał zapewne odczuwać.

Przyciągnął ją do siebie. Zamarła.

- Nie, nie wolno nam, ja nie mogę...

- Dlaczego?

- Ponieważ wszystko, co powiedziała Marion, to prawda. Ty nie jesteś... ja nie jestem...

Musnął jej usta, a potem zmarszczone czoło.

- Ja jestem i ty jesteś.

Zanim zdążyła powiedzieć, że to, co robią, nie ma sensu, przesunął palce na jej szyję.

Coś dziwnego zaczęło się dziać z jej ciałem - czuła się jak świeca topiąca się od gorącego płomienia. Z trudem łąpała oddech. Powinna się odezwać, ale...

- Uwielbiam przyglądać się, jak twoja szyja łagodnym łukiem przechodzi w ramiona. A one są ani za duże, ani za małe.

Przesunął dłonie w dół. Miała wrażenie, że to ogień spływa po jej ciele.

Znowu spróbowała wydobyć z siebie głos.

- Czy... czy próbujesz mnie uwieść?

O nieba! Odwiązał szal i... och... zsunął suknię, odsłaniając jedno ramię. Jęknęła cicho.

Spojrzał na nią wzrokiem, w którym czaiło się pożądanie zmieszane z czułością.

- Tak, Lucy.

Chciała coś powiedzieć, ale tym razem już naprawdę nie mogła wydobyć głosu. Gdyby nie miękkość w całym ciele, wstałaby i uciekła. Zaprotestowałaby, przypominając mu o swojej reputacji, o jego honorze. Mogłaby... gdyby tylko tak desperacko nie pragnęła zostać.

- Nie możemy... - zdołała wyjąkać.

Wicehrabia pokręcił głową.

- Od wielu dni się powstrzymuję, ale wydaje mi się, że dzisiaj...

- Tak?

- Myślę, że dzisiaj bardzo potrzebujesz miłości, kochana Lucy. Nie masz pojęcia, jak działasz na mężczyzn. - Podniósł jej dłoń i położył sobie na piersi, wsuwając ją pod surdut i przyciskając do delikatnego materiału koszuli. Tak, czuła jego mocno bijące serce, z pewnością szybciej niż normalnie. Dla niej? Z jej powodu? A może tak samo biłoby przy innej kobiecie?

Uśmiechnął się, a ona zdała sobie sprawę, że targające nią wątpliwości z pewnością wyraźnie odmalowują się na jej twarzy.

- Uwierz, że tak właśnie działasz na mężczyzn, a przynajmniej na tych, którzy mają choć trochę rozumu i smaku. A przede wszystkim, Lucy, na mnie.

- Lordzie Rich...

- Jeśli nie będziesz nazywała mnie po imieniu, to... zrobię coś... co sprawi ci wielką przyjemność, najdroższa.

Zagryzła usta, hamując śmiech i okrzyk niedowierzania, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Zdumiała się, bo nagle puścił jej dłoń i choć nadal przed nią kłęzczał - co bardzo ją krępowało - jak zalotnik proszący kochankę o dowód miłości, to już jej nie dotykał.

- Chyba że wolisz to przerwać, wtedy natychmiast odwiozę cię do domu, nietkniętą i bezpieczną.

I bez miłości.

Lucy wiedziała, że to właśnie powinna uczynić; powinna teraz wstać i z godnością, jak dama, pójść w stronę drzwi. Zejść na dół i wsiąść do powozu. Nie wątpiła, że Nicholas dotrzymałby przyrzeczenia i bez słowa odwiózł ją do domu.

Ale nie chciała robić tego, co wypada!

Podniosła dłoń i powoli opuściła na jego pierś, czując, że serce wali mu jeszcze mocniej niż przed chwilą.

- Myślę - zaczęła głosem cichym i drżącym - że pragnę, byś mnie uwiódł, lordzie Richmond.

- Nicholasie - poprawił.

- Nicholasie - wyszeptła, zaglądając mu w oczy i czując zarazem, że mogłaby w nich utonąć.

Unióś do ust jej dłoń i pocałował; ciepły dotyk wprowadził ją w drżenie. A potem w jeszcze większe, kiedy jego usta przesuwają się po rękę, do ramienia i szyi.

Odpiął następnych kilka guzików sukni i zsunął ją niżej, po czym zaczął błądzić palcami po jej odsłoniętym dekolcie, ale jeszcze nie zapuszczał się niżej.

Oddychała szybko - miała wrażenie, że jej skóra nigdy nie była tak wrażliwa.

I w końcu jego dłoń zeszła niżej i zamknęła się na jej piersi. Lucy drgnęła, porażona iskrą pożądania. Była zdumiona reakcją swojego ciała. Pieszczoty wicehrabiego zdawały się wydobywać uśpiony, a jednak chyba od dawna czający się w niej ogień. O nieba, jak bardzo pożąda tego mężczyzny. Jeśli tym razem ktoś im przeszkodzi - służba, pies, ktokolwiek - z pewnością umrze z pragnienia.

On tymczasem delikatnie pieścił jej pierś, aż w końcu dotknął sutka. Wciągnęła powietrze. Stanley nigdy...

Nie mogła dokończyć myśli, bo Nicholas pochylił się i objął sutek ustami. Och...

Ssał go delikatnie, na co odpowiadała mu jękami nieprzystającymi damie. Popatrzyła na kochankę, bojąc się, że ujrzy w jego oczach zniechęcenie lub odrazę, ale on spoglądał na nią z wielką czułością. Ponownie pochylił się do jej piersi, powodując, że przez jej ciało przeszła gorąca fala rozkoszy.

Odsunął się, a ona, niewiele myśląc, jęknęła w proteście. Okazało się jednak, że odsunął się tylko po to, żeby dosięgnąć jej ust. Tym razem oddała mu pocałunek z całą pożądlivością, jaką odczuwała. On nie był jej dłużny i mocno napierał na jej wargi. Była tym zachwycona. Nagle poczuła jego język. Rozsunęła ochoczo usta, dziwiąc się zarazem, że jest tak zgłodniała. Być może zdumiewała też Nicholasa - nie umiała tego ocenić - ale było jej wszystko jedno. Chciała więcej.

Znowu się od niej odsunął, a jej ciało znowu instynktownie za nim podążyło.

- Cierpliwości, moja kochana - wyszeptał czule. - Uwierz mi, że im wolniej, tym lepiej.

Więc zarzuciwszy mu rękę na szyję, pozwoliła, by podniósł ją z krzesła. Przeniósł ją na szeroką i miękką kanapę, cały czas nie przestając całować. Położył ją na niej i jeszcze niżej zsunął suknię.

Lucy czuła, że otwiera się przed nim jak pęk kwiatu. Cokolwiek zamierza, pozwoli mu to zrobić do końca. Pragnęła go i po raz pierwszy miała odwagę to ujawnić, ponieważ zaczynała rozumieć, że Nicholas nigdy nie odpowiedziałby na jej pożądanie odrzuceniem, tak jak czynił to Stanley.

Znowu zaczął gładzić jej piersi, najpierw jedną, później obydwie. A potem zsunął z jej stóp pantofle i powiódł palcami po łydce, udzie, aż do najbardziej intymnego miejsca, którego żaden mężczyzna, a już z pewnością mąż, nigdy tak nie pieścił.

Powoli odpływała uczuciami gdzieś daleko. Pożądała Nicholasa, a jemu to nie przeszkadzało. Wręcz odwrotnie. Nie przestawał jej pieścić, i to w takich miejscach, których nie umiała nawet nazwać. Nigdy nie śmiałyby poprosić Stanleya, żeby tam właśnie dotarł. Cała była owładnięta wirem najróżniejszych, zupełnie nieznanych jej doznań, a co najdziwniejsze, mimo że czuła, iż ten wir ją wciąga, wcale mu się nie opierała.

Zresztą nie chciała się opierać. Wręcz przeciwnie, pragnęła, by kochanek był jeszcze bliżej, by w nią wszedł, aby razem mogli przeżyć to wspaniałe doświadczenie jedności, o którym marzyła, a którego nigdy dotąd nie zaznała. Płonęła pożądaniem.

Nicholas na chwilę oderwał się od niej, by rozebrać ją i siebie, ale zaraz wrócił i położył się na niej. Była całkowicie gotowa, by go w siebie przyjąć, Wsunął się w nią delikatnie, a ona sapnęła z rozkoszy. Tak dziwnie się czuła, mając go w środku. W ogóle wszystko było takie zaskakujące. Jego członek- twardy- ściśle ją wypełniał. Przyciągnęła twarz Nicholasa do siebie i zaczęła obsypywać ją gorączkowymi pocałunkami. Jęknęła, czując, że się w niej poruszył. Po chwili zrozumiała, że te ruchy to część aktu miłosnego, więc sama także zaczęła unosić i opuszczać biodra, dopasowując się do tempa Nicholasa, a czasami próbując go nawet pospieszyć. Zwalniał wtedy i uśmiechając się, scałowywał z jej ust jęki protestu.

- Rozkoszuj się - mruzczał. - Nie śpieszmy się.

Więc zwalniała, godząc się na spokojny rytm, który jednak w pewnej chwili się zmienił się i nabrał tempa. Wraz z tą zmianą zaczęły się z nią dziać rzeczy, o których nawet nie śniła. Ani słowa, ani nawet jej okrzyki nie wystarczyłyby do opisania uczuć, które spadały na nią niczym wodospad; raz za razem, rozkosz za rozkoszą, uniesienie za uniesieniem.

Nigdy w życiu nie doznała takiej bliskości, takiego połączenia, ani nie czuła się tak pełna życia. I zdarzyło się to z Nicholasem, właśnie z nim!

Gdy był bliski spełnienia, czekała już na niego, gotowa wraz z nim uczestniczyć w kulminacyjnym ekstatycznym wybuchu. Pochłonięta obezwładniającymi ją doznaniem nawet nie zauważyła, że w pewnym momencie wyszedł z niej i wsunął tam palce.

I wtedy zaczęła płynąć; wolna, nieskrępowana, przekonana, że dotknęła nieba. W chwili największej rozkoszy krzyknęła, a potem cicho wypuściła powietrze. Wtuliła się mocno w objęcia kochanka, zdumiona, że się nie rozpląnęła. Nigdy, przenigdy nie pomyślałaby, że zbliżenie, którego doświadczyła dzięki Nicholasowi, może być czymś takim!

Oparła czoło o jego pierś, mokrą od potu, rozkoszując się jego silnym ciałem i męskim zapachem. Obejmowała ją mocno, wpatrzony w nią z czułością. A więc nadal ją akceptuje, nadal jej reakcje sprawiają mu radość; ani przez chwilę nie czuł do niej odrazy.

Czegoś podobnego nie zaznała w małżeńskim łożu. Stanley, jeśli w ogóle się na to zgadzał, kochał się z nią szybko i bez cienia namiętności. Zamknęła oczy, żeby nie pozwolić popłynąć łzom. Na myśl o swoim jałowym małżeństwie, tak pustym fizycznie i emocjonalnie, ogarnął ją wielki smutek. Poczwała też współczucie dla Stanleya, że nie potrafił kochać własnej żony.

Zawsze podejrzewała, że ich zbliżenia nie przebiegają tak, jak mogłyby. Ale nie przypuszczała, że różnica jest aż tak olbrzymia, że duszą i ciałem można się wznieść aż tak wysoko.

Była wdzięczna Nicholasowi i zamierzała mu o tym powiedzieć, kiedy tylko odzyska głos. Tymczasem, z głową na jego piersi, wsłuchiwała się w coraz spokojniejsze bicie jego serca. Gładziła ciemne kosmyki włosów spływające mu na kark.

Uśmiechnęła się do niego, kiedy na nią spojrział.

- Nie żałujesz, kochanie? - zapytał szeptem.

- Nie - odpowiedziała nieco jeszcze zachrypniętym głosem. - Nigdy.

Uśmiechnął się szeroko i pocałował ją.

I wtedy, w tę noc samych niespodzianek, znowu zdarzyło się coś zaskakującego. Przesunął palcami po jej nadal wrażliwych piersiach, wtulił usta w jej usta i... ponownie zatopili się w sobie, doznając jeszcze większej rozkoszy...



W końcu Lucy zasnęła. Kiedy się obudziła, głęboko wciągnęła w siebie powietrze. Czuła się taka rozluźniona i spokojna, taka... szczęśliwa! Uśmiechnęła się, choć przez chwilę nawet nie wiedziała, dlaczego. Potem pamięć jej wróciła.

- Cieszę się, widząc, że jesteś zadowolona- powiedział Nicholas. Był już ubrany i siedział blisko niej w skórzanym fotelu.

Lucy lekko się zarumieniła, ale nie przestała się uśmiechać. Cieszyło ją, że wreszcie ma powód, by być radosną. Było jej dobrze.

Uniosła głowę i przekonała się, że kiedy spała, Nicholas przybył ją miękką jedwabną narzutą w jaskrawe kolorowe pasy. Pogładziła ją.

- Jaka piękna.

- To sari - wyjaśnił. - Kawałek materiału, który Hinduskom zastępuje suknie.

- Bez guzików- zdziwiła się. -Jakież to wygodne. - Nagle zaprzętnęła ją inna myśl i spojrzała w stronę ciemnego okna. - Która godzina?

- Krótko po północy - powiedział uspokajająco.

- Muszę wracać! - Usiadła, przyciskając do siebie miękki jedwab. - Sąsiedzi... I tak już wystarczająco plotkuje się na mój temat.

Nicholas zmarszczył czoło.

- Wścibstwo to wstrętny nawyk. Ale przecież właśnie o tej porze zazwyczaj kończą się wszelkie przyjęcia. Nie pozwól sobą rządzić, kochanie.

Lucy przyszły na myśl wszędobylska pani Broddy i sroga kuzynka Wilhelmina. Roześmiała się.

- Nie pozwolę - zapewniła. - Ale tak czy inaczej muszę już wracać.

Szybko się ubrała, choć bardzo było jej żal porzucić błogi stan rozluźnienia, który pojawił się po zbliżeniu. To także było dla niej nowością. Nie sądziła, że po tak gwałtownych uniesieniach możliwy jest aż tak głęboki spokój.

Nicholas pomógł jej zapiąć suknię i kiedy nie zgodziła się pójść do łazienki na piętrze, żeby tam ułożyć włosy, przyniósł dla niej wykładaną kością słoniową szczotkę oraz małe lustro. Na szczęście krótkie włosy dały się szybko doprowadzić do porządku.

Jeszcze tylko zarzuciła na siebie szal i była gotowa do wyjścia.

Zatrzymała się przy drzwiach, chcąc na zawsze zapamiętać tę chwilę. Stojący za nią Nicholas pochylił się i ucałował lekko czubek jej głowy.

- To był pierwszy raz, a nie ostatni - wyszeptał jej do ucha.

Posłała mu ciepły uśmiech, po czym przeszli przez hol do wyjścia.

W powozie objął ją ramieniem, a ona wtulona w nie, napawała się ostatnimi momentami bliskości. Nie potrzebowali rozmawiać; więc, która między nimi zaistniała, sama wypełniała ciszę treścią.

Kiedy powóz zaczął zwalniać, westchnęła. Czy rzeczywiście powtórzą jeszcze tę noc, czy może jednak Nicholas okaże się tak zmienny, jak się o nim mówi i jak ostrzegała ją Marion Tennett?

Postanowiła, że cokolwiek się zdarzy, ona nigdy nie będzie żałowała tej nocy ani też nigdy o niej zapomni. Czuła się po niej inną, nową kobietą, zupełnie odmiennie patrzącą na świat, pewniejszą siebie. I tego nikt jej nie odbierze.

Dlatego też, kiedy powóz zatrzymał się przed małym domkiem w Cheapside, nadal towarzyszył jej wielki spokój i zadowolenie. Niestety, uczucia te zniknęły z chwilą, gdy postawiła stopę na chodniku i szeroko otworzyła oczy.

Drzwi wejściowe do jej domu, sponiewierane i roztrzaskane, stały otworem.

## 11

Nicholasie, spójrz! - Lucy rzuciła się do drzwi i odepchnęła je na bok.

- Lucy, zaczekaj! - usłyszała za sobą wołanie, ale nie posłuchała, tylko wbiegła do środka w ciemny korytarz.

Co tu się wydarzyło? Kto wdarł się do jej domu? Wpadła na ścianę, więc wystawiła przed siebie ręce. Udało jej się po omacku przejść do jadalni.

Stanęła w wejściu i mrugając, czekała, aż wzrok przywyknie do ciemności. Była przekonana, że nie zobaczy swojego kompletu stołowego; pewnie któryś z wierzylieli w końcu nie wytrzymał i postanowił go wykraść w zamian za dług.

Na szczęście w mroku dostrzegła niewyraźne kontury krzeseł i stołu; z tym że krzesła były poprzewracane, a stół zepchnięty ze swojego miejsca, jakby ktoś czegoś pod nim szukał.

Co tu się stało, do diabła?

Ze zdumienia stała w drzwiach jak wmurowana. Nagle do pokoju wlała się strużka światła - to Nicholas wniósł latarnię, którą zdjął z boku powozu. Rzucała dokoła bladą poświatę.

- Nie rozumiem... - zaczęła Lucy i zamilkła zmrozona nagłą myślą. - O Boże, Violet! I gdzie jest Chudley?

Znaleźli go w korytarzu. Leżał związany zaraz koło drzwi jadalni.

- Czy on nie żyje? - zapytała szeptem, trzymając dłoń przy ustach.

Nicholas przeszedł nad ciałem służącego i rozsunął sklezione krwią włosy.

- Żyje, ale ma rozciętą głowę. Muszę zatamować krwawienie.

Lucy runęła na schody, przy okazji się potykając i boleśnie raniąc w nogę o kant stopnia. Nie przestawała wykrzykiwać imienia służącej, ale odpowiadała jej tylko złowroźna cisza.

W korytarzu natknęła się na kupkę płóciennych ręczników leżących na ziemi, więc zniosła je Nicholasowi, żeby opatrzył nimi rannego. Potem wspięła się na najwyższe piętro, na poddasze, gdzie znajdowała się mała sypialnia Violet. Pokój był pusty. Zazwyczaj panował w nim nieskazitelny porządek, lecz teraz pościel na łóżku była rozkopana, narzuta leżała na ziemi, a z pociętego materaca wystawała słoma, która zaśmiecała też podłogę. Nigdzie śladu Violet.

- Och, dobry Boże, błagam, żeby się okazało, że jest cała i zdrowa - jęczała Lucy. Zbiegła po schodach, zaglądając po drodze do swojej sypialni, w której panowały taki sam bałagan i zniszczenia, jak w pokoju służącej. Kiedy mijala Nicholasa, ten wstał, chcąc ją zatrzymać. Znowu się potknęła. Pomógł jej zachować równowagę, po czym już razem pobiegli do kuchni.

Na palenisku tlił się dogasający ogień; po całym pomieszczeniu walały się porozrzucane stołki; jeden miał nawet połamane wszystkie nogi. Podłogę pokrywały warstwa rozsypanej mąki, cukru i liście herbaty. Drzwi do spiżarni były lekko uchylone. Lucy ze strachem i zalem pomyślała, że ktoś zapewne wykradł zgromadzone tam zapasy. Jednak najbardziej bała się o służącą - gdzie ona jest? Jeśli ktoś ją porwał lub zranił...

Dusiła w sobie łzy.

- Musimy zawiadomić policję - powiedziała do Nicholasa, chwytając go za ramię. - Musimy...

- Cicho - szepnął z głową przechyloną na bok. - Słuchaj.

Znieruchomiała i po chwili ona także to usłyszała - zduszony głos. Rzuciła się w stronę spiżarni i pchnęła prowadzące do niej drzwi. Na podłodze szamotała się postać, która miała związane nogi i ręce oraz knebel w ustach.

- Och, Violet! Jesteś ranna? - Lucy opadła na kolana obok służącej.

Nicholas wyciągnął nóż i rozciął więzy. Już po chwili pomagali Violet usiąść, po czym Lucy zaczęła rozcierać jej zziębnięte dłonie, z niepokojem dotykając zakrwawionej twarzy.

- Jesteś ranna? - zapytała ponownie i tym razem dziewczyna zdołała wydusić z siebie odpowiedź:

- Cholerne dranie! Było ich przynajmniej trzech, psze pani. Usłyszałam trzaśnięcie drzwiami, a potem jakieś dudnienie. Zbiegłam na dół. Biedny Chudley już leżał na ziemi, a mi zarzucili na głowę brudny koc i potem wrzucili mnie do spiżarni i związali. Próbowалам, psze pani, ale nie mogłam ich zatrzymać!

- Oczywiście, że nie. Cieszę się, że cię nie... - Lucy nie potrafiła dokończyć zdania. Z ulgi zakręciło jej się w głowie, więc nabrała głębooko powietrza.

Kto to zrobił? Czy to zniecierpliwiony oczekiwaniem na zwrot długu wierzyciel, który w szale wściekłości wdarł się do jej domu i niszczył co popadnie? Raczej mało prawdopodobne. A więc może jednak Jace wydusił z Eve jej adres?

Nicholas rozglądał się dokoła posępnym wzrokiem.

- Zaczekajcie tu chwilę, a ja obejrzę resztę domu - polecił. - Sprawdzę, czy gdzieś się ktoś nie ukrył.

Lucy, nadal drżąc, skinęła głową. Odnalazła grubą laskę, po czym, przyciskając ją do siebie, rozejrzała się za garnkiem, żeby zagrzać wodę, oraz za kawałkiem materiału, którym mogłaby obetrzeć z krwi czoło Violet. Potem zjrzała do Chudleya i poprawiła mu opatrunek na głowie.



Nicholas powrócił z uspokajającą wiadomością.

- Dom jest pusty - oświadczył, odciągając ją na bok. - Chudley powoli odzyskuje przytomność. Nie sądzę, żeby rana była bardzo poważna. Zabezpieczyłem tylne drzwi, frontu pilnuje woźnica. Jak się czuje Violet?

- Jest roztrzęsiona i pokiereszowana. - Lucy zerknęła w stronę siedzącej na stołku służącej. - Ale chyba, dzięki Bogu, nie ma nic złamanego.

Nicholas skinął głową.

- Czy możesz ją na chwilę zostawić i przejść się ze mną po pokojach? Chcę, żebyś oceniła zniszczenia.

Nie bardzo rozumiała, w jakim celu ma to robić, ale kiwnęła głową na zgodę.

- Violet, zaraz wracam.

Dziewczyna zdobyła się na uśmiech, chociaż jej głos był nadal słaby.

- Tak, psze pani. Czy mam z panią pójść i pomóc w sprzątanii?

- Nie teraz - odparła stanowczo Lucy. - Odpoczywaj.

Służąca westchnęła, wcale nie zamierzając się upierać przy swoim. Nie doszła jeszcze do siebie. Wyciągała dłonie do ognia, który Lucy na nowo rozpałała, i wydawało się, że jest zadowolona. Lucy ruszyła za wicehrabią na przegląd zdemolowanego domu.

Najpierw weszli do jadalni, gdzie leżały poprzewracane, ale na szczęście niepołamane krzesła. Stół też był nienaruszony. Podłogę zaściełały szczątki porcelany, którą ktoś wyrzucił z serwantki stojącej koło kominka. Lucy ostrożnie, z coraz większym przygnębieniem, stąpała po okrucach, sprawdzając, czy zachowała się choć jedna cała filiżanka. Nie stać jej będzie na kupno nowego serwisu, a więc może zapomnieć o proszonych obiadkach.

Zbolała zaprowadziła Nicholasa do swojej sypialni. Zniszczenia były tu jeszcze większe niż w sypialni służącej. Podłogę, jak świeżo opadły śnieg, zaściełały pióra wytrząśnięte z cienkich poduszek oraz skrawki materiałów - pozostałości po jej nowych sukniach.

Miała gułę w gardle, która jeszcze się powiększyła, kiedy się okazało, że ktoś podarł wszystkie książki z małej biblioteczki. Wyrwane

z okładek kartki walały się po podłodze. Zniszczony został zbiór dramatów Szekspira, który dostała od ojca... a nawet Biblia od matki i jej mały modlitewnik.

Na ten widok Lucy z trudem stłumiła łkanie.

- Jak można tak nikczemnie postąpić? Z powodu niespłaconego długu? Taka zawziętość...

- Nie sądzę, żeby to było dzieło zniecierpliwionego wierzyciela - odezwał się Nicholas, który chodząc po pokoju z latarnią, zaglądał w każdy kąt. - Zauważ, jak gruntowne są zniszczenia. Nawet najmniejszy przedmiot nie ostał się w całości.

Lucy popatrzyła na niego, starając się, mimo mroku, wyczytać z jego twarzy, co ma na myśli.

- Przypuszczasz, że... włamywacz szukał rubinu?

- Tak, tak właśnie sądzę - potwierdził ponurym głosem. - Stąd tyle zniszczeń. Wszystko jest wypatroszone, ale nic nie zginęło. Choćby ten zbiór wydań Szekspira; można by za niego dostać kilka funtów, a jednak nie został skradziony. Włamywaczowi wcale nie zależało na łupach.

Lucy ciężko westchnęła.

- Zbiór należał do mojego ojca - wyjaśniła, próbując się nie rozpłakać. - A Biblia do matki.

Nicholas na pocieszenie pogładził ją po ramieniu.

- Chyba da się je naprawić - rzekł. - Zbierzemy kartki i oddamy do oprawy. Zajmę się tym.

Wzruszyła się.

- Jesteś dla mnie naprawdę bardzo dobry - zaczęła cicho. - Ale nie mogę ciągle, korzystając z twojej uprzejmości, zadłużać się u ciebie...

- Nonsens! Nic mi nie jesteś winna - przerwał jej z rozdrażnieniem.

- A czterdzieści szylingów, które dałeś tym dwóm mężczyznom, kiedy chcieli wynieść moje meble? - przypomniała zdziwiona, że nie pamięta.

Twarz Nicholasa złagodniała.

- Moja droga Lucy, nie potrzebuję tych pieniędzy. Pozwól mi sobie pomóc. Przecież od tego są przyjaciele, żeby się nawzajem wspomagać w potrzebie, czyż nie?

Posłała mu uśmiech pełen wdzięczności, na razie rezygnując z drażenia tematu. Nie miała sił się z nim wykłócać, kiedy patrzył na nią tak czule. I pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu uważała, że jest zimny i cyniczny! Choć to zaskakujące, teraz myślała o nim jak najlepiej.

- Poza tym będziesz miała własne fundusze, kiedy odzyskamy rubin i odbierzesz nagrodę - przypomniał.

Westchnęła.

- Och, rubin. Jak go mamy odnaleźć, skoro nasze śledztwo wcale się nie posuwa do przodu, a moja pomoc, w gruncie rzeczy, jest zupełnie zbędna.

- Przeciwnie - obruszył się. - Dzięki tobie przez ostatni tydzień poczyniłem większe postępy niż przez cały zeszły rok.

- Jak to? - zdumiała się. - Przecież nie wykonałam zadania. Miałam zebrać informacje o Stanleyu, a niczego się nie dowiedziałam.

- Bardzo się mylisz. Moim zdaniem, wynikiem twoich dociekań jest właśnie to włamanie. - Ruchem ręki pokazał na zdemolowany pokój. - Sporo zapłaciłaś za udział w śledztwie, czego nigdy nie zapomnę.

- Nie rozumiem - wyznała.

- Wygląda na to, że nie tylko my szukamy Szkarłatnej Wdowy - wyjaśnił.

- Tak, to oczywiste, tylko kto... - Zamilkła, zupełnie pogubiona.

- No właśnie, kto? - mruknął. - Albo mamy tu do czynienia z dwiema grupami przestępców, co wydaje mi się raczej niemożliwe, albo złodzieje, którzy wykradli rubin mojemu pracownikowi, potem z jakiegoś powodu go utracili. Teraz go szukają i zdaje się, że są zdesperowani.

- To by oznaczało, że Stanley jednak nie był zamieszany w kradzież! - wykrzyknęła z ulgą. Niestety Nicholas zamiast coś odpowiedzieć, milczał, więc uczucie ulgi rozwiało się tak szybko, jak szybko

się pojawiło. - No tak, raczej brał w niej udział, inaczej nikt by się tu nie włamywał i nie przeszukiwał domu. Już rozumiem, co masz na myśli. Tylko dlaczego dopiero teraz, Nicholasie? Dlaczego czekali cały rok?

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, choć odnoszę wrażenie, że wszystko zaczęło się od naszej wyprawy do Hampstead Heath. Zdaje się, że jednak powinienem się tam ponownie wybrać.

Być może Lucy miała rację, przypuszczając, że to Jace nasłał na jej dom swoich ludzi albo nawet sam się pokwapił do Londynu, myślał. Trzeba to sprawdzić.

- Pojedziemy razem - oświadczyła, mimo że na myśl o odrażającym zajeździe robiło jej się słabo. - Jeśli Eve coś ukrywa, a myślę, że ukrywa, tylko mnie to wyjawia.

Patrzyła na Nicholasa stanowczo, a w jej głosie brzmiała nowo nabyta pewność siebie.

Odpowiedział jej spojrzeniem, w którym czułość mieszała się z z troskaniem.

- Nie chcę ci dyktować, co masz robić, ale chyba nie muszę przypominać, jak niebezpieczne jest to miejsce.

Przywołała z pamięci wydarzenia, w których uczestniczyli podczas wizyty w Little Hedding, i zadrżała.

- Tym *razem* musimy się lepiej przygotować, to wszystko.

Nicholas po chwili zastanowienia skinął głową.

- I pojedziemy tam za dnia. Będą zaskoczeni. Najpierw jednak zajmijmy się naszymi rannymi, a potem dobrze by było, gdybyśmy przynajmniej kilka godzin się przespali.

Lucy podzielała jego zdanie. Uważała, że biednego Chudleya, a może nawet i Violet, powinien jak najszybciej obejrzeć lekarz. A co do zmęczenia, to w ten jeden wieczór wydarzyło się tyle różnych rzeczy - miłych i niemiłych - że wrażeń starczyłoby spokojnie na kilka dni. Przypomniały się jej porozcinane materace i uświadomiła sobie, że ją i Violet czeka noc spędzona na podłodze. Sytuacja była tak zła, że gorszej chyba nie umiałaby sobie wyobrazić.

Nicholas, któremu często zdarzało się odgadywać jej myśli, i tym razem się nie pomylił.

- Nie możesz tu zostać. To zbyt niebezpieczne. Zabiorę was do siebie. Wróćcie tu dopiero wtedy, kiedy będziemy pewni, że nic wam nie grozi i kiedy dom zostanie uprzątnięty.

- Ależ to niemożliwe. Jeśli przeprowadzę się do ciebie bez przyzwotki, moja reputacja legnie w gruzach! - Lucy zagryzła usta.

- Mam bardzo dyskretną służbę. Poza tym, nawet gdyby się wydało, że u mnie mieszkasz, nie dam ci skrzywdzić, przysięgam. Nie mogę zostawić cię w tym zrujnowanym domu, wiedząc, że w każdej chwili włamywacz może tu wrócić. - Na sekundę w jego oczach pojawiło się rozbawienie. - Jeśli się nie zgodzisz, ja zamieszkam u ciebie, co i tak narazi twoją reputację na szwank, a my nie będziemy mogli wygodnie się wypaść.

Zmęczenie odebrało jej ochotę na upieranie się przy swoim.

- Dobrze, niech tak będzie. - Poszła do kuchni i poinformowała o planach służącą, która słuchała jej z coraz większym zdumieniem. - Ale psze pani, mam na sobie tylko koszulę nocną. Najpierw muszę się przebrać - protestowała.

- Przykro mi to mówić, ale wszystkie twoje ubrania zostały zniszczone - oświadczyła ze smutkiem Lucy. Rozwiązała szal i owinęła nim szczupłe ramiona służącej. - No, teraz nie musisz się już krępować - dodała dla otuchy.

Zostawiła ją oniemiałą i pobiegła na górę, żeby sprawdzić, czy wśród zgłiszczy znajdzie coś przydatnego, co mogłaby ze sobą zabrać. Ale nawet szczotka do włosów była połamana. Na szczęście na kupce strzępów - tylko tyle zostało z jej sukien - dostrzegła szczoteczkę do zębów. Z westchnieniem pogładziła rąbek porwanej sukni. Była taka piękna. Co pocnie bez ubrań? Jeśli szybko nie odnajdą rubinu, będzie musiała chodzić tylko w tym, co ma na sobie!

Dzięki Bogu, że na przyjęcie założyła kolczyki od matki i złoty krzyżyk babki. No i majeszcze stół i krzesła z jadalni, które nie zostały zniszczone, i książki, które, zdaniem Nicholas, można naprawić. Swoją drogą, to dziwne, że włamywacze je porwali. Może myśleli, że

klejnot ukryty jest w oprawie? Tylko że to by było niemożliwe, jeśli rubin rzeczywiście jest tak duży, jak twierdzi Nicholas. Pewnie słusznie powiedział, że włamywacze byli zdesperowani. Zadrzała.

Zdesperowani ludzie są bardzo niebezpieczni.

W drzwiach stanął Nicholas. Przyglądał się jej przez chwilę, zatopionej w myślach ze szczoteczką do zębów w dłoni.

- Chodźmy, moja droga, zanim wszędzie słońce i sąsiedzi znajdą więcej powodów do plotek.

Pospieszyła na dół, zawołała Violet i udała się do powozu, w którym na jednym z siedzeń leżał już Chudley. Obejrzała się jeszcze na roztrzaskane drzwi. Nicholas przymknął je na tyle, na ile mógł. Z cennych przedmiotów w domu został tylko komplet stołowy.

- Przyślę tu kogoś do stróżowania - zapewnił. - Każę też wymienić drzwi i wstawić lepszy zamek.

Uspokojona tym Lucy oparła się o siedzenie. Obok niej Violet z zachwytem wodziła wzrokiem po luksusowym wnętrzu. Nicholas usadowił się naprzeciwko, żeby przytrzymać głowę rannego służącego. Mimo że nie mógł usiąść obok niej, Lucy była szczęśliwa z faktu, że jest blisko.

Kiedy dojechali do jego rezydencji, przywołał dwóch zdumionych lokajów i kazał im wnieść Chudleya do środka. Potem zawołał gosposię. Kobieta - przysadzista, o miłym uśmiechu - pojawiła się prawie natychmiast w towarzystwie wysokiej pokojówki.

- Pani Contrain - zaczął Nicholas - to pani Mott. Zajmie się panią i pani pokojówką. Pani Mott, pani Contrain jest moim gościem. Wskutek niepomysłnych wydarzeń straciła ubrania i osobiste rzeczy.

- Pożar? - Twarz gospodyni skurczyła się w wyrazie współczucia. - Och, moje biedactwa!

- Raczej trąba powietrzna - odparł ponuro Nicholas, a Lucy, słysząc jego odpowiedź, zdała sobie sprawę, że nie zamierza mówić służbie całej prawdy.

- Opal, zabierz pokojówkę pani Contrain na piętro dla służby i dopilnuj, żeby dostała wszystko, czego będzie potrzebowała - zarządziła gospodyni.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się do Violet. Ta, prostując się, spojrzała pytająco na Lucy, a następnie ruszyła za pokojówką.

Pani Mott odwróciła się do Lucy.

- Pozwoli pani, że zaprowadzę panią do pokoju gościnnego, madame. Czy ma pani ochotę na szklankę ciepłego mleka dla uspokojenia nerwów? A może coś do przegryzienia?

- Mleko wystarczy, dziękuję - odparła Lucy. - Jest pani bardzo uprzejma. - Szła za gospodynią szerokimi schodami do pokoju gościnnego, który okazał się większy niż salon w jej domu w Cheapside. Zatrzymała się w drzwiach.

W pokoju panował nieskazitelny porządek; różowa narzuta na łóżku, tego samego koloru zasłony w oknach, za którymi właśnie pojawiały się pierwsze promienie brzasku.

Lucy poczuła, że spływa z niej napięcie. Usiadła na stojącym obok łóżka krześle.

- Kazałam nagrzać wody, madame, więc, jeśli życzy sobie pani wziąć kąpiel, możemy napełnić wannę - poinformowała gospodyni, zapalając świece w świecznikach stojących na stoliku przy łóżku i na sekretarzyku. - Ręcznik i mydło leżą na toaletce.

Lucy zerknęła w stronę dużej porcelanowej miednicy.

- Później - odparła, nie chcąc zrywać całej służby o tak wczesnej godzinie. - Teraz wystarczy, że przemyję twarz i ręce. Dziękuję. Niestety nie mam żadnej koszuli nocnej.

Pani Mott zrobiła zadumaną minę.

- O tej porze sklepy są jeszcze zamknięte. Ale zaraz sprawdzę, co się da zrobić, madame.

Wybiegła z pokoju, a Lucy przymknęła oczy. Dopiero teraz, gdy minął już szok wywołany włamaniem, uświadomiła sobie, że jest ogromnie zmęczona. Próbowała się zastanowić, jak w zaistniałych okolicznościach powinna postąpić, ale nie potrafiła zebrać myśli...

Pani Mott wpłynęła do pokoju, niosąc tacę ze szklanką mleka w jednej ręce, a w drugiej lnianą koszulę. Jak jej się udało zejść i wejść po schodach tak szybko? Lucy zamrugała, zdając sobie sprawę, że drzemała na siedząco.

- Obawiam się, że to jest najlepsze, co mogłam znaleźć, madame. To moja własna koszula, ale jest świeżo wyprana i wyprasowana. Niestety z pewnością będzie na panią za duża. Za to z samego rana wezwiemy krawcową- przyrzekła gospodyni.- Aha, jeszcze lord przysyła pani te dwie oprawione w srebro szczytki do włosów.

- Oboje jesteście ogromnie mili - dziękowała Lucy, z ulgą przyjmując fakt, że Nicholas najwyraźniej nie trzyma całej szafy koszul dla swoich kochanek. Może jednak plotki o nim są przesadzone?

Tak czy inaczej, jutro z samego rana będzie musiała dać mu delikatnie do zrozumienia, że nie stać jej na krawcową, co nie znaczy, że się zgodzi, żeby płacił za jej ubrania, jakby była jego utrzymanką! Pomyślała o lady Sealey. Może będzie miała jakieś stare suknie na zbyciu. Popijając mleko, czuła, że robi się coraz bardziej senna, a myślenie przychodzi jej z coraz większym trudem. Ziewnęła szeroko, akurat gdy do pokoju weszła pokojówka z dzbanem ciepłej wody.

- Jak się miewa Violet? - zapytała dziewczynę, która na gest pani Mott wlała wodę do miednicy. - Moja pokojówka? I co z Chudleyem?

- Chudley leży w łóżku z wielkim opatrunkiem na głowie, madame. A pani pokojówka napiła się ciepłego mleka, coś przegryzła, a teraz smacznie śpi - poinformowała gospodyni. - Czy mogę czymś jeszcze pani służyć? Może wyszczotkować pani włosy?

- Nie, dziękuję - odparła Lucy. Kiedy tylko służące wyszły, zamykając za sobą drzwi, zmusiła się, żeby wstać z krzesła -jeszcze nigdy w życiu nie była tak zmęczona -i zrzuciwszy suknię, pospiesznie się obmyła, a potem włożyła koszulę. Była za obszerna i za krótka, ale nie miało to znaczenia. Znalazła też nocny czepek, ale ponieważ noc była ciepła, nie założyła go. Wsunęła się pod kołdrę i zasnęła prawie w tej samej chwili, w której jej głowa spoczęła na poduszce.



Kiedy otworzyła oczy, ze zdumienia aż zamrugała. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Nie rozpoznawała luksusowego pokoju ani delikatnej,

nowiutkiej pościeli i miękkiej poduchy pod głową - potem nagle wszystko sobie przypomniała i z westchnieniem zamknęła oczy. Och, jej biedny dom. Myśli o zniszczeniach sprawiały wręcz fizyczny ból. Szybko jednak porzuciła przykre rozważania. Pocieszyła się, że najważniejsze jest to, iż nikomu - ani jej i Violet, ani Chudleyowi - nic się nie stało. A co do domu, to przynajmniej teoretycznie nadal jeszcze jest jej własnością i tylko to się liczy. Nicholas przyrzekł, że pośle kogoś do stróżowania, więc nie musi się martwić o nowe szkody. A teraz...

Z rozmyślań wyrwało ją bardzo delikatne pukanie do drzwi. Lucy podciągnęła się i oparła na łokciu.

- Tak?

Drzwi uchyliły się i do środka zajrzała Violet. Była ubrana w ciemny mundurek z białym fartuszkim, a na jej porządnie uczesanych włosach widniał zgrabny czepek wykończony koronką. Wydawała się bardzo zadowolona ze swojego nowego stroju i zresztą rzeczywiście wyglądała bardzo dobrze, nie licząc kilku siniaków i gojącego się zadrapania na czole - pozostałości po wydarzeniach z zeszłej nocy.

- Jak się pani czuje, psze pani?

Lucy lekko się uśmiechnęła.

- Zupełnie nieźle, Violet. A ty?

- O wiele lepiej, psze pani. Tutejsze pokojówki są... wspaniałe i dostałam nowiutki strój. Jest taki elegancki. - Podeszła bliżej, żeby się pochwalić. - A czepek ma koronki!

Lucy skinęła głową.

- Naprawdę wyglądasz bardzo ładnie. Cieszę się też, że jesteś tu dobrze traktowana.

- Och, bo to wicehrabia wydał takie polecenia i dlatego wszyscy odnoszą się do mnie jak do królowej. Kazał mi zajmować się tylko panią, co i tak bym oczywiście robiła, bez żadnego szorowania podłóg czy czyszczenia paleniska. W tym domu jestem pokojówką damy. - Wyglądało na to, że dziewczyna traktuje nagłą przeprowadzkę jak wyjazd na wakacje. Lucy cieszyła się, że doszła do siebie po napadzie.

- A Chudley?

- Nadal leży w łóżku, psze pani. Ci wstrętni przestępcy porządnie mu przyłożyli, ale pani Mott mówi, że wydobrzeje.

- Przypuszczam, że nie pamiętasz, jak oni wyglądali? - spytała Lucy.

Violet przestała się uśmiechać i pokręciła przecząco głową.

- Bardzo mi przykro, psze pani, ale wszystko działo się tak szybko, a potem zarzucili mi na głowę ten koc...

- W porządku - uspokoiła ją Lucy. - Tylko się zastanawiałam.

- Czy zamierza pani już wstać? - zapytała służąca. - Przygotuję kąpiel i każę przynieść śniadanie.

Lucy znowu musiała zagryźć usta, żeby się nie roześmiać. Violet zachowywała się jak pani Mott; najwyraźniej sprawiało jej przyjemność naśladowanie wyższej od niej rangą służącej.

- Byłoby wspaniale - zgodziła się. - Tylko poproś kogoś o pomoc. Dzbanki z wodą są takie ciężkie.

- O tak, psze pani. Przydzielono mi dziewczynę do pomocy. No i zawsze mogę zawołać lokaja - poinformowała lekkim tonem, jakby w ogóle nie robiło na niej wrażenia, że jej status tak nagle się podniósł. - Będzie pani piła herbatę czy gorącą czekoladę? A może i to, i to?

Tym razem Lucy nie kryła się ze śmiechem.

- Wystarczy sama herbata i kilka tostów.

Po wyjściu służącej poszła do gotowalni i przekonała się, że pani Mott zostawiła tu dla niej swoją podomkę - niestety, podobnie jak nocna koszula, za krótką i za szeroką. Ale Lucy i tak była wdzięczna gospodyni za pamięć, a kiedy jeszcze na dodatek zobaczyła wannę z gorącą wodą, nie mogła nie poczuć się tak samo jak Violet. Dzięki wielkoduszności wicehrabiego trafiły ze zgliszczy do największego luksusu.

Przyjaciele - tylko tak mogła od teraz nazywać wicehrabiego - są czasami zbawieniem.

Z przyjemnością zanurzyła się w ciepłej wodzie, która podziałała jak lekarstwo na jej napięte mięśnie, zmywając stres ostatnich dni. Zamknęła oczy i napawała się spokojem, a potem czekało na

nią perfumowane mydło i jeszcze więcej ciepłej wody do spłukania głowy i reszty ciała. Wytarła się wspaniałymi grubymi ręcznikami, ubrała w podomkę i wysuszyła włosy przy ogniu z kominka. Dopiero wtedy pomyślała o ubraniach.

Nie zostało jej nic oprócz sukni, którą miała na sobie na przyjęciu poprzedniego wieczoru. Och, Boże!

Zjawiła się Violet z twarzą, na której widniał szeroki uśmiech.

- Psze pani, przyniosłam śniadanie, a poza tym w sypialni czeka na panią krawcowa.

Lucy się zasepiła. Jak wytłumaczy, że nie stać jej na zamówienie nowych strojów i że nie pozwoli, by zapłacił za nie lord Richmond, choć bez wątplenia zamierzał to uczynić?

Rozważając tę delikatną kwestię, przeszła do sypialni, w której zastała szczupłą starszą kobietę i stojącą za nią asystentkę. Obie trzymały w dłoniach centymetry.

- Dzień dobry, madame. Słyszałam o pożarze w pani domu, i wiem, że pochłonął całą pani garderobę - powiedziała na powitanie krawcowa.

A więc tak brzmi oficjalna wersja, pomyślała Lucy. Zapewne służba Nicholasa wie więcej, choćby od Violet i Chudleya, ale jak widać, prawda nie wydostała się jeszcze poza mury domu.

- Tak też, rozumiejąc pani nagłą potrzebę, odłożyłam zamówienia od innych klientów i stawiałam się do pani dyspozycji - kończyła szwaczka.

Lucy nie wiedziała, czy ma się roześmiać, czy rozpłakać. Jedno było pewne: albo Nicholas jest jednym z ważniejszych klientów krawcovej, albo po prostu przyrzekł jej odpowiednio sową rekompensatę za nagłe zlecenie. Ciężko będzie ją rozczarować, niemniej...

- Doceniam pani gotowość... - zaczęła, ale zaraz zamilkła, zaskoczona przez krawcową, która gestem dłoni nakazała jej podnieść obie ręce, po czym szybko i profesjonalnie zaczęła ją mierzyć.

- Jego lordowska mość kazał mi nie tracić czasu - wyjaśniła.

Lucy odczekała spokojnie, aż asystentka - kobieta o sprytnym spojrzeniu, która zdaje się od razu zapamiętała wszystkie podane

przez krawcową liczby - zapisze wymiary, jednak bardzo stanowczo pokręciła głową, kiedy szwaczka nakazała asystentce przynieść pudło z próbkami materiału.

- Obawiam się, że nie będę mogła zamówić u pani nowej garderoby. Jeszcze nie teraz - powiedziała do zdumionej krawcovej.

- Ale pani przecież nie ma w co się ubrać?

- Tak, to prawda... Najpierw jednak muszę załatwić pewną bardzo ważną sprawę i dopiero wtedy... dopiero wtedy zajmę się swoimi potrzebami - wyjaśniała, postanawiając w duchu, że sama uszyje sobie odzież. Jeśli już ma korzystać z pomocy wicehrabiego, to lepiej uczyni, pożyczając od niego niewielką sumkę i za te pieniądze w niedrożej hurtowni zakupi belkę muślinu.

Szwaczka uniosła brwi.

- Jeśli takie jest pani życzenie, madame. Tak czy inaczej, przyniosłam ze sobą kilka gotowych koszul nocnych i wieczorowych sukien. Powinny na razie wystarczyć, dopóki nie uszyję nowych. Przypadkiem mam też przy sobie prawie wykończony kostium spacerowy. Wprawdzie robiłam go na zamówienie innej klientki, ale wiem, że jej się nie spieszy. Tak więc, ponieważ zebrałam już pani wymiary, do południa, po kilku przeróbkach, strój powinien być gotowy.

- To bardzo uprzejme - podziękowała słabym głosem Lucy.

- Co do reszty garderoby, to jestem do dyspozycji, kiedy tylko się pani zdecyduje - zapewniła krawcowa.

Lucy jeszcze raz jej podziękowała, po czym, kiedy ona i jej asystentka wyszły wyprowadzone przez Violet, usiadła przy małym stoliku, chcąc spokojnie napić się herbaty i uraczyć pysznościami, które Violet przyniosła z kuchni. Na tacy leżały krusze babeczki z dżemem truskawkowym i bitą śmietaną, posmarowane masłem kromki świeżo upieczonego chleba, jajka w koszulkach i grubo krojone plastry szynki. O wiele za dużo jak na jej możliwości.

Potem wróciła Violet i wyszczotkowała jej suche już włosy, a następnie pomogła przebrać się w ubrania od krawcovej. Koszula i podomka pożyczone od pani Mott zostały jej odesłane z wyrazami wdzięczności.

Lucy przebrała się potem jeszcze raz, kiedy dostarczono kostium spacerowy.

- Wygląda pani wspaniale, psze pani - stwierdziła Violet, szeroko się uśmiechając.

Lucy przejrzała się w lustrze. Kostium był naprawdę ładny i zupełnie niezłe na niej leżał. W granatowym żakiecie z wyszywanymi złotą nicią klapami i w szarej spódnicy wyglądała szczupło i zgrabnie. Zarumieniła się lekko, ponieważ zdała sobie sprawę, że się zastanawia, co pomyśli Nicholas, kiedy zobaczy ją w nowym stroju i czy mu się w nim spodoba.

- Widziałaś już lorda Richmond? - zapytała służącą.

- O tak, psze pani... madame. Mówił, że jak tylko będzie pani gotowa, wybieriecie się na wycieczkę, którą już wcześniej podobno zaplanowaliście.

Violet wyraźnie starała się używać elegantszego języka, czego Lucy nie omieszkała zauważyć, i co w innej sytuacji, gdyby nie miała na głowie ważniejszych spraw, bardzo by ją rozbawiło. Teraz jednak myślała tylko o wyprawie do Little Hedding i o spotkaniu ze straszliwym Jace'em, który ostatnim razem omal nie pozbawił ich życia. Odetchnęła głęboko.

- Czy wybiera się pani na przejażdżkę po parku, madame? - zapytała Violet, spoglądając na Lucy niewinnie.

- Obawiam się, że nieco dalej - odparła, starając się zachować normalny wyraz twarzy i żałując zarazem, że to nie park właśnie jest celem jej podróży.

Zebrawszy się w sobie, podniosła kapelusz, który przysłano wraz z kostiumem, i wspomagana przez służącą umocowała go na głowie. Następnie pożegnała się z Violet i pamiętając o tym, że jest gościem wicehrabiego i że nie powinna zawstydząć swojego dobroczyńcy brakiem dostojności w jego własnym domu, powoli zeszła schodami.

W holu natknęła się na lokaja i ten na jej widok pokłonił się głęboko. Trochę dalej stał kamerdyner.

- Jeśli szuka pani jego lordowskiej mości, madame, to jest w bibliotece - powiedział, spoglądając na nią zyczliwie.

- Dziękuję - odparła. Właśnie do biblioteki, ulubionego, jak się domyślała, pokoju Nicholasa, zamierzała najpierw zajrzeć.

Zastała go wydającego rozkazy dwóm osiłkom. Nie byli w libriach, więc pomyślała, że to pewnie ogrodnik i któryś ze stajennych.

- Tylko się pospieszcie - polecił Nicholas.

Dwaj służący w pośpiechu i z poważnymi minami opuścili bibliotekę. Lucy, stojąca dotąd z boku, podeszła do Nicholasa.

Ten nachylił się do jej ust i złożył na nich długi i namiętny pocałunek. Przeszył ją dreszcz rozkoszy. Zarzuciła ręce na szyję kochanka i wtuliła się w niego, a on w tym czasie obsypywał pocałunkami najpierw jej policzki, potem szyję i wreszcie, odsłoniwszy wysoki kołnierz żakietu, nagie ramię.

- Przestań — wyszeptła zarumieniona. - Ktoś może wejść.

- Moja służba jest bardzo dobrze przeszkolona - zapewnił z przebiegłym błyskiem w oku. Ale odsunął się i pozwolił jej poprawić kapelusz, który w trakcie namiętnych uścisków przesunął się na bok.

Lucy przekonana, że jej twarz płonie czerwienią, odetchnęła kilka razy głęboko, starając się wrócić do równowagi, tak żeby nikt niczego po niej nie poznał.

- Słyszałam od Violet, że planujesz dzisiaj wyprawę do tego... no wiesz... tego straszego miejsca.

- To prawda, ale nie musisz mi towarzyszyć, jeśli nie czujesz się na siłach - powiedział, sięgając po jej dłoń i przytrzymując w mocnym uścisku.

Nie cofnęła jej; jak zawsze dotyk Nicholasa dodawał jej pewności siebie.

- Wydaje mi się, że jednak powinnam z tobą jechać - stwierdziła. - A nawet muszę, w razie gdyby Eve rzeczywiście wolała rozmawiać ze mną. Tyle tylko, że poprzednia wizyta była taka... przerażająca.

Nicholas skinął głową.

- Zadbam o środki bezpieczeństwa - zapewnił. Puścił jej dłoń i wrócił do biurka. Stało na nim wielkie rzeźbione pudło, z którego wyjął dwa groźnie wyglądające pistolety. Obejrzał je dokładnie, po

czym z powrotem odłożył, a następnie podniósł pudło i gestem głowy kazał Lucy iść za sobą.

Kiedy znaleźli się na ulicy, ze zdumieniem stwierdziła, że *nie stoi* tam granatowa karetka z herbem ani nawet stara wynajęta dorożka, którą jechali poprzednim razem, a dość marny brązowy powóz.

- Jest większy od dorożki - wyjaśnił Nicholas - i nie rzuca się w oczy jak karetka.

Każdy pojazd mniej się rzuca w oczy niż luksusowa karetka z herbem na drzwiach! - z rozbawieniem pomyślała Lucy, ale nie powiedziała tego głośno, tylko pochwaliła wicehrabiego za słuszny wybór.

Uśmiechnął się.

- Zobaczmy, co to da.

Podszedł lokaj i odebrał od niego pudło z bronią. Umieścił je ostrożnie w powozie, po czym odwrócił się, żeby pomóc Lucy. Nicholas wsiadł do środka zaraz za nią i zajął miejsce obok.

Ruszyli natychmiast i dość szybko, a ponieważ powóz nie miał tak dobrych resorów jak karetka, podskakiwali prawie na każdym wyboju. Lucy wierciła się z tego powodu na siedzeniu, aż w końcu Nicholas objął ją ramieniem.

- Nie musisz ze mną jechać, jeśli nie chcesz - powiedział, najwyraźniej biorąc jej niespokojne zachowanie za objaw zdenerwowania.

- Bardzo bym chciała tego uniknąć. - Czule dotknęła jego policzka. - Ale jestem twoim partnerem i podobnie jak tobie zależy mi na osiągnięciu naszego celu. - To jej przypomniało, że musi poruszyć kwestię krawcowej i wyjaśnić Nicholasowi, dlaczego nie zgadza się, aby płacił za jej garderobę. Zaraz jednak zmieniła zdanie, bo poczuła na szyi jego usta. Nie zamierzała przerywać tego przyjemnego doznania...

Tym razem podróż minęła im szybciej niż poprzednio. Lucy była bardzo zdziwiona, kiedy w pewnej chwili, gdy już Nicholas wypuścił ją z objęć, wyrzała przez okno i zobaczyła, że są prawie na miejscu. Natychmiast się wyprostowała i sięgnęła po kapelusz, który jakimś cudem znalazł się na siedzeniu naprzeciwko.

- Zaplanowałeś to sobie! - rzuciła oskarżycielsko.

- Raczej miałem nadzieję, że do tego dojdzie - zgodził się, łypiąc na nią wesoło.

- Nie o to mi chodzi. Specjalnie odwróciłeś moją uwagę, żebym się nie zamartwiała... nie myślała...

- To by była wspaniała wymówka dla moich naturalnych skłonności i chęci skorzystania z okazji, gdy ja i piękna kobieta znaleźliśmy się sami w zamkniętym powozie - żartował. - Czy moja altruistyczna misja się powiodła?

Próbowała popatrzeć na niego surowo, ale jej się nie udało.

- Doskonale wiesz, że tak.

- A więc nie możesz oskarżyć mnie o brak powściągliwości, co jak sądzę, właśnie zamierzałaś mi wytknąć? - rzucił głosem niewiniątka.

Mocno zacisnęła usta.

- Wcale nie zamierzałam, ale zmienmy temat, Nicholasie. Powinniśmy raczej porozmawiać o strategii, bo przecież czeka nas spotkanie z niebezpiecznym przeciwnikiem.

Na myśl o odrażającym właścicielu domu rozpusty zadrżała, ale drżenie to w niczym nie przypominało wcześniejszych przyjemnych dreszczy wywołanych pieszczotami Nicholasasa.

- Już przed wyjazdem przemyślałem strategię i przedsięwzięciem pewne kroki... - Nicholas sięgnął po pudło z bronią, wyjął z niego pistolety, po czym wsunął je do kieszeni płaszcza.

Lucy nie spuszczała z niego wzroku.

- Ile nabojów się w nich mieści? - zapytała.

- Jeden. To znaczy po jednym w każdym - odparł, podnosząc na nią oczy.

Już zamierzała powiedzieć, że Jace z pewnością ma wielu kompanów, ale zamiast tego tylko westchnęła. Jej towarzysz na pewno o tym pomyślał. Nie pozostaje nic innego, jak mieć nadzieję, że jakoś im się powiedzie. Pocieszała się, że Nicholas jest tuż obok, a przecież przy nikim innym nie czułaby się w takich okolicznościach bardziej bezpieczna.

Powóz wreszcie się zatrzymał, a ich oczom ukazał się niezbyt duży budynek. Za dnia wydawał się jeszcze bardziej zniszczony



i zapuszczony. Lucy rozejrzała się i ze zdumieniem stwierdziła, że tuż za nimi stoi biyczka i siedzi w niej dwóch mężczyzn.

- Nicholasie - syknęła. - Czy to ludzie Jace'a?

- Nie - odparł cicho. - To nasze posiłki.

Dopiero w tej chwili rozpoznała w nieznanym dwóch służących, których widziała w bibliotece. Wszystko jasne. Przecież Nicholas cały czas powtarza, że się zabezpieczył.

Poczuła się o wiele pewniej. Wsunęła dłoń pod ramię towarzysza i razem ruszyli do drzwi zajazdu, a za nimi jeden ze służących. Drugi został w biyczce.

Podeszli do budynku i Nicholas, nie pukając, nacisnął na klamkę. Drzwi puściły - najwyraźniej nie były zamknięte na klucz; albo Jace czuje się tak pewnie, że nie dba o środki ostrożności, albo ktoś nie zamknął ich przez nieuwagę.

Nicholas zrobił krok nad pękniętym progiem, Lucy pospieszyła za nim; służący został przy drzwiach, zapewne na czatach.

Rozejrzała się. Tym razem wewnątrz zajazdu wyglądało zupełnie inaczej. Przede wszystkim w środku nie było żywej duszy. O tym, że w nocy toczyła się tu zabawa na całego, świadczyło kilka poprzerwanych krzeseł i walające się wszędzie brudne kufle, nad którymi krążyły wielkie muszyska. W rogach pomieszczenia i na stołach ścielił się ciemnymi smugami lepki kurz.

Widać było, że nikt tu za bardzo nie przejmuje się czystością i porządkiem; z pewnością nie właściciel, i pewnie nie jego pracownicy wyczerpane nocnymi hulankami z klientami tego przybytku. Lucy wzdrygnęła się na myśl o strasznym życiu takich kobiet.

Jakim cudem trafił tu Stanley? On, taki zasadniczy i pedantyczny, który narzekał na widok nawet najmniejszego okruszka chleba w maselnicy albo najmniejszej zmarszczki na fularze...? Naprawdę nie potrafiła wyobrazić sobie męża w tym miejscu. Może przy Eve stawał się innym człowiekiem...?

Szkoda czasu na takie dywagacje, uznała w duchu i skupiła się na otoczeniu. Nicholas już zdążył zajrzeć do tylnego korytarza i pewnie nikogo tam nie znalazł, bo teraz, pokazując jej, by zachowała milczenie, szedł w stronę wąskich schodów.

Sama wiedziała, że musi być cicho, choć wątpiła, aby udało im się przeszukać pokoje i odnaleźć Eve bez zbudzenia którejś z kobiet. Pewnie na ich widok zaczną krzyczeć i zaalarmuje cały dom.

Nicholas jednak nie zaglądał do każdego pokoju, tylko przeszedłszy do połowy wąskiego korytarza, zatrzymał się przed drzwiami, prawdopodobnie do pokoju Eve. Najwyraźniej go zapamiętał. Otworzył drzwi.

W środku było pusto, co widząc, Lucy natychmiast poczuła ukłucie zawodu i przygnębienie. Co teraz?

- Myślisz, że Jace ją zabił? - zapytała szeptem Nicholas, który stojąc w drzwiach, nad czymś się zastanawiał.

Dlaczego nie, myślała. Jeśli Jace wykradł rubin, znaczy to, że ma już na sumieniu co najmniej jedno morderstwo. Co mu szkodziło dopuścić się następnego i pozbyć się dziewczyny, która była mu nieposłuszna i która chciała, jego zdaniem, wystrychnąć go na dudka. Na myśl, że ona i Nicholas mogli przyczynić się do śmierci Eve, Lucy przeszył zimny dreszcz.

Modliła się w duchu, żeby to nie była prawda. Już i tak życie dziewczyny musiało być koszarne, więc jeśli jeszcze sprowadzili na nią... Zmarszczyła czoło, bo nagle doszedł ją jakiś niewyraźny odgłos.

- Nicholasie - szepnęła. - Tędy!

Poszedł za nią natychmiast. Odgłos dochodził z końca korytarza, gdzie znajdowały się prowadzące w górę strome schody, bardziej przypominające drabinę. Lucy podciągnęła spódnicę i zaczęła się po nich wspinać, choć drżała na myśl o tym, że na poddaszu natknie się na Jace'a lub któregoś z jego kompanów. Stąd już nie będą mogli bezpiecznie wyskoczyć przez okno.

Nie ma jednak odwrotu, jeśli chcą odnaleźć Eve. Stanęła na małym podeście i się rozejrzała. Było tu tylko dwoje drzwi, ustawionych naprzeciwko siebie. Lucy, kierując się niemilkącym odgłosem, wybrała jedno z nich i nacisnęła klamkę.

W środku znalazła to, czego się spodziewała. Na małym łóżku, nieco czystszy od tego w pokoju piętro niżej, leżała Eve. Miała

poszarzałą z wycieńczenia twarz i podkrążone oczy, a z połatanej koszuli wyłaniała się pierś, którą ssało niemowlę.

## 12

Lucy stała w drzwiach zaskoczona, choć tak naprawdę nie do końca. Nagle wiele rzeczy ułożyło się w całość.

Za to Eve patrzyła na niezapowiedzianych gości z wielkim zdumieniem.

- Co tu robicie? - zapytała gniewnie. - Jace was zabije, jak was tu zobaczy! Ostatnim razem prawie mu się to udało. Mnie, po waszym odjeździe, zbił do nieprzytomności. I nawet nie widziałam, czy przeżyliście to skakanie z okna!

- Przykro mi słyszeć, że cię pobił. Żałuję, że się do tego przyczyniliśmy - odezwała się Lucy, starając się mówić łagodnie, chociaż w piersiach czuła dziwny ucisk.

Dziecko.

Spojrzała za siebie i z pociemniałej twarzy Nicholas'a wyczytała, że musi być bardzo zawiedziony. Wydawał się prawie chory z zaskoczenia, ale mimo to milczał, jakby wolał, żeby to ona wypytała Eve o zaginiony rubin. Jednak teraz nie to było najważniejsze. Nie w tej chwili.

- Niestety potrzebujemy twojej pomocy i poza tym...

Przerwało jej płacliwe zawodzenie. Dziecko puściło pierś i kwiliło, ale bardzo słabo.

Eve westchnęła.

- Kończy mi się pokarm, a nie mam nic innego, czym mogłabym je nakarmić. Nie rośnie tak, jak powinno.

Mimo że wiedziała, iż powinni się spieszyć, Lucy przez chwilę nie mogła skoncentrować się na niczym innym tylko na dziecku. Zapatrzyła się na nie - ile ono może mieć? Przyglądała się wąskiej, szczupłej twarzyczce, malutkiemu noskowi i wiedziała, że nie musi nawet zadawać pytania, które cały czas cisnęły jej się do głowy.

- Naprawdę się ucieszył, kiedy mu powiedziałam. No... Stanley - burknęła Eve zaczepnie, ale zarazem z odrobiną strachu w głosie. - Przynależ, że się zaopiekuje mną i małą. Dlatego nie musiałam się jej pozbyć przed urodzeniem, jak to zazwyczaj robią kobiety... kobiety w moim zawodzie. Ale po śmierci Stanleya... no, pieniądze się skończyły...

Nie musiała dalej tłumaczyć. Lucy doskonale wiedziała, co to znaczy brak pieniędzy. Sama wiele wycierpiała, no ale przecież musiała utrzymać tylko siebie i Violet, a nie tak jak Eve - małe, bezbronne niemowlę.

- A potem Jace chciał... - Eve ucichła i zadrżała.

Lucy także zadrżała. Domyślała się, że ten łotr Jace bez mrugnięcia okiem pozbyłby się każdego, nawet dziecka.

- Więc wymyśliłam sobie, że gdyby udało mi się zdobyć jakieś pieniądze, bo przecież Stanley powinien... bo pani... pani pewnie ma dużo... to wtedy mogłabym uratować dziecko. - Eve przełknęła ślinę. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będzie pani chciała je zabrać.

- Nic nie wiedziałam... - zaczęła Lucy, ale zaraz zamilkła. Rozpacz rysująca się na twarzy dziewczyny rozpraszała ją. - To znaczy, sądziliśmy, że twoja wiadomość dotyczyła czegoś innego, innej sprawy.

Czuła, że stojący za nią Nicholas, mimo milczenia, walczy z rozczarowaniem. Jeśli Eve nie ma rubinu, to kto go ma?

Dziewczyna na łóżku wpatrywała się w niemowlę, a jej twarz wyrażała sprzeczne emocje.

- Ale pani się nią zaopiekuje, prawda? Widzi pani, że jest nakarmiona i ubrana. Jak ją pani zabierze, to Jace jej nie dostanie. Bo inaczej, nim mała zdąży dorosnąć, on weźmie ją sobie do łóżka. Wiem, co by chciał z nią robić...

Och, Boże! - zawołała w myślach Lucy, zarazem kręcąc głową.

- Nie, nie wolno do tego dopuścić.

- Więc niech ją pani weźmie. - Eve wetknęła jej niemowlę w ręce.

Rozpłakało się. Lucy patrzyła na nie ze zdumieniem; było takie małe, lekkie; takie bez skazy mimo niechlubnych okoliczności

związanych z jego poczęciem. Ale przecież nie jest niczemu winne! Potem pomyślała, że gdyby ona urodziła dziecko i ktoś chciałby je jej odebrać, chyba tego nie przeżyła.

Popatrzyła na Eve i wyrzuciła z siebie:

- Musisz iść z nami.

- Ja? - Dziewczyna spoglądała na oboje ze zdumieniem. - Ale...

- Chyba nie chcesz tu zostać, z takim mężczyzną jak... twój pracodawca i w takich strasznych warunkach!

- Aleja nie...

- Dziecko potrzebuje matki - oświadczyła Lucy spokojnie, lecz stanowczo. Położyła niemowlę w ramionach Eve.

Oczy dziewczyny zalśniły od łez. Wstrzymując oddech, przycisnęła maleństwo do piersi.

Wtedy z dołu doszedł ich krzyk i wszyscy się wzdrgnęli.

- Zobaczyli powóz - rzucił Nicholas. - Uciekajmy!

Lucy chwyciła Eve za rękę.

- Uciekajmy!

Dziewczyna wcale się nie opierała. Zarzuciła na cienką koszulę dziurawy koc i ruszyła za Lucy. Dotarły do stromych schodów i zbiegły po nich, a raczej sturlały się tak szybko, że czekający na dole Nicholas musiał je obie przytrzymać, żeby się nie przewróciły.

Ale było już za późno.

Na drugim krańcu korytarza pojawiła się znajoma postać. Jace w rozpiętej koszuli, z której wylewał się tłusty brzuch, wciągał pośpiesznie spodnie. Był bosy. Patrzył na nich zza krzaczastych brwi z wściekłością.

- To wy?! Jeszcze macie czelność się tu pokazywać! Ha, no i dobrze. Tym razem, lordziku, nie opowiesz nikomu o naszym spotkaniu, bo go nie przeżyjesz!

Po tej groźbie posypały się wulgarne wyzwiska pod ich adresem. Lucy z przerażeniem obejrzała się na Nicholas. Okazało się, że nie wiadomo kiedy wydobył z kieszeni broń i teraz spokojnie stoi, celując prosto w serce przeciwnika.

Ten zaczął się zbliżać, ale zobaczywszy pistolet, zawahał się.

- Cofnij się i pozwól nam wyjść - powiedział Nicholas takim głosem, że wzbudziłby strach najgorszego bandyty.

Lucy przełknęła ślinę.

- Nie zabierzesz mojej kobiety! - krzyknął Jace, nadal groźnie marszcząc brwi. - Ja ją utrzymywałem. Co ci do niej? Masz już przecież jedną!

Głos Nicholas stał się jeszcze twardszy.

- Zatrzymaj dla siebie te paskudne uwagi, szubrawcze. A kobieta, o której mówisz, jest wolna i może robić, co zechce. Dlatego jeśli tak postanowiła, pójdzie z nami.

- Nie rób tego, Sadie. Skończysz na ulicy, głodna i bez dachu nad głową. Nikt się tobą nie zaopiekuje tak dobrze jak ja! - mówił Jace do Eve.

Ta tylko pociągnęła nosem i mocniej przycisnęła do siebie dziecko.

- Tak jakbyś był dla mnie taki dobry i szczodry? Każda stąd by uciekła, gdyby się tak ciebie nie bały.

Jace wydał z siebie ohydny ryk.

- Nie uciekną, bo mają rozum. A ciebie, dziwko, znajdę i poderżnę ci gardło. Tej eleganckiej paniusi też.

- Jeśli spróbujesz skrzywdzić którąś z tych kobiet, dopilnuję, żebyś zawisł na najbliższej szubienicy. Możesz się założyć o swoje nędzne życie, że tak będzie - wtrącił się Nicholas.

Jace, słysząc to groźne ultimatum, chyba się trochę speszył.

- Ja... ja nie...

- Jestem pewien, że masz na swoim koncie wiele zbrodni, więc sędzia bez trudu znajdzie powód, żeby cię posłać na stryczek. Ze nie wspomnę o kradzieży rubinu.

Nozdrza wielkiego mężczyzny rozděły się jak u psa myśliwskiego, który zwęszył zwierzynę.

- Rubinu? Jakiego rubinu? Sadie, masz jakiś rubin? Jeśli coś przede mną ukryłaś...

Nagle zamilkł, a Lucy, obserwując jego spojrzenie, domyśliła się, że coś się musi dziać za ich plecami. Obejrzała się.

- Za tobą! - krzyknęła do Nicholasa.

Na drugim końcu korytarza - dopiero teraz przypomniała sobie, że korytarz z każdej strony kończył się klatką schodową - stał mężczyzna ze staroświecką rusznicą w rękach. Podniósł ją i wystrzelił.

Lucy rzuciła się na Eve, zasłaniając sobą dziecko. W korytarzu rozległ się najpierw ogłuszający huk, a potem przeraźliwy pisk dziewczyny. Lucy, słysząc w uszach dzwonienie i kaszłac z powodu ostrych oparów prochu, zaczęła przesuwać ręką po ciele, żeby sprawdzić, czy nie jest ranna. Nie wiedziała, kto oddał strzał.

Podniosła głowę i zobaczyła, że Nicholas opuszcza pistolet, a mężczyzna na drugim końcu korytarza osuwa się po ścianie.

W tym momencie Jace rzucił się do ataku, ale Nicholas, przełożywszy pierwszy pistolet do lewej ręki, sięgał już do kieszeni po drugi. Zdażył go unieść i wycelować, nim Jace pokonał długość korytarza i zatrzymał się, zaciskając pięści, jakieś trzy kroki przed nim.

Lucy poczuła od olbrzyma smród stęchłego potu. Twarz wykrzywiła mu wściekłość.

Eve cały czas pochlipywała ze strachu, a jej dziecko głośno zawodziło. Z pokojów zaczęły wyłaniać się rozczochrane głowy kobiet osłaniających nagie ciała brudnymi narzutami. Na widok broni i odgłosu strzałów natychmiast znikły.

Na drewnianych schodach rozległy się odgłosy ciężkich kroków; nadciągali następni kompani Jace'a. Zaraz zdobędą nad nami liczebną przewagę, pomyślała Lucy z przerażeniem. Gdzie są ludzie wicehrabiego? Powinni już tu być, choć dwóch to i tak za mało.

Nicholas podał jej pusty pistolet i sięgnął po coś do kieszeni płaszcza. Czyżby miał tam jeszcze jakąś broń? Zobaczyła ze zdumieniem, że trzyma w ręku srebrny gwizdek. Włożył go do ust i z całych sił dmuchnął; rozległ się ostry pisk.

- Cha, cha, nie przestraszysz mnie! Nieważne, ilu masz ze sobą ludzi! - ryczał Jace. - Moi i tak są groźniejsi i silniejsi. Tym razem mi się nie wymkniesz!

Lucy wyteżyła słuch; miała wrażenie, że z dołu dochodzą ją odgłosy bójki. Zamarła ze strachu. A jeśli Jace ma rację? Zadrzała, bo

coś uderzyło w ścianę, a grzmotnięcie rozeszło się echem po całym domu.

Na korytarz, odpychając rannego kolegę, wpadł następny kamrat Jace'a. Trzymał w rękach pistolet, który był wprawdzie mniejszy od pistoletu Nicholasa, ale zapewne tak samo niebezpieczny. Mężczyzna szedł w ich kierunku.

- Nicholasi! - wyszeptwała. - Z tyłu masz kolejnego oprycha z pistoletem.

Mimo że Nicholas nie oderwał wzroku od Jace'a, wyczuła, że jest spięty.

- Co tam? Zabrakło naboju, mój lordzie? - zakpił Jace. - Nie dasz rady nam wszystkim.

- Ty jesteś pierwszy na mojej liście - odparował wicehrabia. Mężczyzna z bronią był tuż przy nim. Nicholas ponownie włożył gwizdek do ust i dwukrotnie przeciągle zagwizdał.

Lucy wzdrygnęła się, bo nadchodzący oprych, zawahawszy się, skierował broń na nią. Eve nie przestawała popłakiwać. Lucy objęła ją ramieniem i wstrzymując oddech, wpatrywała się w wycelowaną w nie broń.

Jace zupełnie się nie przejął gwizdami.

- Idioto, zastrzel jego, a nie ją. Z nią damy sobie radę - warknął.

Oprych posłusznie wycelował broń w wicehrabiego. Nie, nie, tylko nie Nicholas. Lucy chciała podbiec do mężczyzny i wybić mu pistolet z ręki.

Ale Nicholas, jak zawsze, zdawał się czytać jej w myślach.

- Nie ruszaj się - mruknął cicho. - Jeszcze nas nie pokonali.

Nagle stały się dwie rzeczy jednocześnie: oprych naciągnął spust, a na korytarz wpadł wielki zwierz i runął prosto na zaskoczonego Jace'a, powalając go na ścianę.

Widząc to, Nicholas odsunął się i rzucił w stronę zwierzęcia ciche polecenie. Pies, który był wielki niczym potwór, tym razem ruszył na oprycha z bronią. Ten wrzasnął i wystrzelił, ale ręka mu zadrzała, i choć odgłos eksplozji ponownie zatrzęsł domem, to kula przeleciała tylko przez korytarz, nikogo nie trafiając.

Nawet olbrzymiego psa, który w małym korytarzu sprawiał wrażenie większego niż w rzeczywistości. Przerażony Jace, z oczami jak spodki, próbował odczołgać się jak najdalej od zwierzęcia, ale ono, zauważwszy ruch, doskoczyło do leżącego i wbiło mu kły w nogę.

Jace zawył z bólu.

- Lucyfer? - domyśliła się Lucy, prawie nie wierząc własnym oczom. - To niemożliwe. Skąd on się tu wziął?

Nicholas uśmiechnął się psotnie niczym chłopiec.

- Namówiłem Violet, żeby znowu go wypożyczyła od rzeźnika - wyjaśnił, chwytając ją za ramię. - Chodźmy, musimy się spieszyć.

- Zabierz go, błagam, zabierz - jęczał Jace.

Nicholas popatrzył na proszącego i z odrazą pokręcił głową.

- Lucyfer, noga - rozkazał i pies, choć niechętnie, puścił krwawiącą kończynę oprycha, który zakławszy natychmiast odczołgał się w bok.

Zeszli na dół, gdzie czekali już na nich kompani Jace'a. Jednak na widok pistoletu w ręku Nicholasa, a jeszcze bardziej na widok wielkiego psa, rozstąpili się i pozwolili im spokojnie wyjść.

Cała trójka pospieszyła do powozu, a pies i dwaj służący - jeden utykał lekko po bójce - do bryczki. Widząc, jak Lucyfer wsuwa się pod plandekę, Lucy zrozumiała, że tam właśnie siedział przez całą drogę do Little Hedding, zapewne smacznie drzemiąc, a pojawił się dopiero, kiedy został wezwany do akcji.

Nadal zdumiona obecnością Lucyfera, kręcąc z niedowierzaniem głową, pomogła Eve trzymającej w rękach niemowlę wsiąść do powozu. Kiedy dołączył do nich Nicholas, woźnica strzelił z bata i pojazd ruszył.

Odetchnęła spokojniej dopiero po kilku kilometrach. Popatrzyła na siedzącego obok Nicholasa, który w milczeniu i z trudnym do odczytania wyrazem twarzy przyglądał się Eve i jej dziecku. Wyglądało na to, że obydwójce, mimo że powozem silnie trzęsło na wybojach, zapadli w niespokojną drzemkę. Zdaje się, że poczuł na sobie wzrok Lucy, bo odwrócił się do niej.

- Musiałam ich zabrać - powiedziała cicho. - Nie mogłam zostawić na pastwę tego straszliwego człowieka ani jej, ani dziecka.

- Wiem. - Jego głos brzmiał tak samo zagadkowo, jak zagadkowe było jego spojrzenie.

Lucy przyszło na myśl, że może być zły, bo przecież zajęcie się Eve oznaczało dodatkowe wydatki.

- Oczywiście, nie oczekuję od ciebie, że zaopiekujesz się dzieckiem Stanleya i Eve, ja jednak...

- Jednak ty czujesz się wobec nich zobowiązana, tak? - Uniósł pytająco brwi.

- Kiedy byłam żoną Stanleya, bardzo pragnęłam urodzić mu dziecko - powiedziała i zamilkła, próbując uporządkować kołaczące się w niej uczucia.

Nicholas uściśnął jej dłoń.

- Współczuję ci. Przypuszczam, że dzisiejsze odkrycie sprawiło ci wielki ból.

Skrzywiła się lekko. Jeszcze kilka miesięcy temu wieść, że Stanley spłodził dziecko z inną kobietą - chociaż nie chciał lub nie mógł mieć dziecka z nią - z pewnością bardzo by ją przygnębiła. Ale teraz... Teraz jest przy niej Nicholas, mężczyzna, któremu się podoba, który przekonał ją, że nie jest odpychająca, chyba że dla kogoś, kto ma podobne upodobania jak Stanley. I to dlatego nowe informacje na temat przeszłości męża nie były tak bardzo bolesne. Oczywiście nadal pragnęła mieć dziecko, ale zdawała sobie sprawę, że w obecnych okolicznościach *szanse na to* są nikłe. Westchnęła, po czym posłała Nicholasowi uspokajające spojrzenie.

- Nic mi nie jest - zapewniła.

- Masz zamiar adoptować małą?

Pokręciła przecząco głową.

- Och nie. Nie zabrałabym dziecka od matki. I tak już ze zbyt wielu rzeczy ją okradziono. - Naprawdę współczuła Eve, jako kobiecie i matce. - Chciałabym im pomóc, tylko jeszcze nie wiem, jak mi się to uda bez odpowiednich funduszy, których jak dotąd nie mam. - Odwróciła głowę, żeby nie patrzeć w docieklive ciemne oczy towarzysza.

- Wiesz przecież, że zrobię wszystko, czego zażadasz - powiedział. - Chociaż powoli zaczynam się zastanawiać, ile jeszcze skapo

odzianych kobiet będę mógł sprowadzić do domu bez wzbudzania sensacji wśród służby.

Rozśmieszył ją.

- Tak, to może być problem - zgodziła się.

Zaczęli rozważać, co mogą uczynić dla Eve i jej dziecka, a kiedy spostrzegli, że dziewczyna się przebudziła, uznali, że najlepiej ją samą zapytać, czego pragnie.

Eve poprawiła zarzucony na plecy koc i mocniej objęła niemowlę.

- Ale ja nie mam tego skarbu, którego szukacie...- rzuciła z przestrawieniem.

- Wiemy, ale i tak chcemy ci pomóc - zapewniła łagodnie Lucy. - Jestem przekonana, że Stanley życzyłby sobie tego. Powiedz, czego pragniesz. Gdybyś miała wybór, wolałabyś mieszkać w mieście czy na wsi?

Przez chwilę w oczach dziewczyny zabłysła żywsza iskierka, może nawet nadzieja.

- Wychowałam się w Kent na farmie, psze pani. Czasami, kiedy Jace albo któryś z klientów mnie bił, marzyłam, że jestem w moim ogrodzie i uprawiam ziemniaki albo fasolkę. - Westchnęła, a jej wzrok stał się nieobecny, jakby wyobrażała sobie sielankową scenę.

- Masz jakąś rodzinę, do której mogłabyś wrócić? - pytała dalej Lucy.

Eve się skrzywiła.

- Mama umarła, jak miałam dziesięć lat. Potem tata znowu się ożenił, ale jego żona mnie nie chciała. Była taka okrutna, że moi bracia odeszli z domu. Jeden poszedł na marynarza i nigdy potem o nim nie słyszeliśmy, a drugi wyjechał do Londynu, ale nie wiem, gdzie jest. Potem, po kilku latach, umarł też ojciec, no i wtedy jego żona kazała mi się wynosić. Więc poszłam do najbliższego miasta. Miałam nadzieję, że najmę się za pokojówkę, ale nikt mnie nie chciał i... no... zajęłam się...

Jedynym fachem, który ratował ją przed głodem, pomyślała z westchnieniem Lucy.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy znaleźli ci miejsce właśnie na jakiejś farmie? - zapytał nieco szorstko Nicholas.

Eve zerknęła na dziecko, a Lucy, widząc to, szybko dodała:

- Oczywiście z dzieckiem. Ile ono ma?

- Ja... urodziło się pod koniec lata, proszę pani - poinformowała dziewczyna głosem, w którym nagle pojawiła się czułość. - Zostało mi wtedy jeszcze trochę grosza, dlatego jej nie oddałam. Miałam nadzieję... no wie pani.

Tak, Lucy doskonale wiedziała, że mimo niesprzyjających okoliczności można karmić się nadzieją, iż przyszłość jakoś się ułoży, że nie będzie tak źle; cały ostatni rok egzystowała w ten właśnie sposób, modląc się zarazem o cud. Spojrzała na Nicholasa. Wyglądał przez okno i obserwował krajobraz. Nagle pochylił się i zastukał w szybę, a kiedy powóz stanął, powiedział coś do woźnicy.

Znowu ruszyli. Po półgodzinie zatrzymali się przy małym zajezdzie przy drodze.

- Zaczekajcie tutaj - polecił. Wszedł do gospody, ale wrócił wkrótce, a z nim korpulentny jegomość, zapewne gospodarz zajazdu, zachwycony z powodu pojawienia się niespodziewanych, a na dodatek szacownych, gości.

- Czas na posiłek - poinformował Nicholas. - Wprawdzie nie mają tu oddzielnego pomieszczenia, ale właściciel zgodził się opróżnić zajazd, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Ciekawe, ile musiał zapłacić za taką uprzejmość, zastanawiała się Lucy. Trochę ją irytował rozkazujący ton, z jakim Nicholas się do nich zwracał, ale skoro było to dla dobra ogółu, postanowiła się nie uskarżać.

- Czy jesteśmy wystarczająco daleko, żeby Jace i jego ludzie nam nie zagrażali? - zapytała cicho, podczas gdy Eve z zaciekawieniem rozglądała się dokoła.

Nicholas skinął głową.

- Tak, nie musisz się o nic martwić. Zresztą zostawiam na zewnątrz moich ludzi i Lucyfera - uspokoił ją. - Jednak nie przypuszczam, żeby temu oprychowi, po nauczce, którą otrzymał, chciało się wyruszać za nami w pościg.

Po tych zapewnieniach już bez cienia obawy Lucy i Eve wysiadły z powozu.

Na widok dziewczyny ubranej tylko w koszulę i z kocem na plecach gospodarz zrobił zdziwioną minę, ale nic nie powiedział, tylko nisko się kłaniając, jak przed rodziną królewską, wprowadził gości do zadymionego wnętrza zajazdu. Usiedli przy stole, na którym prawie natychmiast pojawiło się proste, lecz pożywne jedzenie: placek pasterza, pieczony kurczak z ziemniakami i duszoną rzepą, ciemny chleb i domowego wyrobu masło.

Do picia było jedynie piwo; Lucy zdołała wypić tylko kilka łyków, tak było gorzkie. Za to Eve patrzyła na stół, jakby w życiu nie widziała tyle jedzenia. Oderwała od chleba porządny kawałek, sięgnęła po nóżkę kurczaka i z lubością, łapczywie, zatopiła w niej zęby. Lucy pomyślała, że dobry posiłek może nawet spowodować u dziewczyny odzyskanie pokarmu. Przywołała gospodarza i cicho o coś poprosiła. Skinął głową na zgodę, a po chwili zjawił się przy stole z gorącym mlekiem, żeby Eve mogła zamoczyć w nim chleb i dać dziecku do possania. Dziewczynka, której twarzyczka miała bardzo podobny kształt do twarzy Stanleya, była starsza, niżby się wydawało. To pewnie przez niedożywienie jest taka mała, ale urośnie, jeśli tylko będzie dostawała odpowiednią ilość jedzenia, a jej matka będzie spokojniejsza, pocieszyła się Lucy w duchu.

Uznała, że choć tyle jest winna Stanleyowi.

Inaczej niż Nicholas, który nie miał wobec jej męża żadnych zobowiązań, a mimo to chciał udzielić pomocy jego dziecku i matce dziecka. Ogromnie go za to podziwiała.

Popatrzyła na wicehrabiego przez stół.

-Jeśli... kiedy tylko odnajdziemy rubin, wszystko ci zwrócę, przyrzekam - zapewniła. - Rozumiesz, że nie mogłam ich tam zostawić?

- Rozumiem, że masz bardzo dobre i szczodre serce. Jestem szczęśliwy, że mogę się do czegoś przydać - odpowiedział z powagą.

Zarumieniła się.

- Zdaję sobie sprawę, że moja prośba nie jest błaha.

Wzruszył ramionami, jak zawsze zniecierpliwiony wyrazami wdzięczności.

- To tylko kilka funtów rocznie. Drobnostka.

- Ale dzięki nim Eve zacznie nowe życie, a jej dziecko będzie mogło dorastać w zdrowiu i spokoju - podkreśliła. - To ogromna pomoc.

Na te słowa wicehrabia jakby się zapomniał i pozwolił, by z jego twarzy zniknęła maska obojętności. W jego oczach pojawił się ból, co Lucy natychmiast spostrzegła. Ale choć była zdziwiona, nie miała czasu na zastanowienie, ponieważ Nicholas wrócił do rozmowy.

- Obawiam się, że musimy zacząć wszystko od początku - oświadczył.

- Jak to?

- Już wiemy, że Jace nie miał pojęcia o rubinie - przypomniał. - A więc ta sprawa to zły trop.

- No a włamanie do mojego domu? - dociekała.

Nicholas rzucił jej ponure spojrzenie.

- Najwyraźniej nie Jace był włamywaczem, tylko ktoś inny.

Skończyli posiłek i po ulokowaniu się w powozie ruszyli w dalszą drogę. Po około godzinie dotarli do miejscowości, na której terenie znajdowały się należące do Nicholasa posiadłości z polami uprawnymi; jak twierdził, jedne z mniejszych. Kiedy dojechali na miejsce, wyszedł im na spotkanie miło wyglądający mężczyzna, zarządca farmy. Nicholas wysiadł z powozu i wdał się z nim w rozmowę.

- Wszystko ustalone - powiadomił po powrocie. - Chodźcie zobaczyć.

Pomógł Lucy wsiąść i poszedł załatwić coś z woźnicą. W tym czasie do Lucy i trzymającej niemowlę Eve podeszła postawna kobieta o rumianych policzkach. Ukłoniła się i przedstawiła jako żona zarządcy. U jej spódnicy wieszkała się trójka uśmiechniętych, zdrowo wyglądających dzieci.

- Tędy, madame - zaprosiła. - Pokażę pani domek. Myślę, że będzie w sam raz dla pani służącej i jej dziecka. Słyszałam, że bidula straciła w pożarze dom i cały dobytek

Następny fikcyjny pożar? Lucy zagryzła usta, żeby się nie roześmiać. Szła jednak za kobietą, mijając po drodze spory budynek

mieszkalny - dom zarządcy - za którym w niedużej odległości stał mniejszy, zbudowany z kamienia.

- Jak było potrzeba, to żeśmy z niego czasami korzystali. Będzie wspaniałym schronieniem dla wdowy z dzieckiem - perorowała z entuzjazmem żona zarządcy. - Nie zabraknie jej u nas ani jedzenia, ani odzienia. W okamgnieniu uszyję jej coś z muślinu i wełnki, tak jakiego lordowska mość prosił.

Weszły do środka. Eve rozglądała się po skromnym pokoiku z kamiennym paleniskiem i prostymi meblami, jakby była duszyczką, która dopiero co dotarła do nieba. Bo też to miejsce, po latach tułaczki i życia pod dachem Jace'a, musiało wydawać jej się rajem.

- To wszystko dla mnie? - wyszeptała.

Lucy spojrzała na stojące w szafce koło paleniska proste naczynia i garnki oraz na łóżko ustawione po przeciwnej stronie pokoju.

- Tak- odparła ciepło.- Dla ciebie. Będziesz tu bezpieczna, a twoja córka nigdy więcej nie będzie głodna.

- Zaraz przyniosę masło, mleko i chleb. Jest świeżutki, bo upiekłam go z samego rana - zapowiedziała gospodyni i wybiegła z chaty.

Do środka, pochylając głowę, żeby nie uderzyć we framugę, zajrzał Nicholas. Skinął na Lucy, więc wyszła na zewnątrz, zostawiając Eve, która nadal z zachwytem rozglądała się po nowym domu.

- Powiedz jej, żeby wymyśliła sobie nowe imię. Wprawdzie wątpię, żeby Jace chciał jej szukać aż tak daleko- pewnie pomyślał, że zabierzemy ją ze sobą do Londynu -jednak lepiej dmuchać na zimne. Z nową tożsamością będzie bezpieczniejsza.

Lucy pokiwała głową.

- Dobrze, powiem. Wnioskuje z tego, że nie wyjawieś gospodarzom jej przeszłości?

- Nie. Sądzę, że lepiej będzie, jak zacznie wszystko od początku. Powiedziałem, że to twoja była służąca i że po śmierci męża została zupełnie sama - wyjaśniał, nie patrząc jej w oczy. Ale Lucy i tak skinęła głową.

- Dobry pomysł - przyznała.

Nicholas odszedł, a ona wróciła do Eve.

- Sadie i tak nie było moim prawdziwym imieniem - wyznała bez żalu dziewczyna, kiedy usłyszała, że powinna ukryć swoją tożsamość.

Lucy uzmysłowiła sobie, że Jace nie zwracał się do niej Eve, tylko faktycznie używał imienia Sadie.

- Ale dlaczego posługiwałaś się fałszywym imieniem? - zapytała i zaraz pożałowała swojego wścibstwa, domyślając się, że dziewczyna zmieniła imię ze względu na zawód, który wykonywała. Niemniej odpowiedź Eve nie potwierdziła tych domysłów. Powód okazał się o wiele bardziej zaskakujący.

- Żeby nikt inny oprócz Stanleya nie nazywał mnie Eve. Tylko on do mnie tak mówił - wyjaśniła, nie patrząc na Lucy, tylko na surowe ciosane krzesło, którego się pochwyciła.

- Aha - mruknęła Lucy, po czym przyszło jej do głowy pytanie, o którym wcześniej nie pomyślała. - Kiedy dowiedziałaś się o śmierci Stanleya? To znaczy, skąd dowiedziałaś się o jego wypadku? - zapytała, zdając sobie sprawę, że choć wprawdzie pisano o nim w gazetach, to Eve, która przypuszczalnie nie umie czytać, nie z nich uzyskała wiadomość o kochanku.

- Był u mnie tamtej nocy - odparła dziewczyna, chyba nie zdając sobie sprawy, jakie wrażenie zrobiła ta informacja na rozmówczyni. - A o wypadku opowiedział mi pewien znajomy z sąsiedztwa, który z okien swojego mieszkania widział, jak w Stanleya uderzył powóz. I nawet się nie zatrzymał. Ludzie potrafią być bez serca!

Po raz pierwszy Lucy mogła poznać szczegóły wypadku. Słuchając ich, czuła, że wracają wspomnienia bólu i szoku, których doznała przed rokiem na wieść o śmierci męża. Przymknęła oczy

Nagle w drzwiach stanęła żona zarządcy. Kobieta wraz z dziećmi przyniosła mnóstwo wiktuałów, które zaraz zaczęła wyładować na wyszorowany blat stołu; chrupiący bochenek chleba, dzbanek z mlekiem i wielki kawał żółtego sera. Najstarsze dziecko, wspinając się na palce, dołożyło do tego jeszcze mały worek z ziemniakami i wiązkę cebuli.

- Ser robię sama - pochwaliła się. - Pani służąca, jeśli zechce, będzie mogła pomagać mi w mleczarni. Przyda mi się dodatkowa



para rąk, a nadmienię, że nasze wyroby są najlepsze w całym hrabstwie.

Eve wyglądała na zachwyconą propozycją.

- Och tak, bardzo bym chciała. I jeszcze mogłabym, gdyby to nikomu nie przeszkadzało, założyć za domem mały ogródek warzywny.

Kobieta skinęła głową.

- Ależ oczywiście, kochanie. No tak, ale my jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy. Nazywam się Tylor, Cora Tylor. A ty jak masz na imię?

Lucy nastawiła uszu, ciekawa, co Eve odpowie. Dziewczyna przez chwilę milczała, a potem, trochę się jękając, rzekła:

- Lizzie... eh... Smith.

- No to wspaniale, Lizzie. Pokazałam ci już twój domek, a teraz sobie pójdę, ale zajrzę do ciebie później - oświadczyła pani Tylor, przyjmując za dobrą monetę odpowiedź dziewczyny.

- Dziękuję pani - odparła Eve, a potem szepnęła do ucha Lucy, z którą ścisnęły się na pożegnanie: - I pani także dziękuję. Przede wszystkim pani. Tak jak twierdził Stanley, rzeczywiście jest pani święta, niczymjego matka!

Lucy wzdrygnęła się, słysząc to porównanie, ale zaraz się uśmiechnęła i jeszcze raz uścisnąwszy Eve, wyszła na dwór za żoną zarządcy.

- Niech się pani o nic nie martwi, madame - zaczęła pani Tylor, przerywając jednak wypowiedź, żeby zwrócić uwagę jednemu z dzieci: - Robbie, zostaw te kury w spokoju! Nie będą znosiły jaj, jak będziesz je tak ganiał! - Odwróciła się do Lucy. - Lizzie będzie miała tu dobrze.

- Też tak sędzę - zgodziła się Lucy. - Należy jej się trochę szczęścia, nie miała łatwego życia. Proszę o nią dbać.

- Oczywiście, madame. Zresztą jego lordowska mość okazał w tym względzie wielką szczodrość - wyznała kobieta.

Pożegnały się i Lucy wraz z Nicholasem zasiedli w powozie. Kiedy ruszyli, westchnęła i oparła głowę na ramieniu towarzysza.

- Jesteś wspaniały, wiesz? Gdybyś widział jej minę, kiedy zobaczyła domek! No i dziecko. Wreszcie będzie bezpieczne - stwierdziła i podniosła wzrok.

Ponieważ zobaczyła, że twarz Nicholasa jest pochmurna i nieruchoma, wezbrał w niej niepokój. Wyprostowała się.

- Myślisz, że nie będą bezpieczne?

- Myślę, że nic im już nie grozi - odparł, zmuszając się do zmiany wyrazu twarzy.

Ale Lucy widziała jego poprzednią przygnębioną minę, choć nie rozumiała powodu. Czym się tak martwi?

Dalszą drogę przebyli w milczeniu, nie umilając jej sobie pieścotami, jak to było poprzednio. Nicholas objął ją tylko ramieniem i tak dojechali do obrzeży Londynu. Właśnie zapadał zmierzch, a Lucy, poczuwszy pustkę w żołądku, z uśmiechem pomyślała, że człowiek szybko przyzwyczaja się do regularnych posiłków.

- Bardzo jesteś zmęczona? - zapytał ją niespodziewanie Nicholas.

Wyprostowała się.

- Nie bardzo. Odpoczęłam w zajeździe. Ale dlaczego pytasz?

- Przyszło mi do głowy, że po drodze moglibyśmy zajrzeć do twojego domu i jeszcze raz dokładanie go przejrzeć, mając na uwadze fakt, że włamywaczem był nie Jace, ale ktoś inny.

Skinęła głową.

- Oczywiście.

Nicholas zastukał w szybę i powiadomił woźnicę o zmianie trasy. Skręcili w stronę Cheapside.

Na miejscu Lucy spotkała miłą niespodzianka. Przekonała się, że nowe frontowe drzwi są już wstawione. Wyglądały na solidne i były zaopatrzone w imponujący mosiężny zamek.

Nicholas pomógł jej wysiąść. Służący w bryczce pojechali dalej, żeby odwieźć Lucyfera do domu. Wicehrabia zastukał do drzwi, na co od razu pojawił się w nich postawny młody mężczyzna.

- Wasza lordowska mość, nie spodziewałem się pana!

- Wszystko w porządku? - zapytał Nicholas, puszczając Lucy przodem.

Czuła się tak, jakby opuściła dom przed wiekami, chociaż minęła dopiero niecała doba. Korytarz był uporządkowany, podobnie jadalnia; stół i krzesła wróciły na swoje miejsce.

Zajrzała do kuchni; kamienna posadzka lśniła czystością, ani śladu po rozsypanej mące. Violet się ucieszy, pomyślała, uśmiechając się lekko. W szpitalu też panował ład, choć znowu wiało w niej pustką.

Poszła na górę do swojej sypialni, która wyglądała bardzo przygnębiająco. Wprawdzie z podłogi zniknęły strzępy po porwanych sukniach, ale pusta rama łóżka, ogołocona szafa i połamana biblioteczka - to nie był przyjemny widok. Lucy ze smutkiem przeciągnęła dłonią po pękniętej półce. Nigdzie nie dostrzegła książek. Spojrzała z niepokojem na Nicholasa, który wszedł za nią do pokoju.

- Poszły do introligatorni do nowej oprawy - przypomniał.

Wzięła głęboki oddech.

- Naturalnie.

- Kazałem moim ludziom zebrać w jedno miejsce wszystkie znalezione w czasie sprzątania dokumenty. Właśnie mi je przynieśli - powiedział. - Może byśmy je teraz przejrzyli?

Jego głos brzmiał ponuro. Oboje zdawali sobie sprawę, że chwytają się, czego tylko się da. No ale przecież nie wolno tracić nadziei... musi istnieć jakaś...

Lucy uklękła na podłodze i bez entuzjazmu popatrzyła na stos papierzysk. Sięgnęła po pierwszy dokument.

- Co to jest? - zapytał Nicholas, który klęczał obok i też szperał w dokumentach.

Spojrzała na wymięty kawałek papieru w jego dłoni.

- To jest zawiadomienie o tym, że mój dom zostanie zajęty, jeśli nie zapłacę tysiąca funtów w ciągu... teraz to już mniej niż trzech miesięcy.

- Ktoś chce zająć dom za długi Stanleya?

- Tak przypuszczam. - Zarumieniła się lekko.

- Jakiego rodzaju długi?

Popatrzyła na towarzysza, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Co masz na myśli? Moim zdaniem to długi karciany.

- Długów karcianych nie egzekwuje się zazwyczaj po śmierci dłużnika - wyjaśnił. - Nawet za jego życia trudno je czasami odebrać, bo prawo ich nie uznaje, choć są raczej spłacane, żeby uniknąć społecznego ostracyzmu.

Lucy zrobiła zdziwioną minę.

- Nie wiedziałam o tym. W takim razie, jeśli to nie jest dług karciany, to jaki?

- Może Stanley prowadził interesy i pożyczył od kogoś pieniądze? - podsunął Nicholas. Patrzył ponad głową Lucy, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał.

Pokręciła głową.

- Wątpię. O ile wiem, nie prowadził żadnych interesów ani jako właściciel, ani jako wspólnik. Wprawdzie na początku małżeństwa czerpał nieduże przychody z winnicy, którą jego matka jeszcze za życia zakupiła w Portugalii, ale tylko do czasu wojny z Napoleonem. Potem pieniądze przestały napływać.

- To z czego się utrzymywał, jeśli nie miał żadnego interesu? - zdziwił się Nicholas. - Przykro mi, że wypytuję o tak osobiste sprawy, niemniej...

- Nic nie szkodzi, rozumiem. - Westchnęła. - Oczywiście grał w karty. Poza tym wspominał coś o płatnych zleceniach.

Nicholas popatrzył na nią ostro.

- O jakich zleceniach?

- Nie mam pojęcia. - Znowu się zarumieniła. - Stanley w tych sprawach był bardzo skryty. - Wydało jej się, że zobaczyła w oczach towarzysza błysk gniewu. Ponownie westchnęła. Musi być bardzo sfrustrowany. Gdyby tylko mogła coś więcej mu powiedzieć. Gdyby tylko coś więcej wiedziała!

Co za szubrawiec z tego Stanleya! - wykrzyknął w duchu Nicholas, ledwo co się hamując, żeby nie krzyknąć na głos. Nie chciał zranić Lucy, mówiąc, że mąż traktował ją nie lepiej niż pospolitą gosposię. Nie dość, że zamykał ją w domu, to jeszcze odrzucił jako kobietę i zdradził z kimś takim jak Eve. Powinno się takiego szmatławca utopić i poćwiartować - jeśli coś z niego zostało po wypadku. Nabrał powietrza. Takie myślenie donikąd go nie zaprowadzi. Popatrzył na pismo, które trzymał w dłoni, i oświadczył stanowczo:

- Coś mi się zdaje, że musimy sprawdzić tego Thomasa Brooksa.

*Wiedza to siła, a kobieta potrzebuje tyle siły, ile tylko uda jej się zdobyć.*

Margery, hrabina Sealey

Nicholas postanowił bezzwłocznie wyruszyć na poszukiwanie tajemniczego Thomasa Brooksa, najpierw jednak odwiózł Lucy do swojej rezydencji.

Weszła do niej, mijając kłaniającego się jej lokaja, i od razu naknęła się na panią Mott, która najwyraźniej już zaalarmowana o ich przyjeździe, zbiegła pospiesznie do holu. Lucy posłała jej uprzejmy uśmiech.

- Wspaniały dzień na przejażdżkę, madame. Mam nadzieję, że miło spędziła pani czas? - zagała gospodyni.

- Tak, w istocie - potwierdziła Lucy nieco zduszonym głosem, żeby się nie roześmiać. Pamięć podsunęła jej wspomnienie wydarzeń w Little Hedding. - Było bardzo... spokojnie.

- To się cieszę - rzekła pogodnie gospodyni. - Jest prawie czwarta, madame. Wypije pani herbatę w salonie czy raczej u siebie?

- Wolałabym u siebie - odpowiedziała Lucy i weszła na schody.

Wspięła się na drugie piętro i po wejściu do pokoju gościnnego z lekkim zdziwieniem uzmysłowiła sobie, że czuje się w nim naprawdę bardzo swobodnie, jakby była u siebie. Zdjęła kapelusz i poszła obmyć twarz i ręce. Właśnie wycierała się w miękki ręcznik, gdy w drzwiach stanęła Violet ze srebrną tacą. Wniosła ją powoli, żeby nie przewrócić stojących na niej naczyń.

- Jak się udała przejażdżka, psze pani? Długo pani nie było. - Odstawiła tacę, na której stały dzbanek, porcelanowa filiżanka i talerz z kanapkami i ciasteczkami.

- Rzeczywiście trochę to trwało - mruknęła Lucy, po czym popatrzyła na zastawioną tacę.

- Powiedziałam kucharce, że lubi pani ciasto cytrynowe, a ona specjalnie je dla pani upiekła - poinformowała służąca. - Przy mojej pomocy, bo podałam jej przepis i pomogłam ubijać masło.

Lucy popatrzyła na czekające na nią przekąski; czasami nawet na obiad nie miały tyle jedzenia. Ze wzruszeniem pomyślała, że służba Nicholasa bardzo się starają uszczęśliwić.

- Miło mi, że o tym pomyślałaś, Violet. Dawno już nie jadłam tego ciasta. Ostatnio chyba dwa lata temu na moje urodziny.

Nabrała powietrza. Nie powinna się przyzwyczajać do luksusów, bo jak tylko jej dom zostanie doprowadzony do jako takiego porządku, będzie musiała wrócić do normalnego życia, czyli do ubóstwa i oszczędzania. Chyba że ona i Nicholas odnajdą rubin. Wtedy być może od czasu do czasu stacją będzie na jakieś przysmaki...

- Masz ochotę na kawałek? - zapytała Violet, która właśnie nalewała do filiżanki parującą herbatę.

- Och nie, dziękuję, psze pani. Najadłam się po uszy, kiedy sprawdzałyśmy, czy się udało - wyznała.

Lucy ukryła uśmiech i zabrała się do podwieczorku. W trakcie jedzenia zastanawiała się nad impasem, w jakim się znaleźli wraz z Nicholasem, i nad tym, czyjego obecne poszukiwania zaowocują nowymi istotnymi dla ich sprawy informacjami. O mało się nie udławiła, gdy wzięwszy następny kęs słodkiego, aromatycznego ciasta, przypomniała sobie, że jest środa!

Upiła łyk herbaty, żeby powstrzymać kaszel, a potem się wyprostowała. Dzień przyjęć u hrabiny! Było już dość późno, ale jeśli się pośpieszy, może jeszcze zdążyć na czas. Przynajmniej nie musi się przebierać, bo choć spacerowy kostium raczej nie nadaje się na prośzoną herbatę, to i tak nie ma niczego innego, co mogłaby na siebie włożyć.

Skoczyła na równe nogi i zadzwoniła po Violet. Służąca zjawiła się, kiedy już nakładała kapelusz.

- Wychodzę - poinformowała.

- Ale nie sama. Pan zabronił - przypomniała Violet, wyraźnie zaniepokojona.

Lucy się zasepiła.

- No cóż, w takim razie musisz iść ze mną.
- Oczywiście, psze pani - przytaknęła służąca.

Na całe szczęście od Nicholasa do domu lady Sealey było o wiele bliżej niż z Cheapside, dlatego dotarcie tam zajęło im tylko kilka minut. Violet pomogła Lucy zdjąć kapelusz, a następnie, dygnawszy, pomknęła na tyły rezydencji, do pomieszczeń dla służby, żeby oczekiwanie na panią umilić sobie ploteczkami.

- Lucy, tak się cieszę, że przyszedłaś! - zawołała lady Sealey, kiedy Lucy, wspiawszy się po schodach, dołączyła do grupki kobiet w salonie. - Widzę, że byłaś na przejażdżce? Nie dziwię się, bo pogoda jest wyśmienita.

- Och tak, rzeczywiście. Dzień mamy śliczny - odparła grzecznie Lucy, nie wdając się w szczegóły. Usiadła obok hrabiny i przyjęła od służącego filiżankę z herbatą. - Niestety, w przeciwieństwie do pogody, moje życie od naszego ostatniego spotkania nie układa się tak promiennie.

Hrabina uniosła brwi.

- Co się stało?

Ścisząc głos, Lucy opowiedziała o włamaniu do jej domu i o zniszczeniach. Mimo że mówiła szeptem, kilka stojących w pobliżu kobiet, słysząc o akcie wandalizmu, otworzyło szeroko usta ze zdumienia.

- Wszystkie ubrania pocięte na strzępy? Jakże to straszne! - krzyknęła któraś. - Nie wiem, jak może pani mówić o tym z takim spokojem, pani Contrain.

- Po prostu jestem szczęśliwa, że służący, którzy byli wtedy w domu, wyszli z tego bez większych obrażeń w przeciwieństwie do mojego dobytku - wyjaśniła. - Ale oczywiście byłam bardzo zdenerwowana.

Hrabina wyglądała na przejętą.

- I nie wiesz, kto się tego dopuścił?

Lucy się zawahała; ustalili z Nicholasem, że okoliczności związanych z włamaniem nie będą ujawniać.

- Cóż, przestępczość w Londynie wymyka się spod kontroli - rzuciła kobieta w średnim wieku ubrana na czarno. - Do mojej

kuzynki włamali się, kiedy pojechała z matką na kilka dni do Bath. Zniknęły całe srebro i porcelana. W naszych czasach lepiej nie zostawiać domu bez ochrony nawet na godzinę!

Panie zaczęły wymieniać się historiami o podobnej tematyce, dzięki czemu Lucy przestała być w centrum ich zainteresowania, co zresztą przyjęła z wielką ulgą.

Hrabina nadal kręciła głową.

- Bardzo mi przykro, moja droga. Musimy się zastanowić, jak ci pomóc w tej ciężkiej sytuacji. Mam nadzieję, że nie zamierzasz po tym włamaniu zostać w domu? W dodatku jesteś sama. Może na kilka tygodni sprowadzisz się do mnie?

Lucy się zawahała. Była zdumiona, że tak oczywiste rozwiązanie nie przyszło jej wcześniej na myśl.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie - odparła - ale...

- Tak? - zaciekawiała się hrabina.

- Już się wyprowadziłam i na krótko zatrzymałam u... przyjaciela.

Na te słowa w oczach hrabiny natychmiast pojawiła się czujność, natomiast Lucy, widząc jej zainteresowanie, zarumieniła się.

Starsza pani pokiwała głową.

- Czy to szczególny przyjaciel? Cieszę się, że to słyszę - stwierdziła z satysfakcją w głosie. - Tak sobie właśnie myślałam, że wydajesz się o wiele radośniejsza niż przy poprzedniej wizycie.

Lucy poczerwieniała jeszcze bardziej i żeby ukryć zakłopotanie, sięgnęła po filiżankę z herbatą. Po kilku chwilach udało jej się odzyskać śmiałość, więc spojrzała gospodyni prosto w oczy.

- Wiem, że nie powinnam była tak postąpić, jednak... - zająknęła się - poszłam za pani radą i postanowiłam cieszyć się życiem.

Hrabina odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Rzeczywiście, rzeczywiście. Jestem szczęśliwa, że wzięłaś sobie do serca radę starszej kobiety. Tylko bądź dyskretna, moja droga — upomniała. Z oczami lśniącymi od radości poprawiła srebrny kosmyk, który wysunął się z koka upiętego na tyle głowy.

Zamieniły ze sobą jeszcze kilka zdań, po czym Lucy opuściła hrabinę, robiąc miejsce następnej kobiecie, która najwyraźniej także potrzebowała porozmawiać na osobności z gospodynią. Po strzępach wypowiedzianych szeptem zdań i pocieszających klepnięciach można się było domyślić, że kobieta to nieradząca sobie z bólem wdowa, a hrabina, w charakterystyczny dla niej życzliwy sposób, udziela jej wsparcia. Tak samo jeszcze niedawno pocieszała Lucy.

To niesamowite, jak bardzo zmieniło się jej życie od chwili poznania Nicholasa. Przede wszystkim nie czuła już smutku, choć nie była pewna, czy przez to w jakiś sposób nie hańbi pamięci zmarłego męża?

- Cóż to za przygnębienie? - zapytała Roberta, rudowłosa piękność, siadając obok Lucy na kanapie.

- Właśnie rozmyślałam o tym, że znowu czuję się szczęśliwa i że jakoś mi z tym dziwnie. Tak jakbym powinna...

- Czuć z tego powodu wyrzuty sumienia? - dokończyła za nią Roberta. Uniosła brwi podobnie jak wcześniej hrabina. - Moja droga, jak to lady Sealey ma w zwyczaju mawiać: życie jest krótkie. Po co tracić je na żalobę, która i tak nie wskrzesi ci męża. Może szkoda, a może... ech... może i lepiej, że nie.

Lucy kiwała głową, starając się uporządkować sprzeczne uczucia.

- No właśnie. Ostatnio wydało się, że mąż miał... zainteresowania, o których nic nie wiedziałam - dokończyła ostrożnie. - Może stąd moje przygnębienie.

- Miał kochankę, co? - zapytała Roberta, a Lucy przemknęło przez myśl, że niepotrzebnie sili się na oględność, bo najwyraźniej ma do czynienia z kobietą doświadczoną życiowo.

- Tak jak wielu innych mężów - ciągnęła Roberta. - Choćby mój Harvey. Z niego dopiero był bawidamek, ale mnie to za bardzo nie przeszkadzało. Dobrze się ze sobą bawiliśmy i dlatego lubiliśmy spędzać razem czas. - Westchnęła lekko i dodała: - Niestety zmarł, co nie oznacza, że zamierzam zamknąć się w domu i przykuć do kominka, do końca życia kłując się w palce igłami. Na świecie jest wielu miłych panów, którzy nie stronią od dobrej zabawy, nawet z wdową, jeśli tylko ta wie, czego chce i potrafi się odpowiednio zrewanżować.

Lucy zarumieniła się na te śmiałe słowa.

- Jeśli tak, to co robisz w kwestii... - Zamilkła, a jej towarzysząca popatrzyła na nią z zaciekawieniem. - Ostatnim razem słyszałam, jak panie rozmawiały o metodach uniknięcia... och... niepożądanych konsekwencji. Niezamężna kobieta musi chronić się przed ciążą. Słyszałam coś o gąbce zamoczonej w winie? - Wbiła wzrok w filiżankę, zawstydzona tematem, który poruszyła, lecz *na* Robercie nie wydawał się on robić większego wrażenia.

- Ach tak, już wiem, o co ci chodzi. To ta francuska metoda. Bierzesz małą gąbkę, maczasz w winie, a potem dowiązujesz nitkę i wsuwasz... - Ściszywszy głos, szczegółowo opisała całą procedurę, a Lucy, słuchając, starała się nie robić się jeszcze bardziej czerwona.

- Dziękuję - powiedziała na koniec, mając wrażenie, że jeszcze chwila, a policzki odpadną jej od twarzy. Niemniej była zadowolona, bo zebrała wiele cennych dla siebie informacji.

Roberta wzruszyła ramionami.

- Moja droga, zawsze możesz mnie pytać, o co tylko zechcesz. Francuzki w tych sprawach są o wiele praktyczniejsze od nas, Brytyjek.

Po tej rozmowie Lucy nie miała co *do* tego najmniejszych wątpliwości. Widząc, że niektóre panie zaczynają wychodzić, ona także pożegnała się z Robertą. Zanim jednak opuściła salon, hrabina przywołała ją do siebie gestem dłoni.

- Kochane dziecko, moja garderobiana przygotowała dla ciebie paczkę. Przekazała ją twojej pokojówce - powiedziała szeptem.

- Och, dziękuję, hrabino. Jest pani taka kochana! - wykrzyknęła, domyślając się zawartości paczki.

Jak zawsze hrabina lekceważąco machnęła ręką.

- Nonsens. A teraz życzę ci dobrego dnia i spokoju, moja droga-

Po zejściu do holu Lucy wezwała Violet, która, tak jak zapowiedziała lady Sealey, pojawiła się z paczką. Ponieważ nie wypadało do niej zaglądać w obecności lokaja, postanowiły poczekać z oględzinami, aż znajdą się w domu wicehrabiego. Gnane ciekawością, drogę powrotną przebyły prawie biegiem.

Niestety, kiedy zdyszane wpadły do holu, pojawił się przed nimi Hodges, kamerdyner Nicholasa.

- W salonie czekają na panią goście, madame - powiadomił.

Lucy popatrzyła na niego ze zdumieniem. Jacy goście? Przecież nikomu nie mówiła o tym, że zamieszkała u lorda Richmond. Trochę niespokojna odesłała Violet, która zniknęła w korytarzu, a sama pospieszyła do salonu. Zatrzymała się jednak w progu, zaskoczona i zniechęcona.

Na kanapie, w fioletowej sukni i tego samego koloru kapeluszu, przypominając wielki statek zacumowany w porcie, siedziała kuzynka Wilhelmina. Miała skwaszoną minę, choć wnioskując po filizance w jej ręce, została już obsłużona.

Lucy pohamowała nagły impuls każący jej okręcić się na pięcie i czmychnąć, gdzie pieprz rośnie. Zamiast tego zrobiła głęboki wdech i wolnym krokiem wkroczyła do salonu.

- Kuzynko - zaczęła ostrożnie. - Miło cię widzieć.

- Czyżby? - odparła szorstko Wilhelmina. - Dziwię się, że na mój widok nie zapadłaś się pod ziemię!

- Słucham? - Lucy wyprostowała się, gotowa na potyczkę z wyraźnie rozżłoszczoną krewną. - Nie bardzo wiem, co masz na myśli?

- A to, że żyjesz w grzechu z mężczyzną, który nie jest twoim mężem. Nawet ciebie, Lucindo, nie podejrzewałabym o taki brak skrupułów!

Lucy aż podskoczyła, słysząc bezceremonialne oskarżenie. Czy ta kobieta nie wie, co oznacza słowo dyskrecja! Obejrzała się przez ramię, ale lokaj, na szczęście, już opuścił salon.

- Mów ciszej - nakazała.

Wilhelmina, zaskoczona jej stanowczym tonem, zesztyniała, co widząc, Lucy postanowiła, że nie da jej szansy na odzyskanie pewności siebie.

- Myślałam, że obdarzasz mnie większym zaufaniem, kuzynko — ciągnęła, pilnując się, żeby nie mówić zbyt głośno. - W moim domu było włamanie i nie mogłam tam zostać. Skorzystałam więc z pomocy

przyjaciela i wraz z pokojówką zatrzymałam się u niego. Widzisz coś niestosownego w tym, że przyjaciel pomaga przyjacielowi?

Starsza kobieta prychnęła w mało elegancki sposób.

- Tak się tylko mówi. Jeśli zamierzasz się wypierać...

- Czy widziałas mój dom? - przerwała jej gniewnie. - Jestem zdziwiona, że ani ty, ani pani Broddy nie słyszałyście odgłosów włamania we wtorkowy wieczór. Mąż pani Broddy jest głuchy jak pień, ale ona wie o wszystkim, co się dzieje na naszej ulicy.

Wilhelmina nieco się zakłopotowała.

- Coś tam słyszałam. Nawet się dziwiłyśmy, że o tak późnej godzinie przyjmujesz hałaśliwych gości.

- I oczywiście nie sprawdziłyście, co się dzieje. A jakby ktoś akurat podrzynał mi we śnie gardło? - zapytała z pretensją Lucy. - Wielkie dzięki za troskę.

Wilhelmina poczerwieniała.

- Nie miałam o niczym pojęcia. Poza tym, dlaczego o tak niestosownej porze pozostajesz poza domem?

- Byłam w teatrze na zaproszenie księcia - odparowała.

Oczy kuzynki zrobiły się okrągłe jak spodki.

- No wiesz, Lucindo, żeby aż takie kłamstwa...

- Mówię prawdę - przerwała jej. - Możesz iść do Covent Garden i zapytać, kogo chcesz. Każdy krok księcia jest obserwowany. Ale tak czy inaczej, kiedy wróciłam, mój dom był w ruinie.

Wilhelmina trochę spuściła z tonu.

**-Ja...ja...**

- Właśnie. Co z ciebie za krewna - ciągnęła Lucy, świadoma ironii w swoim głosie.

- No dobrze, ale dlaczego po włamaniu nie przyszedłaś do mnie albo do pani Broddy?

O Boże, dobre pytanie. Lucy w panice szukała w myślach odpowiedzi.

- Ponieważ wiedziałam, że u pani Broddy nie ma już miejsca. Zajmujesz jedyną wolną sypialnię. Nie chciałam sprawiać kłopotu - wyrzuciła z siebie tak gładko, jakby miała to przećwiczone.

A naprawdę, choć nie mogła powiedzieć tego na głos, na samą myśl o zamieszkaniu pod jednym dachem z tymi dwiema despotycznymi kobietami robiło jej się słabo.

- Pani Broddy ma dodatkowy pokój na poddaszu, bo akurat zwolniła pokojówkę. Jestem pewna, że gdybym z nią porozmawiała...

- A ja jestem pewna, że nie chciałabyś, abym mieszkała na poddaszu, zwłaszcza że mam znajomych, którzy dysponują o wiele większą powierzchnią dla gości - przerwała jej. Cały czas nie pozwalała dojść gościowi do głosu i była zdumiona, że jest to tak przyjemne. - Chyba że wynajmiesz mi na kilka tygodni pokój w jakimś miłym zajeździe?

- Ależ nawet o tym nie marz! To byłaby nonsensowna ekstrawagancja. Niemniej to, co zrobiłaś, jest niesłychane! - burzyła się Wilhelmina. - Ty pod jednym dachem z nieżonatym mężczyzną...

- Oczywiście mieszka z nami jego kuzynka - rzuciła niby od niechcenia Lucy, mając nadzieję, że wścibska pani Broddy nie zdążyła jeszcze wywiedzieć się, kto naprawdę pozostaje pod dachem wicehrabiego.

- Nic nie wiem, żeby miał kuzynkę - mruknęła powątpiewająco starsza kobieta.

- Każdy ma kuzynkę - odparowała Lucy. Czy się to komuś podoba, czy nie, pomyślała. - Właśnie niedawno zjechała ze wsi.

- I gdzie ona teraz jest? - Wilhelmina rozejrzała się dokoła, jak pies myśliwski węszący za zwierzyną.

- Jak ma w zwyczaju, ucina sobie popołudniową drzemkę - odparła Lucy lekko już zaniepokojona tym, że wymyślanie kłamstw przychodzi jej tak łatwo. Może rzeczywiście traci poczucie przyzwoitości. No, ale jeśli dzięki temu zdoła poskromić wścibska kuzynkę, to nie ma czego żałować!

- Chciałabym ją poznać.

- Jestem przekonana, że kiedyś do tego dojdzie. Niestety teraz to niemożliwe. Nie wyrwę ze snu starszej kobiety, tylko po to, żeby zaspokoić twoją ciekawość. A tak w ogóle to zrobiło się dość późno. Nie będę cię zatrzymywała, kuzynko, bo pewnie masz plany, a ja także muszę już iść, żeby przebrać się do kolacji.

Wilhelmina sapnęła gniewnie, ale po nabraniu powietrza podciągnęła się i wstała.

- Wkrótce znowu cię odwiedzę, Lucindo. Jako twoja krewna mam obowiązek dowiadywać się, jak się miewasz.

Lucy nie wątpiła, że zapowiedź odwiedzin jest szczerą, choć ich powodem z pewnością nie będzie troska.

- Doprawdy jesteś nazbyt miła - odparła, wcale już nie kryjąc ironii.

W końcu Wilhelmina sobie poszła, a ona z westchnieniem ulgi poszła w stronę schodów. Natknęła się na nich na panią Mott.

- Kazałam zanieść do pani pokoju gorącą wodę na kąpiel, madame. Kolacja będzie podana o ósmej, a pan mówił, że nie przewiduje na niej nikogo oprócz państwa.

Lucy skinęła głową.

- Jest pani aniołem, pani Mott. Jeśli wszystkich gości wicehrabiego traktuje pani tak jak mnie, to dziwię się, że w ogóle chcą opuszczać ten dom.

- Och, madame, jaśnie wielmożny pan w ogóle nie miewa gości! — zakrzyknęła gospodyni. - Właśnie dlatego tak się ucieszyłam, kiedy panią zobaczyłam. To znaczy... dobrze, że pan zainteresował się miłą młodą damą. - Ton kobiety świadczył o tym, że wie co nieco o intymnych związkach swojego chlebowdawcy, choć z jej słów wynikało też, że lord nie sprowadza swoich kochanek do domu. Ta akurat nowina sprawiła Lucy dużą przyjemność.

Może mnie też by do siebie nie zaprosił, gdyby nie włamanie, upomniała się ostro w myślach. Nie powinnam zakładać, że jestem dla Nicholasa kimś specjalnym albo że mogę liczyć na jego zaangażowanie.

Choć bardzo by tego pragnęła.

Poszła do swojego pokoju, gdzie podczas jej nieobecności Violet rozłożyła na łóżku suknie od hrabiny.

- Ta z zielonego jedwabiu jest prześliczna - oceniła służąca. - Jeśli mocno ją ściśniemy szarfą, to będzie w sam raz na dzisiejszy wieczór. Teraz nie zdążę jej już przerobić, ale zajmę się tym z samego rana.

Lucy skinęła głową i ściągnęła kostium spacerowy. Oddała go Violet do czyszczenia i następnie wzięła gorącą kąpiel z solami zapachowymi, dzięki której jej skóra stała się gładka i miękka. Była zachwycona. Czy Nicholas zdaje sobie sprawę, jakie ma szczęście, że może tak żyć?

Wzdychając z rozkoszy, oparła się o miedzianą ścianę wanny i przymknęła oczy.



Nicholas zmarszczył czoło.

- Nie wiem, co ma pan na myśli, wasza lordowska mość - powiedział stojący przed nim mężczyzna tonem, w którym pobrzmiwała przesadzona służalczość. Wzrok miał dziwnie rozbiegany.

Nie licząc tego spojrzenia, jego mość wyglądał raczej na nieszkodliwego i wydawał się Nicholasowi znajomy. Był niski, dość tęgi, o okrągłej twarzy i rzucających się w oczy czerwonych policzkach, trochę takich, jakie miewają przekarmione niemowlęta. Może nawet ten jego nieco dziecięcy wygląd pomagał mu zdobywać zaufanie klientów.

Nicholas rozejrzał się po małym pomieszczeniu, w którym stali; półki ugięły się pod stosami dokumentów i starannie obwiązany czarnymi wstążkami zwojami papierów. Nigdzie nie było widać nawet cienia kurzu; biuro takie, jakie się spotyka w każdym urzędzie. Bogaty młodzik, który za dużo pieniędzy przepuścił przy stoliku karcianym, z pewnością uznałby to miejsce za wiarygodne.

I dopiero poniewczasie odkryłby swoją pomyłkę.

Nicholas spojrział w pytające oczy Thomasa Brooksa, sam zachowując nijaki wyraz twarzy. Tym razem to Brooks zmarszczył brwi.

- Odnoszę wrażenie, że oskarża mnie pan o... o...

- Powiedziałem tylko, że słyszałem, iż nawet jak na lichwiarza nie cieszy się pan najlepszą reputacją.

Jasnoniebieskie oczy mężczyzny się zamglily. Wyglądał na urażonego.

- Chyba wasza lordowska mość nie mierzy jedną miarą wszystkich... przedstawicielei mojej profesji?

- Trochę się o pana rozpytałem - powtórzył Nicholas. - I z przykrością stwierdzam, że nie jestem zachwycony tym, co usłyszałem.

- W moim zawodzie, jaśnie panie, nie brak niezadowolonych. Dlatego, mam nadzieję, że nie da pan posłuchu plotkom. Jeśli chce pan przeprowadzić jakąś transakcję, jestem do usług. Zaznaczam, że prowadziłem interesy z najznakomitszymi osobistościami angielskiej socjety, nawet bardziej utytułowanymi od pana, lordzie.

- Ach, doprawdy?

Brooks wziął tę odpowiedź za zachętę, więc pospiesznie dodał:

- Oczywiście pański tytuł także należy do najznamienitszych. Chciałem tylko pokazać, że jestem przygotowany na naprawdę duże transakcje. Dysponuję każdą sumą, jakiej może pan zapragnąć.

- Och, to znaczy, że musiał się pan dorobić sporego majątku albo ma pan majątnych współników - zauważył spokojnie Nicholas. - Znam ludzi, którzy w karty, w kości lub na różnego rodzaju zakładach przegrywają całe fortuny.

Brooks na chwilę spuścił wzrok, ale zaraz ponownie go podniósł.

- Wasza lordowska mość, jestem w pełni przygotowany do każdej transakcji. Proszę się nie martwić o moje zasoby. Zapewniam, że są pokaźne. A teraz niech pan powie, jakiej sumy pan potrzebuje, to znaczy... ile chce pan ode mnie pożyczyć?

- A na jaki procent? - dociekał Nicholas.

Brooks uśmiechnął się, choć uśmiech nie pojawił się w jego oczach. Mimo to nie ulegało wątpliwości, że stara się wyrzec na rozmówcy jak najlepsze wrażenie.

- To zależy od sumy, jakiej pan potrzebuje, lordzie.

- Naturalnie. A jeśli chciałbym od pana uzyskać coś innego niż pieniądze? - dopytywał się dalej Nicholas.

Lichwiarz trochę się zmieszał.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Czasami informacja potrafi być cenniejsza od złota. Przypuszczam, że się pan ze mną zgodzi - odparł. - Chcę, żeby mi pan



opowiedział o interesach, które prowadził pan ze Stanleyem Contrainem.

Brooks znowu spuścił wzrok i tym razem już nie tak szybko udało mu się ponownie spojrzeć na rozmówcę.

- Chyba nie przypominam sobie tego nazwiska. Może obsługiwała go inna firma?

- O, to się dobrze składa. Rozumiem więc, że nie rości pan sobie żadnych praw do własności pana Contraina, a mianowicie do jego domu w Cheapside? Z przyjemnością powiadomię o tym w pańskim imieniu sędziego pokoju - oświadczył Nicholas, unosząc kpiąco jedną brew.

- Och...- Lichwiarz się zawahał.- Zaraz, zaraz, już wiem, o którego Contraina chodzi.

- Domyślałem się, że sobie pan przypomni - mruknął Nicholas. - W końcu nie ma pan chyba na liście wierzycieli samych biednych wdów.

Brooks zrobił urażoną minę.

- To tylko interesy, lordzie Richmond. Chyba pan nie przypuszcza, że prowadzę tu instytucję dobroczynną?

- Nie, nie przypuszczam. Natomiast jestem ciekawy, dlaczego pożyczka pan pieniądze osobom takim jak Contrain, z małymi i niepewnymi dochodami.

Lichwiarz wzruszył ramionami.

- Może wcale nie wiedziałem, że Contrain jest niewypłacalny. Mógł przecież inaczej przedstawić mi swoją sytuację.

- Chce pan powiedzieć, że tak dobrze się panu powodzi, iż skłonny jest pan wierzyć na słowo każdemu, kto się u pana pojawia? -W głosie Nicholasa słychać było wyraźny sceptycyzm.

Brooks się zirytował.

- Każdy ma prawo się pomylić! Poza tym Contrain posiadał zabezpieczenie w postaci domu!

- Coś mi się nie wydaje, że dał się pan wywieść w pole. Mówiono mi, że godzi się pan na prolongatę długów, jeśli dłużnik przyprowadzi do pana następnych klientów. Tym sposobem zapewnia pan

sobie stały napływ nowych ofiar - wytknął mu Nicholas. - Jakich jeszcze usług żąda pan od osoby, która jest panu winna pieniądze?

- Lordzie Richmond? - Na czole lichwiarza pojawiły się pierwsze kropelki potu. Chciał chyba sięgnąć po chusteczkę, ale się powstrzymał. - Nie wiem... nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Wiem, że Stanley Contrain w ramach zadłużenia wykonywał dla pana różne zlecenia. Co to były za zlecenia?

Brooks miał taką minę, jakby się zastanawiał, ile tak naprawdę jego rozmówca może wiedzieć.

- Ja nie... no cóż, myślę, że ktoś wprowadził pana w błąd.

- Och, chyba raczej nie. - Wicehrabia mówił już naprawdę ostrym tonem. - Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Co takiego robił dla pana Contrain?

Lichwiarz wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego.

- Jakies tam niewielkie zlecenia, nie pamiętam dokładnie.

- Przykro mi - rzekł Nicholas, patrząc mężczyźnie prosto w jego błękitne oczy - ale nie wierzę panu.

Lichwiarz zaczął się jękać:

- A... a... ale...

- I zapewniam, że dowiem się prawdy, czy zechce mi ją pan wyjawić, czy nie - zakończył. - Życzę dobrego dnia. Jeszcze się zobaczymy.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł z biura. Przeszedł przez poczekalnię odprowadzany wzrokiem przez siedzącego w niej urzędnika o smagłej cerze, po czym opuścił budynek. Ruszył wzdłuż ulicy, utrzymując równy i spokojny krok, nie zapominając jednak o czujności. Nie zatrzymywał się, mimo że drogę przeciął mu podchmielony mężczyzna o czerwonej twarzy, który chwiejnym krokiem wytoczył się z tawerny, a zaraz potem z turkotem minął go wózek z węglem. Stał dopiero na skrzyżowaniu, żeby przepuścić dwie furmanki i jeden obciążony dyliżans. Potem przeszedł przez ulicę, omijając parujące końskie odchody i kilka brudnych kałuż.

Tym samym statecznym krokiem szedł jeszcze przez dwie przecznice, ignorując mijający go pusty powóz, aż w pewnej chwili

przyspieszył kroku, żeby po sekundzie niespodziewanie skrócić w boczną uliczkę.

Jeśli ktoś za nim szedł, musiałby, nie chcąc stracić go z oczu, zaczął biec. I rzeczywiście prawie zaraz na uliczkę wpadł jakiś osobnik. Nicholas, ukryty w cieniu, wyciągnął ramię i pochwycił go za kłapy wytartego surduta.

Okazało się, że ma przed sobą urzędnika z poczekalni. Biedak sapał ze zdumienia i szarpał się, próbując się uwolnić, ale na nic mu się to zdało.

- Niech mnie pan puści!

- Najpierw powiesz, dlaczego twój pracodawca kazał ci mnie śledzić! - huknął groźnie Nicholas.

W odpowiedzi mężczyzna pokręcił przecząco głową, więc Nicholas mocniej pochwycił go za kłapy.

- Nie mów mi tylko, że wyszedłeś się przejść. Wiem, że śledzisz mnie od biura. Dlaczego?

- Ja... ja... -jąkał się urzędniczym, wyglądając na całkowicie skołowanego.

Nicholas potrząsnął nim niczym workiem z ziemniakami.

- Ja nic nie wiem, sir - wydukał. - Pan Brooks kazał mi tylko sprawdzić, dokąd pan pójdzie.

- A dlaczego go to interesuje?

- Nie mam pojęcia, jaśnie panie.

- Czy zawsze tak postępujecie z nowymi klientami?

Chłopak pokręcił przecząco głową; widać było, że jest przerażony i oszołomiony.

Nicholas przeklął pod nosem i zwolnił uścisk. Urzędnik natychmiast odskoczył w tył i odetchnął głośno z ulgą.

- Wracaj do pracodawcy i powiedz mu, że ze mną tak łatwo mu nie pójdzie - burknął Nicholas. - Nie jestem naiwnym cielęciem, które dla jego zysku da sobie poderżnąć gardło!

- Tak jest, sir. Proszę wybaczyć, sir - wymamrotał urzędnik, po czym rzucił się do ucieczki, jakby się bał, że wicehrabia może zmienić zdanie.

Nicholas dla pewności, że nie jest już śledzony, przeszedł pieszo jeszcze następne dwie przecznice i w końcu zatrzymał dorożkę, kładąc się zawieźć do swojej rezydencji.

Domyślał się, że Brooks bez większych kłopotów dowie się o jego adres, choćby od któregoś z klientów. A że miał klientów wśród najbogatszych osób z towarzystwa, Nicholas mógł się przekonać, kiedy wypytywał o niego w swoim klubie i kiedy podano mu kilka znanych nazwisk. Coś mu jednak mówiło, że lichwiarzowi nie zależy tylko na poznaniu jego adresu.

Dlatego właśnie po dotarciu na miejsce, nakazał kamerdynerowi zwiększyć czujność. Potem, zerkając na stojący w holu zegar, pospiesznym krokiem udał się na piętro do swojego pokoju, żeby przebrać się do kolacji.

Wyszedł na korytarz akurat w chwili, gdy zegar wybijał pełną godzinę. Przy schodach spotkał Lucy, więc podał jej ramię i razem zeszli do jadalni.

Zauważył, że przebrała się ze spacerowego kostiumu w wieczorową suknię z bladzielonego jedwabiu, bardzo pasującą do jej jasnej karnacji, mimo że nieco na nią za obszerną.

- Mam nadzieję, że miło spędziła pani popołudnie? - zagaił, prowadząc ją na miejsce, a potem zajmując swoje u szczytu orzechowego stołu.

Skinęła głową.

- A pan? Czy dowiedział się pan czegoś nowego, lordzie?

Zerknął na lokaja podającego pierwsze danie.

- Tak, ale o szczegółach porozmawiamy później.

Nie obraziła się za wymijającą odpowiedź, rozumiejąc, z jakiego powodu nie chce wchodzić w szczegóły.

- Oczywiście.

Mimo to ciekawość nie dawała jej spokoju. Chciała jak najszybciej poznać informacje o osobniku, który groził jej zarekwirowaniem domu. Kiedy jednak zanurzyła łyżkę w stojącym przed nią talerzu z zupą, a potem jej skosztowała, natychmiast przestała myśleć o czymkolwiek innym poza jedzeniem. Było wyśmienite. Zarówno

gęsta żółwiowa zupa, jak i następne dania: pieczony pstrąg, kurczak w rozmarynie o miękkiej, soczystej skórce i wieprzowina w świeżym sosie śliwkowym. Nie wspominając już o jarzynach i przystawkach. Delektowała się posiłkiem, podziwiając kunszt kulinarny kucharki.

Nicholas natomiast, jak na gospodarza przystało, zabawiał ją różnorodnymi opowieściami; głównie mówił o teatrze i sztukach, które oglądał w poprzednim sezonie, i o tych, które zamierzał obejrzeć w obecnym. Atmosfera zrobiła się lekka i przyjemna, co widząc, Lucy postanowiła skorzystać z okazji i, zdobywszy się na odwagę, skierować rozmowę na bardziej osobiste tematy.

- Proszę powiedzieć, lordzie, dlaczego nie jeździ pan już do Indii? - zapytała, zwracając się do rozmówcy oficjalnie, ponieważ ustalili, że tak właśnie będą się do siebie odnosić w obecności służby.

Natychmiast pożałowała pytania, gdyż na twarz Nicholasa wypłynęła znajoma jej już ciemna chmura przygnębienia.

- A dlaczego pani pyta? - Spojrzał w dół na talerz i zaczął poszturchiwać widelcem kawałek mięsa.

- Odniosłam wrażenie, że polubił pan ten kraj. Pański dom pełen jest pięknych orientalnych przedmiotów - zauważyła, spoglądając na kolorowy dywan na podłodze, a potem na kredens inkrustowany kością słoniową. —A jednak twierdzi pan, że nie był tam już od lat. Trochę mnie to dziwi...

W oczach Nicholasa pojawił się wyraz zdystansowania; spojrzenie, na które zwróciła uwagę przy pierwszym spotkaniu, a którego dawno już u niego nie widziała. Jednak teraz, kiedy go już lepiej знаła, wiedziała, że za rezerwą kryje się inne uczucie.

- Może Anglia oferuje więcej rozrywek - odparł niby to żartobliwie, choć przez sekundę, zanim wziął się w garść, po jego twarzy przemknął wyraz bólu. Lucy dostrzegła tę chwilową zmianę i przypomniała sobie, że raz coś takiego widziała.

Zalała ją fala współczucia, więc odwróciła oczy, uznając, że także ta rozmowa musi poczekać na bardziej sprzyjający moment. Jednakże w duchu nie mogła się nadziwić, jak bardzo, wbrew pozorom, skomplikowaną i tajemniczą osobą jest jej towarzysz.

Próbując przywrócić lekką atmosferę sprzed kilku chwil, opowiedziała o wizycie kuzynki, przedstawiając całe wydarzenie w bardzo humorystyczny sposób.

Ale Nicholas wcale nie był rozbawiony.

- Wygląda na to, że pani kuzynka i sąsiadka bardzo się panią interesują, chociaż ich zainteresowanie nie wydaje się wypływać z troski o panią. Proszę mi wybaczyć to stwierdzenie. Być może je krzywdzę. W końcu pani zna je lepiej niż ja...

Skinęła głową.

- Rzeczywiście znam je bardzo dobrze, zwłaszcza kuzynkę, i choć z żalem, muszę panu przyznać rację. Wilhelmina nie jest osobą skłoną do współczucia, za to uwielbia wszystkich krytykować.

Wicehrabia spochmurniał.

- Nie chciałbym, żeby panią nęcano lub wprawiano w zakłopotanie.

A reputacja kobiety to sprawa bardzo delikatna, pomyślała.

- Uważa pan, że powinnam przystać na propozycję mojej kuzynki? - zapytała niby to spokojnie, choć wewnątrz była spięta. - A może na ofertę lady Sealey...

- Nie, nie uważam tak, ponieważ zaproszenie pani kuzynki nie wydaje się płynąć z serca - odparł. - Przynależem, że się panią opiekuję, i nie zamierzam od tego odstąpić. Chyba że nie jest pani zadowolona z pobytu u mnie?

Usłyszawszy pytanie, Lucy uświadomiła sobie, że powinna w odpowiedzi posłużyć się zwyczajowymi w takich sytuacjach zdawkowymi podziękowaniami i pochwałami, ale znając siebie i wiedząc, że mimika jej twarzy i tak zdradzi prawdziwe uczucia, postanowiła tego nie robić. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa jak teraz, niemniej...

- Drogi wicehrabio, doskonale zdaję sobie sprawę, że moja obecność jest uciążliwa dla służby...

- Proszę nie mówić nonsensów - przerwał jej szorstko.

Kiedyś taka opryskliwość by ją zmieszała - teraz wiedziała, że Nicholas posługuje się oschłością dla ukrycia współczucia lub zamaskowania życzliwości. Dlatego też szeroko się uśmiechnęła.

- Jednakże - ciągnęła - nie będę przecież mieszkała u pana wiecznie. Już wkrótce mój dom zostanie przywrócony do porządku, więc będę mogła do niego wrócić. A uczynię to tym chętniej, jeśli na dodatek uda nam się dowiedzieć, kim był włamywacz.

- Ma pani rację, niemniej nie czas jeszcze na przeprowadzkę - oświadczył.

Wcale nie zamierzała się z nim spierać, a poza tym kwestia jej pobytu nie była w tej chwili aż tak ważna. Mieli do omówienia znacznie istotniejsze tematy. Albo tak się jej tylko wydawało, a może nie chciała mówić o wyprowadzce, ponieważ wcale nie miała ochoty rozstać się ze swoim gospodarzem.

Uzmysłowiła sobie za to, że w trakcie rozmowy przeszła jej ochota na deser, podobnie jak Nicholasowi, bo odesłał służącego, który pojawił się z tacą pełną słodkości. Nie wziął nawet serów.

- Czy mam wyjść, żeby mógł pan w spokoju napić się brandy? - zapytała trochę przekornie, kiedy znowu do jadalni wszedł lokaj, tym razem z karafką.

Nicholas uniósł lekko brew.

- Mam lepszy pomysł. Może razem uraczymy się kieliszeczkim w zaciszu biblioteki...

W jego ulubionym pokoju, gdzie będą mogli szczerze porozmawiać. Lucy skinęła głową i wstała. Bardzo już chciała usłyszeć relację z dnia, a także znaleźć się z Nicholasem sam na sam, by wreszcie móc go dotknąć, pogłodzić po twarzy, wsunąć mu dłoń pod koszulę i poczuć ciepło jego ciała oraz bicie serca... Fantazja zaczęła gonić fantazję i serce jej nagle mocniej zabiło. Pospiesznie odwróciła się w stronę drzwi, żeby ukryć zmieszanie.

Wyszli na korytarz, kierując się do biblioteki. Lokaj wniósł za nimi karafkę i dwa kieliszki, po czym na skinienie głowy chlebobdawcy uklonił się i opuścił pomieszczenie.

Nicholas rozlał brandy i podał kieliszek Lucy. Przyjęła go z lekkim niepokojem, bo rzadko kiedy miewała okazję raczyć się mocniejszymi alkoholami i nie wiedziała, jak na nie zareaguje jej organizm. Wzięła jednak łyk i natychmiast poczuła pieczenie w przełyku.

Wielkie nieba! Szybko odstawiła kieliszek, mimo że był prawie pełen, na najbliższy stół i skierowała zaintrygowane spojrzenie na wiehrabiego.

- Mów.

Streścił jej swoją rozmowę z Thomasem Brooksem.

Poczuła grudę w gardle.

- A więc Brooks jest lichwiarzem?! Mogłam się tego domyślić. - Już nawet przed ślubem zdawała sobie sprawę, że dochody jej przyszłego męża nie są ani pewne, ani stałe. Nieraz w trakcie małżeństwa zamartwiała się, z czego będą żyli, choć raczej nie omawiała tych spraw z mężem; on niechętnie ją informował o stanie swoich finansów i co najwyżej upominał, żeby prowadziła dom jak najoszczędniej.

Posłuszna jego prośbom, wynajdywała na targu najtańszą baraninę, a potem dusiła ją godzinami, żeby była jadalna; oszczędzała na cukrze i mące; bardzo mało wydawała na swoją garderobę. Niestety, nie miała jednak wpływu na wydatki męża, który nie odmawiał sobie wizyt u krawca i szewca.

Pewnego razu zaproponowała nawet, że zwolni kucharkę i przejmie jej zajęcie, ale Stanley się nie zgodził w obawie, że z tego powodu staną się obiektem plotek sąsiadów. Więc kucharka i jej pomocnica zostały do chwili, aż Lucy po śmierci męża z braku pieniędzy była zmuszona je odprawić.

- Wiedziałałam, że kiedy jego dochody się skurczyły, zaczął grać w karty - powiedziała z zastanowieniem. - Sądziłam, że to właśnie za sprawą hazardu znalazł wstęp na salony księżnej. No ale gdy u niej byliśmy, dowiedziałam się, że panowie spotykają się u niej na karty we wtorki i czwartki, a nie w piątki, jak to miał zapisane w terminarzu. A więc wywnioskowałam, że...

- Ta zasada nie obowiązuje, kiedy u księżnej pojawia się książę regent - przerwał jej Nicholas.

- Słucham? - Nie rozumiała.

Nicholas zmarszczył brwi.

- Kiedy książę pojawia się u księżnej, panowie szybko organizują grę, bez względu na dzień.

Lucy zamruwała. No tak, to jasne. Przecież można zmienić plany zgodnie z preferencjami gości.

- No dobrze, teraz już rozumiem. Jednak nadal pozostaje pytanie, kto wprowadził Stanleya do księżnej? Bo sam nie zdobyłby zaproszenia.

Nicholas się zamyślił.

- Może ktoś od Brooksa. Zwabił twój męża do gry, żeby ten się zadłużył. Musisz wiedzieć, że książkę grywa tylko o bardzo wysokie stawki.

- A kiedy Stanley się zadłużył, można go było namówić, żeby zamiast spłaty, wykradł rubin? - Każda nić prowadziła do zaginionego klejnotu, a oni nadal nie mieli pojęcia, gdzie on jest.

Lucy westchnęła i potarła czoło, czując, że za chwilę głowa jej pęknie od intensywnego myślenia. Jeśli ich przypuszczenia są trafne, to przestępcy wymyślili naprawdę perfidny i podły plan. Nie tylko doprowadzili Stanleya do wielkiego zadłużenia, ale jeszcze teraz ona musi się martwić o swój dom.

- Niczym się nie przejmuj - oświadczył Nicholas. Znowu mówił oschłym tonem, ale wiedziała, że za szorstkością kryje się współczucie, którego najwyraźniej nie umiał otwarcie wyrażać. - Nie dopuszczę do tego, żebyś straciła dach nad głową.

Popatrzyła na rozmówcę ze zdumieniem.

- A tysiąc funtów?! To przecież ogromna suma i... Och, domyślam się, że tobie może nie wydawać się aż tak wysoka, ale przecież nie mogę dopuścić, żebyś ponosił takie wydatki. To mi przypomniało, że choć jestem ci bardzo wdzięczna za sprowadzenie krawcowej, to jednak... jednak nie pozwolę ci płacić za moją garderobę. Czułabym się jak... jak...

Jakoś nie mogła wypowiedzieć tego słowa.

Uniosł dłoń do jej rozpalonego policzka i ponętnych ust, które tak bardzo pragnął pocałować, ale zaraz opuścił rękę. Musi się hamować, zwłaszcza teraz, kiedy już wie, że Lucy potrafi odpowiedzieć na jego dotyk naprawdę bardzo żywiołowo. Mimo to niczego nie pragnął bardziej niż dotykać jej przy każdej możliwej okazji, ubyc się z nią gdzieś i oddać namiętności, której już raz zakosztowali.

Tak, pożądanie go nie opuszczało. Czuł je teraz, czuł w czasie kolacji, przy śniadaniu - zawsze, kiedy ją widział. Musiał użyć całej swojej siły woli, żeby się opanować, i niestety, przez tę kontrolę nad sobą, stawał się chłodny i szorstki. Na szczęście Lucy zdawała się tego nie zauważać.

W tej chwili także walczył z chęcią *pochwycenia* jej w objęcia. Nie chciał, żeby pomyślała, że sprowadził ją do siebie tylko dla rozrywki, bo mogłaby - choć wydawało się, że odzyskuje już pewność siebie - poczuć się urażona i umknąć do swojego domu. A tam nie byłaby bezpieczna.

- Moja droga Lucy - powiedział, kontrolując głos. - Przecież musisz mieć coś do ubrania. Straciłaś całą garderobę. Co by powiedziała twoja kuzynka, gdybyś zaczęła paradować nago?

Roześmiała się tak radośnie, że serce mu zabiło. Uwielbiał ją rozśmieszać, sprawiać, że czuła się szczęśliwa - mógłby to robić całe życie. Zresztą, czy nie o to właśnie chodzi, by uszczęśliwiać kochane osoby? Upił łyk brandy, pozwalając, by mocny trunek przez chwilę pozostał na języku, wypełniając usta i nozdrza ostrym aromatem, potem przełknął, a gorąco rozpląnęło się po całym ciele. Tak jakby potrzebował dodatkowego pobudzenia...

Pomyślał, że za chwilę chyba jednak straci nad sobą kontrolę. Może po prostu powinien szczerze powiedzieć o swoich pragnieniach - o tak, tak właśnie chciał uczynić!

Odstawił kieliszek i przymknął oczy. Opanuj się, powiedział do siebie w duchu; nie jesteś przecież jakimś żółtodziobem.

A szkoda!

Lucy przyglądała się mu uważnie, widząc, że coś się z nim dzieje, że walczy ze sprzecznymi emocjami. Bez wątpienia coraz lepiej wyczuwała jego nastroje. Tylko nie wiedziała, jakie jest źródło jego obecnych zmagań i dlaczego przeżywa je właśnie w tej chwili. I nagle przyszło jej na myśl pytanie, które już od jakiegoś czasu ją męczyło.

- Nicholasie - wyrzuciła z siebie impulsywnie - dlaczego tak bardzo przejąłeś się dzieckiem Eve?

Zamarł i wyglądał tak, jakby otrzymał cios.

Lucy zagryzła usta, żałując, że nie może cofnąć pytania zadanego przecież bez zastanowienia i pod wpływem impulsu.

- Przepraszam, nie miałam zamiaru być wścibska. Ja...

Zamilkła, bo Nicholas wstał i poszedł do kominka. Zatrzymał się przy nim i zapatrzył w ogień. Wydawało się, że specjalnie ustawił się tyłem, żeby ukryć twarz.

Cisza się przeciągała.

Dobry Boże, po co zadała to pytanie? Cierpiała na myśl, że mogła go zranić. Złączyła dłonie i zaciskała je z niepokojem. Pragnęła podejść do Nicholas, pogłodzić go po napiętych ramionach, pogłaskać po policzku. Ale może jest na nią zły za to, że próbuje wkroczyć na jego prywatny teren, tak bardzo przez niego strzeżony.

Ogień strzelał i syczał, a oni stali w bezruchu i milczeniu. Lucy nagle przyszło na myśl, że mimo bólu Nicholasowi dobrze by zrobiło, gdyby podzielili się z nią swoimi tajemnicami. Niestety, nikogo nie można zmusić do zwierzeń.

- Przepraszam - odezwała się w końcu. - Nie powinnam była poruszać tego tematu. Proszę, zapomnij o moim pytaniu. Masz prawo... to twój wybór, a mnie nie wolno się wtrącać.

Znowu zapadła cisza i trwała jeszcze kilka chwil, do momentu aż Nicholas się odwrócił. Miał poszarzałą twarz, na której malowało się przynębienie. Wyglądał, jakby się nagle postarzał.

Lucy na widok wielkiej rozpacz i cierpienia malujących się w jego oczach zasłoniła dłonią usta. Patrzyła na niego, prawie nie rozpoznając jego lysów, zdumiona, że kryło się w nim tyle bólu.

- O mój najdroższy - wyszeptła. Nie widząc nawet, że się podniosła i przemierzyła pokój, nagle znalazła się przy Nicholasie. Uniosła dłonie do jego twarzy, pragnąc go utulić, przynieść mu ulgę. Delikatnie przesunęła palcami po zmarszczkach na twarzy. Dzieci, otowego słaby punkt. To dlatego nie mógł spokojnie patrzeć na dziecko Eve. Ale dlaczego widok dzieci tak bardzo go porusza?

Nie zaryzykuje ponownie i nie zapyta.

Zamiast tego wspięła się na palce i objęła Nicholas ramieniem. Przycisnęła twarz do jego piersi i odsunęła fular, a następnie złożyła na gołej skórze ciepły pocałunek.

Jęknął i pochyliwszy głowę, znalazł jej usta. Całował ją poządlwie, a zarazem jakby prosząc o zgodę na zbliżenie.

Odpowiedziała mu z równą intensywnością, uśmiechając się i czując, że jej wyrzuty sumienia rozplływają się w fali ogarniającej ją rozkoszy. Rozkoszy, która nie tylko miała za źródło zmysły, ale także świadomość, iż jest w stanie przynieść kochankowi ukojenie, a może nawet podnieść go na duchu. Gdyby to od niej zależało, podarowałyby mu cały świat, bo on, kiedy się kochali po raz pierwszy, położył u jej stóp niebo. Ilekroć wspominała tamtą noc, czuła w sobie to samo uniesienie, którego wtedy dzięki niemu doznała.

Pocałunek trwał i trwał, aż w końcu Nicholas wziął ją w ramiona i przeniósł na kanapę, na której kochali się poprzednio. Położył ją na niej ostrożnie i zaczął rozpinać suknię, gdy nagle, ku jego zdumieniu, Lucy usiadła i odsunęła od siebie jego dłonie.

— Ten raz... ten raz jest dla ciebie - wyszeptła.

Nie zrozumiał. Ale jej jasne oczy lśniły takim ogniem, że niczego nie musiał rozumieć, a poza tym jej czułe spojrzenie rozwiewało bolesne mroki izolacji, w której przebywał od tak dawna. Czy naprawdę ma na myśli to, co mówi?

Lucy wsunęła dłonie pod koszulę, dotykając jego gołego ciała, kładąc ręce na środku klatki piersiowej, tam gdzie mocno biło serce. Potem rozsunęła koszulę i przesunęła ręce na piersi, dotykając sutków. Wstrzymał oddech.

Zachęcona jego reakcją, pochyliła się i objęła jeden ustami, pieścąc go koniuszkiem języka. Nicholas jęknął. Chciał przyciągnąć ją do siebie, ale się nie zgodziła.

- Ty pierwszy - powiedziała przewrotnie.

Pochyliła głowę jeszcze niżej, miękkim ruchem zsuwając dłonie najego brzuch i niżej do krocza. Zaczęła pieścić jego najintymniejsze miejsce. Poczul, że płonie. Może jednak wiedziała, co mówi!

- Lucy - wyjąkał. - Lucy, moje kochanie...

Podniosła ręce i powoli rozsypała fular, pozwalając mu opaść na podłogę. Potem tak samo wolno zaczęła zdejmować z niego koszulę.

Nie mógł dłużej czekać; zerwał koszulę i rzucił za siebie, nie patrząc, gdzie upada.

Lucy sięgnęła do rozporoka spodni i, nadal się nie spiesząc, zaczęła go rozpinąć. Nicholas wychodził ze skóry.

- Do diabła z tym! - zaklął i zdarł z siebie resztę ubrań. - A teraz, najdroższa, musisz zrobić to samo.

Ale ona już zdążyła rozpiąć suknię, więc zostało mu tylko zsunąć ją z niej. Pozostała w samej koszuli. Przez cały czas uśmiechała się do niego zalotnie.

Wielkie nieba, jakże szybko ta kobieta się uczy! Odetchnął głęboko, czując pożądanie w każdym skrawku ciała. Nawet nie musiał zdzierać z niej koszuli; cały czas nosił w pamięci obraz jej pięknego, nagiego ciała. Jędrny biust, wąska talia, kształtne biodra - nęciły go, jak otwierający się pąk kwiatu nęci pszczołę... Czuł, że całkowicie traci nad sobą kontrolę. Gdzie podziało się charakterystyczne dla niego opanowanie doświadczonych kochanków...? Ale ta chwila nie była zwyczajna.

Przed nim stała Lucy, kobieta, która działa na niego tak, jak jeszcze żadna. Nawet ta, której imienia przyrzekł nie wypowiadać, a które teraz przyszło mu na myśl.

Nie, tamto należy do przeszłości, a to dzieje się teraz. Lucy jest tą, której pożąda najbardziej na świecie; jest tą, z którą chce się połączyć; tą, którą pragnie -jeszcze raz odważając się zdrzeć z losem - napełnić swoim nasieniem. Czy się na to odważy? Czy nie postępuje zbyt pochopnie?

W rzeczywistości chciał jeszcze więcej. Pragnął wnieść w życie Lucy zadowolenie, radość, poczucie bezpieczeństwa. Chciał ją ochraniać, chciał, żeby była szczęśliwa. Marzył o tym, by przegnać troskę, która czasami pojawiała się na jej twarzy.

Tak więc to, co czuł do Lucy, to nie tylko namiętność, ale też pragnienie uczynienia jej szczęśliwą.

- Och, Lucy - wyszeptał, prawie nie zdając sobie sprawy, że to robi. Czuł jej ręce na policzkach, czole, ramionach, na karku; czuł, że topi się pod ich dotykiem jak masło. A kiedy dłoń kochanki osunęła się mu na pierś i kreśląc kręgi, zesłała jeszcze niżej, nie powstrzymał się i głośno jęknął.

Lucy nie przestawała go pieścić; robiła to najpierw niespiesznie, potem już coraz intensywniej. Gładziła jego intymne miejsca z wielką intuicją, zupełnie nie wstydząc się ani jego nagości, ani swojej. Poruszała w nim najbardziej wrażliwe struny, tak że przelewające się przez niego uczucia niemal zwały go z nóg. Nikt, nawet tak opanowany mężczyzna jak on, nie byłby w stanie zachować kontroli w obliczu tak zmysłowych pieszczot.

- Nie - powiedział jednak, odsuwając jej dłonie od siebie. - Nie, kochana. Zrobimy to razem.

Usiadł i posadził ją sobie na kolanach - natychmiast pojęła, o co mu chodzi i z okrzykiem rozkoszy pozwoliła mu wejść w siebie.

Nie przestawała jęczeć, nie próbując nawet tłumić westchnień zachwytu. Była zdumiona, że taka pozycja istnieje i że może dawać tyle przyjemności.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że kobieta i mężczyzna mogą uprawiać miłość inaczej, niż robiła to z mężem. Nawet z Nicholasem za pierwszym razem kochali się na kanapie i jak się tego spodziewała, on leżał na niej.

Ale to!? Cóż za intensywna przyjemność! Czując, że Nicholas się w niej poruszył, postanowiła do niego dołączyć i przekonała się, że w tej pozycji nawet bardziej niż partner może nadawać rytm. Unosiła się więc i opadała, patrząc kochankowi w twarz, na której malowało się to samo uniesienie, które sama odczuwała.

Fale silnego podniecenia zaczęły spływać na nią raz zimnem, raz gorącem. Zbliżała się do szczytowania, podobnie jak Nicholas. Kiedy doszli do punktu eksplozji, nie odsunął się od niej jak poprzednio, tylko mocno się w nią wtulił. Ich ciała zaczęły drgać w spazmach uwalniającej się zmysłowej energii. Usłyszała w sobie miękki śpiew, jakby ptasi trzask, który wydobywa się z gardła ptaka, gdy szczęśliwie wraca do gniazda.

Gdy wszystko ucichło, pozostali w objęciach, wtuleni w siebie, przepełnieni błogim spokojem.

- Mój ukochany- wyszeptła w końcu, owiewając jego ramię ciepłym oddechem. Szept był bardzo cichy, więc myślała, że jej nie usłyszał. I nawet lepiej, jeśli nie. Nie chciała ujawniać mu swoich oczekiwań. Nie chciała, żeby czuł się wobec niej w jakikolwiek sposób zobowiązany. Ta chwila wystarczała jej w zupełności; nie chciała myśleć o przyszłości. Cokolwiek się zdarzy i tak nikt nie zabierze tego, co tu przeżyła. Na zawsze zapamięta uczucie szczęścia i niesienia, które stało się jej udziałem tego wieczoru.

Zadrzała wyrwana ze wzniosłych rozmyślań głosem kochanka.

- Lucy, najdroższa, nie przestajesz mnie zdumiewać.

Roześmiała się cicho, ale milczała.

- Och! - zakrzyknęła jednak po chwili.

Nicholas uniósł głowę, spoglądając na nią pytająco.

- Zapomniałam o gąbce!

- O gąbce?

- Ach, nic - mruknęła, tłumiąc westchnienie. Jeśli dzieci są dla Nicholasa tak trudnym tematem, co będzie, gdy okaże się, że ona... No cóż, zastanowi się nad tym później.

- Nie musisz...- zaczął, ale nie skończył. - Jeśli wydałem ci się...

Znowu zamilkł, a kiedy ponownie się odezwał, mówił tak zmienionym i przytłumionym głosem, że prawie nie dało się go rozpoznać.

- Kiedyś - zaczął cicho - dawno temu, żył sobie mężczyzna, który wyjechał do Indii, żeby dopilnować rodzinnych interesów. Odwiedziły w tym pięknym i egzotycznym kraju miały być dla niego przygoda. I rzeczywiście podróż bardzo go ekscytowała. Pokochał Indie za ich pachnące przyprawami bazyliki, za fantastyczne budowle i świątynie, bogatą roślinność, dziwne zwierzęta, a nawet za święte krowy tamujące ruch na ulicy. Och, kraj ten posiadał też swoje brzydsze oblicze; bieda i choroby, okaleczeni żebracy i bezdomni, wałęsający się po drogach opuszczone dzieci. Ale on był tak młody, że całe to zło ignorował, przekonany, iż jego samego nigdy nie dotknie.

Lucy, słuchając i oglądając w wyobraźni obrazy, które przed nią malował, aż wstrzymała oddech. Pilnowała się, żeby nawet słowem nie przerwać opowieści, obawiając się, że Nicholas mógłby zrezygnować z tak rzadkiej u niego otwartości.

- A potem ów mężczyzna poznał Angielkę, tak samo młodą i nawiąnąc jak on. Miała ciemne włosy i wesołe oczy i nazywała się Annie. Przybyła do Indii w odwiedziny do wuja, administratora jednego z brytyjskich kolonialnych posterunków. Młody mężczyzna zakochał się w niej, potem poprosił o rękę, aż wreszcie zamieszkał wraz z nią na obrzeżach Bombaju w domu z pięknym ogrodem pełnym kolorowych tropikalnych kwiatów. Oboje byli przekonani, że odnaleźli raj. Po roku dziewczyna powiła mu dziecko, syna, którego nazwali jego imieniem... Ich życie wydawało się cudem...

Głos mu się załamał, ale Lucy nawet tego nie zauważyła, zdumiona tym, co usłyszała. Nicholas miał żonę i dziecko! Postanowiła dalej milczeć, o nic nie pytać, żeby nie powiedzieć czegoś nietaktownego, zwłaszcza że spodziewała się, iż dalsza część opowieści nie będzie już tak samo radosna.

- Aż pewnego razu na miasto padła zaraza i zdziesiątkowała jego mieszkańców. Pierwszy zachorował syn mężczyzny. Zaczął gorączkować i już po jednym dniu jego małe ciało spustoszone chorobą poddało się. Wtedy jego matka, złamana żalem, także się rozchorowała. Zmarła po *tygodniu*. Młody mężczyzna niczego bardziej nie pragnął jak umrzeć wraz z nią, ale zaraza nie chciała go zabrać, więc szalał z bólu i żalu...

- Och, Nicholasie! - Lucy nie mogła znieść jego cierpienia. Zaciśnięta usta, czekając na dalsze słowa.

- Gdy odzyskał siły na tyle, by opuścić dom, rzucił się w wir pracy, a czasami, ponieważ nie był święty, szukał zapomnienia w alkoholu i wśród tamtejszych ciemnoookich kobiet, które z radością przyjmowały go do swojego łóżka. Ale nic nie potrafiło ukoić jego cierpienia, a przynajmniej nie na długo. Wiele miesięcy później, kiedy rozpacz nieco osłabła, podjął decyzję, że wraca do ojczyzny. Zarazem przyrzekł sobie, że już nigdy więcej nie odwiedzi Indii, tego



pięknego, lecz jakże zdradzieckiego kraju... Po powrocie do Anglii zaczął wieść życie wypełnione powierzchownymi przyjemnościami... jakby był jedynym człowiekiem na całej planecie, który zaznał w życiu bólu i rozpacz.

Głos Nicholasa, do tej pory przytłumiony smutkiem, znowu stał się sarkastyczny. Teraz Lucy rozumiała, co kryje się za tym tonem.

- Och, Nicholasie- powtórzyła.- Fakt, że także inni ludzie doznają w życiu straty, nie oznacza wcale, iż twój ból powinien być mniejszy. To jest indywidualna sprawa każdego człowieka, i tylko ten, kto nie rozumie, jak wielką tragedię przeżyłeś, mógłby ci odmówić prawa do chronienia się przed cierpieniem.

Słuchał jej, nie poruszając się, choć nadal mocno ją do siebie tulił. Nie widziała jego twarzy, bo opierał ją na jej głowie, ale po chwili usłyszała długie westchnienie, jakby spodziewał się po niej innej reakcji.

Czy przypuszczał, że będzie mu miała za złe to, iż krył się ze swoim cierpieniem, albo że go oskarży o złe prowadzenie się po śmierci żony i dziecka? Kto mógłby być aż tak bezduszny? Jeśli przelotne romanse i cynizm przynosiły mu ulgę, to oczywiste jest, że się do nich uciekał. I nikt nie ma prawa go za to źle oceniać.

Przynajmniej ona nie zamierzała tego czynić.

Wydało jej się, że Nicholas zadrżał, a potem poczuła coś wilgotnego na włosach. Płakał. Nie poruszyła się, nie próbowała nawet na niego spojrzeć. Najwyraźniej nie chciał, żeby widziała go w takim stanie. Za to mocno go do siebie przytulała, oparta o jego pierś, pragnąc, by znalazł w niej wsparcie, ukojenie; wszystko, czego w tej chwili potrzebował.

Po jakimś czasie uspokoił się, ale nadal pozostali spleceni. Ogień w kominku wygasał, świece się wypalały, a Lucy czuła, że drętwieją jej nogi. Jednak nie poruszyła się, wiedząc, że ta chwila i jej obecność są teraz Nicholasowi bardzo potrzebne.



Kiedy zegar w korytarzu wybił pierwszą, wstał i wyszeptał:

- Zapewne chcesz się położyć.

Widząc, że wrócił już do siebie, uśmiechnęła się z ulgą. Z jego oczu wyzierało nawet wewnętrzne ukojenie, którego wcześniej nie było.

Ubrali się, Nicholas pogasił świece, po czym odprowadził ją pustym i cichym korytarzem - służba zapewne już dawno poszła spać - do jej pokoju. Zapalił świeczkę stojącą przy łóżku, żeby mogła przygotować się do snu.

Jeszcze raz złożył na jej ustach długi i czuły pocałunek. Była w nim gotowość do następnego zbliżenia, ale w tej chwili wystarczyło jej ciepło jego ust.

- Dobrej nocy, słodka Lucy.

Patrzyła za nim, jak wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

Westchnęła i na chwilę przymknęła oczy. Była cudownie zmęczona, nawet wyczerpana, miłością i wzruszeniem, które razem przeżyli. Biedny Nicholas. Może teraz, dzięki zwierzeniom i podzieleniu się swym bólem, przestanie wreszcie tak straszliwie cierpieć.

Chciała wyobrazić go sobie z młodą żoną i dzieckiem, ale szybko porzuciła ten pomysł. Tak jak powiedział: tamtego życia nie da się wskrzesić. Zresztą i tak miałyby wielki problem, żeby stworzyć w umyśle obraz Nicholasa młodego i naiwnego.

Ona zna go takim, jaki jest teraz, i takiego właśnie pragnie. Dzielili ich od siebie tylko kilka pokoi, a już za nim tęskniła, już jej brakowało jego objęć, czułych pocałunków, ciepła...

Przerwała te tęskne marzenia i szybko się rozebrała, umyła i włożyła nocną koszulę. Nawet jej nie zapięła porządnie, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie wsunie się pod kołdrę. Zdmuchnęła świece i przytuliła policzek do miękkiej poduszki.

Pomyślała o Nicholasie i o tym, że mógłby leżeć obok niej, potem uśmiechnęła się sama do siebie w ciemności i, nie wiedząc kiedy, pogrzyżyła się we śnie.



Obudziły ją promienie słońca wpadające do pokoju przez okno. Która to jest godzina? Trzeba pomóc Violet uprzątnąć palenisko, przynieść węgiel, jeśli tylko coś jeszcze zostało w piwniczce...

Przecierając oczy, usiadła i wtedy nagle przypomniała sobie, gdzie jest. Dzisiaj nie będzie żadnego czyszczenia paleniska, żadnego martwienia się o pustą spiżarnię i brak węgla. Westchnęła i opadła na poduszkę. Nie może za długo żyć w takim luksusie; trudno jej będzie odejść. Wprawdzie Nicholas jest ogromnie szczodry, ale to nie znaczy wcale, że wolno jej nadużywać jego gościnności. Zresztą nie odpowiada jej rola biedaczki oddającej się pod opiekę majątnego arystokraty. Jest na to zbyt dumna.

Gdyby tylko odnaleźli ten przeklęty rubin, który wszystkim narobił tyle kłopotu, wiedziałaby, że uratuje swój dom, i nie czułaby się taka biedna i bezwartościowa. Oczywiście nawet po otrzymaniu nagrody nie dorówna Nicholasowi poziomem życia, tytułem czy majątkiem. Dlatego nie wolno jej nawet marzyć, że zechciałby się z nią związać. A jednak przez cały czas w jej sercu czaiło się irracjonalne przekonanie, że Nicholas będzie z nią do końca życia.

Zmarszczyła brwi zła, że oddaje się takim mrzonkom. Potem usłyszała pukanie.

- Proszę wejść! - zawołała.

W drzwiach pojawiła się uśmiechnięta Violet. W jednej ręce trzymała pełną tacę, w drugiej suknię przewieszoną przez ramię.

- Już ją przerobiłam, psze pani, a tę wieczorową przerobię do wieczora.

- Violet, jesteś wspaniała. - Lucy pomogła służącej postawić tacę na stoliku przy łóżku i napełnić filiżankę parującą herbatą. Upiła łyk aromatycznego napoju, potem sięgnęła po bułeczkę i posmarowała ją masłem i dżemem truskawkowym.

- Wicehrabia ma doskonałą kucharkę - zauważyła.

- Och, tak, psze pani. Nawet jedzenie dla służby jest smaczne - potwierdziła pokojówka.

Lucy popatrzyła na nią i pomyślała, że w ciągu ostatnich kilku dni chyba się poprawiła na twarzy.

- A wszyscy nadał są dla mnie bardzo mili. Kucharka pokazała mi, jak się robi te małe ciasteczka z truskawkami, i pozwoliła mi je samej upiec. Okazało się, że chyba mam dobrą rękę do ciast.

Wyglądało na to, że Violet coraz lepiej się czuje w nowym otoczeniu. Lucy pomyślała, że powinna ją przestrzec, podobnie jak przestrzegała samą siebie, że dobre czasy wkrótce się skończą, ale po zastanowieniu postanowiła nie psuć dziewczynie nastroju.

- Zajmę się teraz ciepłą wodą do kąpieli - powiedziała Violet, odwieszając do szafy suknię, po czym wybiegła.

Lucy spokojnie zjadła śniadanie, a potem poszła do łazienki, żeby wziąć kąpiel. Następny luksus, jeszcze więcej przyjemności.

Potem Violet pomogła jej się przebrać w poranną biało-niebieską suknię z muślinu, która po przeróbkach leżała na niej nawet lepiej niż suknia z poprzedniego dnia.

Wyszczotkowała włosy i przewiązała je niebieską wstążką. Zerknąwszy do lustra, uznała, że wygląda zupełnie nieźle.

Uśmiechając się do siebie, podziękowała służącej i zeszła na dół. Tak jak się spodziewała, Nicholasa zastała w bibliotece. Siedział za dużym mahoniowym biurkiem, zajęty przeglądaniem poczty.

Akurat podawał lokajowi list.

- Dopilnuj, żeby został natychmiast doręczony przez specjalnego posłańca - polecił.

Lokaj ukłonił się i wyszedł.

Ciekawe, czy list ma związek z rubinem, pomyślała Lucy i podeszła bliżej.

Na jej widok Nicholas uśmiechnął się, wstał i obszedł biurko, żeby ją pocałować. Pocałunek był pospieszny, ale namiętny.

Przywarła całym ciałem do kochanka, lecz niestety, za drzwiami rozległy się kroki, więc musiała, choć niechętnie, oderwać się od niego.

- Jakies nowości? - zapytała.

- W naszej sprawie? Nie, przykro mi, ale nie. Musimy chyba poszukać innych śladów. - Zamilkł.

Do pokoju wszedł następny służący, niosąc dużą stertę kopert z pozłacanymi brzegami. Dorzucił je do listów i kart wizytowych

leżących na biurku. Boże, jak Nicholas radzi sobie z tyloma zaproszeniami?

Sięgnął po największą kopertę ze stosu i złamał pieczęć, a następnie ze zdziwienia aż uniósł brwi.

- Ach - rzucił. - Jesteśmy zaproszeni na bal u księcia.

Lucy spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Z pewnością nie - zaprotestowała. - To znaczy, ty tak, ale nie ja...

Podał jej zaproszenie.

- Zobacz sama. Wygląda na to, że księżę regent cię zapamiętał. Bal odbędzie się za tydzień odjutra. Dziwi mnie tak wczesne powiadomienie; zazwyczaj rozsyła się zaproszenia w ostatnim momencie. Coś mi mówi, że chce nas wypytać o nasze dochodzenie.

Nie *może* się doczekać odnalezienia rubinu, pomyślała Lucy. A oni wiedzą tylko tyle, że ktoś szukał go w jej domu. Każdy trop, jakim szli, prowadził donikąd.

No może oprócz tego, który zakończył się spotkaniem z Eve i jej dzieckiem. Przynajmniej ta dwójka skorzystała na ich bezowocnych poszukiwaniach.

- Chyba powinnam odwiedzić Eve - mruknęła, bardziej do siebie niż do Nicholasa. - Dowiem się, jak się miewa i czy dobrze jej na farmie.

Skinął głową, choć wydawał się myśleć o czymś innym.

- *Jesteś* pewna, że Stanley nie miał w *mieście* żadnego biura?

A po co byłoby mu biuro? - chciała odpowiedzieć, ale się powstrzymała, uznając, że zabrzmiałoby to niegrzecznie.

- Nic o tym nie wiem - odparła. - No ale z drugiej strony, to w ogóle mało wiedziałam o mężu.

- Popytam o to na mieście - stwierdził Nicholas. - Aha, mam coś dla ciebie. Jeden z moich ludzi znalazł to w twoim domu między luźnymi klepkami podłogi.

Uniosła brwi ze zdziwienia. Z pewnością tajemniczy przedmiot to nie rubin, bo Nicholas powiedziałby jej o tym od razu. W takim razie, co to jest?

Podał jej mały woreczek, w którym coś zadźwięczało.

Wzięła go i wysypała zawartość na stół. Leżały przed nią srebrne i miedziane monety; szylingi, funty i parę pensów. Zliczyła je szybko; razem było tego kilka funtów.

Zagryzła usta i spojrzała na Nicholasasa.

Znowu zajęty był swoimi sprawami; wczytywał się w zestawienie cyfr wypisanych niebieskim tuszem na długiej kartce. Ale chyba wyczuł jej spojrzenie, bo podniósł wzrok.

- Mam nadzieję, Lucy, że nie podejrzewasz mnie o żaden podstęp. Gdybym chciał dać ci pieniądze, z pewnością byłoby tego znacznie więcej!

Zarumieniła się i uśmiechnęła, choć niezbyt radośnie. W sumie była zła, że Nicholas tak świetnie potrafi czytać z jej twarzy.

- Nie, nie podejrzewam. Tylko nie rozumiem, skąd te pieniądze znalazły się w moim domu. Kto je tam schował i po co?

- Mnie się wydaje, że należą do Stanleya. Chomikował pieniądze, w razie gdyby zabrakło mu na wejście do gry - podsunął Nicholas obojętnym głosem. - Wielu graczy tak robi. - Otworzył następny list i skoncentrował się na jego treści.

Być może. Lucy wpatrywała się w monety. Przyszły jej na myśl dni, kiedy byłaby bardziej niż zadowolona, gdyby natknęła się na tę niewielką, ale przecież ratującą ją wtedy sumkę. Chciała zapytać, gdzie woreczek był ukryty, ale zmieniła zdanie, obawiając się, że Nicholas pomyśli, iż chce sprawdzić wiarygodność jego informacji. Postanowiła jednak, że kiedy wróci do siebie, dokładnie obejrzy wszystkie podłogi w całym domu!

- Powinnam to wysłać któremuś z moich wierzycieli - powiedziała, myśląc na głos. - Chociaż, gdyby nie liczyć Brooksa, to największy dług mam, jak mi się zdaje, u ciebie, lordzie.

- Chyba się mylisz - odparł raczej zdumiony jej stwierdzeniem.

- Ależ skąd. Przypomnij sobie czterdzieści szylingów, za które wykupiłeś moje meble, potem suknie i hm... dodatki, które przyniosła ze sobą krawcowa, no i jeszcze kostium spacerowy...

- Żebyś się nie ważyła nawet myśleć o zwracaniu mi czegokolwiek - rzucił groźnie, nie podnosząc na nią oczu. W kącikach ust czaił mu się jednak uśmiech.

Pokręciła głową.

- I to niby ja jestem uparta, tak? Z drugiej strony, jeśli zachowam te pieniądze, będzie mnie stać na uzupełnienie mojej prawie nieistniejącej garderoby.

Tym razem Nicholas uniósł głowę.

- Lucy, chyba dawno nie korzystałaś z usług dobrej krawcowej, więc muszę cię ostrzec, że za tę kwotę nie kupisz nawet jednej sukni. Pozwól mi wezwać krawcową...

- Och, ależ ja doskonale o tym wiem - przerwała mu. - Chodzi o to, że obie z Violet potrafimy zupełnie nieźle szyć. Pomyślałam więc, że same mogłybyśmy uszyć dla mnie suknie. Wystarczy, że kupię tanio kilka metrów muślinu - wyjaśniła.

Nicholas nic na to nie odpowiedział, tylko zaczął się nad czymś zastanawiać. Potem nagle skinął głową i odłożył pismo, które trzymał w rękach.

- Bardzo dobrze. W takim razie będę ci towarzyszył.

- Ależ zanudzisz się na śmierć - zaoponowała. Obrzuciła spojrzeniem biurko. - Poza tym wydaje się, że masz sporo pracy.

- W istocie, pani Contrain - zgodził się nieco kpiącym tonem. - Ale ponieważ najważniejsze zostało załatwione, to znaczy wysłałem ludzi, żeby dowiedzieli się, czy pani mąż miał w mieście biuro, mogę poświęcić pani swój czas i zarazem zadbać o pani bezpieczeństwo.

Mimo że nie lubiła się tak łatwo poddawać, nie mogła nie uznać jego racji. Choć tak po prawdzie to wystarczającym zabezpieczeniem byłaby obecność lokaja. Wolała jednak towarzystwo Nicholasa, więc się już z nim nie sprzeczała.

Zeszli do powozu i po chwili byli już w drodze do hurtowni usytuowanych nad rzeką.

- Muszę cię ostrzec, że pozwoliłem sobie zamówić dla ciebie nowy zestaw rękawiczek. Pierwsza ich partia powinna dotrzeć dzisiaj po południu - oznajmił.

- Nicholasi!

Chciała zrobić surową minę, ale ponieważ akurat muskał palcem jej policzek, nie potrafiła się na to zdobyć.

- Nie mam prawa naprawić tego, co zniszczył jakiś podły łotr? - zapytał niewinnie. - W końcu był to podarunek ode mnie. Nic wielkiego, ale zawsze - zauważył.

Poddała się. Przydadzą jej się nowe rękawiczki, bo po włamaniu została jej tylko jedna para, ta, którą miała wtedy na sobie. Niemniej...

- Naprawdę jesteś dla mnie zbyt dobry - mruknęła.

Sięgnął po jej rękę, zsunął brzeg rękawiczki i ucałował skrawek dłoni. Miał ciepłe usta. Zadrzała.

- Moja kochana, nawet się nie domyślasz, co jeszcze mogę ci podarować - powiedział, a oczy mu zaślniły. Nie była pewna, czy ma na myśli stroje, czy coś o wiele przyjemniejszego. Tak czy inaczej, roześmiała się i pogłaskała go po policzku. Powóz podjechał pod duży, prosty budynek, więc pospiesznie podciągnęła rękawiczkę i przygotowała się do wyjścia.

Weszli do sklepu. Ekspedienci na ich widok zaczęli giąć się w ukłonach. W mniemaniu Lucy były one nazbyt przesadne, więc podejrzliwie popatrzyła na swojego towarzysza.

- Chyba jesteś tu rozpoznawany?

- Owszem - potwierdził.

W ich stronę biegł jeden ze sprzedawców. Jego koszula miała absurdalnie wysoki kołnierzyk, który niemal zasłaniał mu twarz.

- Matthews, Mason, ta dama pragnie obejrzeć nasze najlepsze muśliny.

- Oczywiście, jaśnie panie. Proszę za mną, madame. - Ekspedient znowu się ukłonił i pospieszył w stronę kontuaru, który znajdował się w centralnej części wielkiego pomieszczenia.

- Nicholasi, czy ta hurtownia należy do ciebie? - Lucy wydała się zszokowana.

- Nie wiedziałas, że najlepsze muśliny pochodzą ze Wschodu? - Podał jej ramię, a kiedy je przyjęła, dostojnym krokiem ruszyli za młodym sprzedawcą.

- Ale to ja zapłacę za zakupy - nalegała. - Nie mogę się zgodzić, żebyś...

- Ależ naturalnie. Nie sądzisz chyba, że pozwolę ci pójść do konkurencji - odparł z całą powagą.

Rozbawił ją tym ostatnim zdaniem. Mając takie imperium, z pewnością nie zależy mu na kilku funtach, które zostawi w jego sklepie! Niemniej podziwiała jego zaangażowanie w handel, tym bardziej że raczej mało kto z socjety przyznałby się do kontaktów ze światem interesów.

Podzieliła się z Nicholasem tym spostrzeżeniem, na co on tylko wzruszył ramionami.

- To przedsięwzięcie założył mój dziadek. Dlaczego miałbym się wstydzić zajęcia, które zapewniało dobre życie moim rodzicom, a teraz mnie? Nic mnie nie obchodzi bezmyślne plotki.

Tak, to właśnie jest cały Nicholas - nie dba o czyjąkolwiek opinię, czy to na temat swego stylu życia, czy to związków z handlem.

Zatrzymali się przy szerokim kontuarze, a ekspedient z pomocą kilku jeszcze sprzedawców przyniósł im do pokazania kilka beli materiałów o najróżniejszych wzorach i kolorach; białe, w szarą jodełkę, kraciaste i pastelowe. Wszystkie bardzo piękne. Lucy głąskała muślin i zachwycała się jego fakturą, a zarazem zastanawiała się, który wzór wybrać.

Ekspedient cierpliwie stał u jej boku.

W pewnej chwili podszedł do nich starszy mężczyzna w ciemnym garniturze, wyglądający na kierownika sklepu i poprosił Nicholasa na bok.

Lucy wróciła do oglądania materiałów i w końcu wybrała trzy rodzaje tkanin; jasnoniebieską i białą, obie w taką samą lawendową jodełkę, oraz zieloną. Nie znając cen, uznała, że to powinno jej wystarczyć, zwłaszcza że musiała jeszcze pamiętać o niciach i guzikach. No i, jeśli po tych wszystkich sprawunkach coś jej zostanie, chciała też sprawić sobie prosty słomkowy kapelusik, którego ozdobieniem zajęłyby się już z Violet we własnym zakresie.

Poinformowała ekspedienta o swoim wyborze, na co ten, wezwawszy pomocnika, rozwinął ciężkie bele i drewnianą linijką odmierzył materiał.

- Zaniosę go do powozu, madame - oznajmił na koniec.

- Bardzo dziękuję - odparła. - Proszę mi tylko podać ostateczną kwotę.

Sprzedawca zamrugał ze zdziwienia.

- Rachunek dołączymy do paczek, madame.

Skinęła głową, nie chcąc robić zamieszania i upierać się przy płatności od ręki. Prawdopodobnie byłoby to przyjęte ze zdziwieniem, bo jak się domyślała, znajomym wicehrabiego kredyt przysługiwał z miejsca, bez żadnych uprzednich formalności. Ale i tak zamierzała zapłacić Nicholasowi za materiał.

Czekając na niego, rozglądała się dokoła po półkach z tkaninami, gdy nagle zdała sobie sprawę, że obok niej stoi jakiś mężczyzna. Pomyślała, że to sprzedawca i że chce ją o coś zapytać.

Odwróciła się do niego.

- Tak, słucham?

Mężczyzna z pewnością nie był tutejszym pracownikiem. Miał puciołowatą, dość sympatyczną twarz i niepasujące do niej przebiegłe oczy. Wyciągnął ramię, jakby chciał dotknąć beli z materiałem, ale, ku zdumieniu Lucy, nic zrobił tego, tylko pochwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

Stęknęła i szarpnęła się, ale nieznajomy nie osłabił uścisku. O co temu człowiekowi chodzi?

- Na pewno wiesz, gdzie on jest - wysyczał, pochylając się do jej ucha. - Jeśli nam nie powiesz, gorzko tego pożałujesz.

Choć mówił ścisłym głosem, czuło się w nim wielkie napięcie, jakby ledwie się kontrolował. Nie wątpiła, że jego groźba jest poważna.

Serce zabiło jej mocniej - gdzie jest Nicholas? Przypomniała sobie, że kiedy ostatnio się za nim rozglądała, wchodził ze starszym pracownikiem do biura. Zastanawiała się, czy nie zacząć wołać o pomoc, ale bardzo nie chciała robić zamieszania. Poza tym nie wierzyła, że nieznajomy odważy się wyrządzić jej krzywdę w publicznym miejscu.

- Gdzie on jest? - powtórzył, wzmacniając uścisk.

Skrzywiła się z bólu, ale zdobyła się na to, aby podnieść wzrok i spojrzeć napastnikowi prosto w oczy.

- Kim jesteście? - zapytała.

Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony tym, że Lucy ma odwagę z nim dyskutować. Zamrugął ze zdziwienia jasnymi rzęsami.

- To nieważne. Powiedz tylko, gdzie on jest?

- Nie wiem, o co panu chodzi?

Coraz mocniej ścisnął jej dłoń. Miała nadzieję, że Nicholas wkrótce się pojawi, bo jeśli nie, to bez względu na to, czy tak wypada, czy nie, zacznie krzyczeć na całe gardło.

- Nie masz do niego żadnych praw - wymamrotał mężczyzna. - Chcesz zginąć tak jak twój mąż?

Lucy poczuła, że po plecach przebiega jej zimny dreszcz. Czy ten człowiek... czy to znaczy, że...?

- A więc śmierć Stanleya nie była przypadkowa? - zapytała ze wzburzeniem. - Miał pan z nią coś wspólnego?

Wyraz twarzy mężczyzny nagle się zmienił i ujawniła się cała jego podłość, którą krył pod maską uprzejmości.

- Myślałaś, że to przypadek, iż stracił życie dwa dni po zaginięciu najcenniejszego klejnotu Anglii? Że tak po prostu wpadł pod *pędzący* powóz?

- A więc to było morderstwo! - bardziej wyszeptwała, niż krzyknęła. Z powodu silnych emocji miała zaciśnięte gardło. Była wstrząśnięta tym, że stoi przed nią zabójca jej męża. - I pan się tak po prostu do tego przyznaje?!

- Sam sobie był winien. Po co połasił się na rubin? Oszukał nas! - wybuchnął mężczyzna. Znowu wzmościł uścisk na jej nadgarstku, aż się skrzywiła z bólu. - Niestety, nie miał go przy sobie.. • sprawdziliśmy to. Ale ty wiesz, gdzie on jest.

Lucy przez cały czas próbowała się uwolnić, ale uścisk był zbyt mocny. W końcu, nie myśląc wiele, wymierzyła w łydkę napastnika porządnego kopniaka. W palcach stopy poczuła ból, ale z pewnością był on mniejszy niż ból mężczyzny, który krzyknął, zbladł i schylił się, przy okazji puszczając jej rękę.

Natychmiast pochwyciła drewnianą linijkę, używaną przez sprzedawców do mierzenia tkanin, i pchnęła nią mężczyznę w brzuch, a potem w krocze.

Była szczęśliwa, kiedy usłyszała głośne stęknięcie.

- Nicholasie! - zawołała, odsuwając się kilka kroków, żeby mężczyzna nie mógł znowu jej pochwycić. - Nicholasie, jesteś tu potrzebny!

Poblądły napastnik rzucił jej wściekłe spojrzenie i zrobił przed siebie chwiejny krok.

Wysunęła linijkę, na co mężczyzna cofnął się, a potem odwrócił w stronę wyjścia.

- Nicholasie, on ucieka! - zawołała.

Wtedy wreszcie wicehrabia i jego pracownik, zdumieni, stanęli w drzwiach biura. Nicholas rzucił się Lucy na pomoc.

- Tam jest! - Wskazała na mężczyznę w niebieskim surducie. - Pospiesz się! Zaraz zniknie za drzwiami. Straszyl mnie, on wie... przyznał się...

Nicholas nie czekał na koniec opowieści.

- Za nim - rozkazał i wraz z sześcioma sprzedawcami ruszył w pogoń.

A Lucy za nimi.

Wypadła przed budynek i okrążyła powóz, zatrzymując się na brzegu chodnika. Rozejrzała się po zatłoczonej ulicy; Jeśli uciekinier zmieszka się z tłumem, to wszystko stracone. Nagle zauważyła okrągłą twarz.

- Tam jest! - zawołała, machając ręką do biegnącego chodnikiem Nicholasa, za którym podążała cała armia sprzedawców. Wyglądali nieco komicznie w swoich wykrochmalonych koszulach z wysokimi kołnierzami i kupieckich surdutach.

Uciekinier po przebiegnięciu połowy długości ulicy musiał się nagle zatrzymać przed straganem, który tarasował mu drogę. Popatrzył na jezdnię zapełnioną powozami, wózkami i furmankami.

- Zatrzymaj się! - zawołał Nicholas, prawie go doganiając. - Nagroda za złapanie tego człowieka!

Na ten apel przechodnie zaczęli się odwracać, a rozchełstany ję-  
gomość siedzący w furmance z węglem stojącej po drugiej stronie  
ulicy zeskoczył z niej i zaczął biec w kierunku Nicholasa.

Pucołowata twarz uciekiniera wykrzywiła się w panice. Gnany  
przerażeniem, ominął stojący przy chodniku powóz i korzystając  
z przerwy między poruszającymi się pojazdami, wyskoczył na jezd-  
nię. Niestety, strach sprawił, że błędnie ocenił odległość.

Rozległ się krzyk wyglądającej na żebraczkę kobiety i jeszcze kil-  
ku osób, ale było już za późno.

Mężczyzna wpadł wprost pod ciężkie kopyta koni ciągnących  
wypełnioną po brzegi towarem furmankę.

- Stój, zaczekaj! - krzyczał Nicholas. Niestety, na darmo. Nikt,  
nawet woźnica, który gorączkowo ściągał lejce, nie był w stanie za-  
trzymać rozpędzonych koni. Wielkie koła przetoczyły się po leżą-  
cym na ziemi człowieku, kończąc dzieło, gdyby nawet jakimś cudem  
mężczyźnie udało mu się przeżyć uderzenia końskich kopyt.

Lucy z okrzykiem uwięzionym w gardle zasłoniła usta ręką. Ru-  
szyła w kierunku ofiary.

- Lucy! - zawołał Nicholas, oglądając się na nią przez ramię.

Stanęła na skraju chodnika. Ruch na jezdni nie zelżał; powozy  
nadal się po niej przetaczały, dudnienie kopyt było dalej tak samo ha-  
łaśliwe. Nie miała ochoty przedzierać się między pojazdami, a jeszcze  
bardziej nie chciała oglądać pokiereszowanego ciała. Skinęła głową  
i została tam, gdzie stała.

Widząc to, Nicholas odetchnął z ulgą, po czym ukucnął obok le-  
żącego. Sięgnął ręką najpierw do jego szyi, potem do skroni. Zoba-  
czył, że czaszka jest w jednym miejscu roztrzaskana. Pokręcił głową  
z niedowierzaniem.

Lucy natomiast poczuła, że coraz trudniej jej złapać powietrze.  
Zaczęło ją mdlić i zmiękły jej kolana. Złapała się latarni.

Podbiegł do niej jeden ze sprzedawców.

- Madame, powinna pani wrócić do środka.

- Jeszcze chwileczkę - wymamrotała.

Chciała zaczekać na Nicholasa, który w tej chwili przydzielał  
pracownikom zadania do wykonania. Przede wszystkim kazał im

podnieść ciało i przenieść na chodnik. Potem wydał następne rozpo-  
ządzenia i wreszcie podszedł do Lucy.

- Nic ci nie jest? Nie zrobił ci krzywdy? - zapytał przygnębio-  
nym głosem, chwytając ją za ręce tak mocno, że aż się skrzywiła.

- On powiedział, że śmierć Stanleya nie była naturalna! - wy-  
krzyknęła, nadal wstrząśnięta po strasznym wypadku i po tym, czego  
dowiedziała się od nieznajomego.

Ściszyła głos, bo stojący nieopodal ekspedient popatrzył na nią ze  
zdziwieniem.

- Musimy porozmawiać.

Nicholas podał jej ramię, a ona natychmiast je pochwyciła, czu-  
jąc, że nadal drży i jest słaba. Wrócili do hurtowni i od razu skierowa-  
li się do biura. Nicholas kazał przynieść im wino.

- A teraz mów, co ten człowiek ci powiedział.

- Próbował mnie zastraszyć. — Wzdrygnęła się i potarła obolały  
nadgarstek.

Nicholas sięgnął po jej rękę i pogładził czerwone ślady na skó-  
rze.

Zmarszczył czoło.

- Przed zabraniem ciała przeszukałem kieszenie, ale nie było  
w nich nic, co by miało związek z rubinem.

- Oczywiście, że nic tam nie było. Przecież ten człowiek chciał  
się ode mnie dowiedzieć, gdzie jest rubin - wyjaśniła. - O to właśnie  
mnie pytał i dlatego mnie straszył. Chyba myślał, że ja wiem, gdzie  
on jest. I... och, Nicholasie... powiedział, że Stanley został zamor-  
dowany.

Zdziwiła się, widząc, że jej towarzysz wcale nie wygląda na za-  
skoczzonego ostatnią informacją.

- Nigdy nie brałaś tego pod uwagę? - zapytał łagodnie.

Do biura wszedł sprzedawca z zakurzoną butelką i szklankami.  
Nicholas rozlał wino i podał je Lucy. Upiła i skrzywiła się, bo było  
bardzo cierpkie.

- Nie, raczej nie - wyznała. Nicholas najwidoczniej już o tym  
myślał. - Byłam wstrząśnięta, kiedy ten... ten łotr przyznał się do

morderstwa. I jak na ironię zginął tak samo jak Stanley. Kto to w ogóle był?

- To, moja droga, był Thomas Brooks. Ten sam, który zamierzał odebrać ci dom za długi twojego męża - poinformował Nicholas. - Rozmawiałem z nim niedawno i już wtedy podejrzewałem, że ma coś na sumieniu.

- Żałuję, że nie walnęłam go mocniej! - wykrzyknęła, ale zaraz się zawstydyła wybuchu, przypomniawszy sobie, co przed kilku minutami stało się z lichwiarzem.

Ale Nicholas wcale się nie obruszył, a nawet uśmiechnął.

- Ja także żałuję.

Lucy czuła, że wino zaczyna działać i że robi się spokojniejsza. Mogli już na spokojnie zastanowić się nad dalszymi posunięciami.

- Ze słów Brooksa wynikało, że ma współników - powiedziała. - Niestety od niego nie dowiemy się już, kto to jest. Ciekawa jestem tylko, czy to Brooks wpadł na pomysł wykradzenia klejnotu i przewodził całemu przedsięwzięciu, czy może raczej był przez kogoś wynajęty?

- Doskonałe pytanie - pochwalił Nicholas. - Powinnaś zostać detektywem, kochanie. Niestety, nie znam na nie odpowiedzi.

Lucy nie zachwyciła się pochwałą, bo choć Nicholas miał dość poważną minę, coś jej się zdawało, że się z niej trochę naigrawa. Miała ochotę zganić go za strojenie sobie z niej żartów, jednak nie chciała zwracać uwagi krążących w tę i z powrotem sprzedawców i kierownika, który wydawał się lekko podenerwowany niecodziennym zamieszaniem.

Wstała i opierając się na ramieniu Nicholasa, wyszła z budynku. W powozie czekał na nią przewiązany sznurkiem pakunek w brązowym papierze: muślin.

Pomyślała, że nie tak sobie wyobrażała dzisiejsze sprawunki. Westchnęła i wsiadła do powozu. Nicholas zamierzał uczynić to samo, ale zatrzymał się z nogą na stopniu, ponieważ jego uwagę przykuł gazeciarz, który na całe gardło wykrzykiwał najnowsze, sensacyjne nagłówki.

- Nowe szaleństwa księcia regenta! Zaginął drogocenny rubin! - wrzeszczał chłopak, machając naręczem gazet.

Twarz Nicholasa nagle pociemniała.

- Dobry Boże - szepnęła Lucy.

## 15

Nicholas podszedł do chłopaka, rzucił mu monetę, po czym wrócił z gazetą, nakazując woźnicy ruszać i jak najszybciej jechać do domu. Niestety, na ulicy panował tak duży ruch, że wlekli się w żółwym tempie.

- Co piszą? - zapytała Lucy, zaniepokojona marszem na twarzy towarzysza.

Nicholas ściągnął rękawiczki i rozpostarł gazetę takim gestem, jakby trzymał w dłoniach truciznę. Szybko przebiegł oczami tekstu.

- W większości to same bzdury, poza doniesieniem, że książę sprowadził drogocenny klejnot, a następnie go stracił. Co do reszty, to czysta fikcja, która ma wzbudzić sensację. Artykuł sugeruje, że rubin wykradli sławni szpiedzy albo złodzieje, a może nawet któraś z kochanek księcia. Autor pisze, że jest też możliwe, iż książę dał się po prostu omamić i sprezentował rubin kochance.

- Och, nie - rzuciła Lucy. - Czegoś takiego z pewnością by nie zrobił.

- Nie mógłby, bo na oczy nie widział Szkarłatnej Wdowy. - Nicholas rzucił gazetę na siedzenie, po czym wyciągnął chusteczkę i wytarł smugi atramentu z palców.

Lucy spojrzała na pogniecioną gazetę, jakby patrzyła na żmiję.

- Czy piszą coś o... - Nie potrafiła dokończyć pytania.

Wziął ją za ręce: miał ciepłe dłonie, co czuła mimo rękawiczek. Jego dotyk jak zawsze działał na nią uspokajająco.

- Nie ma ani słowa o Stanleyu - zapewnił.

Odetchnęła z ulgą.



- Chwała Bogu. - Przez chwilę milczała, dziękując losowi, potem jednak wróciła do rzeczywistości. - Nicholasie, jak myślisz, kto mógł zdradzić tajemnicę o zaginięciu klejnotu?

Zobaczyła, że twarz wicehrabiego wykrzywia się pod wpływem wściekłości, i współczuła zdrajcy, kimkolwiek był.

- Tego także musimy się dowiedzieć.

Resztę drogi przebyli w milczeniu - Nicholas zdawał się nad czymś intensywnie zastanawiać, a ona nie chciała mu przeszkadzać. Jeszcze dwukrotnie doszły ich okrzyki gazeciarzy informujących o skandalu, przebijające się przez stukot kopyt i harmider ulicy. Za każdym razem twarz Nicholasa tężała, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej.

W końcu dotarli pod dom. Nicholas pomógł jej wysiąść i przywołał lokaja, żeby zabrał paczkę, odprowadził Lucy do drzwi frontowych.

Właśnie się otworzyły i na zewnątrz wybiegł mężczyzna w złotej liberii.

- Wasza lordowska mość musi natychmiast ze mną pójść! - zakrzyknął na widok Nicholas.

- Specjalny wysłannik z Carlton House - poinformował kamerdyner nad jego ramieniem.

Nicholas skrzywił się, ale skinął głową.

- Zaraz tam będę - powiedział do wysłańca. - Ukłonił się przed Lucy i ścisząc głos, dodał: - Wrócę, jak tylko będę mógł.

Posłała mu smętny uśmiech. Wiedziała, że czeka go spotkanie z księciem, zapewne mocno zdenerwowanym, którego będzie musiał uspokoić, i nie zazdrościła mu tego zadania. Ale wcale jej nie dziwiło, że po niego posłano. Jest człowiekiem, którego chce się mieć obok siebie w trudnych chwilach.

Sama najlepiej o tym wiedziała.

Koniecznym jest odnaleźć rubin, pomyślała z determinacją, inaczej Stanley oraz przyjaciel Nicholas nie zostaną pomśczeni. Choć jeden łotr poniósł już należną mu karę, są jeszcze inni. No i oprócz osobistych porachunków spoczywa na nich odpowiedzialność za ratowanie dobrego imienia księcia regenta.

Nieraz już było ono zszargane, a nowy skandal mógłby naprawdę zaważyć na jego przyszłości. Trudno przewidzieć, jak społeczeństwo i rząd potraktują obecną sytuację. Może, jeśli rubin szybko się znajdzie, książę zostanie zmuszony do zrzeczenia się tronu i odstąpienia go któremuś z braci?

Z niepokojem pomyślała, że wszystko wskazuje na to, iż przyszłość Anglii niespodziewanie znalazła się w jej i Nicholas rękach.

A może sytuacja nie jest aż tak poważna, jak się jej wydaje. Nie zna się przecież na zasadach dotyczących sukcesji tronu. Trzeba zapytać Nicholas, on z pewnością doskonale orientuje się w tych sprawach.

Ściągnęła rękawiczki i skinąwszy na lokaja, poprosiła, aby zaniósł pakunek z materiałami do jej pokoju. Zamierzała wezwać Violet i wraz z nią przejrzeć zakupione tkaniny.

Zanim jednak zdążyła wspiąć się na pierwszy stopień, zauważyła, że kamerdyner spogląda na nią wymownie.

- Madame, w salonie czeka na panią... - zaczął, ale nie mógł skończyć, bo przerwał mu lokaj.

- A właśnie. W salonie czeka na panią dama, która powiedziała, że chce panią widzieć natychmiast, madame.

Zmieszał się pod groźnym spojrzeniem kamerdynera.

- To znaczy, prosiła o widzenie - poprawił się, zerkając potulnie na starszego kolegę.

O nie, westchnęła w duchu Lucy.

- Muszę jednak uprzedzić, madame, że...

Nie czekając, aż kamerdyner skończy, wspięła się na szerokie schody i poszła do salonu. Żeby tylko nie była to znowu...!

Niestety, jej pesymizm okazał się usprawiedliwiony. Na jednej z kanap, sztywno wyprostowana, siedziała kuzynka Wilhelmina ze zwyczajnym u niej grymasem niezadowolenia na twarzy. Tym razem była ubrana w okropną żółtozieloną suknię. Na dodatek przyprowadziła ze sobą posiłki. Panią Broddy. Ta znowu miała na sobie suknię w kolorze lawendy, zupełnie przeciętną, nie licząc dwóch rzędów czerwonych falban u dołu. Siedziała z boku, na krześle. Obie patrzyły na Lucy z bardzo poważnymi minami.

Wielkie nieba!

Lucy zebrała się w sobie, gotując do potyczki, choć przez sekundę myślała o tym, żeby uciec. Na widok zagniewanej twarzy kuzynki poczuła się tak, jakby znowu miała pięć lat. Znowu była tą małą dziewczynką, która pozwoliła sobie wykraść ze spiżarni łyżkę dżemu. Zadrżała, przypomniawszy sobie karę, jaką wtedy wyznaczyła jej Wilhelmina, i wiele następnych. Przy okazji zawsze złorzeczyła, że Lucy jest krnąbrna i nie chce stosować się do żadnych zasad.

Może to i prawda, pomyślała Lucy. Jednak już dawno nie jest dzieckiem i nie będzie uciekała przed niezadowolaniem kuzynki. Wyprostowała ramiona i wkroczyła do salonu, zarazem dając znak lokajowi, że ma zamknąć za nią drzwi. Nie chciała, żeby służba słyszała odgłosy szyczącej się kłótni.

- Dzień dobry - przywitała się z obydwoma kobietami oschle, bez dodatkowych grzecznościowych zapewnień, jak to się cieszy z ich wizyty. - Mniemam, że zdrowie wam dopisuje.

- Lucindo, musimy położyć kres temu wszystkiemu - zaczęła bez ogródek Wilhelmina, z hukiem odstawiając filiżankę na spodek.

Lucy rozejrzała się za krzesłem, żeby usiąść, i wybrała to stojące najdalej od kuzynki.

- Jeśli tak sobie życzysz. Rozumiem, że skończyłaś już herbatę, więc zawałam kogoś, żeby zabrał tacę, chyba że masz ochotę na jeszcze jeden kawałek ciasta? Kucharka wicehrabiego jest mistrzynią, jeśli chodzi o wypieki.

- Doskonale wiesz, że nie to miałam na myśli. - Starsza kobieta podniosła głos. - Zaczynam podejrzewać, że pomieszało ci się w głowie, inaczej wiedziałabyś, jak niestosowne jest twoje postępowanie!

- Bardzo proszę, żebyś zachowywała się jak dama, a nie jak przepkupa na targu i mówiła ciszej - odparowała Lucy.

Wilhelmina zdumiona ostrą uwagą sapnęła i zamilkła.

Spodziewając się, że jej oszołomienie zaraz minie, Lucy nabrała powietrza i przygotowała się na następny atak.

- Ależ Lucy - odezwała się pani Broddy, korzystając z przerwy. - Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała. Wilhelmina to twoja

jedyna żyjąca krewna i jest od ciebie starsza. Powinnaś się jej słuchać i kochać prawie jak matkę.

- Na miłość trzeba sobie zasłużyć - odparła prawie szeptem, zerkając znacząco na Wilhelminę. - A co do posłuszeństwa...

- Ależ, kochanie, warto posłuchać kuzynki, ponieważ ma na sercu wyłącznie twoje dobro.

- Doprawdy? - zakpiła Lucy, spoglądając na sąsiadkę z Cheapside, machając przed nosem lawendowym wachlarzem. - Cóż, jestem już dorosła i sama potrafię zdecydować, co jest dla mnie najlepsze.

- Z pewnością nie. - Wilhelmina niestety odzyskała głos. Jak dla Lucy stanowczo za szybko. - Jeśli nadal będziesz się upierała, by mieszkać pod dachem tego... tego podejrzanego człowieka, zbrukasz imię naszej rodziny. Przybyłam, żeby zabrać cię do pani Broddy.

Na te słowa Lucy poczuła, że zaczyna jej brakować powietrza.

- Ale wtedy ty byłabyś zmuszona opuścić gościnnie pokój. Naprawdę wolałabym ci tego oszczędzić.

- Skąd taki pomysł? - sarknęła Wilhelmina. - Zamieszkaż w pokoju na poddaszu.

- Wilhelmina jest od ciebie starsza... - zaczęła pani Broddy, ale widząc srogie spojrzenie Lucy, zamilkła.

- Właśnie z tego powodu nie będzie zachwycona perspektywą pokonywania dodatkowego piętra - rzuciła Lucy. - Zresztą nie ma o czym mówić, bo mnie i mojej pokojówce jest tu bardzo wygodnie. I dlatego muszę odrzucić waszą uprzejmą ofertę.

Wilhelmina skupiła na niej stalowe spojrzenie.

- To nonsens! Możesz sobie odmawiać, ja i tak zaraz wezwę twoją pokojówkę i każę cię spakować.

- Nie ty wydajesz rozkazy w tym domu - pouczyła ją Lucy, z trudem kontrolując głos.

- Ale jestem twoją krewną! Ponieważ twoi rodzice nie żyją, na mnie spoczywa obowiązek dbania o ciebie!

- Wcale nie jestem o tym przekonana. Tak czy inaczej, służba cię nie posłucha, więc nie rób sobie wstydu - oświadczyła Lucy, dzielnie znosząc wściekłe spojrzenie kuzynki.

- To jest nie do zniesienia. Idziemy stąd!

- Nie będę was zatrzymywała - mruknęła Lucy, niczego bardziej nie pragnąc, niż widzieć obie panie znikające za drzwiami. - Ja tu jednak zostaję.

- Lucindo! Czy ty nic nie rozumiesz? Mam na względzie tylko twoje dobro.

- Jeśli tak, to gdzie byłeś, kiedy zmarł mój mąż? Nie przypominam sobie, żebyś spieszyła mi z pomocą, gdy nachodzili mnie wierzyciele i doskwierała nędza - odparła naprawdę już zezłoszczona.

- Nigdy nie mówiłaś, że masz kłopoty ani że potrzebujesz pomocy. - Wilhelmina zasznurowała usta.

- Bo wiedziałam, co mi odpowiesz - odburknęła Lucy. - Zresztą dałaś to wyraźnie do zrozumienia, kiedy odwiedziłam cię w zajęzdzie. Powiedziałaś, że nie powinnam oczekiwać, iż uregulujesz moje zobowiązania...

- Tak czy inaczej, nie możesz tu zostać. Przynajmniej nie bez przywoitki, która zadbałaby o twoją reputację. Inaczej po powrocie do domu stanę się pośmiewiskiem całego hrabstwa!

- Nie, jeśli nikomu nic nie powiesz - rzeczowo stwierdziła Lucy.

Wilhelmina nagle się zmieszała.

- Już powiedziałaś, prawda? - Lucy pokręciła głową. - Rozpuściłaś płotki i dopiero później zdałaś sobie sprawę, że oczerniając mnie, samej sobie wyrządziłaś krzywdę. Jakie to z twojej strony nieroztropne, kuzynko.

Policzki kobiety pały.

- Jeszcze można to naprawić. Musisz tylko natychmiast opuścić ten dom!

- Nie muszę, bo mam przywoitkę. Kuzynkę wicehrabiego... - zaczęła tłumaczyć Lucy.

- Och, skończ z tymi fantazjami - przerwała jej Wilhelmina. - Chyba nie sądzisz, że uwierzę w tę bajkę. Ten mężczyzna cię omotał, Lucindo. Ot co! Zresztą nigdy nie byłaś zbyt bystra. Ale ja wiem swoje. Wicehrabia może i posiada tytuł, może nawet obsypywać cię

podarunkami, ale jego reputacja należy do jednych z najgorszych. To rozpasany...

W tym momencie Lucy poczuła, że nie jest w stanie dłużej się kontrolować. Wściekłość zalała ją niczym fala przerywająca tamę.

- Ten mężczyzna, jak go nazywałeś, podarował mi wyłącznie wsparcie i troskę! - wykrzyknęła, stając na równe nogi. - W przeciwieństwie do mojej jedynej żyjącej krewnej! Pomagał mi, gdy groziło mi niebezpieczeństwo i gdy miałam kłopoty. Więc nie sądz, że pozwolę ci obrzucać go wyssanymi z palca zarzutami. Wicehrabia jest sto razy lepszy od ciebie i wielu innych moich znajomych! To najmilszy, najbardziej szarmancki, najmniej samolubny człowiek, jakiego spotkałam w życiu!

Musiała przerwać głośną tyradę, bo usłyszała, że drzwi za nią otwierają się z hukiem. Nie wiedziała, kto wszedł do salonu, ale nie sądziła, żeby był to Nicholas, który miał wrócić o wiele później, więc uznała, że pewnie ktoś ze służby. Przykładając dłoń do rozpalonego policzka, obróciła się i ze zdumienia zastygła w miejscu.

Do pokoju, nie czekając na zaproszenie, weszła drobna, siwowłosa kobieta o pogodnej, miłej aparycji. Ignorując napiętą atmosferę, wyciągnęła obie ręce do Lucy.

- Moja droga, czy spóźniłam się na herbatę? Och, widzę, że masz gości. Czy nie przeszkadzam?

Lucy zdawała sobie sprawę, że musi śmiesznie wyglądać z szeroko otwartymi ustami i że powinna coś odpowiedzieć, ale nie mogła, bo ze zdziwienia w głowie miała pustkę.

Drobna kobieta nie czekała jednak na jej odpowiedź. Odwróciła się do pozostałych pań i lekko się ukloniła.

- Jak się panie miewają? Jestem kuzynką lorda Richmond, lady Van de Meer. Z kim mam przyjemność?

Po jej pytaniu zapadła cisza. Wilhelmina, która wydeła policzki i wytrzeszczyła oczy, wyglądała tak, jakby zaraz miała dostać zawału. Pani Broddy poczerwieniała na twarzy.

Lucy w końcu udało się odzyskać głos i maniery.

- Och, proszę mi wybaczyć. Już przedstawiam obie panie. To jest pani Flowers i jej przyjaciółka, pani Broddy.

- Miło mi poznać - odparła na to lady Van de Meer.

Wilhelmina nadal siedziała bez ruchu, jakby zamieniła się w kamień. Natomiast pani Broddy wstała i niezgrabnie się ukloniła.

- Myślałam... - zająknęła się. - Słyszałam, że wicehrabia mieszka sam.

- Bo to prawda. Nie jestem jego stałym domownikiem. Odwiedzam go tylko czasami, kiedy mam dosyć wsi i pragnę zakosztować miejskich rozrywek - wyjaśniła spokojnie lady Van de Meer i usiadła. - No a teraz, kiedy jest tu Lucy, za nic nie odmówiłabym sobie przyjemności przebywania w jej towarzystwie.

Ponownie zapadła cisza. Wilhelmina nadal sprawiała wrażenie oszołomionej.

Lucy, czując, że opuszcza ją napięcie, miała ochotę i roześmiać się, i rozpłakać. Nie wiedziała, czy drobna kobieta przed nią jest prawdziwa, czy może wyczarowała ją wróżka. Posłała jej jednak spojrzenie pełne wdzięczności.

- Usiądź, kochanie - powiedziała lady Van de Meer łagodnie. - Jeszcze raz proszę wybaczyć mi spóźnienie. W ramach przeprosin kazałam lokajowi przyrządzić dla nas świeżą herbatę. Zaraz ją przyniesie.

Lucy posłusznie chciała usiąść na krześle, ale zobaczyła, że Wilhelmina podrywa się na nogi.

- Musimy już iść.

- Ach tak? No cóż, szkoda, ale przypuszczam, że czeka na was zaległa korespondencja lub inne ważne zajęcia. W takim razie do zobaczenia, kuzynko. - Lucy podeszła do dzwonka, żeby zawołać lokaja. - Pani Broddy, myślę, że będzie już pani spokojna, skoro sama pani widzi, iż jestem tu bezpieczna i w stosownym towarzystwie.

Wilhelmina posłała jej wściekłe spojrzenie i okręciła się na pięcie, prawie wpadając na lokaja, który na szczęście szybko usunął się jej z drogi. Pani Broddy za to, chyba onieśmielona pojawieniem się starszej damy, mamrocząc słowa pożegnania, ponownie się ukloniła.

Wyprowadzający je lokaj musiał prawie przed nimi bieć, tak się spieszyły.

Lucy odczekała chwilę, po czym głośno odetchnęła i usiadła.

- Proszę mi wybaczyć pytanie, ale czy pani rzeczywiście jest... Lady Van de Meer roześmiała się radośnie.

- Czy jestem tą, za którą się podałam? Tak, to prawda, rzeczywiście jestem kuzynką tego łobuziaka. - Błysk w oku mówiącej świadczył o jej wielkiej sympatii dla „tego łobuziaka”.

Lucy uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nawet nie chcę sobie wyobrażać, co sobie pani pomyślała, kiedy weszła tu i zastała taką scenę... - zaczęła.

Lady Van de Meer uśmiechnęła się, ale odpowiedziała dopiero po wyjściu lokaja, który przyniósł im świeżą herbatę i talerz z ciastkami.

- Dziękuję, Hodges - rzuciła do służącego.

Kiedy lokaj zabrał brudne naczynia i zniknął za drzwiami, zwróciła wesołe brązowe oczy na Lucy.

- Przyjechałam na wezwanie Nicholasa. Wiesz, jaki on jest: wydaje polecenie i oczekuje, że będzie spełnione. Trochę byłam zdziwiona, że tak nalega na pośpiech, ale widzę, że moja obecność rzeczywiście się tu przyda.

A więc to tego dotyczyła ta tajemnicza misja, z którą Nicholas wysyłał kuriera. Lucy znowu głęboko nabrała powietrza.

- Bardzo miło z pani strony, że zechciała pani przy... to znaczy, przypuszczam, że bardzo się pani dziwi, iż zgodziłam się zamieszkać pod tym dachem bez przyzwotki.

- Och, moja droga. - Lady Van de Meer upiła herbaty. - Ja także kiedyś byłam młoda. Poza tym Nicholas pisał mi o włamaniu do twojego domu. Musisz mi zaraz opowiedzieć całą historię. Ale zgadzam się, że reputacja kobiety to delikatna sprawa i należy o nią dbać. Cieszę się, że Nicholas o tym pamiętał.

- Jest pani bardzo uprzejma - powtórzyła Lucy.

- A tak przy okazji. Choć nieładnie jest mówić źle o czyichś krewnych, to ta kobieta, pani Flowers, wydała mi się bardzo niesympatyczna - dodała lady Van de Meer. - Masz ochotę na ciastko?

Lucy zdumiona zmianą tematu, wybuchnęła śmiechem. Kuzynka Nicholasa była tak jak on prostolinijna, choć bardziej wytworna. Nagle pomyślała, że chyba bardzo polubi tę drobną kobietę.

- Dziękuję. -Wzięła talerzyk, mając nadzieję, że teraz, po utarcze-  
ce z Wilhelminą, zdoła wreszcie coś przełknąć.



Nicholas wrócił dopiero na kolację. Wszedł do salonu z twarzą,  
na której malowało się napięcie.

- Mój kochany, wyglądasz na bardzo zmęczonego! - wykrzyk-  
nęła lady Van de Meer.

- Przykro mi, kuzynko, że nie było mnie tu, kiedy przyjechałaś,  
żebym mógł cię odpowiednio przywitać - odparł. - Bardzo ci jestem  
wdzięczny za szybki przyjazd. - Pochylił się, żeby ucałować starszą  
panią w policzek.

Poklepała go pieszczotliwie po ramieniu.

- Nic się nie stało. Lucy wyjaśniła mi, dlaczego cię nie ma. Prze-  
cież to oczywiste, że nie odmawia się księciu. Czy bardzo jest przy-  
bity?

- Nigdy nie widziałem, żeby czymś się tak przejął. Jest nie tylko  
zmartwiony, ale też zagubiony. Raz wpada na pomysł, że wyjedzie  
daleko i zapomni o całym zamieszaniu, a za chwilę chce uciekać na  
kontynent, niczym księżę Karol, kiedy ścigali go purytanie.

Lucy aż sapnęła ze zdumienia.

- Chyba nie zamierza tego naprawdę uczynić!

- Och, nie, nie. Bardzo długo tłumaczyłem mu dzisiaj, że musi  
zachować rozsądek, cierpliwość i hart ducha. Nie ulegaj jednak wąp-  
liwości, że wpadł w panikę i z tego powodu bardzo na mnie naciska,  
żebym jak najszybciej odnalazł rubin. - Nicholas potarł czoło.

Lucy przyglądała mu się ze współczuciem.

- Biedny chłopcze. My za to spędziłyśmy czas o wiele przyjem-  
niej. Z tą tu wspaniałą młodą damą przegadałyśmy całe popołudnie -  
poinformowała lady Van de Meer.

Lucy się zarumieniła.

- Bardzo dziękuję za miłe słowa.

- Ależ nie ma za co. Cieszę się, że Nicholas ma tak dobry gust.

Rozbawiony tymi słowami Nicholas, który chyba już nieco się  
rozpogodził, zerknął na Lucy. Zmieszała się pod jego spojrzeniem  
jeszcze bardziej i dlatego z ulgą przywitała pojawienie się lokaja  
z wiadomością, że kolacja jest już gotowa.

Wicehrabia podał jedno ramię kuzynce, drugie Lucy i przeszli do  
jadalni. Przy posiłku -jak zawsze smakowitym - zdołała nakłonić star-  
szą panią, żeby opowiedziała kilka historii z dzieciństwa Nicholas.

- Pewnego razu, podczas pobytu na wsi w posiadłości jego ro-  
dziców, wdrapał się na jabłonkę... - zaczęła.

- A co w tym dziwnego? Wszystkie dzieci wspinają się na drze-  
wa - przerwał jej, po czym ugryzł kawałek pieczonej wołowiny i za-  
czął ją wolno żuć.

Lady Van de Meer zachłysnęła się śmiechem.

- Tak, ale kiedy ogrodnik przyszedł się poskarżyć, że ten mały  
rozrabiaka ponadgryzał jabłka i zostawił je na gałęziach, żeby gniły,  
Nicholas nie tylko nie chciał zejść z drzewa, ale na dodatek obrzucił  
biednego ogrodnika gryzkami. Ojciec Nicholas nie był z tego po-  
wodu zadowolony.

- A tak - przyznał Nicholas. - Kazał mi, zresztą słusznie, prze-  
prosić ogrodnika, a potem musiałem przez trzy dni pomagać mu  
przy pielieniu grządek. No ale miałem wtedy sześć lat.

Lucy uznała, że opowieść jest zabawna, po czym powiedziała:

- Zdaje się, że już od najmłodszych lat nie znosiłeś się podpo-  
rządkowywać?

- Oczywiście - odparł, ale bez uśmiechu, jakby nagle coś go za-  
smuciło. Co się stało? Może przypomniał sobie o spotkaniu z księ-  
ciem, pomyślała Lucy.

Ale później, kiedy przenieśli się do salonu, nadal wydawał się  
nieobecny duchem. I nic nie zapowiadało, że nastrój mu się zmieni,  
nawet gdy lady Van de Meer poinformowała, że chce udać się na  
spoczynek.

Lucy, która w obecności starszej pani nawet nie śmiała myśleć  
o rozkoszach w bibliotece, ale przecież stęskniła się za bliskością

Nicholasa, nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zostaną sami. Kiedy już do tego doszło, ze zdumieniem stwierdziła, że Nicholas zamiast ją przytulić, ukłonił się tylko, nawet nie zamierzając pocałować jej na odchodne. Nadal wyglądał tak, jakby myślni był bardzo daleko.

Nie pozostawało jej nic innego tylko udać się za jego kuzynką. W sypialni czekała na nią Violet, chcąc pomóc w przygotowaniach do spoczynku. Paplała z zachwytem o nowych materiałach na suknie, ale Lucy nie miała ochoty do niej dołączyć.

Czyżby Nicholas, skoro przypomniano mu o stosownym zachowaniu, przestał się już mną interesować? - zastanawiała się.

Z takimi właśnie myślami oraz zamartwiając się o zaginiony klejnot i sytuację przyszłego monarchy Anglii, położyła się spać i oczywiście długo nie mogła zasnąć. A kiedy już zapadła w sen, śniły się jej same koszmary.



Następnego dnia Nicholas postanowił z samego rana wyruszyć na miasto, zamierzając kontynuować poszukiwania biura albo wynajętego przez męża Lucy pokoju. Spotkała go w holu akurat, kiedy zakładał kapelusz i wciągał rękawiczki.

- Chcesz, żebym ci towarzyszyła? - zapytała.

Nie patrząc jej w oczy, pokręcił odmownie głową.

- Kobiety rzadko zjawiają się w dzielnicy finansjery. Obawiam się, że wzbudziłabyś swoją obecnością niepotrzebne zainteresowanie - odparł. - Poza tym przyrzekłem księciu, że odwiedzę go koło południa. Zapewne teraz jeszcze śpi, więc poranek wykorzystam do własnych celów.

Biedak. Książę chyba nie myśli, że Nicholas będzie szukać rubinu i jednocześnie służyć mu za pocieszyciela? Wypowiedziała na głos swoje myśli, ale Nicholas tylko wzruszył ramionami.

- Racjonalne myślenie nie jest jego domeną. Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem.

Lucy musiała się tym zadowolić. Poszła do jadalni i usiadła do stołu. Lokaj podał jej talerz, na który nałożyła jajka i szynkę.

Po tym, co zostało ze śniadania, wywnioskowała, że Nicholas zjadł bardzo niewiele. Przypomniała sobie, że poprzedniego dnia, w czasie kolacji, apetyt także mu nie dopisywał.

Coś złego się z nim dzieje i nie chodzi o klejnot. Popijając herbatę, starała się odgadnąć, co kryje się za zachowaniem wicehrabiego.

Musiała jednak odłożyć na później te rozmyślania, ponieważ pojawiła się lady Van de Meer. Postanowili, że poranek spędzą razem, a Lucy, czując się bardzo swobodnie z nową znajomą, zaproponowała, żeby obejrzały muśliny, które kupiła.

- Piękne - orzekła starsza pani. - Znam wspaniałe sklepy, w którym tanio kupisz nici i guziki.

Kazały więc podstawić powóz i wspólnie wybrały się po zakupy. Odwiedziły kilka sklepów, w których Lucy za resztę pieniędzy dokupiła potrzebne dodatki oraz słomkowy kapelusik.

- Powinna częściej przyjeżdżać do miasta - oznajmiła lady Van de Meer, przymierzając stylowy kapelusz i przeglądając się w lusterku. Skinięła na sprzedawcę i kazała dodać kapelusz do pozostałych dwóch, które wcześniej wybrała. - Tylko że samej na zakupach jest bardzo nudno. Ale dzisiejsze wyjście sprawiło mi wielką przyjemność, moja droga.

- Mnie także - zgodziła się Lucy, poruszona życzliwym zachowaniem starszej pani.

Wracając, przejechały przez park, po czym wróciły do domu na obiad. Nicholasa oczywiście jeszcze nie było.

Po obiedzie zasiadły w salonie i zajęły się przeglądaniem „Beau Monde”, żeby zapoznać się z ostatnimi trendami w modzie. Violet rozłożyła na podłodze przed nimi materiały, a one decydowały, który do jakiego modelu sukni pasuje. W pewnej chwili do pokoju wszedł kamerdyner.

- Tak, Hodges? - zapytała lady Van de Meer.

Kamerdyner wskazał na stojących za nim dwóch postawnych lokajów. Taszczyli wielką skrzynię, którą następnie wnieśli do środka i ostrożnie postawili na orientalnym dywanie.

Lucy patrzyła na kufer ze zdziwieniem.

- A co to jest?

- Och! - wymamrotała lady Van de Meer. - Jak miło.

- Jego lordowska mość powiedział, że może będziecie, panie, chciały przejrzeć zawartość i zrobić z niej użytek - wyjaśnił kamerdyner.

Machnął na lokaja, na co ten natychmiast wyjął ściereczkę i przetarł wieko. Następnie Hodges powoli, jakby cieszył się z tego małego przedstawienia, podszedł do skrzyni i ją otworzył.

Obecne w salonie panie podeszły bliżej i zajrzały do środka, po czym rozległy się okrzyki zachwytu. Lucy, patrząc na mieniące się tysiącem kolorów jedwabie, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Jakież to piękne!

- Nicholas przywiózł je z Indii - poinformowała lady Van de Meer. - To dobry znak, że pozwolił do nich zajrzeć. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek po powrocie otwierał tę skrzynię.

Ktoś, prawdopodobnie gospodyni, włożył do niej suszone liście mięty, odstraszającej insekty, więc tkaniny, mimo że przeleżały w zamknięciu na poddaszu wiele lat, były w doskonałym stanie.

Lucy sięgnęła po pierwszy z brzegu kupon jedwabiu - zielony w złoty wzorek. Pod nim leżał następny, turkusowy. Materiał spływał jej po dłoni niczym wodospad. Pogładziła go i pokręciła głową.

- Nie mogę tego użyć.

- Ależ dlaczego nie, moja droga? - zdziwiła się lady Van de Meer, podobnie jak Violet.

- Z pewnością kupił je dla żony - wyjaśniła Lucy, czując ucisk w gardle na myśl o wieloletnim cierpieniu Nicholasa. - Czułabym się...

- Ale właśnie dlatego powinnaś je przyjąć, skoro postanowił ci je podarować. Wystarczająco długo odcinał się od tej tragedii - upierała się starsza pani. - To dobry znak, że zechciał pójść naprzód. Dobrze na niego wpływasz, Lucy. Nie wolno ci go teraz zawieść.

- Naprawdę tak pani myśli? - Lucy gładziła delikatny jedwab. Bardzo jej się podobał, ale nie chciała nieopatrznie zranić Nicholasa. Z drugiej strony, sam wpadł na pomysł podarowania jej materiałów.

- Jestem pewna - oświadczyła lady Van de Meer stanowczo. - I tylko pomyśl, masz już muślin na suknieienne, a teraz będziesz też miała materiał na kreacje wieczorowe. Ładnie ze strony Nicholasa, że o tym pomyślał.

I byłoby nieuprzejmie mu odmówić, pomyślała Lucy. Powoli poikiwała głową.

- Dobrze.

- Och, tak się cieszę! - zawołała Violet i zaraz się zaczerwieniła. - To znaczy... jestem pewna, że będą pięknie wyglądać, psze pani.

Tak więc już bez zahamowań oddały się planowaniu strojów, a kiedy Nicholas, nieco spóźniony, pojawił się na kolacji, Lucy serdecznie mu podziękowała. Jak zawsze lekceważąco machnął ręką.

- Szkoda, żeby się marnowały - powiedział szorstko. - Wolę dać je tobie, niż przystrajać nimi bydło.

- Słucham? - Lucy podniosła na niego zdumiony wzrok znad miętowego sosu, którym lokaj polewał pieczoną wieprzowinę.

- Och, czasami w Indiach w sari owija się krowy - wyjaśnił dość uroczystym tonem. - A na rogach wiesz się im dzwoneczki.

- Hindusi ubierają w sari zwierzęta? - Lucy podejrzewała, że Nicholas z niej żartuje.

- Tak. To takie podziękowania za mleko, które krowa dostarcza rodzinie. Robią tak w czasie świąt, które nazywają Pongal.

A więc jednak nie żartuje, a ona z taką ostrożnością obchodziła się z tymi materiałami.

- Mam rozumieć, że wjedwabie, które mi podarowałeś, były przystrajane krowy?

- Och nie, nie w te - zapewnił, w końcu się uśmiechając. - Nie podarowałbym ci czegoś, co było do tego celu używane.

- Mam nadzieję!

Lady Van de Meer wybuchła głośnym śmiechem, ale Lucy nadal spoglądała podejrzliwie na Nicholasa. On także się śmiał, choć zaraz znowu spoważniał.

Mimo że, tak jak dotąd, nadal był szczodry, to jednak coś się w nim zmieniło. Ta myśl nic dawała jej spokoju, nawet gdy zaczęli

rozmowę dotyczącą zaginionego rubinu. Nicholas zapoznał kuzynkę z historią jego zaginięcia, chociaż przemilczał rolę, jaką odegrał w sprawie męża Lucy, a lady Van de Meer była na tyle taktowna, że nie drażyła tematu.

Potem starsza pani pochwaliła się, że były z Lucy na zakupach i że sprawiła sobie nowe kapelusze. Lucy cały czas przyglądała się Nicholasowi i zauważyła, że ten prawie nic nie je, a tylko grzebie widelcem w talerzu.

Pewnie martwi się, że ich poszukiwania stoją w miejscu i że nie udało mu się odnaleźć biura Stanleya, jeśli w ogóle takowe istnieje.

- Ten przekłety rubin musi gdzieś być - powiedziała cicho, kiedy starsza pani nalewała dla nich herbatę w salonie. - Chyba nie w moim domu, bo przecież dokładnie go przeszukaliśmy, nie wspominając już o włamywaczach. Oni także go nie znaleźli, inaczej Brooks nie straszylby mnie w hurtowni. Jak sądzisz, czy w kradzieży brali udział tylko on i mój mąż?

Z niecierpliwością czekała na odpowiedź.

- Powiedziałas, że kiedy mówił o poszukiwaniach, używał liczby mnogiej - przypomniał jej Nicholas.

- Pamiętam, ale od tamtego czasu nic więcej się nie wydarzyło, nikt mi nie groził, nie żądał niczego ode mnie. W ogóle uważam, że powinnam już wkrótce przeprowadzić się do siebie. Nie chcę nadużywać twojej gościnności dłużej, niż to potrzebne.

- Nonsens - rzucił nie tyle stanowczo, ile raczej z zadumą. — Zresztą moja kuzynka przyjechała specjalnie ze względu na ciebie. Nie chciałaś chyba sprawić jej przykrości, skoro dopiero co się pojawiła.

Pokręciła głową.

- Oczywiście, że nie. Ale jeśli chodzi o rubin...

- Jestem na etapie sprawdzania wszystkich klubów. Próbuję się dowiedzieć, czy Stanley był ich członkiem albo przynajmniej je odwiedzał - wyjaśnił. - Jeśli to nas dokądś nie zaprowadzi, to sam już nie wiem. Może następnie przejadę się po hotelach i zajazdach. Tylko że to zajmie sporo czasu! Jesteś pewna, że nie miał żadnych krewnych, którym mógł dać klejnot na przechowanie?

Poza żoną? Nie. Lucy westchnęła.

- O nikim takim nie słyszałam - odpowiedziała, a po chwili, nie umiając się już powstrzymać, zawołała: - Nicholasie, powiedz mi, co się dzieje?!

Coś ich dzieliło. Widziała to za każdym razem, kiedy na nią spoglądał. Jego ciemne oczy, które zaczynały się przed nią otwierać, znowu zrobiły się nieprzeniknione. Dlaczego trzyma się na dystans?

Odwrocił od niej wzrok.

- Nic, kochanie. Jestem zły z powodu rubinu. Gdybyś tylko słyszała narzekania księcia. Każdego dnia rozpacza coraz bardziej.

Westchnęła. Podczas zakupów miała okazję zobaczyć nowe tytuły w gazetach oraz zamieszczone tam karykatury. Jak choćby ta: książkę leży w rozgrzebanej pościeli, a kobieta wamp wyszarpuje mu z kieszeni wspaniałą klejnot. **KSIAŻĘ WYSTRYCHNIĘTY NA DUDKA!** - głosiły nagłówki. „Times” pytał: **CZY MOŻEMY ZAUFAĆ ROZSAĐKOWI PRZYSZŁEGO KRÓLA?** I wiele innych.

Jednak, choć oczywiście Nicholas mógł być poirytowany sprawą rubinu, Lucy była przekonana, że chodzi o coś więcej. Przeszli na herbatę do salonu, gdzie lady Van de Meer przygrywała im na klawesynie. Pochwalili ją za ładną grę, a ona opowiedziała im o swoim pobycie na kontynencie. Spędziła tam większość życia i dopiero po śmierci męża wróciła do swojej posiadłości w Anglii, w której się wychowała.

- Tęskniłam za domem - powiedziała. - A ponieważ nie mieliśmy dzieci, bardzo lubiłam, kiedy Nicholas nas odwiedzał. Był z niego taki kochany chłopak.

Lucy zerknęła na tego „kochanego chłopaka”. Miał na swoim koncie sporo dobrych uczynków, a jednak w ogóle się z nimi nie obnosił. Za to w towarzystwie uchodzi za lekkoducha. Im więcej się o nim dowiadywała, tym bardziej była przekonana, że reputacja hulaki jest stanowczo przesadzona.

Kiedy w końcu lady Van de Meer poszła się położyć, Lucy podeszła do Nicholas, chcąc pogłodzić go po policzku. Odsunął się.

- Nie będę cię zatrzymywał - powiedział cicho.



Popatrzyła na niego i oblała się rumieńcem.

- Nie chciałam być natrętna, lordzie Richmond - rzekła oficjalnym tonem. - Jestem tylko... - Zamilkła, bo wstydziła się mu powiedzieć, że martwi się, ponieważ przez kilka ostatnich dni unika kontaktu z nią, nawet nie spogląda na nią czule, tak jak to czynił wcześniej. Z pewnością nie zamierzała iść w ślady Marion Tennett; nie będzie go ścigała niczym porzucona kochanka, którą już zdążył się znudzić.

Jednak w głębi serca przeczuwała, że jego oddalenie nie jest spowodowane znudzeniem. Nadal czuła, że między nimi istnieje emocjonalna więź, tyle że Nicholas nie pozwalał sobie na jej wyrażanie. Ale z jakiego powodu, tego nie wiedziała...

Nie potrafiła się opanować. Mimo że przyrzekła sobie, że podobnie jak on zachowa uprzejmy dystans, sięgnęła jednak dłonią do jego policzka.

W oczach zalśniło mu pożądanie, zeszywniał. Poglądził jej dłoń, ucałował delikatnie palce, ale zaraz łagodnie odsunął. Zarazem też przymknął oczy. Było jednak za późno: zanim to uczynił, zdążyła dostrzec jego zbolące spojrzenie.

- Co...? - Opuściła wzrok na swoją rękę, na żółtawy siniak na nadgarstku, pozostałość po uścisku Thomasa Brooksa, i przypomniała sobie krzyk Nicholasa oraz przerażenie na jego twarzy, kiedy zeszała z chodnika na jezdnię w czasie pościgu za lichwiarzem.

- To o to chodzi, prawda? - powiedziała. - Och, mój ukochany. Nikt nigdy nie jest bezpieczny. Miłość pojawia się bez żadnych gwarancji.

Milczał, więc odsunęła się od niego wolno. Tylko on sam może zdecydować, czy jest już gotowy na otwarcie serca, na pokochanie śmiertelnej kobiety, którą może mu odebrać wypadek, choroba lub przemoc.

Bardzo mu współczuła, a zarazem bardzo pragnęła go do siebie przytulić. Jednak musiała poczekać, aż dokona wyboru.

Pocałowała go lekko w czoło i poszła do siebie. Wiedziała, że tej nocy będzie się czuła bardzo samotna, i wiedziała, że to samo będzie przeżywał Nicholas.

Jaką decyzję podejmie? Czy przezwycięży stare lęki? Nie umiała tego przewidzieć. Poprawiła poduszkę, która dotąd tak wygodna, tej nocy wydawała się twarda jak kamień. Mimo to zaciskała powieki, pragnąc za wszelką cenę uciec od niepokojów w sen.

## 16

**O**budziła się następnego dnia tak zmęczona, jakby w ogóle się nie kładła. Nicholas zdążył już wyjść. Postanowiła zabrać się do szycia i wraz z Violet spędziły na tym prawie cały dzień, z kilkoma przerwami na przymiarki. W końcu nadszedł czas na popołudniową herbatę. Wypiła ją w towarzystwie lady Van de Meer, a potem razem wybrały się na przejażdżkę po Hyde Parku. Tam starsza pani natknęła się na znajomą z dzieciństwa. I ona, i przyjaciółka były zachwycone niespodziewanym spotkaniem.

Podczas gdy panie oddawały się pogawędce, Lucy leniwie przyglądała się siedzącej na ławce obok szczupłej dziewczynce w wieku około dziesięciu lat, która coś rysowała w szkicowniku. Robiła to z wielkim skupieniem, ze zniecierpliwieniem odrzucając z oczu opadający na nie ciemny kosmyk, który wysunął się jej z warkocza. Nieopodal siedziała z robótką ręczną jej guwernantka. Przed nimi po ścieżce powoli przechadzały się dwie panie w średnim wieku, a trochę dalej niezbyt wysoki młody mężczyzna zatrzymał się, by przyjrzeć się jakiejś roślinie. Pochylił się nad nią i, tracąc równowagę, mało co, a by się przewrócił. Tuż za nim przeszła para młodych ludzi, którzy trzymali się za ręce. Na ich widok Lucy ciężko westchnęła.

Lady Van de Meer pożegnała się w końcu z przyjaciółką, przyrzekając, że ją odwiedzi, po czym zaproponowała powrót do domu.

- Wielu z moich starych przyjaciół już nie żyje - wyjaśniła. - A z niektórymi w czasie pobytu za granicą po prostu straciłam kontakt. Dlatego czasami czuję się nieco osamotniona.

- Znam pewną damę, którą z pewnością pani polubi - oświadczyła Lucy, zachwycona, że może się czymś zrewanżować swojej przemiłej towarzysze. - Zabiorę panią do niej w najbliższą środę po południu; to dzień, w którym lady Sealey przyjmuje gości.

Po powrocie do domu przekonaly się, że Nicholasa nie ma, ale za to przysłał liścik z przeprosinami za nieobecność na obiedzie. Wyjaśniał w nim, że musiał zostać przy księciu, który nie chciał go od siebie wypuścić, twierdząc, że tylko towarzystwo Nicholasa jest w stanie uspokoić jego skołatanę nerwy.

Następnego dnia, w niedzielę, już całą trójką: Lucy, lady Van de Meer i Nicholas, wybrali się na mszę. Spotkali oczywiście kuzynkę Lucy i panią Broddy, ale nie zatrzymali się przy nich.

Kolejne dni toczyły się podobnym spokojnym tempem, aż nadeszła środa i tak jak przyrzekła, Lucy zabrała kuzynkę wicehrabiego na herbatkę do hrabiny Sealey, chcąc poznać ze sobą obie panie.

Już w chwilę po prezentacji siedziały obok siebie i z zapałem wspominały lata młodości i przygody, które były ich udziałem, zwłaszcza te przeżyte w Paryżu. Naigrawały się przy okazji z francuskich dżentelmenów, zawsze bardzo łasych na wdzięki angielskich dam. Lucy przysłuchiwała się opowieściom i śmiała się z nich wraz z innymi obecnymi w salonie paniami.

Potem nadszedł czwartek. Nicholas znowu został wezwany przez księcia, Lucy natomiast uznała, że nie da rady kolejnego dnia spędzić z igłą w dłoni, nawet jeśli oznacza to, że nie wszystkie suknie będą skończone na czas. Poza tym bezustannie myślała o zaginionym rubinie. Postanowiła, że nie może dłużej siedzieć bezczynnie i musi zacząć działać. Przecież obiecała, że będzie uczestniczyła w poszukiwaniach klejnotu.

- Mam zamiar przejechać się na wieś - powiadomiła lady Van de Meer. - Chcę odwiedzić moją podopieczną. - Użyła tego określenia nieprzypadkowo. W końcu zobowiązania jej zmarłego męża są także jej zobowiązaniami.

Starsza pani wyraziła chęć towarzyszenia jej, więc po wezwaniu powozu wyruszyły w drogę. Ponieważ dzień był wietrzny, a Lucy nie

miała nic ciepłego do okrycia, lady Van de Meer pożyczyla jej swój płaszcz.

Woźnica znał trasę, dlatego też Lucy, nie musząc go pilnować, mogła spokojnie pograć się w rozmyślaniach nad trapiącymi ją sprawami. Głównie martwił ją dystans, z jakim Nicholas nadal ją traktował, co dokuczalo jej nawet bardziej niż brak fizycznego kontaktu z nim. Bała się, że po tragedii z młodości nigdy już nie będzie w stanie nikogo pokochać, a jeśli tak, to nie pozostanie jej nic innego, jak tylko z godnością usunąć się z jego życia. Niemniej cierpiała na samą myśl, że może do tego dojść.

Na farmę dotarły około południa. Ich przyjazd obwieściło ujadanie psów. Zobaczyły, że z domu, wycierając ręce w fartuch, wybiega pani Taylor i kłania im się w pas.

Po serdecznym powitaniu zaproponowała paniom przechadzkę na pobliską łąkę, gdzie pasło się jej nowe stadko młodych owieczek. Lucy jednak odmówiła i poszła odwiedzić Eve.

Nie poznała jej, kiedy ta otworzyła drzwi. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że stojąca przed nią kobieta to Eve.

Zamiast wyuzdanej krótkiej koszuli miała teraz na sobie prostą sukienkę w jasnozieloną kratę, którą z pewnością sama sobie uszyła. Nie była to żadna kreacja, jak te, które szykowały Lucy i Violet, ale dziewczyna wyglądała w niej schludnie i zgrabnie. Z włosami splecionymi w warkocz, bez różu na policzkach, za to z naturalnymi kolorami, będącymi oznaką zdrowia wyglądała o wiele młodziej niż wcześniej.

- Och, to pani! - Eve nisko się pokłoniła.

- Mogę wejść? - zapytała Lucy. - Przejechałam sprawdzić, jak się miewacie, ty i twoja córeczka.

- Ależ oczywiście, proszę pani! - zawołała Eve, rumieniąc się. - Proszę wejść. - Szerzej otworzyła drzwi i Lucy weszła do środka.

Była zadowolona, widząc, że w chacie jest czysto i roznosi się w niej zapach świeżo pieczonego chleba. Stożące w rogu łóżko było porządnie zasłane, a w kominku palił się ogień. Kołyska z dzieckiem stała w odpowiedniej odległości od niego.

Lucy podeszła bliżej.

- To pani Taylor była tak miła i pożyczyła mi tę kołyskę - poinformowała Eve.

Lucy zajrzała do dziecka. Ono także miało na sobie nowe, choć proste ubranko, i tak jak matka wyglądało zdrowiej. Spało teraz, odychając równo i spokojnie.

Lucy poczuła ukłucie w piersi, ale nie chciała w tej chwili oddawać się żalowi. Gdyby miała dziecko... cóż, obecnie jest to raczej niemożliwe. Pochwaliła Eve, mówiąc, że jej córeczka wygląda bardzo dobrze, na co dziewczyna cała się rozpromieniła.

- Też tak uważam, proszę pani. I coś mi się wydaje, że nawet trochę urosła. Dzięki uprzejmości pani Taylor mam dla niej dużo świeżego mleka. Poza tym pani Taylor przyucza mnie do pracy w mleczarni i nawet jest ze mnie zadowolona. Zajmowałam się tym w młodości i na szczęście nie wszystko zapomniałam. Zwłaszcza dojenie krów dobrze mi idzie.

- To wspaniale - powiedziała Lucy. - Cieszę się, widząc, że jesteś tu szczęśliwa.

- Och, proszę pani, tu jest jak w niebie. - Eve westchnęła. - Nie wiem, jak mam pani dziękować. - Szybko zamrugała powiekami, a Lucy, dostrzegając jej wzruszenie, poczuła się nim wręcz zakłopotana.

- I pomyśleć, że tyle dobrego spotyka mnie od żony Stanleya. Ja... - Dziewczyna podniosła fartuszek do oczu. - Tak mi przykro, że to ja jestem tą, z którą... - Zamilkła.

Lucy poklepała ją po ramieniu.

- Uwierz mi, że cię nie osądzam - zapewniła. - Wprawdzie rzeczywiście nie udało nam się z mężem zbliżyć do siebie, jak tego pragnęłam, ale nie ciebie za to obwiniam. Stanley był dziwnym człowiekiem, miał swoje słabości, i nawet gdyby nie związał się z tobą, znalazłby sobie kogoś innego. Cóż... Tobie przynajmniej na nim zależało, jak mi się wydaje.

- Och tak, proszę pani. Był dla mnie bardzo dobry. Nie tak jak inni. - Eve znowu otarła oczy.

Lucy przypomniała sobie początki swojego małżeństwa i wdzięczność, jaką czuła dla Stanleya za to, że zabrał ją z domu kuzynki Wilhelminy.

- Tak, czasami potrafił być wielkoduszny - przyznała, wzdychając, bo pomyślała, że jako młoda dziewczyna z głową pełną marzeń, które nigdy nie miały się ziścić, wykazała się zaiste ogromną naiwnością.

- Tak nam było dobrze w naszym ptasim gniazdku i... och, nie powinnam opowiadać pani tego wszystkiego. Pewnie to panią boli. Proszę mi wybaczyć. Okazała mi pani tyle dobroci, że przez cały czas się za panią modłę. Proszę Boga, żeby obdarzył panią taką samą łaską, jak mnie - wyznała Eve.

Lucy odsunęła od siebie gorzkie wspomnienia.

- Najważniejsze, że udało ci się wyrwać z... tamtego życia i że dziecko Stanleya ma szansę dorastać w zdrowiu i bezpieczeństwie.

Jakby wiedziała, że o niej mowa, dziewczynka poruszyła się niespokojnie i zapłakała. Lucy przyglądała się, jak Eve, podbiegłszy do kołyski, bierze małą na ręce.

- Pójdę już - odezwała się - ale będę cię co jakiś czas odwiedzała, więc nie musisz martwić się o swoją przyszłość.

Eve nisko się jej ukłoniła i otworzyła drzwi.

Lucy westchnęła. Była pewna, że wicehrabia zaopiekuje się dziewczyną i jej dzieckiem, nawet jeśli jej samej nie będzie na to stać. Był za dobrym człowiekiem, by tego nie uczynić. Nie rozumiała, dlaczego tak się stara pokazać światu twarz cynika, podczas gdy wystarczy tylko trochę się mu przyjrzeć, żeby zobaczyć, że wcale taki nie jest.

Może sam nie chce przyznać się przed sobą do wrażliwości, sądząc, że tym sposobem uchroni się przed skutkami tragicznych wydarzeń, które niesie ze sobą życie. Nie chce być już tak ufnym jak w dzieciństwie, bo doświadczenie nauczyło go, że czasami los odbiera człowiekowi to, co ceni sobie najbardziej.

W ponurym nastroju Lucy stanęła przed domem zarządców. Zamieniła kilka słów z panią Taylor, po czym wraz z lady Van de Meer

odeszły do powozu i wyruszyły w drogę powrotną. Nicholas nie pojawił się na obiedzie, więc opowieść o wizycie u Eve musiała pozostać na później.

Następnego dnia, zaraz po obudzeniu się, uzmysłowiła sobie, że to właśnie dzisiaj ma się odbyć bal u księcia regenta. Przeszedł ją dreszcz niepokoju.

- Musi się pani zdecydować, którą suknię chce włożyć na bal, żebyśmy zdążyły ją wykończyć - stwierdziła Violet, także trochę zdenerwowana wielką galą.

A może książę odwoła bal? - zastanawiała się Lucy. Zewsząd sypią się na niego słowa krytyki, a od Nicholasa słyszała, że nawet zwołano specjalne posiedzenie w Izbie Lordów, na którym ma być dyskutowana kwestia nieszczęsnego rubinu. Była naprawdę zdziwiona, kiedy się okazało, że fetajednak się odbędzie.

Dowiedziała się o tym od Nicholasa, który wybiegając z domu po pospiesznie spożytym śniadaniu, w odpowiedzi na jej pytanie pokręcił głową.

- Nie. Wprawdzie rzeczywiście kilka razy chciał wszystko odwołać, ostatecznie postanowił nie ugiąć się przed krytyką i wydać bal. Moim zdaniem słusznie - dodał. - Ten jeden raz musi odegrać rolę, którą los mu przypisał. Co do nas, to postaram się wrócić na tyle wcześniej, żebyśmy zdążyli dotrzeć na miejsce punktualnie - rzekł, ukłonił się i wyszedł.

Tylko suchy ukłon - sarknęła w duchu Lucy - kiedy ona marzy o znalezieniu się w jego ramionach i gorących pocałunkach!

Wróciła do swojego pokoju, żeby zastanowić się nad wyborem sukni. Najbardziej podobała jej się zielona zjedwabiu, chociaż niebieska, mimo że miały z Violet trochę problemów z wykończeniem dekolту, też była niczego sobie.

Nie potrafiła podjąć decyzji.

- Znieśmy je na dół i zapytajmy o zdanie lady Van de Meer - zaproponowała. Zeszły z Violet do salonu i we trzy przyglądały się każdej sukni po kolei. Przerwał im lokaj, który stanął w drzwiach z podłużnym kartonem w rękach.

- To dla pani, madame - zwrócił się do Lucy.

Zaraz po jego wyjściu szybko odwiązała sznurek i zdjęła z pudła przykrywkę.

Wstrzymała oddech, a Violet jęknęła.

- Och, jak miło! - zakrzyknęła lady Van de Meer.

W pudle leżała suknia. Była wprost bajeczna; uszyta z satyny, w szkarłatnym kolorze, przetykana mieniącą się złotą nicią. Miała modny dekolt i dół przyozdobiony wąską falbaną.

Obok leżały pasujące do niej torebka i koronkowy wachlarz. Lucy patrzyła na zawartość pudła szeroko otwartymi oczami. Suknia wyglądała na nową, a nawet uszytą na miarę. W porównaniu z nią suknie, które zrobiły z Violet, przypominały podomki. Po prostu miała przed sobą małe dzieło sztuki, które musiało być warte fortunę! Ale kto...

Popatrzyła na baronową.

- Lady Van de Meer, czy pani...

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Nie, drogie dziecko, choć żałuję, że o tym nie pomyślałam. Niemniej muszę powiedzieć, że ta suknia jest prześliczna i jakby wręcz dla ciebie stworzona.

W takim razie może to prezent od lady Sealey? - zastanawiała się Lucy. Ponownie zerknęła na kuzynkę Nicholasa, przypuszczając, że to ona wspomniała coś o balu hrabinie, a wtedy hrabina... Ale przecież były u niej zaledwie poprzedniego dnia. Nikt nie uszyłby podobnej sukni w tak krótkim czasie.

- Nie wiem, czy wypada mi przyjąć tak drogi prezent - powiedziała z wahaniem, choć przyciskała do siebie suknię, z niechęcią myśląc o odłożeniu jej do pudła.

Violet skrzywiła się, a lady Van de Meer pokręciła głową.

- Moja droga, ktokolwiek ci ją przysłał, uczynił to z miłości. Nie wolno odrzucać tego typu podarunków.

- No właśnie, psze pani - zgodziła się Violet. - Będzie w niej pani wyglądała jak księżniczka.

Lucy roześmiała się z przesadzonego jej zdaniem komplementu niemniej przyłożyła suknię do siebie, jeszcze bardziej zachwycona

jej krojem. Och, tylko ten jeden raz, powiedziała w duchu, mimo że wiedziała, iż ta decyzja ujawnia jej słabość.

Popołudnie zeszło na gorączkowych przygotowaniach, w końcu wzięła długą kąpiel, a potem zasiadła przed toaletką, żeby Violet mogła ułożyć jej włosy.

W pewnej chwili zajrzała do nich lady Van de Meer. W rękach trzymała małe obciążone welurem puzderko.

- Myślę, że będzie to doskonały dodatek do sukni - powiedziała. - Zrób mi tę grzeczność i włóż to na dzisiejszy specjalny wieczór.

Lucy otworzyła puzderko, w którym leżał złoty, wysadzany perłami grzebyczek.

- Och, jaki piękny! - zakrzyknęła. - Bardzo jest pani łaskawa.

Violet od razu wpięła go we włosy i aż pojaśniała, przyglądając się efektowi swojej pracy.

Lucy także się uśmiechnęła.

- Żałuję, lady Van de Meer, że nie idzie pani z nami - powiedziała.

Wiedziała, że Nicholas zaoferował się, iż postara się dla niej o zaproszenie, ale odmówiła.

- Cóż, minęły już czasy, kiedy bawiłam się na balach i przyjęciach. Zwłaszcza na dworze królewskim - odparła. - Ale ty, kochanie, wyglądasz tak ślicznie, że z pewnością będziesz miała udany wieczór. Życzę ci tego z całego serca. Tobie i Nicholasowi.

- Bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że życzenia się spełnią - odrzekła Lucy z cieniem powątpiewania w głosie. Obróciła się do lustra i aż otworzyła usta, zaskoczona obrazem, który ujrzała: piękną damę, całą w szkarłatach, z jasnymi lokami luźno okalającymi twarz. A więc naprawdę wybiera się na bal! Kto jeszcze miesiąc temu pomyślałby, że tak się potoczają losy? Postanowiła, że wszelkie zmartwienia związane z zaginionym rubinem, z Nicholasem i z przyszłością pozostawi sobie na następny dzień. Ten wieczór... ten wieczór jest niczym z bajki i chce się nim cieszyć. Poprosiła jeszcze Violet, żeby przyniosła jej lśniący brązowy szal i udrapowała go na ramionach, po czym zeszła na dół.

Nicholas już czekał u stóp schodów. Kiedy ją ujrzął, w oczach pojawił się mu błysk zachwytu i czułości. Natychmiast zapomniała, że od wielu dni niepokoiła się jego emocjonalnym chłodem.

- Wyglądasz przepięknie - powiedział. - Zresztą wiedziałem, że tak będziesz wyglądała.

Wiedział? No tak, wcale się nie zdziwił, kiedy zobaczył jej nową suknię. Lucy zamrugła, nagle wszystko pojmując.

- Pudło - mruknęła.

Uniósł brwi.

- Nie rozumiem, co za pudło?

- Pudło ze znakiem firmowym... krawcowej. Takie samo, jak to, w którym był płaszcz. Kazałeś go dla mnie uszyć w zamian za ten, który straciłam w Little Hedding - wyjaśniała oskarżycielskim tonem. - A więc nie myliłam się, myśląc, że ta suknia jest od ciebie!

Uśmiechnął się półgębkiem.

- No cóż, wprawdzie nie chciałaś mojej pomocy w uzupełnieniu garderoby, ale jestem uparty i postanowiłem cię nie posłuchać. Taki już ze mnie impertynent.

- Och, Nicholasie, nie mów tak - zaprotestowała, zapominając, że przecież to ona sama często zarzucała mu wyniosłość i arogancję. - Jesteś najmilszym, najbardziej szczerym...

Pochyliła się, chcąc go pocałować, ale on, zamiast przyciągnąć ją do siebie, jak tego oczekiwała, tylko musnął ją ustami i zeszywniał.

Czując się odrzucona, jakby co najmniej ją od siebie odepchnął, zagryzła usta i się wycofała.

- Wybacz - wyszeptała, mocno mrugając powiekami, żeby się nie rozpłakać.

Z ulgą przyjęła pojawienie się lokaja, który poinformował ich, że powóz już czeka. Poszła pierwsza, nie oglądając się na Nicholasa.

Odjechali, nie wymieniając ze sobą jednego słowa. Wbiła się w kąt, starając się nie patrzeć na milczącego towarzysza, ale w duchu wyrzucała mu, że jest taki nieprzystępny i tak nieracjonalnie się zachowuje. Czowała się zraniona i zła, a zarazem pragnęła nie dopuścić, żeby cokolwiek zepsuło jej nadchodzący wieczór.

- Nie chciałam zmuszać cię do... do... - zaczęła niepewnie.

Powóz zalała ciemność, bo przejeżdżali przez uliczkę, która nie była oświetlona latarniami. I właśnie z tego mroku doszedł ją głos Nicholasa. Był przepełniony cierpieniem. Nie mogła wyraźnie dostrzec wyrazu jego twarzy, tylko jej zarys, ale ton głosu mówił sam za siebie.

- Lucy, jesteś bliska mojemu sercu, ale...

Ale boi się zaangażować, bo nie chce znowu oddać swojego życia w ręce niepewnego losu. Tak jak się tego spodziewała, strach przed utratą nie pozwoli mu nikogo pokochać.

- Zakładnicy losu. Tak pewien sławny pisarz nazwał swoją żonę i dzieci - powiedział łamiącym się głosem. - I im większa miłość, tym większe ryzyko. Ja... może w ogólnym rozrachunku jestem jednak tchórzem, kochanie.

Nabrała głęboko powietrza. Nie zdobędzie go, ani użalając się nad nim, ani okazując mu głębię swojego uczucia. Zresztą nie chciała go niczym zdobywać. Jeśli ma do niej przyjść, musi to uczynić z własnej nieprzymuszonej woli, inaczej ich związek, jakkolwiek by był, skończy się, zanim na dobre zdąży się rozwinąć.

Resztę drogi przebyli już w całkowitym milczeniu. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, na widok imponującej fasady Carlton House i szeregu wysokich kolumn prowadzących do tego rozległego budynku Lucy pomyślała, że powinna poczuć przynajmniej cień zdenerwowania.

Jednak głowę zaprzętały jej o wiele poważniejsze sprawy niż wytworne bale, nawet te wydawane przez księcia. Dlatego też, kiedy wysiadała z powozu, podtrzymywana dłonią wystrojonego lokaja, czuła w sobie tylko niecodzienny spokój. Przyjęła ramię wicehrabiego i prostując się dumie, ruszyła z nim do głównego wejścia. Przeszli przez bramę pilnowaną przez strażników w galowych mundurach i weszli do środka.

Dopiero tutaj, uzmysłowivszy sobie, że znalazła się w rezydencji królewskiej, poczuła lekkie zdenerwowanie. Otaczało ją mnóstwo lśniących pozłacanych przedmiotów - jeszcze nigdy nie widziała ta-

kiego przepychu! Pomieszczenia wydawały się olbrzymie; Nicholas opowiadał jej kiedyś o bibliotece wysokiej na dwanaście metrów.

Przyglądała się bogatym draperiom, ciężkim kotarom w oknach, pozłacanym krzesłom i wazonom na stołach, tak gęsto upstrzonym złotymi rycinami, że nie umiała powiedzieć, co przedstawiają.

Ale przecież nie spodziewała się, że przyszły monarcha ma prosty gust.

Podążając za innymi gośćmi, zaczęli wspinać się na schody. Wielka sala była już przepełniona po brzegi, a hałas, jaki w niej panował, był niewyobrażalny - uderzył w nich, kiedy zatrzymali się w wejściu, czekając, aż lokaj obwieści ich przybycie, tak jakby ktoś mógł to usłyszeć!

Nigdzie nie widzieli księcia. Może wcześniej czekał przy drzwiach na gości, ale teraz gdzieś zniknął.

- Czy jesteśmy spóźnieni? - zapytała szeptem Nicholasa.

- Tak, ale w dopuszczalnym wymiarze - odparł, rozglądając się dokoła. - Już teraz proszę cię o wybaczenie, jeśli księżę odwoła mnie na bok.

Lucy spróbowała nie pokazać po sobie niezadowolenia. Tylu tu obcych... ale nie, da sobie radę.

- Naturalnie - odparła.

Wprowadził ją bardziej w głąb sali i wtedy usłyszała niewyraźną muzykę. Widocznie gdzieś za tłumem ludzi stała orkiestra.

- Ale zanim mnie dostrzeże, zanim pójde się przywitać, możemy choć raz zatańczyć - dodał Nicholas.

Właśnie zdołała spostrzec przez tłum pary wirujące na lśniącym parkiecie. Tańczono walca.

Zanim zdążyła zaprotestować i powiedzieć, że nie zna kroków, Nicholas już porwał ją w ramiona i wciągnął między tańczących.

- Nicholasie! - zakrzyknęła, ale on, objawszy ją lewą ręką w pasie, ruszył w tan. Prowadził pewnie: raz w prawo, raz w lewo, potem obrót.

Taniec nie był tak trudny, jak jej się wydawało, więc dość szybko pojęła jego kroki. Podobnie szybko nauczyła się łapać rytm, kiedy się

kochali, gdy Nicholas był jeszcze bliżej niej niż teraz. Muzyka ich opływała. Słyszała tylko ją, odcinając się od szumu rozmów; czuła się prawie tak szczęśliwa, jak w czasie ich intymnych zbliżeń.

Ona i Nicholas, ręka w rękę, razem mierzący się z życiem. Dlaczego on nie pojmuje, że to jedyny sposób, żeby przetrwać przykre niespodzianki, które los zawsze trzyma w zanadrzu?

Nie, nie, nie myśl o tym teraz, powiedziała do siebie w duchu. Po prostu oddaj się tańcowi, daj się prowadzić partnerowi, wsłuchaj się w czyste dźwięki skrzypiec, które nadają kierunek melodii. Czuj się tak, jakbyś płynęła po niebie w promieniach zachodzącego słońca, a nie po wypolerowanym parkiecie, otoczona przepychem błyszczącej od złota sali balowej.

Kiedy wreszcie muzyka ucichła, jakoś nie mogła oderwać się od Nicholasa. Spojrzał na nią, a ona wyczuła, że zaraz...

Wtedy usłyszała głośny okrzyk:

- Richmond, tu jesteś!

Nicholas westchnął, a w jego oczach pojawił się wyraz zawodu.

- Musimy pójść pokłonić się księciu. Chodźmy, kochanie - wymamrotał.

Poprowadził ją przez tłum na środek sali, gdzie księżę, z twarzą jeszcze bardziej czerwona niż zawsze, stał w otoczeniu sporej grupki przyjaciół i dworzan. Nicholas złożył mu głęboki pokłon, Lucy dygnęła.

- Miło cię widzieć, moja droga - powiedział księżę, po czym natchmiał zwrócił się w stronę wicehrabiego. - Jakieś nowe wieści, Richmond?

- Nie, wasza wysokość, niestety jeszcze nie - odparł ten ze spokojem.

Księżę westchnął. Ściszywszy głos, przyciągnął do siebie Nicholasa, co widząc, Lucy odsunęła się, a po chwili uznawszy, że nic tu po niej, oddaliła. Przyjęła kieliszek szampana od przechodzącego obok służącego i upiła łyk skwierczącego od bąbelków napoju. Otaczali ją sami arystokraci: wytwornie odziane damy i ich partnerzy o kamiennych twarzach. Dawna Lucy wpadłaby już w panikę, czując się wśród

tych dumnych ludzi jak wiejskie dziewczę; tak o niej mawiała kuzynka Wilhelmina. Ale to już przeszłość... Spojrzała w wiszące na ścianie oprawione w złotą ramę lustro i stwierdziła, że prawie nie zna kobiety, którą w nim zobaczyła. Chodziło o coś więcej niż tylko o piękną suknię i biżuterię. Kobieta z lustra miała w oczach wyraz pewności siebie, która to pewność sprawiała, że twarz emanowała spokojem.

Upiła łyk szampana, przy okazji widząc, że w jej stronę podąża młody ciemnowłosa mężczyzna.

- Dobry wieczór - powiedział, po czym nisko się uklonił. - Poznaliśmy się na salonach u księżnej. Czy mogę prosić o ten taniec?

Popatrzyła w stronę parkietu. Orkiestra grała prostą, skoczną polkę. Znała jej kroki, bo matka nauczyła ją w dzieciństwie.

- Oczywiście - odpowiedziała i położyła dłoń na ramieniu mężczyzny.

Przetańczyli dwa utwory, po których Lucy poprosiła partnera, żeby odprowadził ją do poślaczanych krzeseł, stojących na obrzeżach sali. Wdali się w uprzejmą pogawędkę, ale ona co i raz zerkała w stronę środka salonu, gdzie stał księżę. Niestety, Nicholas nadal był przez niego okupowany.

Pojakimś czasie młody mężczyzna pożegnał się i odszedł, a jego miejsce zajęła postawna starsza dama. Miała na sobie bardzo bogatą ciemnozieloną suknię i dużo biżuterii. Chyba zmęczyła się tańcem, bo lekko dyszała, a z czoła skapywały jej kropelki potu.

- Trochę tu duszno, prawda? - zauważyła Lucy, na co kobieta skinęła głową.

- Straszne tłumy - powiedziała, wachlując się ręcznie malowanym wachlarzem.

Lucy sięgnęła po torebkę, która, kiedy tańczyła, wisiała u jej nadgarstka, i wyjęła z niej wachlarz. Przez jakiś czas rozmawiała z nieznaną.

Potem z tłumy wyłoniła się postać, na której widok z trudem udało jej się pohamować grymas niezadowolienia. Była to Marion Tennett w jasnozielonożółtej sukni, ze sznurem opali na szyi i koliczkami z tymi samymi kamieniami w uszach.

- Jak miło znowu cię widzieć, droga Lucy! - zawołała. - Panią także, pani Barton.

Kobieta oddała jej uprzejmości, po czym wstała.

- Proszę wybaczyć, ale muszę panie opuścić. Właśnie dostrzegłam osobę, z którą pragnę zamienić słówko.

Lucy niestety nie zdążyła posłużyć się podobną wymówką i nim się obejrzała, Marion siedziała już obok niej, jakby rzeczywiście były dobrymi znajomymi.

- Dobrze się bawisz? - zapytała, przyglądając się wirującym parom. - Nicholas jest wspaniałym tancerzem, prawda?

- Tak, to prawda - zgodziła się Lucy. Czy tej wścibskiej kobiecie nic nie umknie? - A co do dobrej zabawy, to i owszem, bawię się wyśmienicie. Bal jest oszołamiący.

- Widzę, moja droga, że szybko się wspinasz po szczeblach drabiny towarzyskiej - mruknęła Marion, studząc twarz wachlarzem. - Znajomość z Nicholasem najwyraźniej ci się opłaciła.

Lucy zagryzła usta. Postanowiła w duchu, że nie da się wytrącić z równowagi tej - jak ją Nicholas nazwał? - sekutnicy.

- Cóż za piękna suknia. Chyba od dobrej krawcowej?

- Rzeczywiście jest piękna - odparła ostrożnie Lucy, zachowując czujność.

- Cieszę się, że fortuna tak znacząco odwróciła się na twoją korzyść. Czyżbyś odziedziczyła niespodziewany spadek?

Lucy uniosła brwi zdumiona.

- A skąd przypuszczenie, że do tej pory fortuna mi nie sprzyjała?

- Och, bo twój mąż zawsze tak się skarżył na brak fundusów...

Lucy popatrzyła na rozmówczynię jeszcze bardziej skonsternowana.

- Mówiłaś, że prawie go nie znałaś. Wątpię, żeby Stanley dzielił się z obcymi tak osobistymi informacjami.

- Trochę jednak go znałam, bo od czasu do czasu grywał w karty z moim mężem - mruknęła Marion, wzruszając ramionami. - Stąd też wiem, że zdarzało mu się sporo przegrywać.

Słowa kobiety dały Lucy do myślenia.

- Naprawdę? - mruknęła. - Grywał z twoim mężem...? Może na salonach u księżnej?

- Tu i tam. Atak w ogóle to straszny był z niego nudziarz. Cieszę się, widząc, że już zapomniałaś o tym, co go spotkało na Bird's Nest Lane - burknęła Marion. - Zresztą nic dziwnego. Przy Nicholasie można zapomnieć o wszystkim.

Lucy uniosła dumnie głowę, zdecydowana nie dać się zranić złośliwymi uwagami. Poza tym coś ją zastanowiło w tym, co Marion powiedziała. Bird's Nest Lane? To znaczy Aleja pod Ptasim Gniazdem. Eve wspominała coś o ptasim gniazdku, miejscu, w którym ona i Stanley byli tacy szczęśliwi. Myślała, że dziewczyna po prostu użyła przenośni, ale... och, wielki Boże!

Marion Tennett przyglądała się jej uważnie.

- Co się stało? - zapytała.

Lucy przekłęta w duchu swoją twarz, na której wyraźnie odbijała się każda jej myśl. Na szczęście Marion nie zna jej tak dobrze jak Nicholas, więc nie pojmie, co się zdarzyło. Nicholas... właśnie. Trzeba mu szybko o wszystkim powiedzieć.

Odwróciła się, chcąc odejść, ale ku jej zdumieniu Marion pochwyliła ją za nadgarstek. Skrzywiła się; ręka nadal ją jeszcze bolała po spotkaniu z Brooksem.

- Wybacz, ale muszę odnaleźć Nicholas... muszę... Pewnie mnie szuka.

- Nie przypuszczam - wyszczała Marion przez zaciśnięte usta.

Jakaż ona jest pełna wrogości i jaka zazdrosna, pomyślała Lucy, zbierając się w sobie, żeby wyrwać dłoń. Marion była niższa od niej i chyba słabsza.

Zaraz jednak przekonała się, że nie ma znaczenia, kto jest słabszy, a kto silniejszy, bo jej towarzyska, sięgnawszy do zielonej satynowej torebki, z całkowitym spokojem, jakby był to wachlarz lub chusteczka, wyciągnęła z niej mały, lecz wyglądający na ostry, sztylet.



Lucy zamarła.

Marion, zasłaniając ostre narzędzie rękawem sukni, pchnęła ją w stronę osłoniętej kotarami wnęki.

Lucy cofała się i po przejściu przez kotarę zatrzymała dopiero na ścianie wyłożonej lśniącą tapetą.

- Mów, o czym pomyślałaś - zaczęła Marion. - Tylko nie kłam, bo widziałam błysk w twoich oczach. Gdzie jest rubin?

- Ty? - Lucy wpatrywała się w jej piękną, ale bezbarwną twarz. - To ty pomogłaś Stanleyowi i Brookesowi wykraść rubin?

- A od kogo Stanley miałby się o nim dowiedzieć? Twój kochany mężulek nie miał przecież dostępu do wyższych sfer - wyszczała. - Powiedział mu o nim mój mąż. William natomiast wiedział o tym, że rubin ma być sprowadzony z Indii od księcia, który mu się przechwalał, że chce nim udekorować szaty koronacyjne! I to ja dostrzegłam okazję do zbitcia fortuny. Mielibyśmy z mężem zapewnioną przyszłość do końca życia. Na księcia nie można liczyć, bo wcześniej czy później odsunąłby nas od siebie, jak to zrobił z wieloma niby to bliskimi mu osobami z otoczenia.

- Ale książę wam ufał! - zawołała Lucy. - Ufał twojemu mężowi. Jak mogliście tak się mu odpłacić?

- Z przyjaźni z nim wynieśliśmy tylko karciane długi - odwarknęła Marion. - Żeby żyć na poziomie, jaki odpowiada księciu, trzeba być bardzo bogatym. A mój William jest za słabym graczem, żeby na kartach zarabiać, a nie tracić. Dlatego też, kiedy w podrzędny klubie natknął się na twojego męża, uznał, że trzeba go skaptować do naszego przedsięwzięcia. Stanley był tak zadłużony, że z łatwością dało się go pchnąć w ręce lichwiarza, którego mu William polecił. Poza tym nikt by za nim nie płakał, gdyby coś mu się przytrafiło w trakcie kradzieży albo gdyby trzeba go było już po wszystkim uciszyć.

Lucy poczuła się tak, jakby ktoś wrzucił ją do lodowatej wody. Czy to możliwe, że ludzie potrafią być aż tak bezduszni? Wpatrywa-

ła się w zimne oczy Marion, w których nie dostrzegła nawet cienia współczucia.

- I okazało się, że Stanley wystawił was do wiatru - powiedziała wolno. - Może domyślał się, co zamierzacie z nim zrobić po kradzieży i dlatego, kiedy zdobył już rubin, uciekł z nim, zamiast wam go oddać.

Oczy Marion zabłyśły. Podniosła rękę i przystawiła jej do szyi ostry koniec sztyletu. Lucy zamarła w bezruchu.

- Powiedz mi, o czym pomyślałaś - naciskała - inaczej stanie ci się krzywda!

- A jeśli nie, to co? Zamordujesz mnie? Na balu? Przecież wokół pełno jest ludzi - rzuciła z powątpiewaniem Lucy.

- Tutaj jesteśmy same!

- Ale ktoś z pewnością widział nas, jak wchodziliśmy za kotarę - odparła spokojnie Lucy z nadzieją, że stojąca przed nią kobieta, w której oczach malowało się autentyczne szaleństwo, odzyska zdrowy rozsądek. - Nie jesteśmy na ciemnej opustoszałej ulicy. Tym razem morderstwo nie ujdzie ci płazem!

Powiedziała za dużo. W zeszlonych gorączką oczach Marion zobaczyła błysk zrozumienia.

- Bird's Nest Lane! To właśnie powiedziałam... coś tam jest na tej ulicy, prawda? Jakaś kryjówka Stanleya?

Lucy zakłęta pod nosem, zarazem czując, że ostry koniec sztyletu wbija się jej w skórę, rozcinając ją. Zaraz ta szalona kobieta naprawdę poderżnie jej gardło.

Postanowiła działać. Zrzuciła z ramion szal i z całych sił uderzyła w rękę trzymającą sztylet. Znowu poczuła na szyi mocne ukłucie, więc ponownie zebrała się w sobie i naparła na Marion. Ta się zachwiała.

- Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! - zawołała na cały głos Lucy.

Wyrzucając z siebie przekleństwa godne ulicznika, Marion nagle określiła się na pięcie i wybiegła za kotarę.

Lucy dotknęła obolałej szyi. Była wilgotna od krwi. Nabrała powietrza, żeby się uspokoić i także opuściła alkowę.

Oddaliła się od niej kilka kroków, nie umiejąc się przez chwilę odnaleźć. Mijali ją pogrążeni w rozmowie balowicze; wpadła na nią roztańczona para. Z trudem utrzymała równowagę.

Marion zniknęła. Gdzie jest Nicholas!

Tak jak przypuszczała, stał w centralnym punkcie sali, tam gdzie zebrał się najgęstszy tłum otaczający księcia. Wieki jej zajmie, zanim się tam przedrze. Musi jakimś sposobem zwrócić na siebie uwagę Nicholasa, i to szybko. Zawołanie go mijało się z celem; nie usłyszał by jej przez głośną muzykę i szum rozmów.

Rozejrzała się. Nieopodal stał stół zastawiony przekąskami. Między ciastami, ciasteczkami i innymi słodkościami dostrzegła wazę z owocami... Nicholas i jabłka... Sięgnęła po jedno i namierzyła obiekt, modląc się, by umiała wykazać się taką samą celnością jak on w dzieciństwie.

Zamachnęła się i rzuciła.

Przez jedną przerażającą chwilę sądziła, że pocisk trafi w rękę przyszłego monarchę, który gestykułując w czasie opowieści, właśnie ją uniósł. Na szczęście tak się nie stało i jabłko wylądowało tam, gdzie miało wylądować: na piersi Nicholasa. Nie słyszała odgłosu uderzenia, ale widziała, że Nicholas ze zdumieniem patrzy na owoc, który po upadnięciu na ziemię potoczył się między nogi stojących obok osób.

Podniósł oczy i się rozejrzył. Napotkał jej rozgorączkowane spojrzenie.

Powiedział coś do księcia, a potem zaczął przedzierać się przez tłum. Podeszedł do niej ze zmarszczonym czołem.

- Masz krew na szyi - zauważył szeptem, chwytając ją za ramię. - Co się stało?

- Marion miała nóż... - zaczęła.

- Marion? - zdumiał się. Z oczami pałającymi wściekłością dotknął jej szyi. Ucieszyła się, widząc, że tak się przejął. Nieważne, co do tej pory mówił lub czego nie odważył się powiedzieć - jego reakcja świadczy o tym, że mu na niej zależy.

- Trzeba znaleźć wodę i opatrunek, żeby zatamować krwawienie - powiedział z troską. Chciał się odwrócić, ale przytrzymała go, łapiąc za rękę.

- Nie ma na to czasu. Ona się wszystkiego domyśliła... Nicholasie, wiem, gdzie jest rubin!

- Co?! - wykrzyknął, wpatrując się w nią intensywnie.

- No, może nie do końca. Ale wiem, że jest gdzieś na Bird's Nest Lane. Wygląda na to, że Stanley i Eve wynajmowali tam pokój albo mieszkanie - od początku przypuszczałam, że Stanley nie chciałby spotykać się z Eve w takim miejscu jak ta spelunka w Little Hedding. Przede wszystkim był na to zbyt wybredny. Pewnie Eve przeprowadziła się do Jace'a po śmierci Stanleya, kiedy zabrakło jej pieniędzy.

- Znasz dokładny adres?

Pokręciła głową, czując przy tym, że z rany znowu sączy się krew. Nicholas wyciągnął z kieszeni chustkę, którą krzywiąc się, przycisnęła do szyi.

- Nie, ale musimy tam pojechać natychmiast. Marion domyśliła się, że nazwa ulicy ma coś wspólnego z rubinem, i nie wątpię, że już tam jada z mężem. To oni stoją za kradzieżą rubinu. Wciągnęli do spisku Stanleya, szantażując go długami i...

Nicholas już jej nie słuchał, tylko się rozglądał.

- W takim razie muszę iść... muszę wezwać powóz. Ale najpierw dopilnuję, żeby ktoś się tobą zajął...

- Och, nie! - Lucy nabrała powietrza. - Jadę z tobą. Mam z Marion porachunki do wyrównania. Poza tym przyda ci się pomoc.

- Lucy!

- Nie ma czasu na kłótnie, chodźmy - powiedziała stanowczo. Ruszyła w stronę wyjścia, ignorując zdumione spojrzenia innych gości, zaszokowanych zakrwawioną chusteczką u jej szyi.

Zeszli na dół, do holu, gdzie Nicholas zatrzymał lokaja i kazał mu sprowadzić swój powóz. Lucy nie czekała, tylko wybiegła w ciepłą noc.

- Nicholasie, co to za zamieszanie?

Wyszedł za nią, wpatrując się w mrok.

- Wygląda na to, że ktoś chciał zawrócić powóz i mu się nie udało; uderzył w następny, tym sposobem tarasując cały podjazd. Chyba będziemy musieli udać się na miejsce pieszko.

Lucy oderwała chusteczkę od szyi - krwawienie chyba ustało - i zatknęła ją za szarfę w pasie. Nicholas pochwycił ją za rękę i razem pobiegli chodnikiem, omijając tamujące ruch powozy i zdenerwowanych woźniców, kłócących się, z czyjej winy doszło do karambolu. Wbiegli w mrok.

Świetnie się składa, że Nicholas tak dobrze zna Londyn, pomyślała Lucy. Gdyby była sama, zgubiłaby się już po pierwszej minucie marszu. Na szczęście jej towarzysz wiedział, którymi ulicami się poruszać, a nawet skracał drogę, korzystając z bocznych uliczek.

Biegła obok niego, dysząc ciężko, nieprzywykła do takiego wysiłku. W trzeciej z rzędu alei Nicholas nagle przyciągnął ją do siebie.

- Uważaj! - ostrzegł.

Z mroku wyłoniła się czyjaś sylwetka; cień zaczął się do nich zbliżać.

- Dawać mi tu wszystkie błyskotki - usłyszeli zachrypnięty głos. Stał przed nimi niski, ale barczysty mężczyzna; w rękach trzymał nóż. Znowu nóż!

- Obawiam się, że nic z tego, bracie - odparł spokojnie Nicholas. Podszedł do oprycha, omijając zręcznie jego rękę wymachującą nożem, i zadał mu cios w brzuch. Napastnik upuścił broń na ziemię i z jękiem zgiął się wpół. Nicholas odkopnął nóż w bok, pochwycił dłoń Lucy i pobiegli dalej.

W pewnej chwili poczuła, że dłużej nie znieśie rozsadzającego bólu w piersiach, który uniemożliwiał jej oddychanie, i będzie musiała się zatrzymać, ale właśnie minęli najbardziej zatłoczone ulice i znaleźli się w spokojniejszej okolicy, gdzie łatwiej już było natknąć się na wolną dorożkę. I rzeczywiście po chwili jakaś się przy nich zjawiła, więc Nicholas ją zatrzymał i rzuciwszy woźnicy gwineę wraz z adresem, wskoczył razem z Lucy do środka. Ta z ulgą opadła na pachnące stęchlizną siedzenia, wreszcie łapiąc oddech.

- Musimy jako pierwsi odnaleźć rubin - wydyszała. - Bo jeśli uprzedzą nas Marion i jej mąż, możemy o nim zapomnieć. Uciekną z nim poza granice kraju. Przypuszczam, że plan ucieczki mają ustalony już od dawna.

W mroku panującym we wnętrzu dorożki nie mogła dostrzec wyrazu twarzy Nicholasa, ale widziała, że skinął głową.

Dorożka w końcu dowiozła ich do celu i się zatrzymała. Wyskoczyli na chodnik i rozejrzeli się po wąskiej uliczce.

- Tam jest piwiarnia - zauważyła Lucy. - Może pójdziemy do niej i czegoś się dowiemy.

Nicholas zastanowił się, zanim odpowiedział.

- To nie jest bezpieczna dzielnica. Musimy uważać, co powiemy i ile. - Nagle zamilkł, a twarz mu stężała.

- Co się stało?

- Byłem tu w noc po zaginięciu klejnotu. Z Marion... Dziwiłem się nawet, że wybrała sobie na schadzkę takie obskurne miejsce! Ale i tak się z nią umówiłem, bo chciałem zapełnić sobie czas oczekiwania na wiadomość od posłańca, że rubin bezpiecznie dotarł do Anglii. Cóż ze mnie za głupiec!

- Pewnie mieli się tu spotkać po kradzieży, tyle tylko, że nie wzięli pod uwagę planów Stanleya - dodała Lucy, na siłę odpychając od siebie myśli o Marion w objęciach Nicholas'a.

- A ten najpierw ukrył rubin i dopiero potem przybył na spotkanie. No i zażądał okupu - ciągnął ponuro Nicholas. - Rozwścieczeni tym i przestraszeni, Marion i jej mąż zabili go, wcześniej jednak nie sprawdzając, czy ma klejnot przy sobie. Wejźmy najpierw do tego zajadu.

Zaczął walić w drzwi, aż otworzył im mężczyzna w nocnej koszuli i w brudnym czepku. Niestety, nic nie wiedział o żadnym Stanleyu Contrainie. Być może Stanley użył fałszywego nazwiska, pomyślała Lucy. Podczas gdy Nicholas dalej wyduszał z zaspanego osobnika cokolwiek się dało, dostrzegła, że wewnątrz zajadu, przy schodach, stoi wystraszona dziewczyna, chyba pokojówka.

Lucy zrobiła kilka kroków w głąb korytarza.

- Znasz kobietę o imieniu Eve, o ciemnych włosach, dość tęgą. Rok temu mieszkała gdzieś na tej ulicy? - zapytała szeptem.

Dziewczyna sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

- A kto chce wiedzieć?

- Nikt, kto chciałby ją skrzywdzić. Muszę tylko się dowiedzieć, gdzie mieszkała wraz ze swoim... mężem - wyjaśniła uspokajająco Lucy.

- Ale ona już tam nie mieszka. Wyprowadziła się wiele miesięcy temu - rzuciła pokojówka, z zakłopotania kręcąc końcówkami szala, którym miała osłonięte ramiona. - A ten jej mąż zginął. Słyszałam, że przejechał go powóz. Została z niego miazga.

Lucy się skrzywiła.

- Tak, wiem. Powiedz mi tylko, gdzie mieszkali.

Pokojówka zbliżyła się i szeptem podała jej adres. Lucy natychmiast zwróciła się do Nicholasa - ten z groźnym wyrazem na twarzy nadal przepytывał zaspanego i rozeźlonego właściciela zajazdu - i wspiąwszy się na palce, także szeptem przekazała mu to, co usłyszała od dziewczyny. Popatrzył na nią i skinął głową, po czym wsunął jej do ręki monetę, żeby mogła, wróciwszy do przestraszanej pokojówki, wynagrodzić ją za informację. Zaraz potem pożegnali się i wyszli.

Drzwi za nimi zamknęły się z hukiem, ale nie zwrócili na to uwagi, bo biegli już przed siebie na wschód. W połowie przecznicy Lucy się zatrzymała.

- Tam jest dom z zakrzywionym dachem — pokazała.

Znowu zaczęli dobijać się do drzwi i znowu otworzył im mężczyzna, tym razem chudy i z posiwiałymi skroniami, który wyglądał na jeszcze bardziej wściekłego niż poprzedni. A choć wahał się, czy odpowiedzieć na zadane przez Nicholasa pytanie, po wyrazie oczu i ustach, które na chwilę szeroko otworzył, widać było, że nazwisko Contrainjest mu dobrze znane.

- A ile ta informacja jest dla pana warta? - zapytał.

Nicholas pochwycił go za ramiona.

- A tyle, że jeśli powiesz prawdę, to możesz być spokojny, iż twój zajazd ostatecznie się w jednym kawałku!

Mężczyzna próbował mu się wyrwać, ale Nicholas z łatwością go przytrzymał.

- Już w porządku. Myślałem, że uda mi się zarobić kilka groszy, to wszystko. Zresztą pokój jest teraz pusty. Od czasu jak ta dziew-

czyna się wyprowadziła, wynająłem go tylko jeszcze dwóm osobom. Zalegają mi dziesięć szylingów.

Lucy przymknęła oczy. Czyżby było za późno?

- I tak chcemy go obejrzeć - oświadczył Nicholas.

Oświetlając drogę świeczką pachnącą tanim woskiem, mężczyzna poprowadził ich w górę po schodach i korytarzem do trzecich drzwi.

Otworzył je i uniósł świecę, żeby mogli obejrzeć wewnątrz. W pokoju stały tylko łóżko, kilka krzeseł, stół i rozpadająca się szafa.

Nicholas chciał wziąć świecę, ale właściciel zajazdu nie chciał jej oddać. Nicholas rzucił mu więc kilka monet i już ze świecą w ręku wszedł do pokoju i zabrał się do pospiesznych poszukiwań. Niestety, niczego nie znalazł.

Lucy, rozczarowana tym, zaczęła gorączkowo myśleć.

- Czy coś pan stąd wynosił? - zapytała, odwracając się do właściciela zajazdu. - Mam na myśli czas, kiedy ta kobieta... Eve się stąd wprowadziła?

Wzrok mężczyzny stał się niespokojny. Kilka razy zamrugał powiekami.

- Była mi winna pieniądze za wynajem, więc miałem pełne prawo co nieco sobie wziąć.

Nicholas odstawił świecę i pochwywszy go za brudną koszulę, potrząsnął nim jak workiem kartofli.

- Gadaj, co to było!

- Och, tylko jakiś złoty łańcuszek i jeden miedziany dzbanek. Nic wielkiego.

Nic, w czym mógłby być ukryty rubin, pomyślała Lucy.

- Coś jeszcze?

- To wszystko - odparł mężczyzna, ale oczy znowu zaczęły mu latać.

Nicholas ponownie nim potrząsnął.

- Mów, co jeszcze zabrałeś.

Właściciel zamrugał.

- Tylko kilka rupieci. Wszystko wstawiłem na poddasze, ale jak powiedziałem, miałem do tego prawo: byli mi winni pieniądze.

Nicholas zerknął na Lucy.

Oboje byli zaintrygowani.

- Pokaż nam te rzeczy.

Klnąc pod nosem, mężczyzna poprowadził ich chybottliwymi schodami na ostatnie piętro. Lucy wzięła od niego świecę i uniosła ją najwyżej, jak mogła. W rogu pomieszczenia dostrzegła górę mebli. Między innymi stała tam pusta cynowa podstawa do miednicy i krzesło z połamanym oparciem, na którym leżała sterta ubrań. Wstrzymała oddech.

Nicholas szybko podszedł do krzesła, obszukał wszystkie kieszenie w ubraniach i każde zgięcie, po czym odwrócił się, kręcąc przecząco głową.

Usłyszeli pospieszne kroki za sobą. To właściciel zajazdu zbiegał na dół. Czy sprowadzi na nich kłopoty? Lucy żałowała teraz, że nie zabrali ze sobą kogoś jeszcze. Powinni byli przed wyjściem powiadomić o wszystkim księcia. Tylko że ten z pewnością wpadłby w histerię i nim zdążyliby go uspokoić, po rubinie dawno by już nie było śladu.

No tak, ale gdzie on jest?

Nicholas obchodził poddasze, sprawdzając każde pudełko, każdy kosz; podnosząc leżące tam brudne koce i narzuty.

Lucy w tym czasie rozglądała się dokoła i starała się wpaść na jakiś pomysł. Gdzie Stanley mógłby ukryć rubin? Z pewnością nie w byle jakim miejscu - lubił mieć wszystko przemyślane.

I nagle głośno sapnęła. Nicholas, który to usłyszał, popatrzył w jej stronę.

- Tam! - krzyknęła, wskazując na coś palcem. W odległym kącie pomieszczenia, prawie niewidoczna w mroku, stała kołyska, której cztery rogi były zakończone ręcznie rzeźbionymi kulami.

Czy to możliwe, że w środku którejś z nich...?

Jak zawsze Nicholas odgadł jej myśli. Podbiegł do kołyski i wyciągnął ją spod innych sprzętów, które prawie w całości ją zakrywały.

- Sprawdź najpierw kule - zasugerowała.

Zapukał delikatnie w jedną, potem w drugą. Trzecia dawała inny odgłos niż poprzednie.

Lucy wstrzymała oddech. Nicholas spróbował przekreślić kulę, która rzeczywiście po chwili się poruszyła, a na koniec spadła mu do ręki.

Była wydrążona, a w wydrążeniu leżał poszukiwany przez nich kamień.

Lucy sapnęła. O Boże, sławetny rubin, przez który tak wielu ludzi straciło życie! Był naprawdę piękny.

Nicholas wyjął go delikatnie i położył sobie na dłoni. Kamień lśnił, mimo że jedynym światłem było to dochodzące od słabego płomienia świecy.

Stanley też musiał mieć go w rękach po śmierci kuriera, pomyślała Lucy. (Nadal miała nadzieję, że mąż nie brał udziału w planowaniu i popełnieniu morderstwa). A kiedy tak z nim stał, zapewne marzył o bogactwie i szczęśliwej przyszłości.

Westchnęła. Ciekawe, czy pragnął bogactwa tylko dla siebie, Eve i ich dziecka, czy może zamierzał dalej prowadzić podwójne życie, z żoną w Cheapside i kochanką na Bird's Nest Lane. Nigdy już się tego nie dowie.

Ale za to mają rubin...

- Oddaj mi go - rozległ się niespodziewany głos. Lucy podskoczyła tak energicznie, że świeca omal nie wypadła jej z ręki.

Na szczycie schodów z pistoletem w dłoni stał William Tennett. Zza jego pleców wyglądała Marion. Uśmiechała się zwycięsko i patrzyła na nich z pogardą.

Lucy stała w miejscu jak wmurowana. Nicholas także się nie poruszył.

- Oddaj mi go - powtórzył William Tennett. - I nie spodziewaj się, że ten tchórzliwy właściciel przyjdzie ci z pomocą. Dostał porządnie po głowie i jeśli w ogóle, to ocknie się dopiero za jakiś tydzień.

- Masz tylko jeden nabój - zauważyła Lucy, dziwnie spokojna. - A nas jest dwoje.

- Zapomniałaś o sztylcie - ostrzegła Marion.

- Nie, nie zapomniałam - odparowała. - Ale już raz próbowałam go użyć i ci się to nie udało.

- Nicholas nie pozwoli, żeby to ciebie dosięgła kulka! - warknęła Marion. - Mimo pozorów, jakie stwarza, jest za słaby na to, żeby patrzeć na krzywdę kobiety. Nigdy, kiedy byliśmy... blisko, nie podniósł na mnie ręki, a daję słowo, że nieraz go prowokowałam. Odsuńcie się i oddajcie nam rubin!

- Sama mówiłaś, że Nicholasowi na mnie nie zależy - przypomniała jej Lucy, mając nadzieję, że jej towarzysz nie da się wyprowadzić z równowagi. - Cóż znaczą ją? Ważniejszy jest rubin, który musi wrócić do księcia. Strzelajcie, Nicholas i tak da sobie z wami radę.

William Tennett, niższy i grubszy od wicehrabiego, a także sporo starszy, wyraźnie się zawahał.

Ale Marion była bardziej od męża uparta lub po prostu bardziej chciwa.

- Zastrzel wicehrabiego - rozkazała. - Jest silniejszy i przez to bardziej niebezpieczny. Ją zostaw mnie.

Nicholas zrobił krok przed siebie, ale Lucy stała bliżej zbrodniczej pary. Widząc, że William Tennett unosi pistolet i gotuje się do strzału, zdmuchnęła świecę.

Na poddaszu zaległy całkowite ciemności.

Przez chwilę panowała cisza, potem padło przekleństwo, a za nim ogłuszający wystrzał. Czy kula poleciała w pustkę, czy może raczej Nicholas leży ranny na ziemi? - zastanawiała się z przerażeniem Lucy.

Nie mogła tego sprawdzić. Nawet gdyby odważyła się zapalić świecę, to i tak nie miała czym.

- Nicholasie, czy jesteś ranny?! - zawołała z rozpaczą w głosie.

Nie było odpowiedzi. Opadła na kolana, próbując odszukać ciało po omacku. Potem usłyszała stęknięcie, jęk i odgłosy walki.

Domyślała się, że walczą mężczyźni, ale ich nie widziała. Ruszyła w stronę, skąd dochodziły odgłosy uderzeń, musiała się jednak cofnąć, bo dwa ciała przetoczyły się obok jej stóp przy wtórze przekleństw i chrapliwych oddechów.

A gdzie Marion ze sztyletem?

Lucy postanowiła zostawić Nicholasa, ufając, że pokona przeciwnika, i zaczęła się czołgać w stronę miejsca, gdzie wcześniej stała Ma-

rion. To ona jest teraz największym zagrożeniem. Z pewnością doszła już do wniosku, że w tej chwili jedyną szansą na odzyskanie rubinu jest zabicie Nicholasa. Bo z nią spokojnie dadzą sobie radę we dwójkę.

I właśnie kiedy o tym myślała, wyczuła lekki powiew powietrza, jakby ktoś obok przechodził. Nadal jednak nic nie widziała.

Któryś z mężczyzn zawył z bólu.

Boże, czy to był głos Nicholasa? Czy przeklęty rubin znowu zebrał swoje żniwo? Lucy rzuciła się przed siebie, ale zaraz uderzyła w twardy przedmiot i ponownie upadła na kolana. Jednak nie przedstawiała się czołgać do miejsca, z którego doszedł ją okrzyk bólu. Kurz wdzierał się jej w nozdrza.

Nagle na kogoś wpadła. Wyczuła miękki materiał zakończony koronkami. Marion!

Chciała złapać za rąbek sukni, ale przed nosem przeleciała jej stopa. Potem zobaczyła zbliżającą się do jej twarzy dłoń z zakrzywionymi palcami. Starła się ją odepchnąć.

A gdzie sztylet?

Palce z ostrymi paznokciami wbijały się jej w policzki, rozdierając skórę, szarpały za włosy. Mimo bólu Lucy nie puszczała dłoni napastniczki, czekając, kiedy ta wykona pchnięcie nożem.

Znowu usłyszała świst powietrza, więc natychmiast się odsunęła. Rozległ się trzask rozdieranego jedwabiu, ale jej samej nic się nie stało. Mimo to, cała spięta, czekała na następny cios.

Marion, mamrocząc coś pod nosem, zmieniła pozycję, szukając się prawdopodobnie do zadania nowego pchnięcia. W końcu udaje jej się dosięgnąć celu.

Lucy, która nadal klęczała zaplątana we własną suknię, pochwyciła przeciwniczkę za nogi i pociągnęła za nie ze wszystkich sił, chcąc sprawić, by Marion straciła równowagę.

Nagle rozległ się okrzyk przerażenia, który przeszedł w wysoki pisk. Marion z łomotem staczała się po schodach.

Schody! Z powodu ciemności Lucy już dawno straciła orientację, więc nie miała pojęcia, że są w pobliżu. Niestety, jej przeciwniczka miała okazję się o tym przekonać.

- Lucy! - usłyszała znajomy głos. - Lucy, jesteś ranna?

- Nic mi nie jest! - odrzyknęła. - A tobie?

Kierując się w stronę głosu, wpadła na krzesło i straciła talerz, który z hukiem roztrzaskał się o podłogę. Krzywiąc się, bo ostry odłamek wbił się jej w dłoń, czołgała się dalej i w połowie poddasza natknęła się na Nicholasa i na jego wyciągniętą rękę. Złapała ją, a on przyciągnął ją do siebie.

Lucy zaczęła badać dłońmi pierś Nicholasa, ale nie wyczuła nigdzie żadnej rany. Potem jego twarz, mokrą albo od potu, albo od krwi. Nie mogła tego stwierdzić, choć ostry odór, który wyczuwała, wskazywałby raczej, niestety, na to drugie.

- Postrzelił cię? - zapytała szeptem, mocniej przywierając do piersi Nicholasa.

- Kiedy świeca zgasła, położyłem się na podłodze, więc kula mnie ominęła. Tylko dzięki tobie. A ty, kochana, jesteś ranna?

Czułe słowo sprawiło, że gardło jej się zacisnęło.

- Nie, poza kilkoma zadrapaniami. Gdzie jest William?

- Za nami. Udało mi się go zwalić z nóg, ale żeby go związać, zresztą jego własnym fularem, musiałem na nim usiąść. Co z Marion?

- Zdaje się, że albo spadła, albo zsunęła się ze schodów - odparła cicho Lucy. - Musimy się pospieszyć. Mogła pójść po posiłki. Bez trudu znajdzie w tej okolicy oprycha...

- W takim razie nie mamy czasu do stracenia - zgodził się. Ale mimo tych słów nadal trzymał ją w objęciach, przesuując ręką po jej ciele, jakby on też chciał się upewnić, że jest cała i zdrowa. - Myślałem, że to ty spadłaś z tych schodów - powiedział jej do ucha głosem, w którym słychać było i ból, i strach.

Och, Nicholasiu, pomyślała. Czy kiedykolwiek jeszcze zaryzykujesz i kogoś pokochasz?

Podnieśli się i ruszyli w stronę wyjścia. Wysuwając przed siebie ręce, kaszląc od kurzu, który wzbijał się przy ich każdym kroku, dotarli wreszcie do schodów. Schodzili po nich ostrożnie, stopień po stopniu.

Na dole zobaczyli Marion. Leżała na ziemi, w koronkach, z nogami i rękami wykrzywionymi w dziwny sposób. Spadając, musiała skrócić kark... Już nigdy nie będzie mogła snuć podłych intryg.



Na widok jej martwego ciała Lucy poczuła nagłą lodowatą pustkę. To prawda, że Marion była morderczynią i nie zasługiwała na liść, ale jednak... Zadrzała.

Kiedy Nicholasowi udało się zatrzymać dorożkę i kiedy do niej wsiedli, zaczęła głośno się obwiniać.

- Zabiłam ją. To przeze mnie straciła życie. To ja zepchnęłam ją ze schodów.

- Nie zrobiłaś tego umyślnie - zauważył Nicholas, mocno ją do siebie tuląc. - Gdyby przeżyła, z pewnością zawisłaby na stryczku, co zresztą niechybnie czeka jej męża. Przynajmniej umarła szybko i nie cierpiała.

- Możliwe. - Lucy znowu zadrzała. Oparła się o ramię towarzysza, starając się już o niczym nie myśleć, ale nagle wyprostowała się, jakby o czymś sobie przypomniwała.

- Nicholasiu, a rubin! Gdzie on jest?

Uśmiechnął się. Nie widziała jego twarzy wyraźnie, bo ulice były prawie nieoświetlone.

- W mojej kieszeni, kochana. Wsunąłem go tam, zanim William mnie dopadł. Naprawdę nie chciało mi się jeszcze raz grzebać w tych śmieciach na poddaszu, i to w dodatku w całkowitych ciemnościach.

Roześmiała się. W tej chwili dorożka się zatrzymała.

- Zdaje się, że dojechaliśmy najdalej, jak się dało - orzekł Nicholas. Wysiedli i po opłaceniu woźnicy, trzymając się za ręce, ruszyli ulicami w stronę Carlton House.

Niestety, stojący w bramie strażnik nie chciał ich wpuścić.

Lucy wcale to nie zdziwiło. Przyjrawszy się Nicholasowi w świetle lamp, zobaczyła, że jego płaszcz nie dość że rozdarty

w dwóch miejscach, to jeszcze był cały poplamiony i zakurzony Fular miał do połowy rozwiązany

A ona sama - popatrzyła w dół na swoją balową suknię. Była porozdzierana i poplamiona, podobnie jak płaszcz Nicholasa. A jej włosy? W całkowitym nieładzie, ze złotym grzebyczkiem sterczącym nad uchem. Do jednego policzka przykleiła się jej pajęczyna. I jeszcze rana na szyi, która nadal ją piekła...

Nicholas jednak nie zamierzał się poddać. Wyprostował się dumnie i zmierzył strażnika swoim najbardziej wyniosłym spojrzeniem.

- Jestem wicehrabia Richmond i muszę natychmiast się widzieć z księciem regentem. Książę mnie oczekuje, więc dobrze radzę, proszę nas przepuścić!

No i oczywiście po tak majestatycznie wypowiedzianym oświadczeniu strażnik zmienił zdanie i wpuścił ich za bramę. Nicholas złapał Lucy za rękę i ruszył przed siebie, ale tak szybko, że aby za nim nadażyć, musiała prawie biec.

Wpadli na salę balową, nadal jeszcze pełną gości i przepychając się przez tłumy, dotarli do środka, tam gdzie, jak poprzednio, stał książę otoczony dworzanami.

Na ich widok goście zaczęli szemrać między sobą, ale rozstępowali się, ustępując im z drogi.

Książę, kiedy ich dostrzegł, ze zdziwienia otworzył szeroko usta.

- Richmond, a co to ma być?

Nicholas pokłonił się, Lucy dygnęła.

- Oto zaginiony klejnot, wasza wysokość. Królewski Rubin z Mandalay.

Rozległy się okrzyki i piski podekscytowania. Oczy księcia zrobiły się okrągłe.

- Jesteś... jesteś pewien?

Nicholas sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyciągnął z niej rubin, po czym ostrożnie wysunął dłoń, pokazując księciu jej zawartość.

Wielki rubin zamigotał niczym czerwona gwiazda. W sali zapadła głucho wypełniona zachwytem cisza. Nawet książę wstrzymał oddech.

- Och, niesamowite - wymamrotał w końcu. - Richmond, jesteście nieoceniony. Wiedziałem, że ci się uda.

Sięgnął po rubin i unióś go wysoko, tak żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Rozległo się głośne westchnienie zgromadzonych. Goście i służba wbili wzrok w szkarłatny cud. Lucy przyjęła to z ulgą, ciesząc się, że już nikt nie wpatruje się w nią ani w Nicholasa. Nie prezentowali się przecież najlepiej.

- Wezwijcie straż - rozkazał książę. Lucy zaśmiała się w duchu, że teraz, po odzyskaniu rubinu i uniknięciu skandalu, książę może wreszcie pozwolić sobie na królewski ton. - Wezwać straż. Przynajmniej tuzin ludzi. Tam do diabła, niech będzie cały pułk! Niech odniosą rubin do skarbcza, do innych królewskich klejnotów. Nie oddam go nikomu, dopóki straż się tu nie zjawi.

- Tak jest, wasza wysokość - rzucił ktoś z jego świty, po czym wybiegł.

Goście stopniowo zaczęli wznawiać rozmowy; znowu dał się słyszeć szum podekscytowanych głosów.

- Należy ci się za to tytuł hrabiowski, Richmond! - zawołał radośnie książę. - Albo cokolwiek innego, równie wspaniałego. I, och Boże, czy to... moja droga, masz krew na szyi. Wiesz o tym?

Wydawał się autentycznie przejęty.

Lucy popatrzyła w dół na swoją suknię, która jeszcze przed dwiema godzinami była nieskazitelnie czysta.

- Obawiam się, że tak, wasza wysokość.

- Ktoś powinien panią natychmiast opatrzyć, pani... och, niestety, zapomniałem pani nazwiska, moja droga. - Książę obejrzał się na Nicholasa, u niego szukając pomocy.

Ten lekko się uśmiechnął.

- Proszę mi pozwolić przedstawić waszej wysokości panią Lucy Contrain, moją przysłą żonę, wicehrabinę Richmond. Oczywiście, jeśli mnie zechce.

Przez chwilę Lucy myślała, że się przesłyszała.

- Nicholasie?

Niestety, nie mógł jej odpowiedzieć, bo musiał skupić się na księciu, który zaczął klepać go po ramieniu, a potem, złapawszy za rękę,



trząść nią mocno i długo. Przestał dopiero, gdy pojawiła się cała armia - tak przynajmniej uznała Lucy - strażników odzianych w czerwone mundury, którzy mieli eskortować rubin do skarbcza. Nicholas skorzystał z okazji i poprosił księcia o zgodę na odejście.

- Jutro, od razu z samego rana, każę wam wysłać te przyrzeczone pięć tysięcy funtów! - zawołał za nimi. - Nie, co najmniej dziesięć tysięcy!

Lucy popatrzyła ze zdumieniem na Nicholasa, ale on nie zatrzymywał się, tylko prowadził ją szybko przez tłum do wyjścia, a potem do powozu, w którym zasiedli z westchnieniem ulgi.

Nie rozmawiali, kołysani przez pojazd, który stopniowo nabierał prędkości. Wprawdzie jeszcze na sali balowej Lucy miała mnóstwo pytań, ale teraz nagle w jej umyśle zapanowała pustka. Zupełnie nie wiedziała, co ma powiedzieć.

- Dobrze się czujesz, kochana? - zapytał Nicholas, zaglądając jej w oczy.

- Mam wrażenie, że śnię - odparła. - Czy jesteś pewien?

Zrozumiała ją.

- Całkowicie.

- Ale wydawało mi się, że się boisz...

- Och, bo tak jest. Odtąd będę się o ciebie bał każdego dnia - odpowiedział z westchnieniem. - Będę się bał o twoje zdrowie, kiedy zakaszlesz, i o twoje bezpieczeństwo, kiedy wybierzesz się sama na przejażdżkę po parku. Ale cóż. Kiedy usłyszałem, że ktoś spada ze schodów, i pomyślałem, że to ty, postanowiłem, że jeśli tylko uda się nam wyjść z tego przeklętego domu z życiem, nie zmarnuję już ani chwili, ani jednego dnia. Chcę mieć cię zawsze przy sobie.

Na usta Lucy, zachwyconej siłą uczucia w głosie ukochanego oraz tym, jak gładził palcami jej policzek, zaczął wypływać promienny uśmiech.

- Nicholasiu, ale ty przecież nie powiedziałeś mi jeszcze, że mnie kochasz - wytknęła mu.

Wyglądał na oburzonego.

- Jak to nie powiedziałem?

- Choć nieraz to udowodniłeś - ciągnęła, przywołując z pamięci wszystkie jego uczynki, małe i duże, od dnia, w którym się poznali, a które świadczyły o jego trosce o nią. - O tak, mój drogi, twoje zachowanie już dawno mi mówiło, co do mnie czujesz. Niemniej, jak to ty, zamiast zapytać, czy chcę za ciebie wyjść, zarządziłeś, że tak ma być.

- Och! - krzyknął cicho, przestając się uśmiechać. - Lucy, najdroższa, chyba nie powiesz: nie? Powiedz, że mi nie odmówisz. Nie zniósłbym tego!

- Nic - odparła, ale widząc jego szeroko rozwarte oczy i malującą się w nich konsternację, roześmiała się i dodała: - Tak, to znaczy, nie, nie odmówię ci. Zgadzasz się? Mówię: tak. Dobrze wiesz, ty arogancki człowieku, jak bardzo cię kocham!

Chciała powiedzieć coś więcej, ale Nicholas pochylił się i zaczął ją całować. Było to tak wspaniałe, że natychmiast zapomniała o wszystkim, co jeszcze cisnęło się jej na usta.

Dopiero później, kiedy dojeżdżali do jego domu, zapytała cicho:

- Książę chyba żartował z tym hrabiowskim tytułem, prawda?

W odpowiedzi usłyszała tylko gardłowy śmiech, po czym Nicholas znowu przywarł do jej ust.